

Klaudia Bianek

Po raz kolejny Klaudia Bianek nie zawiodła
i przeniosła mnie w świat wzruszeń,
przemyśleń i nadziei.
Czytałam z zapartym tchem
i mam szczerą nadzieję na ciąg dalszy...

Kasia Cichopek



ZAWSZE
I NA
ZAWSZE



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

**ZAWSZE
I NA
ZAWSZE**

Klaudia Bianek



Copyright © Klaudia Pankowska-Bianek, 2020
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadząca: Aleksandra Wolska
Marketing i promocja: Katarzyna Schinkel, Aleksandra Wolska
Redakcja: Joanna Pawłowska
Korekta: Marta Akuszczyńska
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Marta Houli
Fotografia na okładce: © MillaF | Shutterstock
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66570-32-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Mojemu Mężowi – niezmiennie z miłości
i jak zawsze za wszystko

*O dziwo, czas, który goi rany, pokazał też,
że w życiu można kochać więcej niż jedną osobę.*

Paulo Coelho



Prolog

Minęło już tyle czasu, lecz ona nadal nie chce mnie znać. Widuję ją częściej, niż jestem gotowy znieść. Czasem spotykamy się w sklepie, innym razem widzę ją, gdy spaceruje z Emilką i Jasiem. Nigdy nie patrzy w stronę mojego domu.

Przez całe lato próbowałem nakłonić ją do rozmowy. W końcu odpuściłem, bo była nieugięta. Wystarczyło, że raz spojrzała mi w oczy i poprosiła, żebym dał jej dojść do siebie.

Musiałem to zrobić. Zaslugiwała na spokój, na tę namiastkę zrozumienia ze strony drugiej osoby.

Przeżyliśmy osobno deszczową i pracowitą jesień. Ona urabiała sobie ręce po łokcie w rodzinnym sadzie, a ja od świtu do nocy pracowałem w lecznicy. Gdzieś głęboko w sercu bardzo się cieszyłem, że mój interes tak się rozkręcił, lecz ogólnie rzecz biorąc, byłem smutnym, zdesperowanym człowiekiem.

Eliza wprowadziła odrobinę światła do mojego życia. Odczarowała ponurą codzienność, która nastąpiła po śmierci ojca. Oboje zaczęliśmy się uleczać, lecz wtedy wyszła na jaw prawda, którą starałem się przed nią ukryć możliwie jak najdłużej.

Nie wybaczyła mi tego.

Oboje wiedzieliśmy, że nie miałem wpływu na to, kim jest moja matka. Nie mogłem zmienić faktu, że ja i Artur byliśmy przyrodnimi braćmi. Myślę, że ta świadomość wstrząsnęłaby Elizą, lecz byłaby mi to w stanie wybaczyć.

Przemilczenia już nie potrafiła.

Nie planowałem się w niej zakochać. Nie planowałem złożyć w jej dłoniach swojego serca i pozwolić, żeby zrobiła z nim, co tylko chce. To się po prostu stało, gdzieś pomiędzy naszym

pierwszym spotkaniem pod sklepem w Lilecku a tą wyjątkową nocą, gdy opiekowałem się jej dziećmi, bo Eliza leżała w łóżku z gorączką.

To uczucie było nagłe, oderwane od normalności, gwałtowne, poruszające, ożywcze. Nie takie, jakie połączyło mnie z Adą, moją była żoną. Ją kochałem rozsądnie i spokojnie, prosto i cierpliwie.

Miałem dość czasu, żeby porównać te dwie kobiety... Ada była pewna siebie i absorbująca, natomiast Eliza wtapiała się w tłum, jak gdyby bała się, że zostanie zauważona. Nie chciała się wyróżniać, nie chciała być dostrzeżona.

Tyle że ja dostrzegłem ją od razu. Smutną, ubraną w czerń, bladą... Była dla mnie najpiękniejsza, nawet jeśli obok siebie miałem rezolutną i seksowną Milenę.

Ciągle tylko Eliza... Od pierwszego spotkania, od dnia, gdy zrozumiałem, że patrzę na żonę mojego zmarłego brata, a serce niepokojąco tłucze mi się w piersi.



Rozdział 1

Była godzina dwunasta piętnaście, gdy na oddziale położniczym wrocławskiego szpitala rozległ się płacz noworodka. Rzuciłam spojrzenie siedzącej obok mnie Oli i obie się uśmiechnęłyśmy.

– Założę się, że to nasza dzidzia – stwierdziła bratowa z radością.

W tym samym czasie rodziły dwie kobiety. Moja siostra, Milena, i jeszcze jedna, nieco starsza pani w bliźniaczej ciąży. Chociaż nie mogłyśmy mieć pewności, że płacz, który słyszymy, należy do naszego oczekiwanego maluszka, to i ja czułam, że pojawił się już na świecie.

– To jak, chłopiec czy dziewczynka? – zapytałam z podekscytowaniem.

Milena uparła się, że nie chce znać płci dziecka. Lekarz wielokrotnie namawiał ją, żeby zmieniła zdanie, lecz była nieugięta. Podczas kupowania wyprawki wybierała ubranka i kocyki w uniwersalnych kolorach. Gdy zadeklarowałam, że kupię wózek, poprosiła, żeby był ciemnoszary.

Oczekiwanie na małego brzdąca wypełniało nasze ostatnie tygodnie. Wszyscy, oczywiście poza tatą, byliśmy podekscytowani i szczęśliwi.

Bo on jeden Milenie nie wybaczył. Ciągle tylko powtarzał, że już nie jest jego córką. Nie próbował jej zatrzymać, gdy po wyjawieniu prawdy o tym, że ojcem tak naprawdę nie jest Filip, tylko przypadkowy mężczyzna, którego imienia nie знаła, spakowała się i wyprowadziła do kawalerki na obrzeżach Wrocławia. Był obojętny na jej łzy i przeprosiny. Otoczył się okropnym, szczelnym murem.

Nie zareagował nawet wtedy, gdy dwa miesiące temu Milena trafiła do szpitala, bo gwałtownie spadł puls dziecka. Wszyscy byliśmy przerażeni i spięci, natomiast on zachowywał się tak, jakby kompletnie nic się nie wydarzyło.

Doskonale wiedziałam, że miał trudny charakter, lecz jego postawa względem mojej siostry sprawiła, że nie potrafiłam tak wytrwale jak z początku stać po jego stronie.

– Chłopiec – odpowiedziała pewnie Ola i wstała, żeby spojrzeć w kierunku drzwi porodówki.

– Będzie dziewczynka, zobaczysz – powiedziałam, upierając się przy tym, co twierdziłam od początku.

Podczas gdy moja bratowa rozpoczęła nerwowe wydeptywanie ścieżki w szpitalnym gumolicie, ja zapatrzyłam się na sztuczną choinkę stojącą w kącie korytarza. Przyozdobiona łańcuchami z papieru i gwiazdkami, a także kolorowymi światełkami, wyglądała nadzwyczaj urokliwie. Chociaż święta Bożego Narodzenia były już za nami, podobnie jak sylwester, to ozdoby jeszcze przez kilka dni mogły nas raczyć swoim migotliwym blaskiem – aż do święta Trzech Króli.

Czas leciał nieubłaganie i nawet się nie obejrzeliśmy, gdy rozpoczął się styczeń. Po pracowitej jesieni wszyscy mogliśmy wreszcie nieco odetchnąć.

A dziś był drugi dzień nowego roku. I właśnie dziś do naszej rodziny dołączył nowy człowieczek, tak bardzo wyczekany, bo moja siostra miała termin już kilkanaście dni temu, ale dzidziusiowi nie spieszyło się z przyjściem na świat, więc lekarze zdecydowali się w końcu o wywołaniu akcji porodowej.

Jakąś godzinę później wreszcie mogliśmy zobaczyć się z Mileną. Była blada i wykończona, ale jej wargi unosiły się w najszczerzym, najpiękniejszym uśmiechu.

– Gdzie nasz chłopczyk? – zawołała podekscytowana Ola, która tylko czekała na moment, gdy wreszcie będzie mogła

zobaczyć niemowlę.

Po początkowym załamaniu, jakie przeszła, gdy Milena obwieściła przy stole wiadomość o ciąży, Ola w końcu dotarła do etapu, gdy stało się dla niej jasne, że ani moja siostra, ani nikt inny nie jest winien jej bezpłodności. I zaczęła się cieszyć, zaczęła oczekiwać i pomagać Milenie, jak tylko mogła. A gdy moja siostra zapytała ją, czy zostanie matką chrzestną... Tak, tylko Ola mogła popłakać się w takiej chwili ze szczęścia.

– Właściwie to... dziewczynka – odpowiedziała Milena, patrząc na mnie znacząco.

– Wiedziałam! – pisnęłam radośnie i uniosłam ręce do góry, ciesząc się jak dziecko. – Będzie Amelka?

– Będzie – potwierdziła Milena.

Od razu wyszperałam z torebki telefon.

– Zadzwonię do mamy, bo pewnie siedzi jak na szpilkach.

Opuściłam pokój i na korytarzu wybrałam numer domowy, czując radosne łaskotanie w żołądku na myśl o tym, że nasza mała dziewczynka wreszcie pojawiła się na świecie.

– Urodziła?! – krzyknęła mama do telefonu, a ja podskoczyłam lekko z zaskoczenia.

– Tak, urodziła – odparłam z szerokim uśmiechem.

– Chłopiec?

– Dziewczynka – odpowiedziałam z satysfakcją, a mama westchnęła po drugiej stronie tak, jakby poczuła ulgę.

– Wszystko z nimi dobrze?

– Chyba tak. Milena jest już na sali, niebawem pewnie przyniosą jej małą.

– Zrób mi jakieś zdjęcie – powiedziała rozemocjonowanym głosem, a ja od razu wyczułam, że była wzruszona.

– Pewnie, że zrobię. A dzieci jak? Grzeczne są?

– Jasek bawi się w salonie maskotkami, a Emilka ogląda bajkę. Oboje zjedli obiad, więc nie musisz się o nic martwić – odpowiedziała mama. Poczułam, jak to delikatne napięcie,

które zawsze mi towarzyszyło, gdy wyjeżdżałam gdzieś bez dzieci, powoli odpuszcza.

– To świetnie. Dobrze, mamo, kończę. Pogadamy w domu.

Wróciłam na salę i wtedy po raz pierwszy ją zobaczyłam.

Była tak maleńka, jak moje dzieci, gdy się urodziły. Zawinięta w szary becik, przytulona do piersi Mileny, spała słodko i spokojnie. Jej malutka główka pokryta była ciemnymi włoskami, a drobne dłonie zaciśnięte w pięstki.

Już zapomniałam, jak bardzo można się wzruszyć na widok takiego małego, bezbronego człowieka.

– Ależ jest piękna – westchnęłam, czując, jak pod powiekami gromadzą mi się łzy wzruszenia.

– Maleńka ślicznotka – powiedziała Ola, a ja zauważyłam, że ocierała policzki.

Też była wzruszona, ale nasz sekundowy kontakt wzrokowy uświadomił mi, że przede wszystkim targał nią ukryty głęboko ból.

Nie byłam sobie w stanie wyobrazić, co czuje kobieta, która pragnie dziecka, a nie może go mieć.

– Mama prosiła, żebym zrobiła jej zdjęcie – powiedziałam i podeszłam do łóżka siostry z telefonem w dłoni. Wyłączyłam flesz i zrobiłam kilka zdjęć naszej nowo narodzonej perełce, a następnie schowałam komórkę do torebki.

Zauważyłam, że Ola i Milena wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia, więc natychmiast popatrzyłam na nie z pytającym wyrazem twarzy.

Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi mojej bratowej.

– Przed chwilą dzwonił Filip... Niedługo tu będzie – powiedziała niepewnie moja siostra, zerkając na mnie ukradkiem.

Na dźwięk jego imienia serce natychmiast ścisnęło mi się w piersi. Mogłam zapanować nad mimiką twarzy, ale serce...

Ono robiło, co chciało. Reagowało na niego z szaleńczą mocą, rwało się, gdy tylko pojawiał się w zasięgu mojego wzroku.

Minęło już kilka miesięcy od dnia, gdy dowiedziałam się o pokrewieństwie Filipa z moim zmarłym mężem. Jego kłamstwo, czy raczej przemilczenie prawdy, ciągle bolało tak samo. Zdażyłam mu zaufać, powierzyć siebie i sporą część serca, a on przyjął to wszystko, jednocześnie wiedząc, że nie jest ze mną do końca szczery.

Nie od razu powiedziałam najbliższym o tym, dlaczego między mną i Filipem wszystko dobiegło końca. Wreszcie nie wytrzymałam i wygadałam się przed Mileną, bo Ola wiedziała o wszystkim nieco wcześniej. Zrobiłam to w pierwszą noc w nowym mieszkaniu siostry. Płakałam, piłam wino i mówiłam o całym moim bólu, licząc, że następny dzień będzie łatwiejszy do przeżycia.

W nowej tęsknocie, w nowym rozczarowaniu, z nowymi ranami.

Choć czułam się skrzywdzona przez Filipa, to niezmiennie byłam mu wdzięczna za to, że pomagał Milenie. Siostra początkowo bała się mi o tym powiedzieć, ale gdy wreszcie to z siebie wyrzuciła, w moim sercu, zamiast złości czy zazdrości, zapanowały lekki spokój i ulga. Nie byłam zawistna, nie byłam zaborcza. Nie mogłabym wściekać się na Milenę za to, że przyjmuje pomoc od mężczyzny, który naprawdę wiedział, jak jej udzielać.

Ciągle powtarzała, że się przyjaźnią. Robiła to nienaturalnie często, jak gdyby czuła potrzebę bezustannego usprawiedliwiania się przede mną. Nie potrafiłam jej oceniać. Nie potrafiłam jej potępiać. Złość na bezmyślny błąd Mileny zniknęła z dnia na dzień, a zastępowały ją współczucie i troska. Z radością robiłam jej zakupy, gdy czuła się gorzej, a także gotowałam, gdy leżała z napuchniętymi nogami na kanapie.

W tej chwili nie poczułam się zdziwiona na wieść, że mężczyzna, który był jej opoką od początku ciąży, przyjdzie ją odwiedzić.

Nawet jeśli ten sam mężczyzna znaczył dla mnie tak wiele.

Ciągle i ciągle. Chciałam to zwalczyć, zminimalizować, usunąć, ale się nie dało. Filip mnie naznaczył i zrobił to w taki sam sposób, jak kiedyś Artur.

– To ja już będę się zbierać – odpowiedziałam po prostu, nakładając szybko płaszcz. Zawiesiłam torebkę na ramieniu, gotowa do wyjścia. Uśmiechnęłam się do Mileny, która wyglądała na zmartwioną.

– Mogłabyś z nim porozmawiać, Eliza – wyszeptała niepewnie moja siostra i przez chwilę wyglądała tak, jakby bała się mojej reakcji.

Zasada była prosta: nie rozmawiamy o Filipie, jeśli to nie jest absolutnie konieczne. Zaraz po wyznaniu prawdy poprosiłam dwie najbliższe mi osoby, żeby przestrzegały tej jednej, ale jakże ważnej reguły. Nie chciałam wiedzieć, jak moja siostra spędza z nim czas. Nie chciałam się zastanawiać, jak wiele razy Ola musiała zbywać Filipa wymówkami, gdy prosił ją, żeby nakłoniła mnie do rozmowy z nim.

To jedno zdanie, prosta sugestia, było złamaniem zasady. Milena doskonale to wiedziała. W normalnych okolicznościach pewnie bym się zdenerwowała i wyszła, lecz dziś, akurat dziś, gdy trzymała w ramionach swoje cudowne dziecko... Nie, nie potrafiłam pozwolić sobie na złość. Ten dzień miał być szczęśliwy.

Nawet dla mnie.

– Jeszcze nie dziś – odpowiedziałam tylko i wzruszyłam ramionami, pragnąc uciąć temat.

Ola milczała, ale patrzyła na mnie smutno. Po chwili ocknęła się i pożegnała z Mileną oraz śpiącym słodko maleństwem. Obie wyszłyśmy z sali, idąc korytarzem ramię w ramię.

Milczałyśmy, bo bratowa знаła mnie na tyle, by wiedzieć, że nie jestem w nastroju na jakiegokolwiek rozmowy.

Skorzystałyśmy z windy, dokładnie tak samo jak wcześniej. Stałyśmy obok siebie w niewielkiej przestrzeni, każda wpatrzona w panel wyświetlający numer piętra. Drzwi rozsunęły się z cichym brzdęknięciem, gdy dotarliśmy na parter.

Byłam tak zamyślona, że w pierwszej chwili nie zwróciłam uwagi na osobę stojącą przed windą. Dopiero przy pierwszym kroku w kierunku wyjścia zorientowałam się, na kogo patrzę.

Wysoki, szeroki w barkach, ze skroniami lekko przyprószonymi siwizną. Te oczy, tak znajome i ukochane, jasne niczym bezchmurne niebo. Zarost pokrywający idealną szczękę, magnetyczny i dodający nieokiełznanego uroku. Zarumienione od mrozu policzki i czarny płaszcz, który tak idealnie na nim leżał.

Filip został stworzony do tego, żeby skradać kobiece serca...

Zamarł, gdy mnie dostrzegł. Jego pełne usta rozchyliły się nieznacznie, jakby chciał coś powiedzieć. Przełknęłam z trudem ślinę, zdając sobie w pełni sprawę z tego, że raptownie zaschło mi w gardle. Spuściłam wzrok, czując, że jego spojrzenie jest dla mnie zbyt trudne do zniesienia.

W lewej dłoni trzymał bukiet kwiatów owinięty w papier, a w prawej różową torebkę, na której widniała Elza z *Krainy Lodu*. Zacisnęłam usta, czując, jak serce przeszywa mi intensywna iskra bólu.

Byli tylko przyjaciółmi, prawda? Te kwiaty nic nie znaczą...

Nie powinny nic znaczyć.

A może jednak?

– Cześć – powiedziała cicho Ola, więc ocknęłam się i wpatrzyłam w jakiś losowy punkt za plecami Filipa.

– Cześć – odparł niepewnie. Czułam na sobie jego palące spojrzenie, wiedziałam, że przeszywa mnie wzrokiem, jakby

czekał na mój odzew.

Mięśnie zastygły mi w bezruchu, lecz całą siłą woli zmusiłam się do wykonania pierwszego kroku. Drugi był łatwiejszy.

Wyszłam i minęłam Filipa bez słowa, przesłaniając twarz maską obojętności. Nie musiał wiedzieć, że każda cząstka mojej duszy drżała od jego bliskości, że moje serce rwało się do niego, jak wtedy, gdy pocałował mnie po raz pierwszy lub gdy kochaliśmy się u niego...

Zacisnęłam zęby i szłam przed siebie, skupiając myśli na stukocie obcasów moich kozaków o płytki szpitalnej podłogi. Nie potrafiłam stwierdzić, czy Ola szła za mną, ale jedno wiedziałam na pewno: nie mogłam się odwrócić.

– Eliza... – Moje imię wydobyło się z jego ust niczym najcichszy szept, niczym westchnienie pełne bólu i błagania.

Zatrzymałam się. Stałam się bryłą lodu, którą płomień roztopiał od środka. Ten głos, tak głęboki i męski, z lekką chrypką, był moją zgubą od naszego pierwszego spotkania. Poruszył mnie w sposób, którego się wtedy nie spodziewałam. Teraz zrobił to samo.

Tylko ostatnie pokłady silnej woli powstrzymywały mnie przed jakąkolwiek reakcją. Tak bardzo chciałam się odwrócić i spojrzeć raz jeszcze w jego oczy, by wiedział, że ciągle o nim myślę i że nadal jest dla mnie kimś bardzo ważnym.

Nie zrobiłam tego jednak. Wzięłam głęboki oddech i poszłam dalej, odprowadzana przez jego spojrzenie, które czułam na sobie każdą cząstką ciała.

Opuściłam szpital na drżących nogach i dopiero wtedy udało mi się chociaż odrobinę ukoić moje skołatane nerwy. Nie zwracałam uwagi na szczypiący mróz. Właściwie to w tej chwili bardzo mi pomagał, studząc kipiące we mnie emocje.

Ola pojawiła się obok mnie po kilku sekundach. Patrzyła mi w oczy ze smutkiem i powagą, jakby chciała coś powiedzieć,

ale nie do końca wiedziała, czy powinna. Sama nie byłam pewna, jak zareaguję, jeśli rzeczywiście coś powie.

– Jedźmy do domu – odezwała się i złapała mnie pod ramię, prowadząc w kierunku parkingu, gdzie czekał samochód.

Za to właśnie ją uwielbiałam. Wiedziała, kiedy trzeba milczeć. Znała mnie na tyle, żeby wiedzieć, jak silnie zareagowałam na Filipa, nawet jeśli niczego nie dałam po sobie poznać. Może on dał się nabrać, lecz Ola... Nie, ona doskonale potrafiła mnie przejrzeć.

Wsiadłyśmy do samochodu, a moja bratowa od razu odpaliła i ustawiła pokrętko klimatyzacji na czerwonej kropeczce. Potarłam skostniałe dłonie i wcisnęłam je między uda, patrząc przez okno. Nie mogłam myśleć o niczym innym, jak o bukietcie kwiatów, który Filip trzymał w dłoni i niósł dla mojej siostry.

Minęło już kilka miesięcy, więc kto wie, może jego uczucia się zmieniły i jednak Milena stała się dla niego kimś więcej, nawet jeśli on dla niej był podobno tylko przyjacielem. W końcu między mną a nim wszystko skończone. Był wolnym człowiekiem, a do tego przystojnym, pomocnym i troskliwym mężczyzną.

Był przyrodnim bratem Artura.

Ludzie często twierdzili, że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach... Nawet jeśli Artur i Filip mieli innych ojców, to na świat wydała ich ta sama kobieta. Obojga obdarowała pulą cech, które sprawiały, że byli do siebie bardzo podobni.

Na początek dostrzegłam te oczy... Tak jasne, błękitne, głębokie i porywające. Takie same, jak miał mój mąż. Później ze spotkania na spotkanie objawiały się drobnostki, które wyrysowywały w mojej głowie obraz fantastycznego mężczyzny. To właśnie te szczegóły sprawiły, że wbrew zdrowemu rozsądkowi poczułam coś do Filipa i oddałam mu część swojego serca. Tę najbardziej poranioną po śmierci Artura. Tę,

którą on powoli ulecział, lecz ostatecznie znów zranił, zatajając przede mną prawdę.

Milczenie wypełniało wnętrze auta, więc Ola włączyła radio, patrząc uważnie na jezdnię. Jakaś polska wokalistka śpiewała o zabawie do białego rana, a później spikerzy próbowali być zabawni w swoich prostych jak drut żartach.

Poczułam ulgę, gdy wreszcie dotarliśmy na miejsce. Ola wjechała samochodem do garażu, po czym udałyśmy się do domu, gdzie zapewne niecierpliwie wypatrywała nas moja mama.

Zastałyśmy ją w salonie. Razem z Jasiem i Emilką siedziała na kanapie. Dzieciaki oglądały bajkę, natomiast mama intensywnie dyskutowała z kimś przez telefon. Oczywiście, jak ją znałam, to już obdzwoniła większość rodziny, ogłaszając radosną nowinę.

Dostrzegłszy nas, uśmiechnęła się radośnie i szybko zakończyła rozmowę z jakąś kuzynką. My w tym czasie zdjęłyśmy buty i płaszcze w korytarzu. Wnętrze domu było ciepłe i przytulne, natomiast na zewnątrz panował naprawdę solidny ziąb.

– Ciocia urodziła?! – pisnęła Emilka, zrywając się z kanapy. Podbiegła do mnie podekscytowana.

– Tak. Ma córeczkę. Zobacz – odpowiedziałam i pokazałam jej te trzy zdjęcia, które zrobiłam Amelce w szpitalu.

Oczy dziewczynki zrobiły się wielkie jak spodki. Jaś wyglądał na zaciekawionego, natomiast mama wprost zapowietrzyła się z zachwyty.

– Jest bardzo malutka – zauważyła Emilka. – Kiedy będziemy mogli ją odwiedzić?

– Jak tylko ciocia wyjdzie ze szpitala – odparłam i złapałam za wyciągniętą dłoń Jasia.

Znałam mojego synka na tyle, by wiedzieć, że zdążył się stęsknić podczas mojej nieobecności. Załedwie usiadłam na

kanapie, od razu wgramolił mi się na kolana i przytulił niczym najśłodszy miś koala.

– Co za piękne niemowlę, prawda? – westchnęła mama, kładąc dłoń na sercu i uśmiechając się czule do zdjęć w mojej komórce.

– Jest prześliczna. Mierzy pięćdziesiąt dwa centymetry i waży równe trzy kilogramy – odpowiedziała Ola, siadając obok mnie na kanapie i sadowiąc obok siebie Emilkę.

– A Milena? Jak się czuje?

– Dobrze. Zmęczona, ale szczęśliwa – powiedziałam z uśmiechem i pogładziłam Jasia po włoskach. – Stęskniłeś się, kochanie? – zapytałam, zwracając się do synka, a on przytaknął skwapliwie i na potwierdzenie swoich słów przytulił mnie mocniej.

– Eliza, trzymaj telefon, idę wam zrobić coś ciepłego do picia – rzekła mama i wybiegła z pokoju.

Nie zdążyłyśmy zamienić z Olą słowa, gdy do domu wpadł Kuba. Miał na sobie roboczą zimową kurtkę i grubą wełnianą czapkę. Jego zmarznięte policzki były wręcz purpurowe, a z dłoni właśnie ściągał rękawice.

– Młoda urodziła? – zagaił od wejścia, patrząc najpierw na Olę, a później na mnie.

– Sam zobacz – odpowiedziałam i podałam mu komórkę.

Kuba nie był wylewnym mężczyzną, ale z rozrzewnieniem zauważyłam delikatny uśmiech, który odmalował się na jego spierzchniętych wargach, gdy wpatrzył się w zdjęcie małej Amelki.

Nie liczyłam na to, że coś powie. Jediną oznaką szczęścia czy zachwytu był rzadki wyraz rozluźnienia na jego twarzy.

– Słuchajcie, dziewczyny... – zaczęła mama, wchodząc do salonu z tacą, na której ustawiła dzbanek herbaty, szklanki oraz cukierniczkę. – O, Kubuś! Siadaj, napijesz się ciepłego naparu – wtrąciła, dostrzegając swojego syna. Zaraz jednak

ponownie zerknęła na nas. – Tata jeszcze nic nie wie, ale myślę, że trzeba mu powiedzieć.

Temat taty w kontekście Mileny był dla nas niezmiennie bardzo kłopotliwy. Jeszcze jakiś czas temu tak samo kłopotliwa była moja relacja z mamą. Ciężko nam było wrócić do normalności po tym, jak pokłóciłyśmy się, gdy myślała, że sypiam z mężczyzną, który jest ojcem dziecka mojej siostry.

Przeprosiła mnie dopiero wtedy, gdy na jaw wyszło, że tak naprawdę to nie Filip stał za poczęciem Amelii. Była zła i rozgoryczona, bo stała się ofiarą intrygi Mileny, ale jednocześnie poczuła ulgę, gdy zrozumiała, że nie porwałam się na zrobienie tak gigantycznego świństwa własnej siostrze.

– Mogę z nim porozmawiać – zaoferowałam spokojnie, sięgając po filiżankę i nalewając sobie herbaty z dzbanka. Przyjemne ciepło szkła ogrzało mi dłonie, gdy objęłam naczynie palcami.

– Tylko się pokłóćcie... – westchnęła mama z rezygnacją.

Znała tatę lepiej niż on sam siebie, więc wiedziała, że potrafił być nie tylko oschły, ale wręcz nieprzyjemny i złośliwy. Ja natomiast już dawno pozbyłam się jakiegokolwiek filtra, jeśli chodziło o rozmowy z nim. Kilka lat temu potrafiłam zwiesić głowę i podkulić pod siebie ogon, gdy dawał mi burę z byle jakiego powodu. Z czasem umocniłam się emocjonalnie na tyle, że potrafiłam mu się postawić. Obecnie byliśmy dla siebie równymi przeciwnikami w potyczkach słownych. Nie bałam się tego, co może mi powiedzieć.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz – odpowiedziałam spokojnie i upiłam łyk herbaty.

– To może ja się tym zajmę? – wtrąciła niepewnie Ola, na co od razu zareagował Kuba.

– Nie będziesz się w to mieszać – zaoponował ostro, marszcząc brwi.

Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi mamy, a zmarszczka pomiędzy brwiami była jasnym sygnałem, że coś ją dręczy, i to nie od dziś.

– Martwię się, co to będzie dalej... Czy nasza wnuczka będzie nas mogła tu w ogóle odwiedzać?

No właśnie. Chciałam powiedzieć, że przecież tata nie może zabronić Milenie przyjeżdżania do rodzinnego domu, bo jeśli wszyscy się postawimy, to będzie w mniejszości, ale takie słowa zdecydowanie nie powinny paść w obecności moich dzieci.

Tym bardziej że Emilka była bardzo spostrzegawcza i szybko wyłapywała najciekawsze kwestie, a później w swojej dziecięcej główce tworzyła historie, które ją martwiły. A przecież dziewczynka w wieku niespełna dziewięciu lat nie powinna mieć zmartwień.

– Coś się wymyśli – powiedziałam i rzuciłam szybkie, znaczące spojrzenie w kierunku dzieciaków, dając mamie znak, że omówimy ten problem później.

Wypiliśmy herbatę, rozmawiając na bezpieczne tematy. Co jakiś czas dostrzegałam, że Ola rzuca mi ukradkowe spojrzenia, jakby chciała dowiedzieć się, czy nadal przeżywam spotkanie z Filipem w szpitalu.

On był jak tatuaż na mojej duszy... Za każdym razem, gdy widywaliśmy się gdzieś przypadkiem, moje serce najpierw zamierało, by za moment rozszaleć się niczym ptak zamknięty w klatce. Rozum nie pozwalał mu przebaczyć, natomiast serce już dawno to zrobiło. Ciągle podsuwało wspomnienia wspólnie spędzonych chwil, gdy trzymał mnie w ramionach, a ja czułam, jak budzę się po długim czasie mrocznego, niespokojnego snu.

Dał mi tak dużo, a jednocześnie odarł ze złudzeń, nie mówiąc prawdy... Prawdy, która była ciężka jak ołów i ciągnęła na dno wątlą wizję naszej wspólnej przyszłości.



Wieczorem, gdy położyłam dzieci spać i sama wychodziłam właśnie z łazienki, usłyszałam krzyki dochodzące z parteru. Zamarłam na krótki moment, a gdy zdałam sobie sprawę, że głosy z sekundy na sekundę przybierają na sile, zbiegłam na dół i wpadłam do salonu, gdzie zastałam rodziców w bojowych pozycjach.

Mama podpierała się pod boki, a tata krążył po pokoju z twarzą purpurową od emocji. Gromili się spojrzeniami, lecz oboje zamarli, gdy stanęłam pomiędzy nimi.

– Co tu się dzieje? – zapytałam ostro i zacisnęłam usta, patrząc najpierw na mamę, a później na tatę.

– Ojciec powiedział, że nie wyraża zgody na to, żeby Milena bywała w tym domu – wyjaśniła mama ze złością i pokręciła głową z niedowierzaniem. Dostrzegłam w jej spojrzeniu także pogardę dla postawy taty.

– Jej noga już nigdy tu nie postanie! Po moim trupie! – zagrzemiał i odwrócił się twarzą do okna. Widziałam, jak bardzo napięte są jego ramiona, co było jasnym sygnałem, że znajdował się u kresu wytrzymałości. – Nie ma tutaj wstępu!

– Milena jest twoją córką! Nie zmienisz tego! – wycodziła mama przez zęby i rzuciła mi spojrzenie, które było wołaniem o pomoc.

Wzięłam głęboki oddech. Musiałam spróbować załagodzić sytuację.

– Po pierwsze, nie krzyczcie, bo niedawno położyłam dzieciaki spać – zaczęłam spokojnie, po czym zerknęłam w kierunku taty, szykując się na ciężką przeprawę. – Tato, nie

możesz zachowywać się w ten sposób... Wiem, że Milena cię zawiodła, ale to nadal jest twoja córka...

– Moja córka nie zachowałaby się jak najgorsza zdzira! – krzyknął swoim grubym głosem.

Podskoczyłam ze strachu, natomiast mama spojrzała na ojca z niedowierzaniem, łapiąc się za serce.

– Andrzej! Jak możesz?!

– Mogę! Jest nic niewarta, skoro poszła do łóżka z byle kim!
– odparł chłodno, wzruszając ramionami.

Starał się udawać, że temat Mileny już go nie boli i nie dotyczy. Ja jednak doskonale wiedziałam, że ciągle to przeżywa. W końcu była jego ukochaną, małą córeczką... Rodzice mieli nas troje, ale to Milena była zawsze oczkiem w głowie ojca. W końcu najmłodsza, więc zawsze najbardziej rozpieszczana.

– Ona dziś urodziła! Ma piękną, zdrową córeczkę, a ty mówisz takie okropne rzeczy! – wrzasnęła mama, w emocjach całkowicie zapominając, że prosiłam o niepodnoszenie głosu.

– Mam to gdzieś! Nie obchodzi mnie ani ona, ani jej bękart! – warknął głośno tata, po czym szybko opuścił salon i trzasnął drzwiami tak mocno, że wszystko zadudniło.

Mama opadła na kanapę, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła głośno płakać. Chciałam ją przytulić i pocieszyć, lecz wtedy drzwi do salonu cichutko się otworzyły, a do środka wsunęła się bosa stópka mojej córki.

Jej blada twarz i szeroko otwarte oczy uświadomiły mi, że musiała usłyszeć krzyki swoich dziadków. Weszła niepewnie do salonu i przytuliła się do mnie, a ja objęłam ją i pogładziłam po plecach. W swojej jednoczęściowej zielonej piżamce w króliczki wyglądała słodko i niewinnie.

– Dlaczego dziadzia krzyczał? – zapytała piskliwie, po czym spojrzała na babcię i zobaczyłam, że drży jej broda. – Dlaczego babcia płacze?

Wzrok mojej mamy zmiękł, chociaż nadal widziałam w jej oczach rozpacz i bezsilność, smutek i strach.

Wstała powoli i wymusiła uśmiech, patrząc na Emilkę. Przytuliła ją uspokajająco z drugiej strony.

– Nic się nie stało, kochanie. Wracaj z mamą do łóżka – powiedziała cicho.

Posłałyśmy sobie porozumiewawcze spojrzenia. Potrzebowała chwili samotności, więc złapałam córkę za dłoń i wyprowadziłam z salonu. Weszłyśmy po schodach w milczeniu, a gdy znalazłyśmy się w jej pokoju, spojrzała na mnie swoimi dużymi, błękitnymi oczami.

– Zostaniesz ze mną, dopóki nie zasnę? – wyszeptała niepewnie, przytulając do serca swojego ulubionego misia z niebieską kokardką i naderwanym uszkiem.

– Oczywiście, kochanie – odpowiedziałam czule i położyłam się obok mojej córki. Wzięłam ją w ramiona i pocałowałam w głowę, gładząc po plecach. – Śpij już.

Wyczuwałam jej nerwowość i napięcie. Emilka miała pięć lat, gdy zginął Artur, i chociaż nigdy na ten temat nie rozmawiałyśmy, to wiedziałam, że w jej pamięci musiały się zapisać jakieś negatywne urywki wspomnień, które sprawiały, że reagowała strachem i paniką na krzyki i płacz bliskich jej osób.

– Mamo? – Jej cichy głosik doszedł do mnie, sprawiając, że żołądek ścisnął mi się z niepokoju. Myślałam, że zdążyła już zasnąć.

– Tak?

– Co to jest „bękart”?

Wzięłam głęboki oddech, bo nie spodziewałam się takiego pytania. Przeczesalam palcami jej ciemne włosy, otworzyłam usta, lecz szybko je zamknęłam. Co miałam jej powiedzieć?

– To takie bardzo brzydkie określenie, którego nigdy nie powinno się używać – wyszeptałam wreszcie, starając się obieć

temat tak daleko, jak to tylko możliwe.

– Brzydkie jak przekleństwo? – zapytała spokojnie, chociaż wystarczyło jedno spojrzenie w jej dziecięce, piękne oczy, żeby zobaczyć, jak bardzo była niepewna i przestraszona.

– Tak, kochanie. Jak przekleństwo – potwierdziłam. – Nie myśl o tym. Śpij...

– Czy dziadzia przeprosi babcię?

Nie dawała za wygraną, a to oznaczało, że ta nocna awantura naprawdę mocno nią wstrząsnęła.

– Na pewno.

– A jeśli nie? – zapytała płaczliwie. Przerazała ją myśl, że po raz kolejny coś mogłoby zaburzyć życie naszej rodziny.

W podobny sposób przeżywała wyprowadzkę Mileny, nie rozumiejąc, dlaczego musiała to zrobić. Przecież było dla niej miejsce w domu, zawsze tu mieszkała. Nie otrząsnęła się jeszcze po jednej zmianie, a kłótnia babci i dziadka mogła zwiastować kolejną.

– Przeprosi. Dziadzia kocha babcię i nie umie się na nią gniewać zbyt długo – odpowiedziałam i posłałam jej uśmiech, który w zamierzeniu miał być pokrzepiający i uspokajający.

– Tęsknię za ciocią Mileną, wiesz, mamo?

– Wiem. Niebawem ją odwiedzimy – odpowiedziałam i utuliłam ją mocniej, kończąc rozmowę.

Strach moich dzieci zabijał mnie za każdym razem. Chciałam dla nich wszystkiego, co dobre. Wiedziałam, że życie potrafi być okrutne, i zdawałam sobie sprawę, że przyjdzie czas, gdy będą musiały zmierzyć się z problemami, teraz jednak nie powinny mieć zmartwień, tylko cieszyć się beztruskim dzieciństwem. Już i tak dostały od życia w kość, gdy straciły ojca. Jaś nawet nie pamiętał Artura, natomiast w świadomości Emilki pojawiła się jakaś wyrwa... Mgliste wspomnienia o kochającym ojcu, a później czas, gdy jego już

nie było i pozostałam tylko ja... cierpiąca, płacząca, tęskniąca i ubrana na czarno.

Niezliczoną ilość razy wyobrażałam sobie takie spokojne i normalne dni z Arturem u boku, które już nigdy nie nadejdą. Nadal mieszkalibyśmy w domu, który dla siebie zbudowaliśmy. Dzieciaki miałyby pewnie trampolinę w ogrodzie, a na podjeździe stałby mój samochód, bo z garażu Artur zrobiłby sobie prawdziwą rupieciarnię. W słoneczne popołudnia siedzielibyśmy na tarasie, a w zimowe wieczory pili wino przy kominku.

Masochistycznie przywoływałam tę wizję, choć przecież doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że te wyobrażenia nigdy się nie ziszczą.

Najgorsze były jednak momenty, gdy postać Artura zastępowała postać Filipa...

Działo się tak często, całkowicie wbrew mnie, a później musiałam przez bardzo długi czas dochodzić do siebie. Mój własny umysł robił sobie ze mnie mało śmieszne żarty. W takich chwilach dostawałam ostateczny dowód na to, że moje serce zostało podzielone na pół. Jedna część należała do Artura i razem z nim została zakopana w grobie. Drugą część od obumarcia ocalił Filip...

Poczułam, jak ciało Emilki w końcu rozluźniło się w moich objęciach, a oddech wyrównał i uspokoił. Zasnęła. Rysy jej twarzy utraciły ten bolesny dla mojego serca wyraz zmartwienia i smutku. Teraz przypominała spokojnego, pozbawionego trosk aniołka...

Delikatnie wysunęłam się z jej łóżka i po cichu udałam do sypialni, gdzie zastałam śpiącego smacznie Jasia. Z rączkami nad głową wyglądał jak mały zwycięzca. I właśnie nim dla mnie był. Zwyciężał w małych i dużych rzeczach, każdego dnia.

Chociaż zmęczenie czaiło się pod moimi powiekami, to strach o mamę nie pozwolił mi tak po prostu położyć się do łóżka. Zeszłam po schodach do salonu, lecz nikogo tam nie zastałam.

Mama siedziała w kuchni, pochylona nad parującym kubkiem herbaty, zapłakana i zamyślona bez reszty. Ocknęła się, gdy dostrzegła ruch przy drzwiach. Cień strachu w jej oczach, który zniknął tak szybko, jak się pojawił, był dla mnie sygnałem, że spodziewała się powrotu taty. Ulżyło jej, że to byłam ja.

Usiadłam przy stole i złapałam dłoń mamy, zaciskając na niej palce. Patrzyłyśmy na siebie bez słowa, a ja zastanawiałam się, czy myślimy o tym samym.

– Gdy ojciec nazwał Milenę zdziłą... Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak musiało zboleć cię to, czego o mało sama ci nie powiedziałam... – wyszeptała cichym i pełnym bólu głosem.

– To już nieważne... – odpowiedziałam, udając, że tamto wspomnienie wcale mnie już nie boli.

– Ważne. Rodzic nigdy nie powinien tak nazywać swojego dziecka...

– Przecież tego nie zrobiłaś – zaproponowałam od razu i wymusiłam uśmiech.

– Bo mi w porę przerwałaś.

Wzięłam głęboki oddech i spuściłam wzrok, wbijając go w nasze złączone dłonie.

Wszystko się w naszej rodzinie posypało. Zmiany przychodziły powoli, gromadziły się wokół nas niczym burzowe chmury, a gdy wszystko się skumulowało, to przypominało niszczycielski huragan, który nie zamierzał odpuścić nikomu.

Każdy członek naszej rodziny oberwał, mniej lub bardziej. Nikt nie miał szans pozostać obojętnym, nawet moja córka. Nawet Filip...

– Emilka zasnęła? – zapytała po chwili mama i upiła ostrożnie łyk gorącej herbaty.

– Tak, chociaż trochę ją to wszystko zmartwiło... Boi się, że ty i tata się nie pogodzicie – odpowiedziałam z westchnieniem.

– Jestem na siebie tak bardzo zła... Jaś nie powinien wychowywać się w nerwowej atmosferze, a ostatnio w naszym domu ciągle taka panuje. Emilka jest już wszystkiego świadoma i strasznie to przeżywa... Co się z nami stało, Eliza? – wyszeptała mama i podniosła głowę, patrząc na mnie oczami pełnymi łez.

Nie powiedziałam nic, tylko przysunęłam się bliżej i po prostu ją przytuliłam. Jakkolwiek źle by było, nie chciałam kłócić się z mamą. Mogłam na nią liczyć przez całe życie, była moim nieocenionym wsparciem przez najgorszy, najbardziej bolesny okres żałoby. Opiekowała się dziećmi, gdy ja nie dawałam rady... To ona wyszła z inicjatywą, bym sprzedała dom w mieście i wróciła do Lilecka. Kochała nas wszystkich, miała ogromne serce i nie potrafiła zbyt długo chować urazy. Nawet raz, jeden jedyny raz, gdy nakryła mnie na opłakiwaniu Filipa, przyznała, że i ona za nim tęskni. A co ważniejsze, nie pytała, dlaczego między mną a nim wszystko tak raptownie się skończyło...

Tata to co innego. Miał trudny charakter i był nieustępliwy. Kłótnie nie robiły na nim żadnego wrażenia, a nawet jeśli, to nigdy nie wyciągał z nich wniosków. Łzy mamy nie powstrzymywały go przed wypowiedaniem brutalnych i okropnych słów...

– Uspokój się, mammo... – wyszeptałam spokojnie.

Tak, to było dobre pytanie...

Co się z nami stało?



Rozdział 2

Następnego dnia o świcie zastałam tatę w kuchni. Nie odzywał się do mnie, nawet nie zareagował, gdy powiedziałam ciche „dzień dobry”. Wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w gazetę, udając, że czyta. Zacisnęłam usta i przygotowałam sobie kubek kawy, po czym po cichu przeszłam do salonu. Głowa aż parowała mi od nadmiaru myśli i zmartwień, a ciężka noc odbijała się wyraźnym cieniem na mojej twarzy.

W ciągu dnia jeździłam z Jasiem na planowane zajęcia, a po powrocie przygotowałam obiad dla dzieciaków i odrobiłam zadania domowe z Emilką. Atmosfera w domu była ciężka od negatywnych emocji. Wszyscy mijaliśmy się bez słowa, a nawet celowo unikaliśmy swojego towarzystwa. Mama poprosiła, żebym nie wspominała Kubie i Oli o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Jakkolwiek złe wydałoby mi się przemilczenie tej kwestii, to musiałam uszanować jej decyzję.

Po południu, gdy akurat prasowałam ubrania dzieci, na szafce nocnej rozdzwonił się mój telefon. Jak zawsze serce drgnęło mi w piersi niepokojąco, łudząc się i obawiając jednocześnie, że dzwoni Filip.

To nie Filip. To Stanisław.

– Halo? – odebrałam spokojnie, przerywając wykonywaną pracę. Czułam, jak żołądek ściska mi się z niepokojem.

– Dzień dobry, Elizo – przywitał mnie głęboki głos mojego teścia. – Dzwonię do ciebie z pytaniem, czy miałabyś dziś chwilę, żeby spotkać się ze mną i wypić wspólnie kawę...

Moją pierwszą myślą było to, że kompletnie nie spodziewałam się takiej propozycji. Chociaż utrzymywaliśmy dość poprawne relacje od momentu, gdy prawda o pokrewieństwie Filipa i Elżbiety wyszła na jaw, to nie

potrafiłam przyjąć tak swobodnej postawy jak wcześniej, przed tymi wszystkimi wydarzeniami.

– Wiesz... – zaczęłam niepewnie. – Właściwie to moglibyśmy się dziś spotkać. Znajdę godzinkę na wypicie kawy – odpowiedziałam po prostu, chociaż serce tłukło mi się w piersi.

– Wspaniale. Co powiesz na godzinę osiemnastą w kawiarni Kafka?

– Pasuje.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Po odłożeniu telefonu wróciłam do mechanicznego wykonywania przerwanej czynności. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Stanisław miał ważny powód, aby poprosić o to spotkanie. Relacja pomiędzy mną a Elżbietą była napięta, chociaż tylko ja zdawałam sobie z tego sprawę. Za każdym razem, gdy patrzyłam na tę kobietę, nie widziałam babci moich dzieci i matki mojego męża, tylko osobę, która porzuciła niemowlę i świadomie zdecydowała o tym, że nie chce utrzymywać kontaktu z własnym dzieckiem.

Mogłam żywić olbrzymi żal do Filipa za to, że nie powiedział mi o swojej tajemnicy. Ten żal był jednak niczym w porównaniu z całym huraganem złych emocji, jakie odczuwałam wobec Elżbiety. Tylko Stanisław wiedział, że nie chcę i nie mogę traktować jej tak jak wcześniej.

Ja natomiast bezustannie podziwiałam go za to, że potrafił zachowywać się tak, jakby nic się nie zmieniło. Był naprawdę mądrym i wyrozumiałym mężczyzną, chociaż mnie tak wielka pobłażliwość nie mieściła się w głowie...

Dokończyłam prasowanie na autopilocie, a później poprosiłam mamę o opiekę nad dziećmi. Chciała zapytać, gdzie się wybieram, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała.



Kawiarnia Kafka znajdowała się w centrum miasta, więc dobrych kilkanaście minut straciłam na to, żeby gdzieś zaparkować. Do umówionego miejsca dotarłam z chwilowym opóźnieniem, a Stanisław już na mnie czekał.

Zobaczyłam uśmiech na tej dobrze mi znanej twarzy, gdy tylko mnie dostrzegł. Wstał z miejsca i przywitaliśmy się krótkim, ale serdecznym uściskiem, a następnie zasiedliśmy naprzeciwko siebie i zamówiliśmy kawę oraz dwa kawałki sernika.

Początkowo nasza rozmowa dotyczyła dzieci i codzienności. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie poprosił mnie o spotkanie, żeby rozmawiać o rzeczach tak prozaicznych.

– Elżbieta wczorajszego wieczora przygotowała kolację – zaczął wreszcie, odkrawając widelczykiem kawałek całkiem smacznego ciasta. – Z początku było bardzo miło, lecz w końcu wyznała mi, że widzi, jak bardzo się w stosunku do niej zmieniłaś. Nie rozumie dlaczego – powiedział Stanisław, a mnie zaschło w gardle. Przełknęłam z trudem i raz jeszcze napiłam się kawy. – Powiedziała, że w sobotę chciałaby odwiedzić dzieci i że wybierzemy się bez zapowiedzi. Kupiła im spóźnione prezenty świąteczne. Uznałem, że lepiej będzie cię ostrzec – przyznał szczerze i uniósł swoje przyprószone siwizną brwi.

– Filip... – zaczęłam, a jego imię wywołało gorzki posmak w moich ustach i ogrom bólu w sercu. – On z nią jeszcze nie porozmawiał, tak?

Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi Stanisława, a po chwili powoli pokręcił głową.

– Chce to zrobić. Tyle że żaden moment nie wydaje mu się odpowiedni. Wtedy wiele się zmieni. W jego życiu, w naszym życiu, nawet w twoim...

– W moim już się zmieniło. Nie mogę jej wybaczyć tego, co zrobiła, i dziwię się, że tobie to przyszło tak łatwo – odpowiedziałam szczerze i zobaczyłam, że Stanisław opuścił wzrok, jakby poczuł wstyd.

Do kawiarni ciągle wchodzili ludzie, zajmując ostatnie wolne stoliki wokół nas. Każde otwarcie drzwi przywiewało chłód, który sprawiał, że lekko drżałam. Za szklaną witryną mogłam obserwować spieszące gdzieś pojedyncze osoby, opatulone w płaszcze, szaliki i czapki. Wszyscy mieli swoje sprawy, każdy zaprzętał sobie coś głowę.

Na mnie znów wszystko zważyło się jednocześnie. Sytuacja z Mileną, trudna sprawa z ojcem, nienawiść do Elżbiety i Filip... Tęsknota za nim, smutek i żal z powodu tego, co mogliśmy mieć, a co utraciliśmy.

– To nie tak, Eliza... Po prostu ją kocham, wiesz? Żyjemy ze sobą tyle lat, a błąd, który popełniła, wydarzył się przede mną. Nie mogę oskarżyć jej o zdradę. Czuję się źle na myśl, że kobieta mojego życia była zdolna zrobić coś tak okropnego, ale co zmieni to, że się od niej odwrócę? Za stary jestem na zmiany, na rozstania i dramaty – powiedział szczerze Stanisław, a ja patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami i po raz kolejny uderzyło mnie to, jak mądrym był człowiekiem.

Chociaż wszystko się we mnie buntowało, to wiedziałam, że w jego słowach było bardzo dużo racji. Gdybym tylko ja potrafiła podejść do tej sprawy tak samo...

– Chciałbym dla ciebie jednego... – odezwał się znów, a ja podniosłam głowę i napotkałam szczerze, czujne spojrzenie.

– Czego takiego?

– Żebyś odnalazła w sobie siłę do wybaczenia Filipowi... Gdy go poznałem, był nieszczęśliwy... Bardzo, bardzo nieszczęśliwy. Nie sądziłem, że coś może go wyciągnąć ze stanu, w jakim się znajdował, lecz wtedy pojawiłaś się ty i on nagle odżył. Teraz znów wrócił do punktu wyjścia. Zachowuje się jak robot. Praca, dom i nic więcej. Najgorsze jest to, że z początku chciał jeszcze o tobie mówić, a teraz cierpi w ciszy, ucina każdy temat związany z twoją osobą – wyznał cicho Stanisław, a moje serce zaczęło się tłuc jak szalone. Po plecach przebiegł mi prąd, którego nie byłam w stanie powstrzymać. – Mam nawet wrażenie, że sprawa z Elą odeszła na dalszy plan, bo jego największym zmartwieniem jesteś ty...

Nie mogłam dłużej mierzyć się z prawdą, która wydobywała się z oczu Stanisława i pętała mnie niczym diabelskie sidła. Spuściłam głowę i skupiłam się na picciu kawy bardziej, niż to było konieczne. Nagle straciłam ochotę na sernik, a już z pewnością na to, żeby dalej siedzieć z moim teściem w kawiarni.

Szturmował swoimi słowami mur, którym się otoczyłam. Wiedział, jak mnie złamać, i najwyraźniej próbował to zrobić.

W mojej głowie pojawiła się dziwna, ale wyraźna myśl... Sposób, w jaki Stanisław mówił o Filipie, był niemal czuły, niemal ojcowski. Zachowywał się tak, jakby chciał wszystkiego co najlepsze dla nieślubnego syna swojej żony. Sprawiał wrażenie, jakby marzył o happy endzie dla tego smutnego, tajemniczego mężczyzny, który otworzył dla mnie swoje serce, chociaż zrobił to w momencie, gdy skrywał jeszcze tajemnicę.

Wzięłam głęboki oddech i ponownie wpatrzyłam się w szkło witryny, śledząc przechodzących obok kawiarni ludzi. Myślałam o Arturze, moim ukochanym mężu, którego obecność zawsze była symbolem bezpieczeństwa i spokoju. Kolejny raz, nie pierwszy i zdecydowanie nie ostatni, uderzyła we mnie tęsknota tak silna, że mogąca niemal powalić mnie

na kolana. Zamknęłam na moment oczy, żeby ujrzeć jego twarz.

Tę ukochaną, przepiękną twarz.

Może rzeczywiście wszystko działo się po coś... Może, chociaż zabrzmiałoby to okropnie, Artur musiał zginąć, żebym przeszła przez piekło i dzięki pewnemu skrzywdzonemu mężczyźnie wróciła do życia? Nawet jeśli to, co mieliśmy z Filipem, było chwiejne i ulotne, to warte przeżycia...

Te noce, gdy leżałam w jego objęciach, przypominały pierwszy głęboki oddech... Czułam się wtedy szczęśliwa, chociaż nie potrafiłam powstrzymać późniejszych wyrzutów sumienia. Część mnie upominała, że zdradzam męża. Z kolei inna, ta ożywiona i opanowana przez Filipa, przekonywała, że nawet ja mam prawo znów poczuć się dobrze w ramionach mężczyzny.

Teraz to już nie miało znaczenia... Utraciłam Artura i utraciłam Filipa. Bo można było stracić bliskich na wiele różnych sposobów.

Bezwiednie zaczęłam bawić się papierową serwetką leżącą obok talerzyka z sernikiem. Robiłam to, żeby nie musieć patrzeć w oczy mojego teścia. Zbyt wiele mnie to kosztowało. Nie spodziewałam się, że nasze spotkanie będzie aż tak trudne...

Nagle z torebki przewieszanej przez oparcie krzesła rozległ się krótki dźwięk zwiastujący nadejście SMS-a. Sięgnęłam po telefon, czując, że żołądek jak zawsze ściska mi się w ten specyficzny sposób.

Wiem, że nie chcesz mnie znać, ale może w końcu dasz mi się wytłumaczyć?

Tylko przez ułamek sekundy myślałam, że to Filip. Wiadomość przyszła od Damiana. Jego także ignorowałam od miesięcy, niezdolna do stanięcia twarzą w twarz z jedyną osobą z rodziny Artura, której nigdy nie ufałam.

– To Damian – powiedziałam, chowając telefon do torebki. Nie wiedziałam, dlaczego poczułam potrzebę wytłumaczenia się przed Stanisławem.

W każdym razie nie wyglądał na zaskoczonego.

– Regularnie pyta mnie, co u ciebie słychać. On i Filip naprawdę kiepsko radzą sobie z całą tą sytuacją... – odpowiedział Stanisław i powoli dokończył sernik.

Westchnęliśmy niemal jednocześnie i przez krótką chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, rozumiejąc się bez słów.

– Będę się już zbierać... – wyszeptałam wreszcie i dopiłam kawę, po czym odłożyłam pustą filiżankę na podstawkę.

Stanisław przytaknął i również wstał. Zdjął z oparcia krzesła swój płaszcz, poprosił o rachunek i uregulował należność, po czym oboje opuściliśmy kawiarnię. Nasze nastroje dalekie były od radosnych. Wydawaliśmy się rozczarowani przebiegiem rozmowy. Mój teść popadł w głęboką zadumę.

– Czyli do soboty, tak? – powiedziałam cicho.

Stanisław ocknął się i wymusił jeden smutny uśmiech.

– Do soboty.



Mama akurat kąpała Jasia, gdy wróciłam do domu. Zastałam ją, gdy klęczała przy brodziku prysznic, mówiąc czułym głosem do mojego syna, który radośnie rozchlaprywał wodę. Oboje spojrzeli na mnie, gdy tylko stanęłam w wejściu łazienki.

Uśmiech Jasia był jak pierwszy promień słońca po srogiej i mroźnej zimie. Mój synek w tej jednej chwili wyglądał absolutnie cudownie i beztrosko.

Wystarczyło jednak, że spojrzałam w zapuchnięte i czerwone oczy mojej mamy, by całe ciepło i radość ulotniły się z mojego serca.

Znów płakała.

– Wszystko w porządku? – zapytałam cicho, zdając sobie sprawę, że Jaś bacznie mnie obserwuje i bez trudu wyczyta z mojej twarzy negatywne emocje.

– Tak, Eliza. Spójrz, jakiego bałaganu narobił twój kochany synek – powiedziała, siląc się na beztroski ton, który z takim trudem wydobywał się z jej ściśniętego gardła.

– Kto tu tak narozlewał wodę, co? – zapytałam raźnie, podpierając się pod boki i patrząc na Jasia.

– Jaaa! – pisnął i znów zaczął chlapać wodą, śmiejąc się przy tym głośno.

Co z tego, że trzeba będzie wycierać całą podłogę. Jego uśmiech był dla mnie bezcenny i najważniejszy.

Chciałam też jak najszybciej porozmawiać z mamą. Obawiałam się, że podczas mojej nieobecności mogło dojść do kolejnej nieprzyjemnej sytuacji z ojcem.

Wyszłam z łazienki i udałam się do pokoju Emilki. Zastałam moją córkę leżącą na łóżku i czytającą książeczkę w świetle lampki nocnej. Spojrzała na mnie, gdy tylko usłyszała krótkie skrzypnięcie drzwi, i uśmiechnęła się.

– Cześć. Gdzie byłaś?

– Dziadek Staszek zaprosił mnie na kawę. Odwiedzą was z babcią w sobotę, ale jakby co, to tajemnica – odpowiedziałam, przysiadając na łóżku córki, żeby przyjrzeć jej się uważnie i sprawdzić, czy mogło wydarzyć się w domu coś złego, gdy mnie nie było.

– Super! – zawołała z uśmiechem i odłożyła książkę rozkładówką okładki do góry. Spoważniała, poprawiła się na łóżku i na moment zacisnęła usta. – Mamo, mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście – odpowiedziałam, czując, jak ukłucie strachu przeszywa mi żołądek.

Emilka przykryła się szczelniej swoją kołderką w jednoróżce, a do klatki piersiowej przytuliła ulubionego misia. Spojrzała w kierunku biurka, gdzie, jak wiedziałam, stało zdjęcie moje i Artura wykonane w dniu naszego ślubu.

– Bo dziś spotkałam Filipa, wiesz?

– Tak? Kiedy? – zapytałam, siląc się na beztróskę i robiąc wszystko, żeby moja córka nie dostrzegła tego wszechogarniającego bólu, który oplótł moje serce na dźwięk jego imienia.

– Gdy wracałam ze szkoły. Przywitałam się i powiedziałam, że za nim tęsknię – wyszeptała niepewnie, jak gdyby bała się własnych uczuć.

To był cios prosto w serce. Taki, który odbiera oddech i pokonuje człowieka na wszystkich możliwych frontach.

Zagryzłam dolną wargę i na ułamek sekundy uciekłam spojrzeniem w bok, żeby nie musieć mierzyć się z widokiem mojej córki, tak niewinnej, stęsknionej za Filipem i nieświadomej tego, co właśnie działo się w sercu i umyśle jej matki.

– Mamusiu... – powiedziała cicho i złapała mnie za rękę, więc ponownie na nią spojrzałam. Pieczenie pod powiekami zwiastowało zbliżające się łzy. – Ty też tęsknisz za Filipem?

Takie proste pytanie, prawda? Odpowiedź też przecież była oczywista, a jednak nie chciała mi przejść przez gardło. Wymusiłam na ustach uśmiech i zamrugałam powiekami, żeby przegnać zbliżające się łzy. Przytaknęłam po prostu, bo ucisk w klatce piersiowej uniemożliwiał mi wydobyć z siebie głos.

Emilka pogramoliła się chwilkę, a wreszcie ułożyła swoją główkę na moich kolanach i uśmiechnęła się, jakby rozumiała więcej niż inne dziewczynki w jej wieku. Zaczerpnęłam głęboki

oddech i zaczęłam powoli przeczesywać palcami jej miękkie, ciemne włosy. Widziałam, jak coraz wolniej mruga oczami, ostatekiem sił walcząc z sennością.

Odziedziczyła to po Arturze. On też zawsze odpływał, gdy gładziłam go po włosach lub drapałam po głowie. Jaś z kolei tego nie znosił.

Nie wiem, jak długo siedziałam na łóżku Emilki i przeplatałam sobie w palcach kosmyki jej włosów. Zasnęła twardym, spokojnym snem, więc ułożyłam ją na poduszce, zgasłam lampkę nocną i wyszłam po cichu, zostawiając uchylone drzwi.

Jaś, wykąpany i ubrany w piżamkę, właśnie zasypiał w łóżeczku, słuchając, jak moja mama śpiewa mu wszystkie znane sobie spokojne piosenki. Uśmiechnęłam się i zniknęłam w łazience, żeby wziąć szybki prysznic.

Nie mogłam zapomnieć o tym, co powiedziała Emilka... Poszła do Filipa i zdradziła, że za nim tęskni. Nie byłam w stanie zdobyć się na drażnienie tematu i wyciągnięcie z niej informacji, jaka była jego reakcja. Może się tylko uśmiechnął, a może powiedział, że i on tęskni?

Dość tego. Musiałam za wszelką cenę ukrócić wszystkie myśli o tym mężczyźnie. Było ich za dużo i nie dawały mi spokoju. Czaiły się gdzieś w podświadomości, atakując wtedy, gdy kompletnie nie byłam na to przygotowana.

Momenty, gdy znajdowałam się pod prysznicem, a po moim ciele spływały kropelki wody, były idealne. Mogłam płakać i wmawiać sobie, że to wcale nie są łzy. Mogłam udawać do upadłego, że wcale nie brakuje mi Filipa... Mogłam myśleć, że kiedyś się z tego wszystkiego wyleczę.

Gdy jakieś dziesięć minut później opuszczałam łazienkę, osuszając włosy za pomocą ręcznika, z mojej sypialni wyszła mama. Spojrzałyśmy na siebie i zrozumiałyśmy się bez słów.

Przeszliśmy do salonu i zamknęliśmy drzwi, żeby nikt nie przeszkodził nam w rozmowie.

Usiadłam obok mamy i przez kilka długich chwil obserwowałam, jak nerwowym gestem wykręca sobie palce. Czekałam, aż zacznie mówić. Wydarzyło się coś złego, musiało się wydarzyć. Może moje dzieci nie były tego świadome i dlatego nie doszukałam się w ich twarzach niczego niepokojącego, ale przecież mama przypominała drżący kłębek nerwów. Musiał być jakiś powód.

– Mamo... – wyszeptałam, delikatnie dotykając ramienia rodzicielki.

Ukryła twarz w dłoniach, a cisza wypełniająca pomieszczenie została bezpowrotnie zniszczona przez jej głośny szloch. Od razu przytuliłam jej drżące ciało, czując, jak strach przesącza się przez każdą komórkę mojego ciała.

– Chciałam jeszcze raz porozmawiać z ojcem... Znów krzychał... Przyszedł Kuba i usłyszał, jak wyzywa Milenę od najgorszych. Podszedł do ojca i go popchnął. Pewnie by się pobili, gdyby nie przybiegła Ola i w porę ich nie rozdzieliła... – Słowa mojej matki, zniekształcone przez płacz i zdławione, wydawały mi się nierealne, niemożliwe, nierzeczywiste. Spodziewałam się wszystkiego, ale nawet przez moment bym nie przypuszczała, że Kuba z ojcem...

– O Boże... – wyszeptałam niemal bezgłośnie, czując, jak żołądek wywraca mi się na drugą stronę.

Mój brat rzadko kiedy traci nad sobą panowanie. A skoro doszło do tego, że popchnął ojca, którego przecież bardzo szanował i za którym od zawsze się wstawiał, to mogłam sobie wyobrazić, jaka nienawiść wylała się z ust naszego taty. Milena nie miała pojęcia o tym, że jest adresatką tak wielu okropnych i raniących słów.

Chybaby tego nie przeżyła...

– Co my zrobimy, Eliza? Jak będzie wyglądało nasze życie, skoro wszyscy się nienawidzą?! – zaszlochała mama, drżąc w moich ramionach niczym małe dziecko.

Nasza rodzina, która przez lata działała tak dobrze i sprawnie, nagle zaliczyła kraksę, która doszczętnie ją zniszczyła. W obecnej chwili byliśmy rozbici, pogrążeni we wzajemnej niechęci.

Nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć mamie, żeby chociaż trochę poprawić jej humor, bo wszystko, co przychodziło mi do głowy, było fałszywe, sztuczne i bezsensowne. Nie odezwałam się ani słowem, tylko pozwoliłam mamie płakać tak długo, aż przyniesie jej to chociaż minimalną ulgę.

Znalazłam się między młotem a kowadłem. Bo chociaż moi rodzice mieli wiele wad, jak każdy, to oboje bardzo kochałam, a wybieranie strony w tym konflikcie wydawało mi się nieodpowiednie i nie na miejscu.

Spędziłam z mamą długą, pełną płaczu godzinę, aż wreszcie poczuła się na tyle silna i wyciszona, że poszła spać.

Ja natomiast przez całą noc siedziałam ze wzrokiem wbitym w jeden punkt i głęboką raną w sercu.



Następnego dnia z samego rana udałam się do Oli i Kuby, żeby porozmawiać z nimi o wydarzeniach z poprzedniego wieczora. Zastałam ich w kuchni, gdzie pili kawę i rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Hej – powiedziałam, patrząc na nich uważnie i nie próbując udawać, że mam wyśmienity humor.

– Cześć... – mruknęła Ola, a Kuba tylko skinął głową. Bratowa przyjrzała mi się uważnie, gdy zasiadłam na wolnym krześle. – Już wiesz, prawda?

– Tak. Mama mi wczoraj powiedziała – odparłam i zobaczyłam, że mój brat opuszcza głowę i zaciska zęby.

Ola była blada, a pod jej oczami rysowały się wyraźne cienie, oznaczające zapewne nieprzespaną noc. Przełknęłam ślinę, nie wiedząc, co powiedzieć, żeby nie pogorszyć sytuacji. Postanowiłam nie wspominać im o tym, że mama wczoraj tak długo płakała.

– Wczoraj przegiął... – wycedził Kuba z tłumioną wściekłością. – Mam gdzieś, że jest moim ojcem, ale nie będzie traktował Mileny jak ścierwa, bo przecież każdy, do jasnej cholery, popełnia błędy!

Ola położyła dłoń na spiętych ramionach Kuby, a po chwili przytuliła się do niego w geście pocieszenia. Widziałam, jak twarz mojego brata nieco łagodnieje pod wpływem bliskości ukochanej kobiety.

– Mama martwi się o rodzinę... – powiedziałam wreszcie, wzdychając ciężko na wspomnienie wczorajszego wieczora i łez, które wylała.

– Ja już powiedziałam, że dopóki Kuba nie pogodzi się z ojcem, to nie będziemy do was przychodzić – wtrąciła Ola, posyłając mi porozumiewawcze spojrzenie.

Zrobiłam zmartwioną minę, bo wystarczyło sobie tylko wyobrazić, jak zareaguje mama, gdy dowie się, że Kuba i Ola nie będą do nas zaglądać tak swobodnie jak zawsze...

Przetarłam twarz dłońmi i wzięłam głęboki oddech. Od tego wszystkiego niejednego człowieka mogłaby rozboleć głowa. Kłopoty zwały się na nas niczym lawina... Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni jedno złe wydarzenie pociągnęło za sobą kolejne.

- Nie gadajmy lepiej o tym... - mruknęłam z westchnieniem.
- Kto odbiera dzisiaj Milenę ze szpitala? - zapytałam, zmieniając temat.

Dziś moja siostra i jej maleństwo mieli otrzymać wypis. Amelka była zdrowa, więc nie było konieczności trzymania ich dłużej. Chciałam zapytać Olę, czy mogłaby po nią pojechać, bo Jaś miał dziś umówioną wizytę u logopedy, a później rehabilitację, więc pomimo szczerych chęci nie byłabym w stanie jej pomóc.

Ola milczała o jedną sekundę za długo, gdy zadałam pytanie. Żołądek zacisnął mi się znacząco, bo podświadomie wyczuwałam, jaka padnie odpowiedź.

- Filip ich odbiera... - wyszeptała niepewnie i spojrzała na mnie tak, jakby chciała przeprosić, że to powiedziała.

Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy, żeby zachować pokerową twarz. Łudziłam się, że moje oczy są nieprzeniknione, że nie drgnął mi nawet jeden mięsień.

- W porządku... - mruknęłam przez ściśnięte gardło i odchrząknęłam znacząco. - Ja bym nie dała rady, bo mamy z Jasiem bardzo napięty grafik - dodałam, starając się zachować wszelkie pozory swobody i lekkości.

Ola i Kuba patrzyli na mnie ze smutkiem, i to tak wielkim, że zachciało mi się płakać.

- Nie musisz udawać, Eliza... - wyszeptała moja bratowa. - Powinniście porozmawiać i wyjaśnić sobie pewne kwestie, bo to cię wykańcza...

Nikt nie wiedział, jak wiele razy brałam pod uwagę możliwość porozmawiania z Filipem... Jego kłamstwo złamało mnie na wiele sposobów, sponiewierało prawie tak, jak wcześniej śmierć mojego męża...

Przez ten krótki moment, gdy wydawało mi się, że ja i Filip możemy razem rozpocząć nowy rozdział w życiu, rozważałam pozbycie się czarnych ubrań na rzecz wprowadzenia kolorów

do mojej garderoby. Zastanawiałam się, jak wyglądałabym w kwiecistej sukience po trzech latach chodzenia w czerni.

Do tego przełomu jednak nie doszło. Ten jeden krok naprzód, który wykonałam, łudząc się, że będzie dobrze, przypłaciłam ogromnym bólem i rozczarowaniem, więc żeby nie oberwać mocniej, po prostu cofnęłam się i skryłam za bezpiecznym murem, gdzie nikt już nie miał możliwości mnie zranić.

– W końcu sobie z tym poradzę... – mruknęłam tylko, opuszczając wzrok i wpatrując się w jakiś nieokreślony punkt na wiklinowym stole.

– To już trwa tak długo, że... nie sądzę... – stwierdziła niepewnie Ola i wyciągnęła do mnie dłoń. Zaciśnęła palce na moim nadgarstku. – Popatrz na mnie – poprosiła, potrząsając lekko moją ręką.

Uniosłam wzrok, chociaż wszystko we mnie krzyczało, żeby tego nie robić.

– Już dość, Eliza.

Przez resztę dnia podczas każdej czynności: gotowania obiadu, siedzenia w poczekalni u logopedy, obserwowania Jasia podczas rehabilitacji, kąpania dzieci, czytania im bajek do snu – w głowie wciąż słyszałam głos mojej bratowej, mówiącej, że *już dość*.



Rozdział 3

Samochód Bieleckich zaparkował przed naszym domem o godzinie czternastej. Przez moją głowę w ciągu jednej sekundy przetoczył się huragan myśli, a każda negatywna emocja skierowana została w niczego nieświadomą Elżbietę.

Nie wiedziałam, jak długo jeszcze będę w stanie w ogóle próbować stwarzać pozory. Za każdym razem, gdy patrzyłam na jej uśmiech, w moim gardle gromadziła się żółć, którą chciałabym splunąć Elżbiecie w twarz. Przez tak wiele lat udawała wzorową matkę i żonę, jakby jej sumienie nie zostało naznaczone strasznym grzechem, jakim jest porzucenie dziecka.

Nie potrafiłam emocjonalnie odgrodzić się od tej tajemnicy. Filip cierpiał i przez lata żył w przekonaniu, że był niewystarczająco dobry dla własnej matki. Artur miał szczęście, jeśli takim słowem można by to określić... Wychował się w pełnej i pozornie szczęśliwej rodzinie. Co by powiedział, gdyby poznał swojego przyrodniego brata? Czy potrafiłby wybaczyć Elżbiecie? A może swój żal i złość skierowałby w Filipa?

Dzwonek do drzwi wyrwał mnie z zamyślenia. Opuściłam kuchnię i powitałam gości w progu, wymuszając uśmiech. Przeszył mnie dreszcz niechęci, gdy moja teściowa porwała mnie w objęcia, jak robiła to zawsze. Napięłam się instynktownie, marząc tylko o tym, żeby jak najszybciej się odsunęła.

Wyczuła to, bo spoglądając mi w oczy, wyglądała na zbitą z pantałyku i zakłopotaną.

– Pomyśleliśmy, że wpadniemy do wnuków ze spóźnionymi prezentami świątecznymi – powiedziała Elżbieta, żeby się

wytłumaczyć i przerwać ciężką ciszę.

– Są w salonie – odpowiedziałam krótko i poprowadziłam ich do pomieszczenia, gdzie Emilka z Jasiem oglądali właśnie jeden ze swoich ulubionych programów.

Patrzyłam, jak Elżbieta przytula najpierw moją córkę, a następnie syna. Wręczyła obojgu upominki – ręcznie robione szaliki, kolorowanki i plastelinę – po czym wycalowała ich z całą swoją miłością. Stanisław postąpił dokładnie tak samo, a po chwili odszukał moje spojrzenie i uśmiechnął się znacząco, niemal błagalnie, jakby prosił, żebym postarała się bardziej.

Dlaczego miałabym to robić?

– Napijcie się kawy? – zapytałam, przerywając wzajemne czułości pomiędzy dziadkami a wnukami.

– Nie kłopotz się, my tylko na chwilkę – odpowiedziała Elżbieta i uśmiechnęła się do mnie, a ja dość niezdarnie odwzajemniłam ten gest. Patrzyłam, jak sadza sobie Jasia na kolanach i razem zaczynają przeglądać kolorowanke z samochodami.

– Co u was słychać? – zagałam z przymusem, siadając na skraju fotela.

Elżbieta westchnęła teatralnie, ale uśmiechnęła się. Jak zawsze miła...

– Po staremu, jak to u nas. Byliśmy dzisiaj na cmentarzu i zobaczyliśmy, że ktoś kupił taki piękny, duży znicz na baterie. To ty?

Zmarszczyłam brwi. Nie, to nie byłam ja. W niedzielę, gdy ostatni raz odwiedzałam grób Artura, wspomnianego znicza jeszcze nie było.

Wtedy to się stało. Znajmy ucisk w żołądku. Ten sam, który towarzyszył mi zawsze, gdy mój telefon zaczynał dzwonić albo przychodził SMS. Połączenie nadziei i strachu...

Filip.

– Nie. Byłam w niedzielę, ale żadnego takiego znicza nie było
– odpowiedziałam spokojnie, chociaż pod skórą wręcz gotowałam się z emocji.

Wiedziałam, że wtedy, gdy ta straszna tajemnica wyszła na jaw, to Filip pojechał na grób Artura, bo przecież powiedział mi o tym Stanisław. Nie sądziłam jednak, że nadal tam chodzi...

Zacisnęłam usta i wzięłam płytki, drżący oddech, odszukując spojrzenie mojego teścia.

Znaczące i rozumiejące.

On też się domyślił. A może nie musiał się domyślać, bo wiedział.

– A to ciekawe... Kto mógłby kupić coś takiego? – zastanawiała się, a mnie o mały włos nie rozsadziło z wściekłości.

Jaka ona była obłudna... Jaka zakłamana. A może tak umiejętnie wmówiła sobie, że urodziła tylko jedno dziecko, iż całkowicie wyparła z pamięci wydarzenie sprzed lat, gdy oddała w ręce ojca nowo narodzonego syna, odwróciła się i nigdy nie obejrzała za siebie?

– Nikt mi nie przychodzi do głowy... – mruknął szybko Stanisław, bo doskonale widział, jak nieuchronnie zbliżaliśmy się do granicy mojej wytrzymałości. – Kamila dziś przyjeżdża do Jasia? – zagał, zwracając się do mnie.

– Tak, ma być około osiemnastej.

– Ciekawe, co dziś dla nas wymyśli! – zawołała z podekscytowaniem Emilka.

Przytaknęłam tylko, bo nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć. Tydzień temu rozmawiałyśmy z Kamila o postępach Jasia i doszłyśmy do wniosku, że nadszedł czas, by mój synek samodzielnie odbywał z nią zajęcia. To oznaczało tylko tyle, że musiałam w jakiś sposób odwrócić uwagę Emilki, bo nie chciałam robić jej przykrości. Cieszyłam się, że mój

synek był gotowy do rozpoczęcia kolejnego etapu zajęć, ale jednocześnie musiałam jakoś wyjaśnić to Emilce. Wiedziałam, że bardzo lubiła spotkania z Kamilą.

– Co ciekawego robiliście ostatnio? – zapytał z uśmiechem Stanisław.

– Graliśmy w warcaby, a później rysowaliśmy. Dużo rysujemy – odpowiedziała radośnie, odkładając różową kredkę na stół i zabierając zieloną.

– Lubicie panią Kamilę? – Tym razem zagaiła Elżbieta, patrząc najpierw na Emilkę, a później na Jasia. Ciągle z tym samym uśmiechem, który tak bardzo działał mi na nerwy.

– Jest świetna!

– Tak – potwierdził stanowczo Jaś.

Moja dawna przyjaciółka z liceum miała świetne podejście do dzieci i to w sporej mierze wynikało z zawodu, jaki wykonywała. Czasem opowiadała o trudnych przypadkach, z jakimi musiała się mierzyć jako pedagog specjalny. Dzieciaki były różne, czasem upośledzone umysłowo, czasem ruchowo. Niekiedy zachowywały się złośliwie, używały przemocy nie tylko względem siebie nawzajem, ale także w stosunku do opiekunów... Sabotowały w bardzo brutalny sposób wszelkie pomysły, które nie przypadły im do gustu.

Jaś pod tym względem spisywał się doskonale. Był dzieckiem raczej spokojnym, a jego napady złości następowały sporadycznie. W bardzo wielu kwestiach naśladował Emilkę, a moja córka, świadoma tego, jak wielkim jest dla brata wzorem, niemal zawsze starała się zachowywać odpowiednio.

Pomysły Kamili na spędzanie czasu z moimi dziećmiakami nieraz zaskakiwały mnie kreatywnością. Niejednokrotnie podchodziła do sprawy tak, jak gdyby Jaś nie miał żadnych ograniczeń. Gdy ja wyrażałam swoje wątpliwości wobec tego, czy mój syn im podoła, ona zawsze udowadniała, jak wielki drzemie w nim potencjał. Sposób, w jaki motywowała go do

podjęcia kolejnej próby, gdy poprzednia nie przyniosła pożądaných efektów, był zaskakujący, ale niezwykle skuteczny.

Z ulgą przyjąłam moment, gdy do salonu weszła mama i nawiązała rozmowę z Elżbietą. Moja teściowa pogratulowała narodzin drugiej wnuczki, a następnie obie zachwyciły się nad widocznymi postępami Jasia.

Ja w tym czasie wymknęłam się do kuchni, gdzie opróżniłam świeżo umyte naczynia ze zmywarki i uszykowałam dla Jasia jaglankę na kolację.

Elżbieta i Stanisław odjechali przed godziną szesnastą, a ja już zaczęłam się przygotowywać na przyjazd Kamili, gdy rozdzwonił się mój telefon.

To była ona.

– Halo? – odebrałam spokojnie.

– Hej – powiedziała, a ja raptownie zamarłam, słysząc, jak dziwnie i nietypowo brzmi jej głos. – Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz... – Urwała i odchrząknęła. – Dziś nie dam rady przyjechać. Coś mi wypadło... – Jej głos był przytłumiony, ale najdziwniejsze było to, że brzmiała, jakby przed chwilą płakała.

Minęło wiele lat, odkąd ja i ona byłyśmy bliskimi przyjaciółkami, ale wtedy potrafiłam bez trudu rozpoznać jej nastroje i teraz znów dopadło mnie to znajome uczucie, gdy byłam niemal na sto procent pewna, że wydarzyło się coś złego.

Kamila nigdy nie należała do tych mazgajowatych dziewczyn, które płakały z byle powodu. Pozwalała sobie na łzy, gdy coś naprawdę ją pokonało lub zraniło...

– Czy wszystko w porządku? – zapytałam z pozornym spokojem, chociaż ona, właśnie ona, bez trudu mogła wyczuć, że jestem zaniepokojona.

– Tak... Tak, oczywiście – odpowiedziała bez przekonania i ponownie odchrząknęła.

– Kamila, bo jeśli coś się...

– Wszystko jest świetnie – wpadła mi w słowo, nie pozwalając dokończyć. – Muszę już lecieć. Do zobaczenia!

Rozłączyła się, zanim zdążyłam odpowiedzieć na jej pożegnanie.

Przez kilka sekund stałam bez ruchu, wpatrując się w jakiś przypadkowy punkt na ścianie w łazience. Czułam, że coś było bardzo nie w porządku. Kamila zachowywała się nieswojo podczas naszej krótkiej rozmowy telefonicznej i z pewnością płakała, bo przecież normalnie tak nie brzmiała. Jej zapewnienia, że wszystko jest dobrze, były wyraźnie wymuszone.

Zadziałałam instynktownie. Wyszłam z łazienki i zbiegłam do kuchni, gdzie moja mama grała z Emilką w karty, a Jaś bawił się swoim interaktywnym pieskiem. Cała trójka spojrzała na mnie, a mama od razu dostrzegła, że coś się stało.

– Dzwoniła Kamila. Nie przyjedzie dzisiaj – zaczęłam, patrząc najpierw na moją córkę, a następnie syna.

Jaś otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz ostatecznie zrezygnował ze swojego zamiaru. Emilka natychmiast wyprostowała się na krześle, patrząc na mnie z nieszczęśliwą miną.

– Dlaczego nie przyjedzie?

– Coś jej wypadło – odpowiedziałam automatycznie i spojrzałam znacząco na mamę. – Możesz na chwilę ze mną pójść? Chcę ci coś pokazać.

– Jasne.

Mama wstała od stołu i wyszła za mną z kuchni. Zatrzymałyśmy się w korytarzu, patrząc na siebie z powagą.

– Co się stało, Eliza?

– Kamila zadzwoniła i wymigała się od dzisiejszych zajęć jakąś bezsensowną wymówką, ale wydaje mi się, że płakała... Czuję, że stało się coś złego – powiedziałam przyciszonym głosem, a pewność w moim głosie nie pozostawiała złudzeń.

– Domyślasz się, o co może chodzić? – zapytała mama z przejęciem i szeroko otwartymi oczami.

– Nie mam pojęcia, ale chciałabym do niej jechać. Sprawdzę tylko, czy wszystko jest w porządku, i wrócę. Zajmiesz się dziećmi?

Mama od razu przytaknęła, lecz przez jej twarz przemknął niepokój.

– Tylko uważaj na siebie, dobrze?

– Jasne. Niedługo będę – odpowiedziałam szybko i pocałowałam mamę w policzek, po czym wciągnęłam na stopy moje czarne trapery, narzuciłam płaszcz i wypadłam z domu, jakby się paliło.

Nerwowość ścisnęła mój żołądek z nieopisaną mocą. Złe przecucia czaiły mi się za plecami jak cień. W głosie Kamili było coś złego i niepokojącego. Podczas tej krótkiej rozmowy nie byłam w stanie stwierdzić zbyt wiele, ale samo to, jak brzmiała, wystarczyło, żeby w mojej głowie rozbrzmiała syrena alarmowa.

Styczniowy chłód opanował moją twarz i dłonie, ale kompletnie o tym nie myślałam, gdy wyprowadzałam auto z garażu i wyjeżdżałam z posesji. Obłoczki pary wydobywały się z moich ust, dreszcze wstrząsały ciałem, a z radia sączyła się jakaś popowa muzyka.

Chociaż w mieszkaniu Kamili byłam tylko jeden raz, i to wiele miesięcy temu, to bez trudu trafiłam pod właściwy adres. Zaparkowałam samochód pod kamienicą i weszłam do środka, a następnie wspierałam się na właściwe piętro.

Nic nie mogłam poradzić na przecucia... Przecucia, które wręcz krzyczały, że będzie źle.

Drżącą z nerwów dłonią zapukałam do drzwi. Krótko i nienachalnie.

Odpowiedziała mi cisza. Zapukałam po raz drugi.

Bez rezultatu.

Zdażyłam zaledwie pomyśleć, że może coś sobie po prostu wyobraziłam, a Kamili naprawdę wypadła jakaś pilna sprawa i nie było jej w mieszkaniu, gdy po drugiej stronie drzwi rozległ się jakiś szelest.

– Hej, to ja, Eliza... – powiedziałam spokojnie. Nie za głośno, ale też nie za cicho.

Dźwięk przekręcanego zamka wyzwolił we mnie tak ogromny stres, że z trudem powstrzymałam się przed wparowaniem do środka, by upewnić się, że wszystko jest dobrze.

Otwierała mi bardzo długo, jakby się bała, a może wahała. Nie wypowiedziała słowa i już samo to było dość dziwne, ale...

Uchyliła drzwi na długość metalowego łańcuszka.

Cichy okrzyk instynktownie wydobył się z mojej piersi, a żołądek ścisnął do bólu.

Szeroko otwartymi oczami patrzyłam na twarz mojej przyjaciółki ze szkolnych lat. Doskonale mi znaną, lecz w tej chwili widocznie okaleczoną.

Na prawym policzku zaciemniał się już duży siniec, a w kąciku ust zasychała krew. W oczach Kamili błyszczały łzy przerażenia, a drżące wargi dopełniały obraz nędzy i rozpacz.

Zacisnęłam usta i z trudem przełknęłam ślinę.

– Mogę wejść? – zapytałam zduszonym głosem.

Kamila przytaknęła krótko i drżącymi palcami zdjęła łańcuszek, a następnie otworzyła mi drzwi na tyle, żebym mogła się przecisnąć. Szybko je zatrzasnęła, ponownie zablokowała i przekręciła oba zamki.

– Co się stało?

Musiałam to wiedzieć. Od razu. Jak najszybciej. Co z tego, że nie byliśmy już przyjaciółkami? Kamili stała się krzywdą

i nie mogłam przejść obok tego obojętnie. Po prostu nie.

– Chodź do pokoju... – wyszeptwała ledwo słyszalnie, po czym obie ruszyłyśmy do niewielkiego pomieszczenia w głębi mieszkania.

Zasiadłyśmy obok siebie na kanapie. Kamila wydawała mi się w tej chwili tak krucha i mała, jak jeszcze nigdy. Przez całe liceum była silniejsza ode mnie pod każdym względem. Teraz role całkowicie się odmieniły, bo to ja musiałam się nią zaopiekować i zrobić wszystko, żeby jej pomóc.

– Powiedz coś... – poprosiłam błagalnie i położyłam dłoń na jej drżącym ramieniu.

Zbierała się do rozpoczęcia opowieści, lecz zanim jakiegokolwiek słowo opuściło barierę jej ust, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Szloch wstrząsał jej ciałem, a jedynym, co mogłam zrobić, było przytulenie i zaoferowanie swojej obecności.

Cofnęłyśmy się o kilka lat... Znów byłyśmy tylko we dwie, skazane na samodzielne radzenie sobie z przeciwnościami losu. Tyle że teraz to nie było liceum... Tym razem musiałyśmy mierzyć się z brutalnymi zwrotami akcji w prawdziwym, dorosłym życiu. Skończyły się kłopoty tak prozaiczne jak jedynka z matematyki. Teraz każdy cios był nieporównywalnie mocniejszy, zazwyczaj niespodziewany, mogący powalić na kolana raz, a skutecznie...

– Cii...

– Przyszedł tu, a ja głupia mu otworzyłam... Był pijany. Z początku zapewniał, że chce tylko porozmawiać, ale szybko zmienił zdanie i stwierdził, że ma ochotę na seks. Kazałam mu wyjść, więc się na mnie rzucił i uderzył. Nie dałabym sobie z nim rady, gdyby nie był tak pijany... Tylko cudem go stąd wywaliłam... – zaszlochała, ocierając łzy, które toczyły się po jej twarzy i skapywały z podbródka.

Nie musiałam pytać, o kim mówi. Chodziło o jej męża. Już przy naszej pierwszej rozmowie w dzień trzeciej rocznicy śmierci Artura wspomniała, jak bardzo nie ułożyło jej się w życiu osobistym.

Poczułam, jak strach i smutek ustępują miejsca złości. Świadomość, że ten ktoś, ta imitacja mężczyzny podniosła rękę na Kamilę, działała na mnie niczym przysłowiowa płachta na byka. Nasze dawne urazy przestały mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Pozostały tylko myśli o tym, co było między nami dobre. Nie wyrokowałam, czy czas zaowocuje odnowieniem naszej przyjaźni.

Może wcale nie.

A jeśli tak, to nie będę się przed tym wzbraniać.

Teraz byłyśmy dorosłe, a nasze światy bardzo się zmieniły. Niezależnie jednak od zmian wiedziałam, że nie pozwolę, by ktokolwiek poniewierał tą kobietą. Sporo jej zawdzięczałam i chciałam, żeby wreszcie to ona mogła być za coś wdzięczna mi.

– Zgłosiłaś to na policję? – zapytałam od razu. Mój ton nie był już ostrożny. Teraz opanowało mnie zdecydowanie.

– Nie – odpowiedziała Kamila, nawet na mnie nie spoglądając.

– Dlaczego?

– Bo co to da? – Wzruszyła ramionami. – On... pewnie nigdy więcej tego nie zrobi.

Na mojej twarzy odmalowało się oburzenie. Kamila wyglądała na zmieszaną. Zupełnie jej nie poznawałam.

– Nie bądź głupia – fuknęłam ostro. – Czy on wcześniej podniósł już na ciebie rękę? – zapytałam wprost i spojrzałam jej w oczy.

Chciała odwrócić głowę, lecz na to nie pozwoliłam. Najpierw zacisnęła usta, a następnie przymknęła powieki. Pomiedzy jej

brwiami pojawiła się pojedyncza zmarszczka. Udręka sprawiła, że Kamila skurczyła się w sobie.

A później powoli przytaknęła.

Przytuliłam ją mocno, bo w tym momencie tylko to mogłam zrobić. Zresztą najprawdopodobniej to właśnie obecność drugiego człowieka była jej teraz najbardziej potrzebna. Myśl o bydlaku, który skrzywdził moją dawną przyjaciółkę, wywołała szereg gwałtownych emocji.

– Czy masz gdzie wyjechać? – zapytałam, gdy obie nieco się uspokoiłyśmy.

– Pomyślałam, żeby spędzić kilka dni u rodziców... – wyszeptała niepewnie.

Wstałam od razu z kanapy i podparłam się pod boki.

– Świetnie. Spakuj się. Jedziesz tam od razu – zarządziłam stanowczo.

– Jest późno... – westchnęła słabo.

– Nie szkodzi. Szykuj się – odparłam.

W ciągu kolejnych kilku minut pomogłam Kamili wypełnić wnętrze niewielkiej walizki najpotrzebniejszymi przedmiotami. Nie rozmawiałyśmy zbyt wiele, bo ona najwyraźniej nie miała już na to sił. Postanowiłam nie nalegać, bo liczyło się dla mnie w obecnej chwili tylko to, że opuści swoje mieszkanie, które już nie było bezpieczne, i na kilka dni przeniesie się do miejsca, gdzie nie będzie sama.

– Jak on ma na imię? – zapytałam, gdy obie szykowałyśmy się do wyjścia z mieszkania.

– Karol.

Przytaknęłam i nie powiedziałam nic więcej. Pomogłam Kamili znieść walizkę ze schodów, a później zapakować ją do bagażnika samochodu.

Stanęłyśmy naprzeciwko siebie. Spojrzałyśmy sobie w oczy i trwałyśmy tak przez kilkanaście długich sekund. W całkowitym milczeniu i porozumieniu, które było naszą

domeną w liceum. Bolało mnie serce, gdy spoglądałam na pęknięty kącik ust i siniak pokrywający policzek. Smutek w oczach Kamili zdawał się nie mieć końca. A myśl, że to nie był pierwszy raz, gdy ją skrzywdził...

Zacisnęłam usta, próbując powstrzymać falę płaczu, i po prostu porwałam ją w ramiona, przytuliłam z całych sił. Wyglądało to dość niezdarne, bo obie miałyśmy na sobie zimowe płaszcze, ale kompletnie się tym nie przejmowałam.

Z ust wydobywały nam się obłoczki pary, a mróz szczypał w policzki i dłonie.

– Jedź ostrożnie. Daj mi znać, gdy będziesz na miejscu, dobrze? – poprosiłam, trzymając ją za ramiona. Przytaknęła. – Będzie dobrze – dodałam z całym przekonaniem i siłą, jakie tylko byłam w stanie z siebie wykrzesać.

– Dziękuję ci.

Uśmiechnęłam się, chociaż nie było to łatwe.

Ten wieczór uświadomił mi, że każda z nas miała swoją własną tragedię i bagaż, który musiała dźwigać nie od dziś...



W nocy praktycznie nie zmrużyłam oczu. Po otrzymaniu wiadomości od Kamili, że dojechała na miejsce, myślałam, że sen po prostu przyjdzie i da mi chociaż kilka godzin wytchnienia od natłoku dręczących myśli. Nic z tego. Wgapiiałam się w sufit, analizując wszystkie okropne wydarzenia, jakie w ostatnich dniach zwały się na głowę nie tylko mnie, ale i najbliższym mi osobom.

Wstałam o świcie, bo dziś była niedziela. Ubrałam się w całkowitej ciszy, żeby tylko nie zbudzić Jasia. Pogładziłam

go po główce i wyszłam z sypialni. Weszłam po cichu do salonu, bo to tam od dwóch dni spała moja mama. Uniosła głowę i spojrzała na mnie zaspanymi oczami, a ja pokazałam jej tylko elektroniczną nianię. Przytaknęła, gdy ustawiłam ją na komodzie, po czym po cichu zamknęłam drzwi.

Cmentarz pogrążony był w całkowitej ciszy. Szron osiadł na nagrobkach, ziemi, zniczach i sztucznych kwiatach. Szłam powoli i ostrożnie, żeby nie poślizgnąć się w kozakach na niewielkim obcasie. Otuliłam twarz szalem, wydychając obłoczki pary.

Na miejscu dopadły mnie te same emocje co zawsze. Patrzenie na imię i nazwisko ukochanego mężczyzny, które zostały wyryte na nagrobnej płycie, rozdzierało mi serce na miliardy części. Tęsknota wypływała na powierzchnię, czyniąc mnie bezbronną wobec bólu, którego na co dzień starałam się nie czuć.

Od razu dostrzegłam znicz, o którym mówiła mi Elżbieta. Duży i elektryczny, którego światełko tliło się przez cały czas. Na znak pamięci, ale też żalu, że... nigdy nie doszło do spotkania.

Znicz przyniósł Filip, byłam tego więcej niż pewna. Podpowiadała mi to podświadomość, ale co ważniejsze, podpowiadało mi to serce. To, które utarło mi nosa, udowadniając, że w życiu można kochać dwa razy...

Przykucnęłam przed grobem i odmówiłam krótką modlitwę, a później patrzyłam na płytę nagrobną i pozwalałam sobie po prostu czuć... wszystko, co czułam od dnia poznania Artura. A przecież było tego tak dużo, emocje i myśli układały się w symfonię naszej miłości.

Nigdy nie pogodzę się z tym, co odebrał nam los. Z utraconymi szansami, z dniami, które nie nadejdą, z uśmiechami i słowami, których już nie wymienimy. Nie

zrozumiem, co Bóg chciał mi powiedzieć, wzywając do siebie mężczyznę, który był moim powietrzem, sercem i życiem.

Cokolwiek to było, zawsze miało wywoływać mój sprzeciw. Silny i gwałtowny, który zelżał nieco, gdy przez ten krótki moment na nowo czułam się szczęśliwa przy Filipie.

Byliśmy marionetkami w rękach Boga... Najpierw nam coś dawał, a później to odbierał. Bo mógł, bo chciał, bo może miał w tym jakiś cel.

Przymknęłam powieki i zaciągnęłam się świeżym, mroźnym powietrzem, które wypełniło mi płuca.

Skierowałam twarz ku niebu, wyobrażając sobie mojego męża.

– Byłeś, jesteś i będziesz dla mnie wszystkim – wyszeptałam niemal bezgłośnie. Po raz kolejny, ale ciągle z tą samą szczerością i mocą.

Te słowa były jak amulet, jak modlitwa... Te słowa były obietnicą, której chciałam dotrzymać. Nawet jeśli połowa mojego serca została już oddana innemu mężczyźnie.



Dzieci jeszcze spały, gdy wróciłam do domu. Obudziły się na kilka minut przed ósmą, więc wypełniły mi poranek swoimi radosnymi krzykami i typowym chaosem, odganiając na krótką chwilę wszystkie negatywne myśli.

Przez cały czas podziwiałam moją mamę, która wychodziła ze skóry, żeby tylko robić dobrą minę do złej gry i udawać radość, zwłaszcza przed spostrzegawczą Emilką. Tylko ja dostrzegałam jej zmartwienia, czające się w kącikach oczu, w zgarbionych ramionach, w drżących dłoniach.

Już przed obiadem zapytałam mamę, czy chciałyby przejechać się ze mną do Mileny, żeby zobaczyć wnuczkę, ale zaprzeczyła tylko ruchem głowy i powiedziała, że może innym razem. Nerwowa sytuacja pomiędzy nią a ojcem sprawiała, że bała się spojrzeć najmłodszej córce w oczy, żeby ta niczego się nie domyśliła.

Emilka i Jaś z wielkim entuzjazmem przyjęli wiadomość o tym, że po obiedzie jedziemy odwiedzić nowo narodzoną Amelkę. Jeszcze przed narodzinami siostrzenicy kupiłam jej trzy uroczę śpioszki oraz dwie czapeczki, natomiast dzieciaki wybrały dla kuzynki pluszaki: Emilka postawiła na misia koalę, natomiast Jaś uparł się na białego, puchatego kota.

Zasiedliśmy przy jednym stole: ja, dzieci, mama i tata. Nie rozmawialiśmy ze sobą, a atmosfera była tak ciężka, że można by ją ciąć nożem. Tylko Emilka dyskutowała zawzięcie to z dziadkiem, to z babcią, jak gdyby to na jej barkach spoczęło poprawienie nastrojów wśród wszystkich dorosłych.

Z ulgą zapakowałam dzieciaki do samochodu i opuściłam dom, chociaż nie mogłam przestać się martwić o to, czy podczas mojej nieobecności nie wybuchnie pomiędzy rodzicami kolejna kłótnia. Poprosiłam mamę, żeby od razu do mnie zadzwoniła, gdyby coś się działo.

Wrocław jak zawsze był tłoczny, a ja już zdążyłam się od tego odzwyczaić, bo niebawem miały minąć cztery lata, odkąd przeprowadziłam się do spokojnej i niewielkiej wsi. Tam na szczęście nie musiałam przebijać się każdego dnia przez męczący zgiełk. Zastanawiałam się, jak w tym wszystkim odnajdywała się Milena, która przecież tak bardzo kochała nasze Lilecko, a do jego opuszczenia została po prostu zmuszona...

Na samą myśl skręcał mi się żołądek, bo doskonale zdawałam sobie sprawę, że pewnie niejedną samotną noc przepłakała, a nikt z nas – ja, Ola, Kuba czy mama – nie mógł

jej pocieszyć. Bezwzględność ojca już wiele razy mnie przerażała, ale nigdy do tego stopnia... Przez pewien czas, gdy już ochłonęłam po informacji o przypadkowej ciąży Mileny, starałam się wmówić sobie, że może tata wybaczy swojej ukochanej córce... Może po przeżyciu pierwszego szoku odetchnie i stwierdzi, że jakoś sobie to wszyscy poukładamy.

Tata jednak nie okazał litości. Zdawałam sobie sprawę, że moja siostra naprawdę wpadła po uszy w kłopoty, ale kim byłam, żeby bezustannie ją oceniać i potępiać, a przede wszystkim nie zaoferować pomocy? Ona mnie nie zostawiła, gdy po śmierci Artura zapomniałam, jak być matką, bo wiedziałam tylko, jak to jest być wdową w żałobie.

Wyszliśmy z zaparkowanego pod kamienicą samochodu. Wręczyłam dzieciom pluszowe zabawki, a sama złapałam za torebkę z prezentem ode mnie. Chwyciłam Jasia za rączkę i powoli ruszyliśmy do mieszkania Mileny.

Już po drodze do Wrocławia tłumaczyłam dzieciom, że muszą być spokojne, ciche i grzeczne przy Amelce, bo ich kuzynka jest jeszcze zbyt mała, żeby mogli zachowywać się głośniej. Jaś robił wielkie oczy, gdy tłumaczyłam, że przyszła na świat zaledwie parę dni temu.

Kilka minut zajęło nam wejście po schodach i stanięcie pod odpowiednimi drzwiami. Zapukałam krótko i cicho, w obawie, że mogłabym obudzić dziecko.

Nie czekałam, aż Milena mi otworzy, bo przecież w tym czasie mogła robić tysiąc rzeczy przy swojej córce.

Weszliśmy po cichu do mieszkania i ściągnęliśmy buty w korytarzyku mikroskopijnych rozmiarów.

Już po przekroczeniu progu pokoju zrozumiałam, że popełniłam ogromny błąd, nie czekając na pojawienie się Mileny.

Wszystko zadziało się błyskawicznie.

Zobaczyłam go, gdy przechadzał się powoli po pomieszczeniu, kołysząc w ramionach Amelkę. Patrzył na nią tak, jakby była najcudowniejszą istotką na świecie. Wydawała się jeszcze mniejsza i drobniejsza w jego objęciach. Po ustach błąkał mu się delikatny uśmiech, a oczy wypełniała bezgraniczna czułość.

Emilka weszła do pokoju i doskonale słyszałam, jak wciągnęła powietrze z zaskoczenia, a następnie radośnie puściła się biegiem i to zwróciło jego uwagę na nas.

Był zaskoczony, gdy moja córka przywitała się z nim przyciszonym, ale szczęśliwym głosem. Zaraz obok Emilki pojawił się Jaś, który także wysunął dłoń do przywitania. Na końcu jego spojrzenie padło na mnie.

Stałam w wejściu jak skamieniała, a moje ciało zamrowiło z tęsknoty, gdy nasze spojrzenia skrzyżowały się po raz pierwszy od tak dawna. Widziałam, jak jego wargi rozchylają się minimalnie, jakby chciał coś powiedzieć, lecz ostatecznie zrezygnował. Błękitne tęczówki Filipa przypominały w tej chwili ocean podczas sztormu.

Nie wiem, jak udało mi się wykonać ten jeden krok w głąb pomieszczenia, który jednocześnie przybliżył mnie do niego. Byłam jednym, niemożliwym do opisania kłębkim najróżniejszych emocji. Serce tłukło mi się w piersi jak szalone, a ściśnięte gardło utrudniało zaczerpnięcie oddechu...

Miałam wrażenie, że cała kawalerka zamieszkiwana przez moją siostrę wypełniona była jego zapachem... W zimowym jasnym swetrze zapinanym na guziki i ciemnych spodniach, z zarostem i głębokim spojrzeniem, czule obejmując małe ciało Amelii, zdawał się tak idealnie pasować do tego obrazka.

W uszach słyszałam głośny szum krwi, a słowa moich dzieci całkowicie rozmywały się gdzieś w mojej świadomości.

Rozejrzałam się po niewielkim pomieszczeniu, poszukując Mileny, lecz nigdzie jej nie było.

– Kąpie się. – Ten głęboki, mocny głos sprawił, że każda komórka w moim ciele zapłonęła z tęsknoty.

Zacisnęłam usta i przytaknęłam, nie patrząc na Filipa. Nie chciałam znów nawiązywać z nim kontaktu wzrokowego, bo to było zbyt bolesne. Za mocno przypominało o chwilach, które minęły...

– Mamo, spójrz, jaka malutka! – zawołała z podekscytowaniem Emilka, gdy Filip usiadł z Amelką w fotelu, by dzieci mogły przyjrzeć się kuzynce. – Jest śliczna – pisnęła i wysunęła palec w kierunku jej zaciśniętej piąstki. Pogładziła ją nieśmiało.

Jaś ścisnął w dłoni pluszowego kotka, którego ze sobą przyniósł, i patrzył na Amelkę niemal bez mrugnięcia okiem. Był zszokowany i zaintrygowany jednocześnie. Po raz pierwszy widział tak małe dziecko.

Wpatrzyłam się w twarz śpiącego niemowlęcia i uśmiechnęłam się z czułością, bo od razu przypomniałam sobie dni, gdy moje dzieci przyszły na świat. Żadna kobieta, która rodziła, nigdy nie zapomina tego wyjątkowego momentu, gdy cały ból ustaje i wszystko skupia się na tej maleńkiej istotce, która swoim krzykiem informuje o swoim przyjściu na świat.

Nie wiem, jak długo siedziałam bez ruchu i patrzyłam na moją siostrzenicę, ale w końcu Jaś podszedł do mnie i wdrapał mi się na kolana, nadal ściskając w dłoniach maskotkę. Emilka natomiast nie potrafiła nawet na moment odejść od kuzynki.

Wtedy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi do łazienki.

– Filip, ktoś przyszedł? Wydawało mi się, że... – Milena weszła do pokoju, przystając z zaskoczeniem na nasz widok. – O, hej! Nie spodziewałam się, że przyjedziecie!

Uśmiechnęła się do dzieci, a gdy spojrzała na mnie, zobaczyłam w jej oczach niepokój. Rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku Filipa, jak gdyby chciała rozeznaczyć się w panującej między nami atmosferze.

A ta była cholernie wręcz ciężka od tłumionych uczuć i niewypowiedzianych słów.

– Napijecie się czegoś? – zagaіła, odzyskując rezon. Miała na sobie legginsy i tunikę, która częściowo maskowała pozostałości po jej ciążowym brzuchu. Twarz nadal była zaokrąglona tak, jak przez kilka ostatnich miesięcy.

Jaś i Emilka zaprzeczyli.

– Chętnie napiję się kawy. Siadaj, zrobię sobie. Jeśli mogę, oczywiście – odpowiedziałam i wstałam powoli, sadzając synka na kanapie.

– Och... Jasne. Pewnie, że możesz – rzekła niepewnie.

Opuściłam pokój z nieznacznym uczuciem ulgi. Kuchnia Mileny, tak mała, że z ledwością zmieściłyby się w niej dwie osoby, była w tej chwili moją jedyną szansą na ucieczkę. Przebywanie z Filipem na tak małej powierzchni sprawiało mi okropny ból. Jego zapach wypełniał moje nozdrza, a każde spojrzenie odciskało się wyraźnie na duszy. Tej poranionej i stęsknionej za nim, jego ciepłem i dobrem.

To już jednak nie było ważne. To już nie miało znaczenia. Ja i Filip nie mogliśmy być ze sobą. Między nami powstała przepaść, której nie potrafiłabym przeskoczyć.

Może to wszystko musiało się wydarzyć, żeby Milena nie została sama z dzieckiem i rozwalonym na kawałki życiem? Może między nimi działo się więcej, niż była gotowa przyznać...? Jeśli tak, to powinnam – musiałam – cieszyć się z takiego obrotu spraw. Filip, niezależnie od powodu naszego rozłamu, był wspaniałym mężczyzną, który nie zasługiwał na to, żeby być sam. A Milena... Ona potrzebowała kogoś, kto się nią zaopiekuje.

– Robisz sobie tę kawę?

Podskoczyłam jak oparzona, zdając sobie sprawę, że nawet nie wstawiłam czajnika elektrycznego. Szybko nacisnęłam guzik i woda zaczęła szumieć. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam Milenę. Stała blisko mnie z ramionami założonymi na piersi i zatroskanym wyrazem twarzy.

– Przepraszam za tę sytuację... – zaczęła niepewnie i podrapała się po karku z zakłopotaniem. – Nie miałam pojęcia, że przyjedziecie, a Filip pomaga mi przy Amelce, gdy muszę gdzieś wyjść lub chociażby się wykapać. To nic nie...

– Nie musisz mi się tłumaczyć, Milena – odpowiedziałam stanowczo, sięgając po kubek. Nasypałam sobie kawy z puszki i patrzyłam na czajnik, czekając, aż przycisk wreszcie odskoczy.

– Chyba odnosisz mylne wrażenie o... tym wszystkim – wyszeptała, postępując krok w moim kierunku. – Ja i on... My się naprawdę tylko przyjaźnimy.

Nie chciałam tego słuchać. Nie chciałam, żeby każdym kolejnym zdaniem rozdrapywała rany i zadawała nowe. Z jednej strony próbowałam uwierzyć, że ona i Filip są tylko przyjaciółmi, lecz z drugiej... Dość już miałam egoizmu, własnego i innych ludzi. Może powinnam dopuścić do świadomości informację, że te kwiaty i czułe objęcie dziecka Mileny było sygnałami o tym, że moją siostrę i Filipa jednak coś łączy.

– To już nie jest moja sprawa. Naprawdę nie wnिकam, co jest między wami – odpowiedziałam spokojnie, siląc się na beznamiętny ton.

Jej twarz wykrzywiła się ze smutku. W oczach miała coś, czego nie potrafiłam nazwać, ale to sprawiło, że poczułam dziwną gulę w gardle.

– Naprawdę z niego zrezygnowałaś? – zapytała cicho, a jej ton pozwolił mi sądzić, że chciałaby otrzymać odpowiedź,

która da jej nadzieję.

Zacisnęłam usta i uciekłam spojrzeniem w bok, żeby tylko nie dostrzegła, jak ogromnie nadal mnie to wszystko boli. A po chwili krótko przytaknęłam.

Słyszałam, jak wypuściła drżący oddech, a gdy kątem oka na nią spojrzałam, zobaczyłam, jak opuszcza głowę i przymyka na moment powieki.

Przycisk czajnika odskoczył z kliknięciem, a ja natychmiast zalałam sobie kawę, korzystając z okazji, że mogłam się odwrócić plecami do Mileny. Nawet moja maska miała swój określony czas „działania”. Czasem czułam, że brakuje mi sił na dalsze udawanie twardej i niewzruszonej. Znałam moją siostrę całe życie, widziałam jej radość i płacz... Ona była ze mną w dniu ślubu, w dniu narodzin dzieci, w dniu śmierci Artura... Łączył nas ten szczególny rodzaj siostrzanej więzi, która zaczęła słabnąć, gdy Milena i ja niespodziewanie znalazłyśmy się naprzeciwko siebie, bo pośrodku pojawił się ten jeden, wyjątkowy mężczyzna. Ten, który sprawił, że Milena poważnie się zauroczyła. Ten, który pomógł mi złapać pierwszy głęboki oddech po trzech latach bezdechu.

Teraz, po osłabieniu naszej więzi, próbowałam ukrywać przed siostrą uczucia, pamiętając, że stała po drugiej stronie barykady od samego początku. Bo już pierwsze spotkanie z Filipem zmieniło coś w moim życiu. Już wtedy przeskoczyła jakaś iskra, która po czasie przemieniła się w płomień. A ja, niczym ćma, leciałam do niego, nie bacząc na wzmagające się gorąco, które ostatecznie spaliło mnie na popiół.

Złapałam w dłoń kubek z kawą i odwróciłam się, zdając sobie sprawę, że Milena już opuściła kuchnię, a ja, pogrążona w myślach, nawet tego nie zauważyłam. Wzięłam głęboki oddech.

Weszłam do pokoju z maską spokoju i swobody. Przystanąłam raptownie, patrząc na to małe, zagracone

pomieszczenie.

Łóżko Mileny, łóżeczko, wózek, szafa ubraniowa, komoda i telewizor. Tylko tyle i aż tyle mieściło się na tej niewielkiej przestrzeni. Mieszkanie wydawało się w obecnej chwili wypełnione po brzegi, nie tylko przedmiotami, ale przede wszystkim ludźmi.

Zobaczyłam, jak moja siostra układa śpiącą Amelkę w łóżeczku, a Filip i moje dzieciaki siedzą na łóżku i przeglądają obrazkową książkę o zwierzętach. Cała trójka miała uśmiechy na ustach, co wywołało ostre ukłucie bólu w moim sercu, a jednocześnie ciepło wynikające z faktu, że to kolejny moment, gdy moje dzieci czują się szczęśliwe.

Przystanąłam przy oknie i oparłam się o parapet biodrem, patrząc na widok za szybą. Kamienica znajdowała się w ponurej dzielnicy. Szare budynki, ulica, trzepak i kontener ze śmieciami. To miejsce w żadnym stopniu nie przypominało Lilecka... Pięknego o każdej porze roku, wypełnionego najróżniejszymi zapachami, kolorowego latem i urzekającego zimą.

Wzięłam głęboki oddech, nie chcąc dać się porwać fali rozpacz i złości na ojca za to, że nie potrafił wybaczać, że pozwolił, żeby rozczarowanie przysłoniło uczucia, jakie żywił do swojej najmłodszej córki.

– Przepraszam was za te warunki, ale... – odezwała się Milena. Z zakłopotaniem rozglądała się po pomieszczeniu.

– Daj spokój – odezwałam się i natychmiast zamarłam, zdając sobie sprawę, że powiedzieliśmy to z Filipem jednocześnie.

On spojrział na mnie, a ja na niego, i w tej jednej, zaskakującej chwili, gdy żadne z nas nie zdążyło przywdziać kolejnej maski, znów przepłynął między nami ten wyjątkowy, niezidentyfikowany prąd, który kiedyś sprawił, że zatraciliśmy się w sobie bez reszty, marząc o lepszej przyszłości we dwoje.

Jaka ja byłam naiwna... Jaka głupia i pozbawiona zdolności zdrowego osądu.

Szybko odwróciłam głowę z powrotem do okna i ostrożnie upiłam łyk gorącej kawy. Powtarzałam sobie, że wytrzymam jeszcze dwadzieścia minut i powiem dzieciakom, że musimy zbierać się do domu. Wyjdę stąd szybko i zrobię wszystko, żeby ochłonać. Nie dam się pokonać emocjom, które szturmowały moje serce od wewnątrz, domagając się uwolnienia.

Sączyłam napój z kubka w zamyśleniu, gdzieś poza mną toczyły się rozmowy... A to Emilka z jakiegoś powodu zachichotała, a to Jaś zadał jakieś trudne pytanie. Milena opowiadała moim dzieciom o Amelce, Filip natomiast niewiele się odzywał. Chociaż gdy to robił, moja dusza unosiła się w pragnieniu, by znaleźć się jak najbliżej niego.

W którymś momencie zadzwonił telefon, a Milena zerwała się szybko, żeby dźwięk nie obudził jej córki.

– To mama – powiedziała z uśmiechem, patrząc na mnie. – Halo? – odebrała szybko i wybiegła do kuchni, żeby porozmawiać.

Odprowadziłam ją wzrokiem, świadoma tego, że ponownie byłam ja i on, a pomiędzy nami tylko dzieci, które w obecnej chwili zajęte były przeglądaniem zawartości kartonu z zabawkami Amelki.

Każdy mój zmysł wyczulił się, gdy usłyszałam, jak za moimi plecami skrzypnęła kanapa. Po chwili każdy włoszek na moim ciele uniósł się, wyczuwając jego bliskość. Wstrzymałam oddech i zacisnęłam palce na opróżnionym niemal w całości kubku. Patrzyłam uparcie przed siebie, chociaż kątem oka zobaczyłam, że stanął obok mnie.

Nie patrzył w moim kierunku. Po prostu stał obok i sprawiał wrażenie, jakby na coś czekał. Nie mógł mieć pojęcia, co działo się ze mną pod wpływem tak bliskiego kontaktu z nim.

– Co u ciebie słychać? – Jego szept wywołał we mnie tak gwałtowny dreszcz, że omal nie wypuściłam kubka z rąk.

Znów podjął próbę, pomimo tego, że w szpitalu całkowicie go zignorowałam. To, jak wypowiedział wtedy moje imię, wstrząsnęło mną do głębi. Było w tym tyle bólu, żalu i smutku... Tak dużo, jak we mnie... Bo te uczucia się kłębiły, wypełniały mnie, przenikały goryczą, nie pozwalały żyć normalnie i cieszyć się drobnostkami.

– Wszystko... – zaczęłam zachrypniętym głosem i odchrząknęłam. – Wszystko dobrze. – Te dwa słowa były kłamstwem. Okropnym i drapiącym w gardło.

Nic nie było dobrze. Wszystko było źle. Wszystko było do bani.

Wszystko, tylko nie moje dzieci. One były idealne i tylko dzięki nim miałam powód, żeby wstawać rano z łóżka.

– Cieszę się, Eliza. Bardzo się cieszę – odpowiedział, ostrożnie dobierając słowa. Jego głos był głęboki jak zawsze, ale słyszałam coś jeszcze... Coś mrocznego i tak bardzo niepasującego do Filipa, którego poznałam wiele miesięcy temu.

– A u ciebie? – zapytałam, zaskakując tym samą siebie.

Ta rozmowa, czy raczej wymiana zdań, była ciężka jak ołów. Sililiśmy się na grzeczność i normalność, chociaż ja miałam ochotę paść mu w ramiona i płakać, żeby w końcu coś drgnęło, poprawiło się, odczarowało. Jak kiedyś, jak dawniej.

Suchy śmiech wydobył się z piersi Filipa. Po sekundzie spojrzał na mnie, a ja na niego. Zatonęłam w głębi jego oczu, w tym nieopanowanym sztormie, w bezkresie smutku i tęsknoty...

– U mnie... nic się nie zmieniło... – powiedział cicho, patrząc mi w oczy.

Maska opadła. Niemal słyszałam, jak pęka na pół, odrywa się od mojej twarzy i roztrzaskuje na podłodze kawalerki mojej

siostry. Zacisnęłam usta i powoli zaczerpnęłam oddech.

Chciałam odwrócić wzrok, bo wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, to przeczyta sobie mnie jak książkę. On przewidział mój kolejny ruch i dotykem delikatnym niczym muśnięcie źdźbła trawy ujął mój podbródek, powstrzymując ruch, który chciałam wykonać.

Przygryzłam wargę, bo zaczęła zdradziecko drzeć.

Bez łez. Błagam, przeżyj to bez łez.

– Jak się czujesz? Tak naprawdę? – zapytał cicho, a we mnie wszystko wybuchło, pragnąc wydostać się na zewnątrz.

– Ja...

Wtedy do naszej świadomości dotarło ciche kwilenie niemowlęcia, a Filip od razu się ocknął i podszedł do łóżeczka, żeby wziąć Amelkę w objęcia. Zaczął ją kołysać, a ja stałam bez ruchu, kipiąc wewnątrz z emocji, chociaż ciało wydawało się niemal w ogóle nieporuszone.

W tle rozbrzmiewał głos Mileny rozmawiającej z mamą przez telefon. Dzieci nadal buszowały w kartonie z zabawkami, ale ja nie byłam w stanie już więcej znieść. Poderwałam mięśnie do pracy.

Odstawiłam kubek na parapet, czując paniczną potrzebę ucieczki z tego mieszkania.

– Dzieci, zbieramy się – powiedziałam krótko i natychmiast poczułam na sobie wzrok Filipa, który całą siłą woli ignorowałam.

– Mamo... dlaczego?! – zawyła Emilka ze smutną miną.

– Bo mam dzisiaj jeszcze coś do załatwienia – odpowiedziałam automatycznie, chwytając za kurtkę Jasia.

– Przecież byłaś już u taty – odparła moja córka z naburmuszoną miną.

– Ubieraj się – powiedziałam stanowczo, wsuwając na głowę Jasia zimową czapkę, a następnie pomagając mu nałożyć buty.

Widziałam, jak Emilka z obrażoną miną wciąga na siebie kurtkę, a chociaż czułam się źle z tym, że sprawiam jej przykrość, to w obecnej chwili po prostu nie mogłam postąpić inaczej.

– Eliza... – dobiegł mnie głos Filipa, wzmagając tylko tę nagłą potrzebę ucieczki z miejsca, gdzie wszystko pachniało nim.

Zignorowałam go, ubierając się w pośpiechu. Pozwoliłam dzieciom szybko pożegnać się z Amelką i Filipem, bo wbrew temu, co sama czułam, tego nie miałam prawa im zabronić. Następnie szybko ruszyliśmy do wyjścia, ale zanim zamknęłam za sobą drzwi frontowe, zdążyłam usłyszeć, jak zapytał:

– Dlaczego to robisz?

Nie wiedziałam.

Przez całą drogę do domu dzieciaki nie odzywały się do mnie, a ja bezgłośnie płakałam. I ciągle czułam dotyk jego palców na podbródku.



Co się stało, że uciekaś bez pożegnania?

Wiadomość od Mileny wywołała wyrzuty sumienia, które sprawiły, że kompletnie nie miałam pojęcia, co jej odpisać. Prawda nie wchodziła w grę.

Przypomniało mi się, że miałam coś jeszcze do zrobienia. Nie chciałam przerywać Ci rozmowy. Przepraszam.

Odpisałam w pośpiechu to, co jako pierwsze przyszło mi na myśl. „Miałam coś jeszcze do zrobienia” było najgłupszą wymówką w historii najgłupszych wymówek.

To nie miało nic wspólnego z Filipem?

Jej pytanie zmroziło mnie do szpiku kości.

Nie. Skąd Ci to przyszło do głowy?

No właśnie, przecież to w ogóle nie było oczywiste... Ja i Filip, nasza przeszłość, zerwanie kontaktów i przypadkowe spotkanie w mieszkaniu mojej siostry. Nikt by się nie domyślił, prawda?

Wyszedł krótko po Tobie. Nie wyglądał zbyt dobrze.

Poczułam ucisk w piersi, bo od razu przypomniałam sobie ten jego spowity mrokiem głos i oczy, które patrzyły na mnie z taką przenikliwością.

Nie mam z tym nic wspólnego.

Brzydziłam się sobą i tym, że tak kłamię. Każdemu po kolei. Kiedyś nie potrafiłam tego robić, natomiast teraz kłamstwo było moją bronią przed ujawnieniem prawdziwych uczuć. Okłamywałam wszystkie bliskie mi osoby i przez to toczyłam walkę, która była z góry przegrana.

Wieczorem wsiadłam do samochodu i po raz drugi tego dnia pojechałam na cmentarz. Bo tam, chociaż wszystko sprawiało ból, mogłam przynajmniej przez chwilę poczuć się spokojna, nieosaczona, nieoceniana i nieprzepytywana na okoliczność własnych uczuć.

Szłam tymi doskonale znanymi ścieżkami, mijając dokładnie te same groby, czując dokładnie to samo, co zawsze.

Z zadumy wyrwał mnie widok, którego zdecydowanie się nie spodziewałam.

Przed grobem Artura ktoś postawił dwuosobową drewnianą ławeczkę. A na tej ławeczce, w grubym płaszczu i zimowej czapce, siedziała Zofia Skalska.

Drgnęła, gdy usłyszała stukot obcasów moich kozaków, i odwróciła się, patrząc na mnie z uniesionymi jasnymi brwiami i uśmiechem wyłaniającym się zza gęstej sieci zmarszczek.

– Tak się zastanawiałam, kiedy uda nam się spotkać na tej ławeczce – zagadnęła z tym swoim niesłabnącym entuzjazmem i ciepłem, którym nie raz mnie otuliła.

Przysiadłam obok staruszki i spojrzałam na nią z zaciekawieniem.

– Wie pani, kto ją tu postawił? – zapytałam spokojnie, rozsiadając się nieco wygodniej.

– Och, nie, nie wiem, ale się domyślałam – odpowiedziała z zagadkowym uśmiechem i spojrzała na mnie ukradkiem.

Zmarszczyłam brwi i zerknęłam na płytę nagrobną mojego męża.

– To znaczy?

– A bo wiesz, przychodzi do Artura taki wysoki, przystojny mężczyzna – powiedziała niby mimochodem, ale w kącikach jej oczu czaiła się sugestia.

– Dziś rano jeszcze jej tu nie było – stwierdziłam przyciszonym głosem, jakby do samej siebie.

Zofia Skalska przytaknęła i zacisnęła swoje odziane w rękawiczkę palce na mojej dłoni.

– W oczach tego mężczyzny widnieje taki sam smutek, jaki widzę w twoich – wyszeptała niby konspiracyjnie, lecz jej ton i sens słów przeszyły mnie gwałtownie do szpiku kości.

Ta kobieta była nie tylko bardzo serdeczna, ale także wybitnie spostrzegawcza. Nie dopytywała mnie nachalnie o sprawy prywatne, ale często wyciągała trafne wnioski z własnych obserwacji i strzępków informacji, które bez przymusu jej przekazywałam.

– Wiesz... – zaczęła znów, gdy zbyt długo się nie odzywałam.

– Często opowiadam o tobie Staszкови, a on stwierdził, że bardzo chciałby cię poznać. Powiedział nawet, że przypominasz mu mnie sprzed lat... – dodała z uśmiechem i wzmocniła lekko swój uścisk.

Poznałam Zofię Skalską kilka miesięcy temu, po tym jak podeszła do mnie, gdy zalewałam się łzami nad grobem Artura. Każda nasza rozmowa miała na mnie niesamowicie leczniczy i naprawczy wpływ. Czerpałam tak wiele, jak tylko mogłam, z mądrości tej niesamowitej staruszki, która niejedno w życiu widziała i przeżyła. Też była wdową, i to od wielu długich lat. Rozumiała, że strata bliskiej osoby może boleć bardzo długo, a nawet zawsze. Uświadomiła mi, że mam prawo przeżywać żałobę tak długo, jak będę tego potrzebować, bo uczucie straty nie ma terminu ważności...

Chociaż mogłoby wydawać się to dziwne, pomiędzy Zofią Skalską a mną zrodził się pewien rodzaj międzypokoleniowej przyjaźni. A chociaż ja nie mówiłam jej o sobie zbyt wiele, to cieszyłam się, że sama była bardziej otwarta.

Potrafiła przyznać, że czuje strach przed śmiercią. Opowiadała o tym, że nie zawsze w związku ze Staszkiem wszystko jest spokojne, słodkie i kolorowe, bo nawet oni, mając już przecież słuszny wiek, potrafią się kłócić jak nastolatkowie. Potrafiła śmiać się z samej siebie i nie była jak te wszystkie moherowe babcie, które pierwsze rzuciłyby kamieniem w każdą kobietę, która pozwoliła sobie na grzech.

Tylko raz dałam Zofii Skalskiej więcej z siebie... Opowiedziałam jej o tym, co wydarzyło się pomiędzy mną a Filipem. Wiedziała, co do niego poczułam. Wiedziała, że spędziliśmy ze sobą namiętne chwile. Wiedziała, że mnie okłamał, i powiedziałam jej nawet, w jaki sposób to zrobił.

A jej odpowiedź tak często i natrętnie rozbrzmiewała mi w głowie.

Gdyby mu na tobie nie zależało, to powiedzenie prawdy nie stanowiłoby dla niego wyzwania. Zataił tajemnicę, ale pomyśl o tym, jak wiele was połączyło. Pomyśl, jak się przy nim czułaś. Czy warto w nieskończoność chować urazę?

No właśnie, czy było warto?

Ciągle się nad tym zastanawiałam, a po dzisiejszej sytuacji w mieszkaniu Mileny niczego już nie byłam pewna.

Wyobraziłam sobie Zofię Skalską w młodości i uznałam, że musiała być naprawdę niesamowitą, pełną życia kobietą. Uśmiechnęłam się lekko, gdy stwierdziła, że według pana Staszka przypominam ją sprzed lat...

– Jak minęły święta, pani Zosiu? – zagadnęłam, zmieniając temat.

Mróz szczypał w skórę, barwiąc policzki na czerwono. Co chwilę zerkałam z niepokojem na towarzyszącą mi staruszkę, chcąc się upewnić, że nie marznie zbyt mocno.

– Ach... – westchnęła i machnęła ręką. – W tym roku zjechały się do nas dzieci i wnuki. Cała rodzina oczekiwała, że porozmawiam z Alicją, moją wnuczką, bo wzięła ślub już cztery lata temu, a dziecka u nich jak nie było, tak nie ma. Nikt nie wie, że Alka nie chce mieć dzieci. Ja wiem, bo sama mi powiedziała – wyjaśniła, wzruszając ramionami i patrząc na mnie swoimi jasnymi oczami. – Jeśli nie czuje powołania do macierzyństwa, to przecież ja nie będę jej potępiać – dodała stanowczo.

Po raz kolejny udowodniła, że w niczym nie przypomina stereotypowych moherowych babć. Każda inna na jej miejscu zrobiłaby wszystko, żeby wymusić na wnuczce posłuszeństwo, argumentując to wyświechtanym frazesem: „kto to widział, żeby kobieta nie chciała być matką”. A Zofia Skalska postanowiła dać wnuczce wybór, rozumiejąc, że każdy został stworzony do czegoś zupełnie innego.

Ja nie wyobrażałam sobie życia bez moich dzieci, ale może ta Alicja naprawdę nie czuła potrzeby, żeby je mieć? Może miała inne cele i priorytety? Niezależnie od tego, co nią kierowało, prawda była taka, że nikt nie miał prawa niczego na niej wymuszać. W ostatecznym rozrachunku i tak nic dobrego by z tego nie wyszło.

– Po raz kolejny mnie pani zadziwiła – przyznałam szczerze i uśmiechnęłam się.

– A to dlaczego?

– Bo daje pani wnuczce szansę na podejmowanie własnych decyzji – odpowiedziałam po prostu i raz jeszcze się uśmiechnęłam.

– Moja córka się obraziła, że niczego z Alką nie załatwiłam w tej kwestii, ale powiedziałam, że zdania nie zmienię. Może kiedyś uzna, że jednak chce mieć dzieci. A jeśli nie, to przecież też się świat nie zawali.

Przytaknęłam z podziwem i przez chwilę milczałyśmy, patrząc na grób Artura. Usłyszałam, że pani Zofia westchnęła, więc spojrzałam na nią i dostrzegłam, że lekko drży.

– Zimno?

– Teraz już trochę tak – przyznała.

– To czas już wracać – odpowiedziałam i wstałam, żeby pomóc zrobić do samo Zofii Skalskiej.

Nigdy mi dokładnie nie powiedziała, ile ma lat, ale przypuszczałam, że mogła dobiegać pięćdziesiątki. W każdym razie radziła sobie świetnie z poruszaniem się i tylko czasami zauważałam, że coś sprawia jej trudność.

Pani Zofia podparła się na lasce, a ja śmiało i bez pytania złapałam ją pod ramię, po czym ruszyłyśmy razem w kierunku wyjścia z cmentarza. Napływ mroźnego powietrza nasilał się z chwili na chwilę, a ciemniejące niebo zwiastowało kolejną zimną noc.

– Czy ktoś na panią czeka? – zapytałam spokojnie, gdy powoli docierałyśmy do bramy.

– Wnuk powinien już być – odpowiedziała cicho i rozejrzała się po parkingu, gdy tylko opuściłyśmy teren cmentarza. Ja także to zrobiłam i zobaczyłam, że właśnie podjeżdża do nas granatowy renault laguna.

– O, to on! – zawołała i popatrzyła na mnie z uśmiechem.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się, a ze środka wyszedł wysoki, jasnowłosy mężczyzna w zimowej pikowanej kurtce.

– A ty znów nie ubrałaś czapki! – zachnęła się pani Zofia.

– Babciu, nie zaczynaj znowu – odparł z udręczeniem i rozbawieniem, podchodząc do nas. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, jakby mnie znał. Od razu stwierdziłam, że mógł być mniej więcej w moim wieku.

– Elizo – zwróciła się do mnie pani Zofia – to właśnie Paweł, mój wnuk.

Niemal jednocześnie wyciągnęliśmy do siebie dłonie i przywitaliśmy się.

– Dobry wieczór – powiedziałam spokojnie.

– Dobry wieczór. Babcia sporo nam wszystkim o pani opowiadała – odparł uprzejmie. Pani Zofia zachichotała i lekko wywróciła oczami.

– Oj tam, zaraz sporo. Tylko trochę, Elizko – powiedziała, klepiąc mnie po dłoni niczym najwspanialsza babcia.

Zaczęłam się śmiać, a pani Zosia i Paweł natychmiast do mnie dołączyli. Chłód i gęste obłoki pary wydobywające się z naszych ust przypomniały nam, że najwyższa pora jechać do domu, jeśli nie chcemy zamarznąć na kość.

– Trzeba się zbierać, bo robi się bardzo zimno – powiedziałam i popatrzyłam serdecznie na staruszkę. – Do następnego spotkania, tak?

– Oczywiście, kochana – odpowiedziała, po czym przytuliłyśmy się lekko na pożegnanie.

Ponownie podałam dłoń Pawłowi ze słowami:

– Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedział grzecznie.

Skierowałam się do mojego starego, rozlatującego się forda i wsiadłam, drżąc z zimna w lodowatym wnętrzu samochodu. Wsunęłam kluczyk do stacyjki i po chwili grozy, gdy silnik

kręcił i kręcił, ale nie mógł załapać, wreszcie odpaliłam. Włączyłam światła i wyjechałam z miejsca parkingowego.

Mijając granatowego renaulta, pomachałam pani Zosi z uśmiechem, a ona ochoczo odwzajemniła ten gest. Paweł też podniósł rękę.



W domu było bardzo cicho, gdy weszłam i rozebrałam się w korytarzu. Zajrzałam do salonu, lecz nikogo w nim nie było. W kuchni natomiast zastałam mamę i Jasia.

Od razu wiedziałam, że coś jest bardzo nie tak.

Mama była blada na twarzy i z niepokojem w oczach obserwowała mojego synka, który chodził po kuchni bez większego ładu i składu, jakby w głębokim zamyśleniu.

Doskonale znałam ten jego stan. W taki sposób próbował się wyciszyć. A skoro potrzebował wyciszenia, to znaczy, że coś musiało go zdenerwować.

No i brakowało Emilki.

– Wszystko w porządku? – zapytałam bezwiednie.

Mama podskoczyła ze strachu, bo nie dostrzegła mojej obecności. Złapała się za serce i pobladła jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe.

Pokręciła przecząco głową i zacisnęła usta. Ostatnimi czasy tak się właśnie zachowywała. Była milcząca, znerwicowana i blada na twarzy, a do tego ciągle drżały jej dłonie, jak gdyby w każdej chwili spodziewała się czegoś złego.

– Co się dzieje? Gdzie jest Emilka? – Pytania wystrzeliły z moich ust niczym pociski z karabinu, a żołądek skurczył się ze strachu do rozmiaru orzecha włoskiego.

– To moja wina, Eliza – powiedziała ze skrucą i wzięła drżący oddech. Jaś zdawał się w ogóle nie dostrzegać niczego poza samym sobą. – Andrzej po raz kolejny zrobił mi awanturę, bo próbowałam porozmawiać z nim o Milenie. Trzasnął drzwiami do kuchni, a wtedy Jaś przerwał jedzenie, zaczął się wiercić i musiałam go wyciągnąć z fotelika. Podszedł do Emilki i pociągnął ją za włosy, a gdy zaczęła na niego krzyczeć, ja wrzasnęłam na nią... Siedzi u siebie w pokoju i płacze, a Jaś od kilku minut chodzi po kuchni i w ogóle nie chce mnie słuchać.

O Boże.

Nie było mnie przez godzinę, a wydarzyło się tak wiele złych rzeczy.

Emocje uderzyły we mnie niczym gigantyczna fala o brzeg. Miałam ochotę rzucić wszystko i wyjść, a jeszcze bardziej nakrzyczeć na mamę za to, że tak bezmyślnie postąpiła, rozpoczynając temat Mileny z ojcem przy moich dzieciach.

Przecież powinna przewidzieć, że tata znów się zdenerwuje. Zawsze był porywczy, ale ostatnimi czasy przypominał tykającą bombę. Mogłam sobie tylko wyobrazić reakcję Jasia na trzaśnięcie drzwiami. On był bardzo wrażliwy na tego typu dźwięki, a poza tym dzieci z zespołem Downa nie powinny być świadkami takich wydarzeń, bo gwałtowne sytuacje stresowe wywoływały zaburzenia w ich rozwoju.

Skupiłam całą uwagę na moim synu. Podbiegłam do niego i przykucnęłam, biorąc go w objęcia i sprawiając, że się zatrzymał. Był odrętwiały, a mój dotyk z ogromnym trudem przebił się przez jego pancerz. Czułam, jak jego ciało leciutko drży, co było wynikiem silnych, niespodziewanych emocji. Pogładziłam go po włoskach i ucałowałam w skroń, czując, że powoli, jak gdyby mimowolnie, rozluźnia się w moich ramionach.

– Już dobrze, kochanie. Już dobrze – wyszeptałam mu do ucha i poczułam, jak zaciska pięści na materiale mojego swetra. Odsunęłam się lekko i spojrzałam na niego. Miał szeroko otwarte oczy i rozchylone usta. – Zostaniesz z babcią, a ja pójdę zajrzeć do Emilki, dobrze?

Nie odpowiedział, lecz przytaknął.

Powoli i ostrożnie odsunęłam się od niego, cały czas obserwując, jak reaguje. Uśmiechnęłam się pokrzepiająco i zerknęłam na mamę, która tylko skinęła głową. Opuściłam kuchnię. Czułam, jak serce tłucze mi się o żebra.

Wchodziłam po schodach z duszą na ramieniu, zastanawiając się, co zastanę w pokoju córki.

Nie było dobrze. Leżała w łóżku i szlochała, a gdy usłyszała ruch przy drzwiach, natychmiast nakryła głowę kołdrą.

– To ja... – powiedziałam spokojnie i zobaczyłam, że odsunęła kołdrę i spojrzała na mnie przez ramię swoimi dużymi, zaczerwienionymi oczami.

– Nie chcę rozmawiać... – zapłakała i pociągnęła nosem, tuląc się do poduszki.

– Babcia powiedziała mi, co się stało... – wyszeptałam i przeczesałam palcami jej mokre od potu włosy, przysiadając na skraju łóżka. – Jest jej bardzo przykro, że się tak zachowała.

– Nie będę się do babci odzywać. Wolę dziadka – odparła buntowniczo i znów zaszlochała, najwyraźniej rozdarta pomiędzy złością na babcię a uwielbieniem dla niej.

– Nie mów tak. Babcia bardzo cię kocha i myślę, że szybko się pogodzicie – wyszeptałam z lekkim uśmiechem, chcąc nieco złagodzić jej emocje. Emilka była spokojnym i rozsądnym dzieckiem, a gdy zachowywała się w taki sposób, to wiedziałam, że poczuła się mocno skrzywdzona.

Usiadła natychmiast na łóżku i wbiła we mnie swoje uparte, pełne bólu spojrzenie. Na jej policzkach wykwitły mocne

rumieńce.

– Nie pogodzę się z nią! Wy wszyscy kochacie tylko Jasia! Tylko on się dla was liczy! Nigdy go nie wyzywacie, chociaż to on mnie pociągnął za włosy! – zapiszczała żałośnie, a spod jej opuchniętych powiek wymknęły się kolejne krokodyle łzy.

Jej słowa ubodły mnie w sam środek serca. Staralam się ciągle myśleć o Emilce i jej uczuciach, zwłaszcza w kontekście niepełnosprawnego brata, który wymagał dodatkowej opieki. Nigdy nie chciałam usłyszeć oskarżeń, które właśnie padły z ust mojej córki. Myśl, że mogła się poczuć jak piąte koło u wozu, zraniła mnie w sposób, którego od zawsze się bałam.

– Emilka – zaczęłam spokojnie, chociaż na ostatniej samogłosce zadrżał mi lekko głos. – Wszyscy cię bardzo kochamy. Liczysz się dla nas tak samo jak Jaś.

– Nieprawda! On jest najważniejszy! – krzyknęła, uderzając piąstkami w pościel. Jej dziecięca twarz wykrzywiona była w grymasie złości i rozpacz, a mnie krajało się serce na myśl o tym, co musi teraz czuć.

– Córeczko, Jaś jest niepełnosprawny i potrzebuje naszej opieki, ale to nie oznacza, że nie kochamy ciebie... – wyszeptalam, patrząc jej w oczy i gładząc opuszkami palców po mokrym od łez policzku.

– No i co z tego?! – zapłakała, rzuciła się na poduszkę i ukryła twarz w pościeli. Widziałam, jak drżą jej ramiona, więc od razu ułożyłam się obok i przytuliłam ją, żeby czuła, jak wiele dla mnie znaczy.

Wychowywanie Emilki bardzo różniło się od wychowywania Jasia. Z córką wszystko przebiegało normalnie i spokojnie, natomiast z synem każdego dnia musiałam podejmować walkę o to, żeby wykonać jeden, chociaż maleńki krok naprzód. Robiłam to wszystko po to, żeby Jaś był jak najbardziej samodzielny. Uczyłam go podstawowych rzeczy, żeby z roku na rok coraz lepiej odnajdywał się w świecie, w którym przyszło

mu żyć. Urodził się z nieuleczalną wadą genetyczną, ale mógł dotrzeć do takiego etapu, żeby wiedzieć, jak funkcjonować, i dać sobie radę. Nie pogodziłabym się z faktem, że w przyszłości to Emilka musiałaby opiekować się niepełnosprawnym bratem, tracąc szansę na normalne życie.

Była jeszcze zbyt mała, żeby zrozumieć wiele spraw. Nie mogłam powiedzieć jej, że kiedyś to wszystko pojmie, bo to wywołałoby jeszcze większy płacz i bunt. Dzieci potrzebowały dowodów na już, chciały usłyszeć coś, co w danej chwili zapewni ich, że niczego im nie odebrano.

Dla Emilki tym czymś była nasza uwaga i miłość. W wyniku niefortunnego zdarzenia została wyzwana za coś, czemu nie zawiniła, a krzyk wyszedł z ust osoby, której bardzo ufała i którą kochała.

Dlatego to sprawiło jej tak ogromny ból.

Tuliłam ją przez kilkanaście minut, czekając, aż się uspokoi i wyciszy. Przetrawiałam w głowie jej zarzuty, nie potrafiąc ich tak po prostu zbagatelizować. Była tylko dzieckiem, a to właśnie dzieci miały w sobie najwięcej szczerości i otwarcie mówiły o własnych uczuciach.

– Kocham cię z całego serca, córeczko – powiedziałam jej, gdy już się uspokoiła, a ona tylko mocniej się we mnie wtuliła i przytaknęła, nie mówiąc już nic.



Rozdział 4

W nocy z niedzieli na poniedziałek spadł śnieg, ubierając całe Lilecko w biel i nadając nagim gałęziom drzew w sadzie prawdziwie baśniowy wygląd. Emilka nie chciała, żebym podwoziła ją samochodem na przystanek, więc w mroźnym powietrzu poranka, ze śniegiem skrzypiącym pod butami, odprowadziłam ją spacerem na autobus.

Wracając, nie patrzyłam w kierunku mijanego domu Filipa. Chciałam to zrobić i każda cząstka mojego ciała była gotowa tam spojrzeć, lecz rozum okazał się silniejszy.

Jak co poniedziałek mieliśmy z Jasiem wizytę u logopedy, a następnie rehabilitację, więc cały dzień spędziliśmy w rozjazdach, przemierzając moim starym fordem zaśnieżone ulice miast i naszej wsi.

Po powrocie do domu zastałam mamę i Emilkę przy stole, gdy rozmawiały przyciszonymi głosami. Wystarczyło spojrzeć na twarz jednej i drugiej, żeby przekonać się, jak blisko były zażegnania swojego małego-dużego konfliktu. Patrzyły na siebie ze smutkiem, ale i leciutkimi uśmiechami, a co najważniejsze, trzymały się za ręce.

Cieszyłam się, że moja mama umiała przeproszać. Wychodziło jej to znacznie lepiej niż tacie. Gdyby i on potrafił zakopać dumę chociaż pod niewielką warstewką skruchy, to w domu zapanowałby spokój i wówczas wreszcie moglibyśmy ze spokojnym sercem ruszyć z życiem dalej.

Po obiedzie nałożyłam buty, kurtkę i czapkę, po czym wyszłam z domu, chcąc poszukać taty. Pokiwałam Oli, która myła okno na piętrze, następnie zajrzałam do stajni, później do stodoły, a wreszcie do warsztatu.

To tam go zastałam.

Ubrany w zniszczoną, skórzaną kurtkę i puchatą czapkę sprzątał na regale z drobnymi częściami. To była jego tradycja. Zawsze gdy przychodziła zima, a praca w sadzie dobiegała końca, on zamykał się w warsztacie i sprzątał, ale przede wszystkim naprawiał wszystkie przedmioty, które tego wymagały. To go pewnie w jakiś sposób uspokajało, a domyślałam się, że w obecnej sytuacji bardzo potrzebował się wyciszyć.

Zareagował od razu, gdy tylko dostrzegł ruch przy bramie. Uniósł brwi z zaskoczenia. Wyglądał na lekko zaskoczonego, ale domyślałam się, że żadnej innej reakcji się nie doczekam. Nie był wylewny.

– Cześć – przywitałam się, zamykając bramę, żeby chłód nie wdzierał się do środka. Tata ogrzewał wnętrze małym piecykiem i było całkiem przyjemnie. – Może masz ochotę na obiad?

– Nie bardzo – odpowiedział krótko, sięgając po papierową torebkę ze śrubkami. Przesypał je do plastikowego pojemnika.

W powietrzu unosił się zapach smaru i olejów, a także palonego drewna. Chociaż w warsztacie panowało odczuwalne ciepło, to czubek nosa mojego taty był zaczerwieniony od mrozu, a z ust wydobywały się obłoczki pary.

Tata nie był skory do rozmowy i właściwie to był ten moment, gdy powinnam wyjść, lecz wtedy mój wzrok padł na wciśnięte w kąt, stare i zakurzone hula hop, z którym kiedyś nie rozstawałam się na krok. To właśnie koło tata kupił mi po wielu namowach i błaganiach. Nic nie mogłam poradzić na to, że na moje spierzchnięte od mrozu wargi wypłynął uśmiech.

– Pamiętasz to? – zapytałam niespodziewanie, a on spojrzał na mnie i zaraz skierował wzrok w miejsce, które wskazałam palcem. – Najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam – dodałam z nostalgią w głosie i uśmiechnęłam się do taty.

– Ciągłe kręciłaś to koło – mruknął niby od niechcienia, a jednak dostrzegłam, że zmarszczki w okolicy jego oczu jak gdyby odrobinę się uwydatniły w powstrzymywanym na siłę uśmiechu.

– Uwielbiałam je. Po wielu tygodniach ćwiczeń byłam już mistrzynią – odpowiedziałam z dumą, próbując przywołać do świadomości ojca jakieś dobre wspomnienie, w wyniku którego być może nieco by się przede mną otworzył.

– Ale w końcu się rozpadło – stwierdził tylko i z przesadnym skupieniem przesypywał swoje niedawne zakupy do przygotowanych pojemniczków.

– Tak sobie pomyślałam... – Uznałam, że temat hula hop dobiegł końca i już nic więcej z ojca nie wyciągnę, więc zmieniłam temat, bo do głowy wpadło mi coś innego. – Może zrobilibyśmy dzieciakom kulig?

To zainteresowało ojca tak, jak żadne moje wcześniejsze słowa. W przeszłości, gdy ja, Kuba i Milena byliśmy dzieciakami, tata zaprzagał konie do drewnianych sań, które sam skonstruował. Sanie od lat stały w stodole przykryte plandeką i tylko co kilka sezonów tata wyprowadzał je, żeby nieco odrestaurować.

– Dzisiaj? – zapytał, odkładając naraz wykonywane zajęcie.

– Tak. Śnieg jest świeży, jest go dużo, więc dlaczego nie? – odparłam z uśmiechem i wzruszyłam ramionami.

Przytaknął, przyznając mi rację. Po chwili wstał z drewnianego taboretu i ruchem głowy wskazał mi wyjście z warsztatu. Oboje ruszyliśmy do stodoły, żeby sprawdzić stan sań.

W ciągu kolejnego kwadransa wyprowadziliśmy wspólnymi siłami sanie, a następnie ja wydobyłam ze stajni uprząż dla koni. Razem z tatą zaczęliśmy po kolei upinać klacze; jako pierwsza szła Dolores, za nią Indiana i Prażynka.

Pobiegłam do domu, czując zapomnianą już ekscytację. Gdzieś w głębi serca obudziło się ukryte od dawna dziecko, cieszące się z faktu, że po raz pierwszy od wielu lat znów będę uczestniczyć w kuligu.

– Dzieciaki, szykujemy się. Dziadek zabiera nas na kulig – powiedziałam radośnie, wpadając do kuchni.

Emilka krzyknęła z radością, a Jaś pisnął zaraz za nią. Mama posłała mi zaskoczone spojrzenie, a ja tylko uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami. Cieszyła mnie myśl, że tata chciał sprawić radość swoim wnukom. W ten sposób pokazywał, że zależało mu na nich. To był jego sposób na okazywanie miłości: zrobienie czegoś, przez co poczują się szczęśliwe.

Mama od razu rzuciła się do pomocy, ubierając Emilkę w kombinezon zimowy na szelkach i grube skarpety. Ja przygotowywałam Jasia, który podskakiwał z ekscytacji na moich kolanach. Uzbrojeni w puchowe kurtki, szaliki, rękawiczki i czapki z pomponami wyszliśmy z domu i przemierzaliśmy zasypane śniegiem podwórko do przygotowanych sań.

– Ale fajnie, dziadek! – zawołała Emilka, gdy usadziłam ją na ławce, gdzie tata rozłożył koce.

– Taaak! – pisnął Jaś, gramoląc się obok siostry.

Na końcu weszłam ja i umościłam się obok Jasia, obejmując ramieniem oboje moich dzieci.

Na ich twarzach, ledwie widocznych spomiędzy warstw ubrań, widziałam najszczęśliwszą radość, a to sprawiało, że nie mogłam przestać się śmiać. Zerknęłam w kierunku domu, gdzie z okna wyglądała moja mama, na poły szczęśliwa, a na poły smutna, gdy jej wzrok padał na tatę, za którego bliskością zapewne w skrytości tęskniła.

Ojciec zasiadł na koźle i złapał za lejce. Lekko nimi potrząsnął i krzyknął „wio!”, a klacze równym krokiem ruszyły

naprzód, ciągnąc sanie. Te, które skonstruował tata, nie były ciężkie, bo w trosce o dobro koni starał się zrobić jak najłżejsze, a jednocześnie mogły pomieścić kilka osób. Przed laty był bardzo dumny z tego dzieła, bo spełniało swoją rolę: dawało nam radość.

Jechaliśmy powoli po ośnieżonych drózkach, nie forsując koni i podziwiając widoki. Tata pokierował klacze do sadu, gdzie śnieg piętrzył się jeszcze bardziej niż w innych miejscach. Później zrobiliśmy kilka rund po padoku, a na koniec wjechaliśmy na główną ścieżkę do lasu. Dzieciaki piszczały za każdym razem, gdy oprószył nas śnieg spadający z gałęzi.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam się lekko. Tuliłam do siebie dzieci, widziałam ich radość i sama byłam szczęśliwa. Wreszcie pozwoliłam sobie myśleć o rzeczach dobrych. Od prawie czterech lat było mi ciężko cieszyć się z drobnostek... Wszystko przypominało mi o tym, że Artura już nie ma. Myśl, że już nigdy nie zasiądzie z nami do stołu w porze obiadowej, nie zabierze dzieci na spacer, nie weźmie mnie w ramiona, raniła każdego roku coraz mocniej.

Ja wierzyłam, że w takich chwilach był z nami. Lubiłam myśleć, że siedzi, leży, przechadza się obok mnie i naszych pociech, a chociaż go nie widziałam, on mógł zobaczyć mnie.

Dziś, patrząc z zachwytem na zimową scenerię naszego małego Lilecka, mogłam znów zatopić się w tęsknocie za moim ukochanym mężem, a następnie przeżywać wszystko, co we mnie ożyło dzięki Filipowi. Śmiech Emilki i Jasia rozbrzmiewał mi w uszach niczym najwspanialsza piosenka, a wspomnienie tego głębokiego, mocnego głosu przeszywało dreszczem pod grubą warstwą ubrań.

Popatrzyłam też na tatę, tego złośnika i uparciucha, który tak łagodnie obchodził się z końmi, oglądając z zainteresowaniem okolicę. Widziałam jego zgarbione plecy,

które były wynikiem ciężaru dźwiganych na barkach problemów i trudnych rozważań. Myślałam o jego sercu, które przeszło zawał, ale nie poddało się, pomimo tego, że on bezustannie bombarduje je mocną kawą i papierosami, nie robiąc sobie nic z rad lekarzy.

Na koniec przed oczami pojawiła mi się Milena. Moja mała, zwariowana siostra, która przez własny błąd zmuszona była wreszcie dorosnąć. Skończyły się marzenia o księciu z bajki i mrzonki o romantycznej miłości jak z filmu. Pozostała szara rzeczywistość i samotne macierzyństwo, pozostała mała kawalerka we Wrocławiu i konieczność zmierzenia się z trudną codziennością. Pozostało napiętnowanie i gniew ojca, czyli to, co niszczyło ją najsilniej.

Ocknęłam się z zamyślenia, gdy tata zakończył kulig na podwórku. Emilka zeskoczyła z sań, a Jasia ściągnął mój tata. Dzieciaki od razu zaczęły szaleć w śniegu, robiąc przy tym mnóstwo radosnego hałasu. Ja zesłam z sań jako ostatnia i spojrzałam na ojca, który z kolei wpatrywał się w dzieciaki i uśmiechał tak lekko, że niemal niezauważalnie.

Podeszłam do niego, gładząc po drodze każdą z klaczy po szyi.

– Dziękuję, że zgodziłeś się na zorganizowanie dla nich tej rozrywki – powiedziałam cicho, uśmiechając się do niego.

– Daj spokój – odparł cicho i machnął ręką. Cały czas patrzył na wnuki.

– Chciałabym, żeby ten rok był lepszy niż ostatnie trzy lata...
– westchnęłam niby mimochodem, lecz tata od razu podłapał aluzję i cały się spiął. – Wiem, że wszystko się skomplikowało. Każdy z nas dołożył swoją cegiełkę do tych komplikacji. Tyle że w naszej rodzinie są dzieciaki, o które musimy się troszczyć. Może warto byłoby zakopać topór wojenny, co, tato? – zapytałam, patrząc na niego pełnymi emocji oczami. Dotknęłam jego ramienia. Pragnęłam, żeby na mnie spojrzał,

lecz on nie chciał tego zrobić. – Wiem, że w głębi serca cierpisz. Znam cię całe moje życie. Nie musisz głośno krzyknąć o uczuciach, by były one widoczne dla twoich najbliższych. Teraz jesteś wściekły na Milenę, ale w końcu ta wściekłość zelżeje i...

– Eliza, ostrzegam cię. Nie chcę o tym rozmawiać – powiedział przez zaciśnięte zęby, a mięśnie na jego pokrytej siwiejącym zarostem szczęce zadrgały niebezpiecznie.

– Nerozmawianie nie sprawi, że problem zniknie – wtrąciłam cicho, chociaż z subtelnym, acz wyczuwalnym naciskiem.

– Dla mnie ten problem już przestał istnieć – odparł chłodno, z właściwym sobie uporem.

W tym momencie już wiedziałam, że zamknął przede mną na głucho drzwi do swojej wrażliwości. Myślałam, że radość dzieci przypomni mu dobre chwile z naszego dzieciństwa, gdy całą trójką upatrywaliśmy w nim naszego superbohatera. Zawsze zabiegaliśmy o uznanie taty, bo dawał nam go niewiele, podczas gdy mama chwaliła każdego z nas za wszystko. Lubiliśmy obserwować go podczas pracy, a Kuba szybko wyrwał się do pomocy, od najmłodszych lat nabierając umiejętności, które teraz stanowiły jego codzienność. Ja i Milena też chciałyśmy pomagać, lecz większość „męskich” zajęć po prostu na starcie nas przerastała.

– Pogódź się z mamą. Z Kubą. Tylko o to proszę – odpowiedziałam cicho, poklepałam go po ramieniu i zanim zdążył odpowiedzieć cokolwiek, odeszłam od niego i dołączyłam do dzieciaków.

Zaczęliśmy lepić bałwana, a pomysł ten wysunęła Emilka, chcąc być pierwsza w klasie, która przyniesie zdjęcie swojego do szkoły. Rozpoczęliśmy toczenie pierwszej, największej kuli. W jednej chwili mróz przestał nam być straszny, a wszystko zastąpione zostało radością i śmiechem.

– Hej, mogę się dołączyć? – zawołała Ola, która wyszła z domu w zimowym umundurowaniu, gotowa do pomocy przy tworzeniu pierwszego bałwana w sezonie.

W tym czasie tata zdążył już odprowadzić konie do stajni i sanie do stodoły. Znów zaszył się w warsztacie, najwyraźniej potrzebując przemyśleć sobie kolejne sprawy... Może któreś z moich słów przebiło się przez jego gruby mur?

– Ciocia, ciocia! – pisnął Jaś, próbując toczyć najmniejszą kulę, która miała służyć za głowę dla bałwana.

Ola od razu rzuciła się do pomocy i razem zbierali śnieg, który zlepiął się bez trudu. Ja i Emilka popychaliśmy średnią kulę. Rosła z sekundy na sekundę.

W którymś momencie Ola padła na śnieg, udając, że nie ma już siły, a Jaś natychmiast zrobił to samo i zaczął się śmiać, wskazując paluszkami w niebo.

– Robiliście już aniołki na śniegu? – zapytała, zwracając się do dzieciaków.

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie.

– To dalej, robimy wszyscy razem! – odpowiedziała raźnie. Ja i Emilka od razu położyłyśmy się na śniegu i po chwili wszyscy ruszaliśmy nogami i rękami, tworząc cztery śnieżne aniołki: dwa duże i dwa mniejsze.

– Zrobiłam! – pisnęła Emilka. Wstała i oceniła swoje dzieło. – To naprawdę jest aniołek! Ma skrzydełka i sukienkę!

– Piękny! – pochwaliłam ją.

W dobrych humorach kontynuowaliśmy stawianie bałwana, a później kompletowaliśmy mu dodatki. Ola przyniosła z stodoły jakiś dziurawy garnek, który – ku niemałej uciechu dzieciaków – odegrał rolę kapelusza.

Jaś przytaszczył gałązkę spod kotłowni, a zaraz za nim pojawiła się Emilka z drugą. Ja pobiegłam do stajni po marchewkę na nos, a następnie wybrałam kilkanaście małych

węgielków, które Emilka z Jasiem sadowili na miejscu guzików, oczu i uśmiechu.

– Piękny! – zawołała moja córka, wyrzucając ręce nad głowę.
– Zróbmy mu zdjęcie! – poprosiła, patrząc to na mnie, to na Olę.

Bratowa z trudem wydobyła telefon spod warstw ubrań i wedle polecenia mojej córki obfotografowała bałwana z każdej strony.

– Macie ochotę na ciepłe kakao? – zapytała, patrząc na nas z radością.

– Nawet nie wiesz, jak ogromną – odpowiedziałam.

Otrzepałam ubrania dzieci z nadmiaru śniegu, po czym całą czwórką ruszyliśmy do domu Oli i Kuby, gdzie przez kilka minut pozbywaliśmy się zimowych ubrań w korytarzu, żeby w ogóle móc jakkolwiek poruszać się po ciepłym domu. Dopiero wtedy zobaczyłam, że na twarzach wszystkich wykwitły krwistoczerwone, mroźne rumieńce.

Ola zaprosiła nas do kuchni, gdzie rozsiedliśmy się przy stole, a sama od razu zabrała się do gotowania mleka na kakao.

– Jasiak też może wypić? – zapytała niby mimochodem, zerkając na mnie ukradkiem.

– Wypijemy z jednego kubka – odpowiedziałam, wiedząc, że mój synek nie może za bardzo wykraczać poza to, co zapisał mu dietetyk.

Całkiem dobrze nam szło utrzymywanie jego wagi w normie, ale to tylko dlatego, że zarówno ja, jak i mama przestrzegaliśmy jadłospisu i nie ulegałyśmy pokusom podsuwania Jasiowi kalorycznych przekąsek, co dla niego rychło zakończyłoby się otyłością. Staraliśmy się też, żeby miał dużo ruchu w ciągu dnia. Nie chciałam polegać tylko na rehabilitacji ruchowej odbywającej się w ośrodkach, do

których regularnie jeździliśmy, i sama też starałam się z nim ćwiczyć.

Ola przygotowała trzy kubki ciepłego kakao i ustawiła je przed nami, a następnie podała mi kuchenny ręczniczek, który rozłożyłam na bluzeczce Jasia, żeby nie poplamiał się podczas picia. Emilka otrzymała różową słomkę, a Jaś wybrał dla siebie zieloną.

Upiłam pierwszy łyk, sprawdzając, czy nie jest za gorące. Mój synek od razu otworzył buzię i wyciągał ręce, dając znak, że też chce spróbować. Ostrożnie przystawiłam mu słomkę do ust i pozwoliłam pociągnąć jeden łyk.

– Smaczne? – zapytałam z uśmiechem.

– Tak – odpowiedział Jaś, posyłając mi ten swój uroczy, niewinny uśmiech.

Spojrzałam na Emilkę, która delektowała się swoim kakao, a jej zaczerwienione policzki nawet odrobinę nie straciły koloru.

– Jutro też zrobimy aniołki na śniegu? – zapytała moja córka, patrząc najpierw na Olę, a następnie na mnie.

– Pewnie. Gdy wrócisz ze szkoły, to znów się pobawimy. Jaś jest chętny? – zagaiła Ola z tą swoją niesamowitą czułością i dobrą energią, którą zawsze emanowała jej osoba, gdy moje dzieciaki były w pobliżu.

Jasiek przytaknął ochoczo, a my uśmiechnęliśmy się do siebie. Najwyraźniej obie postanowiłyśmy dziś nie rozmawiać na trudne tematy, tylko skupić się na tym, co było dobre w dzisiejszym popołudniu. Wreszcie pozwoliłyśmy sobie na odrobinę beztroski, ciesząc się z pierwszego tegorocznego śniegu jak małe dzieci.

– A wiesz, ciocia, że dziadek zrobił nam kulig? – zapytała Emilka. Patrzyła na Olę roziskrzonymi oczami.

– Tak? I co, fajnie było?

– Super!

W tęczęwkach Oli coś zamigotało, jak gdyby smutek i uraza, które pojawiły się na samo wspomnienie mojego ojca. Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, lecz wtedy drzwi wejściowe otworzyły się, a krótki powiew chłodu wdarł się do kuchni.

W wejściu pojawił się Kuba. Miał na sobie gruby wełniany golf, który przed laty wydziergała mu na drutach mama. Jego twarz była wręcz purpurowa od mrozu, a włosy przyklejone do głowy od noszenia zimowej czapki.

– O, dzień dobry! – powiedział, zaskoczony naszym widokiem. Dzieci wystawiły dłonie, a on przybił im piątki na powitanie. – Zaraz wam coś pokażę. Będziecie zaskoczeni – dodał z błyskiem w oku, wzbudzając we wszystkich zaciekawienie.

Zniknął na moment w korytarzu, a po kilku sekundach ponownie się pojawił, trzymając w dłoniach karton. Zmarszczyłam brwi, Ola zrobiła to samo. Emilka natomiast wyciągnęła szyję, chcąc cokolwiek zobaczyć.

– Co tam masz, wujku? – zapytała, nagle zapominając o swoim pysznym kakao.

Wtedy ze środka dobyło się cichutkie miauknięcie.

– Kot! – pisnął Jaś, wbijając wzrok w karton.

Ola obserwowała Kubę, gdy ten postawił pudło na ziemi i otworzył je. Wszyscy zerwaliśmy się z miejsc i ruszyliśmy, żeby zajrzeć do środka.

– Jakie słodkie! – zawołała Emilka, klękając przy kartonie i dzielnie wkładając do środka dłoni, żeby pogłaskać pierwsze z trzech kociąt.

– Skąd ty je w ogóle masz? – zapytała Ola z niedowierzaniem, obserwując, jak Kuba wyciąga ze środka małą rudą kulkę.

– Znalazłem je w stajni. Spały sobie na sianie. Są bardzo głodne, bo jak tylko mnie zobaczyły, to zaczęły miauczeć –

wyjaśnił Kuba, obserwując trzymanego w ramionach kotka.

Emilka swoim słodkim głosikiem szeptała do pozostałych dwóch kociąt: pierwszy z nich był niemal cały biały, jeśli nie liczyć czarnego ogonka i kilku plamek na głowie. Drugi natomiast był rudy z białym ogonkiem i łapkami.

– Co my z nimi zrobimy? – westchnęła Ola ze zmartwieniem. Wyjęła z kartonu rudo-białego kotka. – Nawet nie mamy co dać im jeść... Są za małe, żeby pić mleko krowie. Może im przecież zaszkodzić.

– Ciocia, daj im kiełbasę albo parówkę – odpowiedziała Emilka, głaskając opuszkami palców białego kociaka. Jaś zsunął się z moich kolan i też przyklęknął przy kartonie, powtarzając czułe ruchy starszej siostry.

– Poczekajcie, coś im przygotuję. Są takie chudziutki – powiedziała Ola i wstała. Podała mi kociaka.

Dopiero gdy w moich dłoniach znalazło się jego małe ciało, zdałam sobie sprawę, jak bardzo były niedożywione. Czuć było żebra i kręgosłup okryte skórą porośniętą sierścią. Przytuliłam maleństwo do brzucha, bo drżało; może z zimna, a może ze strachu.

Ola przeszukała lodówkę, a następnie zabrała się do krojenia parówki na małą kostkę. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie było to odpowiednie jedzenie dla takich maluchów, ale w obecnej chwili liczyło się tylko to, żeby zjadły cokolwiek. Były zmarznięte i osłabione, a do tego pomiaukiwały żałośnie raz za razem.

– Kuba, trzeba je zawieźć do schroniska, przecież nie możemy ich tak po prostu zostawić na pastwę losu – powiedziała Ola, oglądając się przez ramię na męża.

Mój brat wyglądał, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał. Pod pewnymi względami był bardzo podobny do taty. Nigdy nazbyt wylewny w kwestii uczuć, ale z miękkim sercem do zwierząt. Wiedziałam, że nie zostawi tych kociąt bez

opieki. Jeśli zamierzałyby to zrobić, to przecież nawet nie przynosiłby ich do domu.

Głaskałam malucha, który powoli uspokajał się w moich objęciach, ale co chwila zerkałam na Jasia, który wyglądał tak, jakby kontakt ze zwierzęciem sprawiał mu nieopisaną radość i był niczym wejście do innego wymiaru. Uwielbiał konie, ale poza nimi właściwie nie znał innych zwierząt. Nie mieliśmy psa, bo po śmierci Azy, naszej wdzięcznej i wspaniałej bernardynki, która odeszła przed pięcioma laty po jedenastu latach życia, tata stanowczo powiedział, że nie chce więcej żadnego psa. Pamiętam, jak ciężko przeżył rozstanie z Azą, która każdego dnia nie odstępowała go na krok.

A koty, jak to koty, czasem przychodziły do nas latem z gospodarstw sąsiadów, lecz żaden nie został na dłużej. Dlatego właśnie to była taka nowość dla mojego syna, a do tego radość, że może dotykać takiego małego stworzenia, poznawać je i obserwować, jak się odpręża.

– Dziś już schronisko zamknięte – powiedział wreszcie Kuba, gdy Ola włożyła do kartonu talerzyk z drobno pokrojoną parówką, a my podstawiliśmy kocięta, które rzuciły się na jedzenie.

– To musimy je odnieść do stajni na tę noc, a jutro rano z nimi pojedziemy – odparła z roztargnieniem, przeczesując palcami włosy.

– Ciociu, a nie mogą zostać? – zapytała smutno Emilka, głaszcząc wszystkie kotki po kolei.

– Raczej nie, bo teraz zima i gdzie one będą mieszkać, żeby było im wystarczająco ciepło? – zapytała ze smutkiem i popatrzyła na Emilkę.

– Coś wymyślę – mruknął pod nosem Kuba.

– A może Filip mógłby się nimi zająć? – wypaliłam, zanim zdążyłam przefiltrować tę myśl.

Kuba i Ola spojrzeli na mnie z niedowierzaniem, a Emilka i Jaś z nadzieją, od której jak zawsze miękło mi serce.

– Jesteś pewna? – zapytała z powątpiewaniem Ola, unosząc lekko brwi.

Czy byłam pewna? Nie. Ani trochę. Każdy kontakt z nim był dla mnie bardzo trudny. A jednocześnie wiedziałam, że te kocięta będą u niego bezpieczne. Był weterynarzem i jakkolwiek by patrzeć, miał warunki do „przechowania” kociąt na tę jedną noc.

Wystarczyło jednak spojrzeć na Kubę, by zobaczyć, jak wielki sprzeciw się w nim gromadzi. Zmarszczone brwi i napięta szczęka były jasnym sygnałem, że... nie chce oddawać kociąt.

Skąd to wiedziałam? Bo znałam go całe życie. Od najmłodszych lat troszczył się o zwierzęta, ratował młode ptaki, które jeszcze nie potrafiły latać, zawsze wystawiał miskę z wodą w upalne dni i zostawiał uchylone okno w piwnicy podczas zimy, żeby koty mogły się tam ogrzać. Znalezienie tych małych istot z pewnością poruszyło tę wrażliwą strunę w jego sercu. Ola najwyraźniej nie dostrzegала tego, że jej mąż nie chce się z kociętami rozstawać.

– Właściwie... to tak tylko palnęłam – odparłam niepewnie. Uciekłam spojrzeniem w bok i wzruszyłam ramionami.

Ola znów skupiła się na kociętach, a ja i Kuba spojrzeliśmy na siebie, rozumiejąc się bez słów. Uśmiechnęłam się do brata pokrzepiająco, pragnąc dodać mu sił do zmierzenia się z reakcją żony.

– Kochanie, tak właściwie to myślę, że mogą u nas zostać... Chociaż na jakiś czas – powiedział spokojnie, nie zająknąwszy się nawet przez chwilę.

Ola poderwała głowę i popatrzyła na Kubę szeroko otwartymi oczami.

– Że co?!

– Tak, wujku, tak! Niech zostaną! – krzyknęła radośnie Emilka, a Jaś w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko i zaczął klaskać w dłonie.

Ola spojrzała na rozpromienione twarze dzieci, następnie na mnie, bo i ja się ucieszyłam, a w końcu na Kubę. Wyglądała na zawiedzioną, że nie znalazła we mnie wsparcia...

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – wyszeptała z niedowierzaniem.

– Ulokujemy je w kantorku obok kotłowni. Tam jest ciepło i przynajmniej będą bezpieczne. Za kilka dni pomyślimy, co dalej – odpowiedział z tym swoim niezmaconym spokojem.

– Ciociu, zgódź się. Zobacz, jakie są śliczne... – poprosiła Emilka, patrząc na Olę swoimi dużymi, jasnymi, błagalnymi oczami.

Jeszcze nigdy nie widziałam Oli tak bezradnej i pozbawionej jakiegokolwiek argumentu. Może nawet byłaby w stanie zachować stanowczość w obecności samego Kubę, jednak znałam ją doskonale i wiedziałam, że nadzieja i błaganie w oczach mojej córki oraz uśmiech Jasia pozbawiały ją wszelkiego zdecydowania. Za bardzo kochała moje dzieciaki, żeby sprawić im przykrość.

– Dobra, niech wam będzie... – mruknęła niechętnie, a wtedy Emilka i Jaś zerwali się z miejsc i padli jej w ramiona z radosnym piskiem. Kocięta, zbyt głodne i zajęte jedzeniem, nawet nie zareagowały na ten niespodziewany hałas.

Piętnaście minut później, po dokończeniu przestudzonego kakao i pożegnaniu się z najedzonymi i śpiącymi kotami, wyszliśmy z domu Oli i Kubę w doskonałych nastrojach.

Emilka z nieopisanym entuzjazmem opowiedziała najpierw mojej mamie, a następnie tacie o emocjach dzisiejszego popołudnia, kilkukrotnie powtarzając, że małe kotki znalezione przez wuja są absolutnie najpiękniejsze w całym kocim świecie.

Serce radowało mi się, gdy widziałam ją tak pełną energii i szczęśliwą. Jaś też zdawał się być w wyśmienitym humorze. Przysłuchiwał się siostrze czujnie i reagował radością w odpowiednich momentach opowieści.

Atmosfera w domu nieco się rozluźniła, a ja po raz pierwszy od kilku dni mogłam w lepszym niż zazwyczaj nastroju kłaść dzieci spać.

Późnym wieczorem napisałam do Mileny wiadomość z pytaniem, czy wszystko jest w porządku z nią i Amelką. Odpisała niemal natychmiast, że właśnie ją nakarmiła i kładzie się spać, bo jest padnięta. Zapytała też, kiedy ją odwiedzę.

Obiecałam, że niebawem. Miałam przy tym nadzieję, że tym razem nie zastanę u niej Filipa.



W kolejnych dniach wzięłam się do porządków. Zaczęłam od mycia okien i prania firan oraz pościeli. Działalam na pełnych obrotach w każdej chwili, gdy nie musiałam jechać z Jasiem na jakieś zajęcia. Najbardziej wypełnione były poniedziałki i piątki, ale mimo wszystko nie było dnia, żebym nie musiała gdzieś z moim synkiem jechać. Chciałam nadrobić to, czego nie zrobiłam przed świętami, bo najzwyczajniej w świecie zabrakło mi czasu.

Wyciągnęłam Jasiowi cały karton książeczek, kolorowanek i zabawek, a on dzięki temu zajął się na większość dnia. Podczas sprzątania nuciłam sobie nieświadomie najróżniejsze piosenki.

Postanowiłam sobie, że postaram się ten rok przeżyć lepiej. Nie przepłacę go i zacznę nosić kolorowe sukienki. Zmiany nie przychodziły mi łatwo i byłam pewna, że jeszcze sto razy się rozmyślę, ale chciałam wykonać ten jeden krok naprzód.

Wierzyłam, że Artur będzie ze mnie dumny.

Lubiłam myśleć, że patrzy na nas z góry i uśmiecha się, gdy odnosimy sukcesy. Tylko wtedy, gdy byłam z Filipem, poddając się namiętności i uczuciom, czułam, że pod skórą rodzą mi się wyrzuty sumienia, które zaatakują w najmniej spodziewanym momencie.

Wiedziałam, że nie zdradziłam Artura. Byłam wdową, byłam samotną matką i samotną kobietą. Moje serce miało prawo drgnąć po raz drugi – to uświadomił mi właśnie Filip. Uczucia względem innego mężczyzny nie plamiły wspomnień o Arturze. Początkowo myślałam, że tak, ale czas, te miesiące, gdy ponownie lizałam rany po stracie kogoś bliskiego, uświadomiły mi z całą mocą, że pod wieloma względami się po prostu okłamywałam.

Trzy lata po stracie Artura przypominały zawieszenie, próżnię, niemoc i bezdech. Ożywienie pojawiło się w momencie, gdy do Lilecka przyjechał Filip. Obłaskawił moje burzowe emocje, przygarnął moje dzieci, jak gdyby bez trudu znalazły drogę do jego serca.

Mój świat mocno się zmienił.

Chciałam przeć naprzód z kolejnymi zmianami. Od dawna przymierzałam się do reorganizacji mojej szafy z ubraniami. Marzyłam w głębi serca o chwili, gdy ubiorę coś kolorowego, nieżałobnego. W wyobraźni widziałam te wszystkie kwiatowe sukienki, które były modne minionego lata. Mnie wystarczyłaby czerwona czy zielona bluzka. Tylko tyle.

I aż tyle.

W sobotni poranek zadzwonił telefon, a moje ciało jak zawsze zareagowało w ten sam irracjonalny sposób. Okazało się, że to

Kamila.

– Halo? – odebrałam z pozornym spokojem, chociaż bałam się, że znów usłyszę jej zapłakany głos.

– Cześć, Eliza – przywitała się raźnie, co automatycznie sprawiło, że oblała mnie fala ulgi. – Dzwonię w bardzo ważnej sprawie, ale nie jest to rozmowa na telefon. Miałabyś czas i ochotę spotkać się ze mną dziś na kawie? – zapytała, a ja bez trudu usłyszałam w jej głosie nutę podekscytowania.

Zmarszczyłam brwi, nie bardzo rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi. Zdawała się napełniona mnóstwem dobrej energii.

– Tak, jasne – odpowiedziałam spokojnie i odchrząknęłam. – Możemy się spotkać za jakieś dwie godzinki?

– Mi pasuje. Kawiarnia w centrum? – zaproponowała entuzjastycznie.

– Pewnie – odparłam, a po chwili ciszy wzięłam głęboki oddech i zapytałam: – Kamila, czy u ciebie wszystko w porządku?

Zamilkła na chwilę, a to automatycznie przywróciło wszystkie moje obawy.

– Wiem, że się martwisz, ale od tego ostatniego incydentu jest spokój. Nie przyszedł, nie zadzwonił. Jest dobrze – zapewniła z nutą wdzięczności w głosie.

Zabrzmiała szczerze, więc odetchnęłam.

– Cieszę się – przyznałam z ulgą. – To co, do zobaczenia?

– Tak jest – odparła radośnie i rozłączyła się.

Dwie godziny później, po kilkuminutowym poszukiwaniu miejsca parkingowego, weszłam do kawiarni, w której się umówiłyśmy. Dzieciaki zostawiłam w domu z moją mamą, a przed wyjściem zdążyłam zauważyć, że przeobraziły salon w pole bitwy na pluszaki.

Kamila siedziała przy stoliku na końcu pomieszczenia, popijając kawę i przeglądając zapiski w rozłożonym przed sobą

notatniku. Usłyszawszy dźwięk dzwoneczka zawieszonego nad drzwiami, podniosła głowę i uśmiechnęła się na mój widok.

Pod starannie wykonanym makijażem nie było widać nawet cienia siniaka, a kącik ust zdążył się już zagoić. Wyglądała dobrze, ładnie i spokojnie, a z jej oczu emanowała dobra energia.

Zdjęłam szal oraz płaszcz i powiesiłam na ustawionym przy drzwiach wieszaku. Ruszyłam do stolika, a Kamila wstała i przytuliła mnie mocno na powitanie.

– Cieszę się, że jesteś – wyszeptała mi do ucha.

– A ja się cieszę, że tak świetnie wyglądasz – odparłam ze znaczącym uśmiechem.

Zasiadłyśmy naprzeciwko siebie przy okrągłym, kawiarnianym stoliku, a przy nas raptownie pojawił się kelner. Młody mężczyzna uprzejmie zapytał, czy życzę sobie coś zamówić. Poprosiłam o zwykłą czarną kawę.

– A więc o co chodzi? Co to za ważna sprawa? – zapytałam, składając ręce na blacie stolika i patrząc na Kamilę z zaciekawieniem.

Jej usta przyozdobił szeroki, szczery uśmiech, ukazujący rząd niemal idealnie prostych zębów. Instynktownie pogładziła leżący przed sobą notes, jakby to tam skryta była cała tajemnica.

– Mam dla ciebie propozycję, i to nie byle jaką – zaczęła energicznie, najwyraźniej próbując na starcie zarazić mnie swoją pozytywną energią.

– Zamieniam się w słuch – odparłam, przytakując krótko.

– Dobra, zaczynam. Tylko obiecaj, że wysłuchasz mnie do końca – zastrzegła z uniesionymi brwiami. Przytaknęłam niepewnie, obserwując ją uważnie. – Jak wiesz, pracuję w przedszkolu specjalistycznym i mam do czynienia z różnymi dziećmi. Moja szefowa jest dość konserwatywna i często ciężko mi ją przekonać do moich pomysłów, lecz tym razem się

zgodziła – powiedziała z dumą, a ja zmarszczyłam brwi, kompletnie nic nie rozumiejąc z jej słów. – Rok już trwa i jeszcze nie zdarzyło się, żebyśmy w trakcie semestru przyjęli jakieś dziecko, ale tak się składa, że opowiedziałam jej szczegółowo o Jasiu. Przedstawiłam twój wkład w jego rozwój, opisałam postępy i to, co sama z nim ćwiczyłam. Po raz pierwszy udało mi się ją przekonać do tego, żeby przyjął dziecko w trakcie roku do naszego przedszkola – wyjaśniła z szerokim uśmiechem, patrząc na mnie roziskrzonymi z radości oczami. Wszystko się we mnie napięło, a oddech zamarł w płucach. – Akurat tak się złożyło, że mamy w przedszkolu grupę czterech dzieci, a troje z nich ma zespół Downa. Jest też chłopiec z autyzmem. Opiekę nad tą grupą objęłam ja i moja koleżanka, Basia. Teraz mamy wiele ciekawych zajęć związanych z zimą, więc dzieciaki są bardzo pozytywnie nastawione i chętnie wykonują zadania. To idealny moment, żeby... wprowadzić Jasia do grupy – wyszeptała z nadzieją w oczach i uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco.

Podczas jej przemowy zacisnęłam palce na papierowej serwetce i nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Strach objął mnie niczym stara przyjaciółka... Pomyślałam o moim małym chłopcu, który bywał czasem tak nieśmiały i zagubiony, a wśród obcych czuł się źle i nieswojo. Wyobraziłam go sobie z innymi dziećmi i poczułam, że to ponad moje siły. Oddanie go do przedszkola byłoby jak pójście na łatwiznę...

Kamila dotknęła delikatnie mojej zaciśniętej dłoni, a ja ocknęłam się z ponurych myśli i spojrzałam na nią zagubionym wzrokiem.

– Spokojnie, Eliza. Wiem, że się boisz. Rozumiem to. Każdy rodzic ma takie obawy, ale wierz mi, że to nic strasznego – zaczęła z pokrzepiającym uśmiechem. – Proponuję, żebyś przyjechała z Jasiem w poniedziałek do naszej placówki.

Zobaczysz przedszkole, Jaś pozna dzieci z grupy. Dyrektorka chciałaby też z tobą porozmawiać. Możemy spróbować wprowadzić Jasia i zobaczyć, jaki będzie efekt. Włączymy go do naszych zabaw, a ty przez cały czas będziesz go miała na oku. Poznasz też Basię, jest świetna i kocha dzieciaki z całego serca – zapewniła szczerze i ułożyła drugą dłoń na mojej. – Mam nadzieję, że mi ufasz. Jeśli tak, to liczę, że dasz mi swojego synka pod opiekę. Kontakt z innymi dziećmi dobrze mu robi. Każdą naszą grupą opiekuje się szereg osób, począwszy od minimum dwóch opiekunek i pedagoga, przez psychologa, fizjoterapeutę i pielęgniarkę, aż po logopedę. Jeździmy z dziećmi na wycieczki, organizujemy im ciekawe spotkania, poszerzamy ich horyzonty i uczymy działania w grupie – wyjaśniła, a po chwili puściła moją dłoń i przekartkowała notes, wręczając mi wizytówkę placówki. – Tu masz adres. Od poniedziałku do piątku jesteśmy otwarci od ósmej do szesnastej. Nie bój się. Przyjeźdź. Zobaczysz, że to będzie ogromny krok naprzód – wyszeptowała z zachętą, patrząc mi w oczy radośnie i bez najmniejszego strachu.

Czasem tak łatwo zapominałam, że Kamila kiedyś znała mnie najlepiej. Potrafiła odczytać moje myśli i przewidzieć, co powiem za chwilę. Teraz poznała, że się boję. Od pierwszego dnia mojego dziecka na świecie byłam przy nim ciągle. Każdy wzlot i upadek, każda dobra i zła wiadomość – wszystko przechodziliśmy razem. Wyobrażenie sobie części dnia bez niego było nie do pomyślenia.

Kamila uśmiechnęła się ze zrozumieniem i raz jeszcze zajrzała do notatnika. Po chwili wyciągnęła w moim kierunku zdjęcie.

Fotografia przedstawiała czworo dzieci i dwie kobiety. Od razu poznałam Kamilę, a druga kobieta, zapewne Basia, była ładna i bardzo wysoka. Między nimi stały dzieci. Dwie dziewczynki i chłopiec z zespołem Downa oraz drugi, wyższy

i szczuplejszy od pozostałej trójki. Wszyscy się uśmiechali. Z ich twarzy i oczu biła ogromna radość, jak gdyby możliwość wspólnego spędzania czasu i uczenia się nie była obowiązkiem, a wyłącznie przyjemnością.

Zerknęłam na Kamilę i oddałam jej zdjęcie z cichym westchnieniem.

– Muszę to przemyśleć... – powiedziałam niepewnie i dla zajęcia czymś dłoni chwyciłam za filiżankę i wypięłam trzy szybkie łyki mojej czarnej kawy. – Nigdy nie rozstawałam się z Jasiem i po prostu nauczyłam się dostosowywać każdy mój dzień do jego potrzeb... – dodałam, jakbym chciała usprawiedliwić przed Kamilą moją paniczną reakcję.

– Wiem, kochana. Rozumiem to, naprawdę. Po prostu chciałabym dać Jasiowi szansę na poszerzenie horyzontów – powiedziała cierpliwie Kamila i uśmiechnęła się w sposób, który sprawił, że wysoki poziom mojego stresu nieco opadł. – Tutaj masz ulotkę naszego przedszkola – dodała, wyciągając z notesu kolorową broszurkę w kształcie książeczki. – Zastanów się i jeśli będziesz chętna, to zapraszam was w poniedziałek. Moja szefowa będzie na ciebie czekać.

Spojrzałam przez witrynę kawiarni z zamyśleniem, obserwując spadające powoli płatki śniegu. Pierwszy puch już zniknął, lecz niemal każdego dnia z nieba spadała świeża warstwa. Zimowa aura unosiła się w powietrzu.

Upięłam kilka łyków kawy i przetrawiałam słowa Kamili. Nie mogłam czuć do niej złości, bo wiedziałam, że chciała dobrze. W ciągu kilku ostatnich miesięcy obserwowałam, jak jej relacja z moimi dziećmi rozkwitała. Nie byli już dla siebie obcy, nie byli sobie obojętni. Stworzyli niezwykłą więź, która owocowała podczas wspólnych zajęć. Jaś w większości podejmował się zadań chętnie. Tylko czasem bywały dni, gdy nie miał na nic ochoty i markocił. Jednak nawet on nie był

w stanie zignorować serdeczności mojej przyjaciółki z czasów liceum.

– Myślę, że warto spróbować... – powiedziałam w końcu, znów bawiąc się papierową serwetką i skupiając na tym wzrok, jakby to było szalenie ważne zajęcie. – Jeśli sobie poradzi, to rozważę zapisanie go do przedszkola. Jest już na tyle duży, że...

– Cieszę się, Eliza. Ze względu na niego, ale też na ciebie – przyznała z ciepłym uśmiechem. – Wreszcie będziesz miała kilka godzin dziennie dla siebie...

– Ale ja nie chcę – westchnęłam słabo, bo moją pierwszą myślą było to, co ja pocznę ze sobą, jeśli nie będę miała Jasia, którym trzeba się opiekować.

– Chcesz, tylko jeszcze o tym nie wiesz – odpowiedziała z przekonaniem.

Patrzyłam na nią ze zdumieniem. Niesamowite, jak ona potrafiła się odradzać. Przy naszym ostatnim spotkaniu przypominała drżący kłębek nerwów, natomiast teraz zachowywała się tak, jakby sytuacja z jej byłym mężem nigdy nie miała miejsca. Ukryła pod warstwą makijażu wszelkie pozostałości po siniaku, wydobyła z siebie uśmiech i dobrą energię, mając jej tak wiele, że chciała jeszcze ze mną się nią podzielić. Chociaż to może oklepane porównanie, była niczym feniks odradzający się z popiołów. Zarówno przed laty, jak i obecnie.

Rozmawiałyśmy ze sobą jeszcze przez pół godziny. Ona mnie uspokajała i napełniała nadzieją, a ja upewniałam się po kilka razy, że w sprawie jej męża nie nastąpiło jakieś gwałtowne pogorszenie, które przede mną ukrywała.

Wyszłam z kawiarni, owinęłam twarz szalem i patrzyłam, jak z nieba coraz gęściej sypie śnieg. Szłam w kierunku samochodu, wdychając mroźne powietrze, i czułam, że powoli,

bardzo powoli, moje serce ogrzewa się ciepłem wydzielanym przez małą iskierkę nadziei.



Położyłam dzieci spać, a później do północy rozmawiałam z mamą. Opowiadałam jej o spotkaniu z Kamilą i jej propozycji. Popijałyśmy ciepłą herbatę z gwiazdkami anyżu i analizowałyśmy wszystkie wady oraz zalety oddania Jasia do przedszkola. Ostatecznie mama stwierdziła, że powinnam spróbować, bo mój synek zasługuje na to, żeby znaleźć się wśród innych dzieci, od których nie będzie odstawał pod żadnym względem.

W nocy poszperałam trochę w sieci, czytając o różnych przedszkolach specjalnych. Później przejrzałam stronę placówki, w której pracowała Kamila, a na koniec zapoznałam się z opiniami rodziców dzieci, które tam uczęszczały. Wszyscy byli bardzo zadowoleni z jakości kształcenia oraz podejścia opiekunów do podopiecznych.

Nie wiem, jak to się stało, ale w niedzielę po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zasnęłam. W którymś momencie wyciszyłam budzik i odwróciłam się na drugi bok, nie chcąc utracić senności.

Dopiero słodki głosik mojego synka sprawił, że się obudziłam. Zerknęłam na zegarek i z niemałym zdziwieniem zobaczyłam, że było kilkanaście minut po ósmej. Mama zaproponowała, żebyśmy wszyscy pojechali do kościoła. Przygotowałam dzieciaki, następnie sama się ubrałam i przed godziną jedenastą wyjechaliśmy.

Zaplanowałam sobie, że pojedę na cmentarz wieczorem, bo w ciągu dnia chciałam zabrać dzieciaki na zimowy spacer po sadzie i powiedzieć Jasiowi o tym, że jutro pojedziemy w nowe miejsce, gdzie pozna inne dzieci. W efekcie wszystkie moje plany spaliły na panewce, bo niespodziewanie w gościnę przyjechała dawno niewidziana kuzynka mojej mamy, ciocia Łucja. Spędziliśmy całkiem miłe popołudnie, rozmawiając o starych czasach i wymieniając się informacjami, co u nas. Dziękowałam cioci w duchu, że nie rozpoczęła trudnego tematu Artura. Kilka razy chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymywała i uśmiechała ze zrozumieniem.

Nadszedł wieczór i pora na położenie dzieci spać. Kąpiąc je, a później czytając im bajki przed zaśnięciem, czułam dziwną nerwowość spowodowaną tym, że nie dotarłam przez cały dzień na cmentarz.

Gdy tylko Jaś zapadł w sen, zjrzałam do Emilki i upewniłam się, że ona także śpi, po czym zeszałam na parter i poinformowałam mamę, że jadę na grób Artura.

– O tej porze? Przecież jest późno – powiedziała ze zmartwieniem, zerkając na zegarek.

– Niedługo wrócę – odpowiedziałam w pośpiechu i już mnie nie było, bo nie chciałam tracić więcej czasu.

Na cmentarz zjechałam równo o dwudziestą drugą. Wokół było cicho i spokojnie, a z nagrobków unosiła się ciepła poświata, tak niesamowicie kontrastująca ze śniegiem i mroźnym powietrzem.

Zamknęłam auto i ruszyłam dobrze mi znaną ścieżką w kierunku grobu mojego męża. Nie czułam strachu ani niepokoju. Nie myślałam o tym, że ktoś mógłby mnie napaść lub skrzywdzić. To byłoby niedorzeczne.

Cmentarz tonął w ciszy, a jedynym dźwiękiem był stukot moich obcasów o wybrukowaną ścieżkę. Z dłońmi ukrytymi

w kieszeniach płaszcz szłam przed siebie, myśląc o tym, że nerwowość, która towarzyszyła mi w ciągu dnia, wreszcie znika.

Z zamyślenia wyrwał mnie widok, który na krótki moment zmroził mi krew w żyłach. Przystanęłam i sapnęłam cicho w wyniku zaskoczenia i nagłego strachu, który przeszył moje wnętrze, gdy spojrzałam w kierunku grobu Artura.

Na niedawno postawionej ławeczce siedziała jakaś postać. Początkowo jej nie poznałam. Za moment wszystko stało się jasne.

Z łokciami opartymi na kolanach ciemnych spodni i dłońmi splecionymi przed sobą jak do modlitwy, na ławeczce siedział Filip. Jego twarz skryta była w mroku nocy, tylko częściowo oświetlana poświatą ognia ze zniczy. Widziałam, że wzrok wbity miał w płytę nagrobną. Myślami odpłynął gdzieś bardzo daleko.

Chciałam się odwrócić i odejść, poczekać w samochodzie, aż opuści cmentarz, i wrócić, lecz stałam w miejscu, jak gdyby ktoś zabetonował mi nogi, i nie mogłam przestać patrzeć.

To był przejmująco smutny obrazek i nic nie mogłam poradzić na to, że pod powiekami szybko zgromadziły mi się gorące łzy, które potoczyły się po zmarzniętych policzkach. Patrzyłam na Filipa, który pod osłoną ciemności siedział przy grobie brata i wyglądał tak, jakby na jego barkach spoczywał olbrzymi ciężar, którego nie miał już siły dźwigać. Wyglądał jak człowiek przegrany, jak ktoś, kto już odpuścił.

Nie mogłam znieść myśli, że mógłby to zrobić. Nie on. Był zbyt dobry. Zbyt wartościowy. Serce ścisnęło mi się do bólu, a pomiędzy spierzchniętych ust wydobył się jeden drżący oddech.

I zaczęłam iść. Wszystko zniknęło, nawet stukot obcasów, otoczenie tak smutne i przygnębiające. Liczyło się tylko to,

żeby podnieść Filipa i upewnić się, że się nie podda. Ani teraz, ani nigdy.

Usiadłam obok niego niemal bezszelestnie, a on ocknął się i wyprostował, patrząc na mnie z tak bezbrzeżnym szokiem, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widziałam. Wpatrywał się we mnie swoimi sztormowymi, przepięknymi oczami, nie dowierzając w moją obecność.

Ja patrzyłam na niego i chłonełam każdy szczegół jego przystojnej, męskiej twarzy. Tej, za którą tak bezgranicznie tęskniłam. Każda zmarszczka, ciemny zarost, prosty nos, siwiejące lekko skronie i intensywnie różowe usta, a przede wszystkim te hipnotyczne oczy, które skradły fragment mojego serca już przy drugim spotkaniu, gdy wreszcie mogłam je zobaczyć, bo nie ukrywał ich za okularami awiatorykami – to wszystko było Filipem. Tym, który wyciągnął mnie siłą z bardzo ciemnego miejsca i tchnął we mnie życie, nie pozwalając zatracić się bez reszty w poczuciu smutku, tęsknoty i beznadziei.

Dał mi tak wiele w ciągu tak krótkiego czasu, a ja wzgardziłam tym wszystkim w momencie, gdy dowiedziałam się, że ukrywał przede mną prawdę. Bardzo istotną i rzutującą na wszystko, czego się dopuściliśmy, w sposób, którego nie mogłam i nie potrafiłam zignorować.

Gdzieś w ciągu tych długich, smutnych miesięcy wybaczenie przyszło samoistnie. Pomiedzy tęsknotą, strachem i bólem zrodziło się niespodziewanie, osiadając trwale w centralnej części mojego serca.

Patrzyłam na tego mężczyznę i wiedziałam, że już nie czuję nienawiści za przemilczenie prawdy. Poczucie krzywdy i oszukania także odeszło.

Pozostały tylko tęsknota i strach przed ponownym zaufaniem.

A także silne pragnienie, by chociaż raz znów być przy nim tak, jak wcześniej.

– Co tutaj robisz? – zapytał cicho; praktycznie nie poruszał ustami.

Przesunęłam wzrokiem po jego twarzy i zatrzymałam się na oczach. W nich była cała prawda. Te wszystkie uczucia, które zmuszony był zachować dla siebie, bo ja ich nie chciałam. To zmęczenie naszą sytuacją, to rozdarcie i skrzywdzenie.

Serce mi pękało i nic nie mogłam na to poradzić.

– Nie dałam dziś rady przyjechać tutaj w ciągu dnia. Postanowiłam zrobić to teraz – odpowiedziałam równie cicho, bojąc się zakłócić atmosferę spowijającą cały cmentarz. Tak rozległy, jak okiem sięgnąć.

– Przychodzę tu kilka razy w tygodniu... – wyznał, jak gdyby ten fakt ciążył mu na sercu i chciał go jak najszybciej wyznać.

– Skoro już wiesz o wszystkim, nie czuję się jak intruz – dodał usprawiedliwiająco, przesuając spojrzenie gdzieś w bok i zrywając nasz kontakt wzrokowy.

– Możesz tu przychodzić, Filip. Kiedy tylko chcesz. To przecież... to był twój brat – odpowiedziałam przez ściśnięte gardło i szybko otarłam wilgotne od łez policzki.

– Tak... – odparł z zadumą. – To był mój brat.

Ciężka gula zebrała mi się w gardle, utrudniając oddychanie. Bolała mnie krtań od powstrzymanego szlochu, ale nie chciałam właśnie teraz zacząć głośno łkać. Nie w momencie, gdy ja i Filip rozmawialiśmy ze sobą tak naprawdę po raz pierwszy od kilku miesięcy.

Zacisnęłam ręce na podołku i popatrzyłam na płytę nagrobną mojego męża. Spotkaliśmy się nad jego grobem może nie bez powodu. Mogłabym pomyśleć, że pamięć o nim utworzy mur pomiędzy mną a Filipem, tak się jednak nie stało. Był obok nas, jak gdyby obserwował i czekał na to, co wydarzy się dalej.

– Ciągłe mnie nienawidzisz? – zapytał Filip i popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Chciał poznać odpowiedź, niezależnie od tego, jaka by ona nie była. Jego odwaga mi imponowała. Nawet w takiej chwili. A może zwłaszcza w takiej chwili.

– Nie, Filip. Nie nienawidzę cię. Już ci wybaczyłam. Nie wiem kiedy, ale to się stało. Tak po prostu – przyznałam szczerze i wpatrzyłam się w jego otoczone półmrokiem tęczęwki. Posłałam mu lekki, łagodny uśmiech, bo bardzo chciałam roztopić tę ogromną bryłę lodu, która dryfowała pomiędzy nami.

Tak wiele było niewypowiedzianych słów, tłumionych uczuć i prawd płynących z głębi serca, lecz oboje odczuwaliśmy strach. Silny, krępujący, obezwładniający.

– Ja za to chyba nigdy nie wybaczę sobie, że dowiedziałaś się w taki sposób. Nie zasłużyłaś na to, żeby być oszukiwana. Zwłaszcza że ty i ja... – Urwał i ukrył twarz w dłoniach, a po chwili przetarł ją i wziął głęboki oddech. – Nawet nie wiesz, jak mnie to męczy. Świadomość, że miałem cię w swoich ramionach i na własne życzenie straciłem – wyszeptał przez zaciśnięte zęby, jak gdyby towarzyszył mu w tym momencie najprawdziwszy ból.

To stało się samo. Moja dłoń spoczęła na jego ramieniu w geście, który znaczył więcej, niż mogłoby się wydawać. To było pocieszenie, bliskość, tęsknota i miłość. Pomimo wszystko nadal była miłość.

– Nie cofniemy przeszłości, Filip – wyszeptałam cicho, zaciskając dłoń na materiale jego płaszcza.

– Gdybym mógł to zrobić, to chciałbym, żeby Artur żył. Chciałbym go poznać i zobaczyć, jak przepięknie szczęśliwa przy nim byłaś – wyznał z tak obezwładniającą szczerością, że naraz całkowicie zabrakło mi tchu. – To wszystko jest tak cholernie pochrzaniłone, wiesz? Nie planowałem cię pokochać,

Eliza. Chciałem cię tylko poznać. Zobaczyć, jaką rodzinę miał mój brat. Tyle że to wszystko okazało się tak niebezpiecznie uzależniające. Wszedłem w to raz i wystarczyło, żeby z dnia na dzień pragnąć więcej. Dzieciaki, ty, wasze ciepło, miłość... Ja tego nie miałem, a tak bardzo chciałem mieć. Wtedy, gdy zastałem cię w sadzie na hamaku... Szedłem, żeby z tobą porozmawiać, a zobaczyłem, że śpisz w promieniach słońca z dziećmi przytulonymi do twojego ciała. Stałem tam przez chwilę, wstrzymywałem oddech i drżałem jak osika, bo wiedziałem już, że to gorąco w klatce piersiowej nie jest przypadkowe. To oznaczało miłość. Taką, która odbudowuje to, co zostało zniszczone w przeszłości. Bałem się jak cholera, Eliza. Kochać żonę przyrodniego brata... Szaleństwo, co nie? – Z jego piersi wydobył się suchy, pozbawiony wesołości śmiech, lecz zaraz rozpląnął się w mroźnym nocnym powietrzu.

Uniosłam głowę do góry i wpatrzyłam się w idealnie bezchmurny nieboskłon. Miliardy gwiazd migotały do nas swoim pięknym, zachwycającym blaskiem, towarzysząc nam podczas tej trudnej rozmowy w tym smutnym miejscu. Ktoś kiedyś powiedział, że noc lubi odzierać ludzi ze skrzętnie skrywanych tajemnic. Teraz wiedziałam, że to była prawda. Filip mówił, jak gdyby z ulgą uwalniał wszystkie te słowa, otulając mnie ich ciepłem, a jednocześnie trafiając w sam środek pokiereszowanego serca.

Tak łatwo było go pokochać. Wdarł się do mojego życia i zrobił w nim niemałą rewolucję, chociaż nie od razu zdałam sobie z tego sprawę. Zmiany tylko w teorii zachodziły powoli, lecz w praktyce to wszystko po prostu mną zawładnęło. Bez uprzedzenia, jak nastolatkę, która zakochuje się pierwszy raz.

A przecież ja już od lat nie byłam nastolatką.

I wielką miłość przeżyłam po raz drugi. Jedno uczucie, a dwie tak różne relacje. Pierwsza była spokojna i rozsądna, natomiast druga zaatakowała mnie z siłą, która miała szansę

zmieść mnie z powierzchni ziemi tylko dlatego, że pojawiła się tak nagle.

– Czy Artur by mi wybaczył? – zapytał zduszonym szeptem Filip, wpatrując się w grób mojego męża.

To było trudne pytanie. Chociaż z drugiej strony banalnie łatwe.

– Myślę, że tak. On potrafił wybaczać – przyznałam szczerze i uśmiechnęłam się leciutko na wspomnienie tej jednej, konkretnej sytuacji, gdy jego wybaczenie stanowiło opatrunek na moją rozpacz.

To było w dzień pierwszych urodzin Emilki. Od rana biegałam na najwyższych obrotach, przygotowując przyjęcie dla najbliższych. Córka markociła i płakała, a w piekarniku przypiekał się kurczak. Nie miałam pojęcia, w co włożyć ręce, i byłam święcie przekonana, że poprosiłam w SMS-ie Artura o to, by odebrał zamówiony tort z cukierni. Gdy mój mąż wrócił do domu – oczywiście bez tortu – zrobiłam mu okropną awanturę o to, że wszystko zostawił na mojej głowie. Artur natomiast upierał się, że żadnej wiadomości nie otrzymał. W ruch poszły garnki i dwa talerze, bo byłam w stanie tak głębokiej rozpacz i strachu o to, że nic się nie uda, że ostatecznie rozplakałam się jak dziecko i sprawdziłam telefon, chcąc się upewnić, że wysłałam wiadomość. Okazało się, że nie, bo zapisała się jako kopia robocza i nigdy nie dotarła do Artura.

Wtedy to ja powinnam go przeprosić, ale za bardzo skupiona byłam na uzalaniu się nad samą sobą, żeby to zrobić. On oczywiście pojechał po tort i odebrał go na czas, a na kilka minut przed przybyciem gości podszedł do mnie, wziął w ramiona i pocałował, dając tym samym znać, że nie ma mi za złe mojego niesłusznego wybuchu wściekłości.

Tak, był niezwykłym mężczyzną. Pod każdym względem. Kochanie go było tak naturalne jak oddychanie i nigdy nie

sprawiało mi trudności.

To samo tyczyło się Filipa. Jego także łatwo było kochać.

– Chyba już będę się zbierał – powiedział nagle Filip, gdy cisza między nami za bardzo się przedłużała. Wstał powoli, ociągając się, a ja spojrzałam na niego z taką desperacją, jakby miał odejść na zawsze.

– Poczekaj – poprosiłam cicho, po czym przykucnęłam przed grobem Artura i odmówiłam cichą modlitwę. Na koniec powiedziałam w myślach, że go kocham i zawsze będę kochać.

Wstałam i odwróciłam się, napotykać wzrok Filipa. Dostrzegłam w jego oczach jakąś iskrę, która zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Przez kilka sekund patrzeliśmy na siebie, a po chwili bez słowa ruszyliśmy w kierunku wyjścia z cmentarza.

Szliśmy obok siebie ramię w ramię, mijaliśmy dziesiątki, a może nawet setki grobów, wdychaliśmy mroźne powietrze i dryfowaliśmy myślami w niejasno określonych kierunkach. Obecność Filipa już nie sprawiała mi problemu, nie była źródłem smutku i niedogodności.

Tego wieczora, tak niespodziewanie, poczułam się dobrze w jego towarzystwie.

– Tak się zastanawiam... – zaczęłam cicho, przerywając panującą między nami ciszę – czy zamierzasz porozmawiać z Elżbietą?

Zobaczyłam, jak jego twarz stężała w wyrazie niepokoju, a ramiona napięły się pod materiałem zimowego płaszcza. Z rozchylnych ust Filipa wydobył się kłębek pary, gdy wypuścił powietrze.

– Zaczynam mieć wątpliwości, czy powinienem otwierać tę puszkę Pandory – przyznał z rozbijającą szczerością, a w jego głosie zabrzmiała gorzkość, która ścisnęła mi serce niemal do bólu.

– Dlaczego?

Te sztormowe oczy wpatrzyły się w moje tak głęboko, że na krótki moment przystanęliśmy, bo obojgu nam zabrakło słów.

– Co mi to tak właściwie da? Ona mnie tylko urodziła, ale nie jest moją matką – odpowiedział z goryczą, wzruszając ramionami. – Ciągłe się zastanawiam, jak zacząłbym tę rozmowę... „Dzień dobry. Mam na imię Filip i jestem twoim synem, którego porzuciłaś przed laty”? – zadrwił sucho, patrząc przed siebie.

– Myślę, że jeśli z nią nie porozmawiasz, to nigdy nie poczujesz się wolny od tej sprawy – wyszeptałam szczerze i ponownie kierowana impulsem dotknęłam jego dłoni okrytej zimową rękawiczką.

Zamarł, zaskoczony moim gestem. Spojrzał na mnie niepewnie, jak gdyby obawiał się, że może mnie spłoszyć. Zaraz jednak zacisnął palce, wzmacniając nasz uścisk.

Boże, to było tak dobre, tak upragnione i wytęsknione.

– To zniszczy jej życie – powiedział ledwo słyszalnie, a ja spojrzałam na niego z rozchyłonymi ustami.

W jego głosie zabrzmiało współczucie. Było prawdziwe i szczerze, a mi wprost zabrakło słów.

Ta kobieta wzgardziła nim, gdy był niemowlęciem. Porzuciła, bo go nie chciała. Nosila przez dziewięć miesięcy pod sercem tylko po to, by zaraz po porodzie oddać w ręce ojca, wyjechać i nie obejrzyć się za siebie.

A on jej współczuł i martwił się, że jego pojawienie się zniszczy jej życie.

Po raz kolejny z pełną mocą zrozumiałam, jak niezwykłym był mężczyzną. Zdecydowanie zbyt dobrym na to, co go spotkało.

Czy ja, będąc na jego miejscu, potrafiłabym współczuć kobiecie, która mnie nie chciała?

To było trudne pytanie, a odpowiedź bynajmniej nie oczywista.

– Nie umiem jej nienawidzić za to, że mnie nie chciała. Była młoda i miała prawo się zagubić. Najbardziej mam do niej żal o to, że nie poznałem własnego brata. Odebrała nam szansę na to, żebyśmy mogli kiedykolwiek stanąć twarzą w twarz. To był niemały cios, gdy po odejściu taty zacząłem szukać matki i natrafiłem na artykuły z lokalnej prasy o wypadku i śmierci Artura – wyszeptał z dojmującym smutkiem, a ja opuściłam twarz, aby nie dostrzegł w moich oczach bólu, którego nie potrafiłam ukryć. Palce Filipa zacisnęły się na mojej dłoni, a gdy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że patrzy na mnie ze skruchą. – Wybacz mi, że to powiedziałem, ale...

– Nie szkodzi – odparłam zduszonym głosem i wciągnęłam mroźne powietrze przez nos, szukając ukojenia dla moich rozszalałych emocji.

– Minęło tyle miesięcy, a ja nadal nie potrafię przestać o tobie myśleć, Eliza. Każda kwestia w moim życiu, czy to związana z matką, czy z Mileną... Wszystko łączy się z tobą. – Obłoczek pary uniósł się i zniknął w powietrzu, odsłaniając pełne i zaróżowione usta Filipa, które wypowiadały słowa wnioskujące bez trudu do mojego serca.

Samoistnie w mojej głowie pojawiła się Milena, a następnie wspomnienie Filipa w szpitalnym lobby, gdy czekał przed windą z bukietem kwiatów w dłoni. Nie mogłam mieć pewności, czy nic ich nie łączyło. Jego słowa brzmiały w sposób, który sugerował, że był mi wierny, chociaż oficjalnie nigdy nie byliśmy parą. Jednak jego bliskość z moją siostrą była furtką dla ich znajomości, dla pogłębienia relacji, którą stworzyli wiele miesięcy temu.

– Nic mnie nie łączy z Mileną – zapewnił Filip, jakby czytał w moich myślach. Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się, skąd wiedział, że akurat nad tym się zastanawiałam. – W twoich oczach znów pojawiła się ta specyficzna iskierka smutku, która zawsze tam była, gdy

myślałaś, że jesteśmy razem – wyjaśnił, odpowiadając na moje niezadane pytanie. – Jestem jej przyjacielem, bo ona w tej chwili kogoś takiego w swoim życiu potrzebuje. Sama dobrze wiesz, że sprawy mocno się pokomplikowały. Milena wie, że moje uczucia do ciebie się nie zmieniły. Nasza relacja wywołuje u niej wyrzuty sumienia, bo ciągle obawia się, że cię skrzywdzimy.

Dotarliśmy do bramy cmentarza i wyszliśmy na chodnik. Zatrzymaliśmy się i popatrzyliśmy sobie w oczy. Nie chciałam puszczać jego dłoni, bo nawet przez materiał naszych rękawiczek wydawało mi się, że czuję ciepło jego ciała. Zdobyłam się jednak na ten ruch i wyplątałam palce, kończąc nasz fizyczny kontakt. Pierwszy od tak wielu miesięcy.

Wpatrywałam się w twarz Filipa z całą masą najróżniejszych emocji... Czułam strach i tęsknotę, ból i niepewność.

Otworzyłam usta, chcąc powiedzieć, że na mnie już czas, lecz wtedy Filip pokonał dzielącą nas odległość za pomocą jednego kroku i przytulił mnie do siebie z czułością, która wydusiła mi z piersi westchnienie.

Ten zimowy wieczór przybrał najbardziej zaskakujący obrót. Stałam w ramionach mężczyzny, za którym tęskniłam tak bardzo, że czasem miałam wrażenie, iż popadam w szaleństwo. Przez niego byłam rozerwana pomiędzy dwoma światami: tym, gdzie znajdował się teraz mój ukochany mąż, i tym, który stworzyłam z Filipem przed kilkoma miesiącami, pozwalając mu się ożywiać za pomocą każdego drobnego gestu, uśmiechu czy słowa.

Wczepiłam się dłońmi w materiał jego płaszcza na wysokości łędźwi, ukrywając twarz w tych dobrych, czułych, troskliwych ramionach.

Balansowałam na granicy bólu i nadziei, pragnąc odbudować to, co straciliśmy, a jednocześnie bojąc się konsekwencji wejścia po raz drugi do tej samej rzeki. On już

nie był tym tajemniczym mężczyzną, który przyjechał z Pomorza i osiadł w Lilecku, żeby otworzyć własną lecznicę ze szpitalikiem dla zwierząt.

Był przyrodnim bratem mojego męża.

To zmieniało wszystko. Oboje byliśmy tego świadomi. To czyniło nasze uczucie jeszcze bardziej niepoprawnym i zakazanym... Wszystko tak bardzo się pogmatwało.

Czy w tym galimatiasie było miejsce dla mnie i Filipa jako nas?

Zadrżałam w jego ramionach na poły pod wpływem napływu chłodnego powietrza, na poły z kotłujących się pod skórą emocji. Z trudem odsunęłam się na odległość, która dawała mi szansę na zebranie myśli.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Zobaczyłam, że kąciki jego pięknych ust unoszą się nieśmiało, delikatnie, niepewnie, wieńcząc tę krótką wędrówkę uśmiechem.

Niesamowitą przyjemność sprawiło mi to, że też mogłam się do niego uśmiechnąć. Błado i bez odwagi, ale z głębi serca.

– Czy mogę do ciebie zadzwonić, mając nadzieję, że odbierzesz? – zapytał cicho. Zaczerpnął głęboki oddech.

– Tak – odpowiedziałam krótko. Wykonałam jeden krok w tył i uniosłam dłoń, machając mu krótko. – Dobrej nocy, Filip – wyszeptałam i oddaliłam się od niego powoli, krok po kroku, idąc tyłem, żeby jeszcze przez kolejną kradzioną sekundę móc na niego popatrzeć.

– Dobrej nocy, Eliza – odpowiedział i również zaczął się cofać, machając mi krótko.

Wsiadłszy do samochodu, byłam jednym drżącym kłębkem emocji.

Bo wydarzyło się coś niezwykłego.

Przełamalam swój wewnętrzny, emocjonalny opór w miejscu, które od trzech lat i dziewięciu miesięcy kojarzyło mi się z bólem, tęsknotą i łzami. Dziś poczułam się na chwilę

uzdrowiona i wyzbyta negatywnych emocji, które blokowały mnie przed Filipem.

Dopiero po powrocie do domu, gdy podziękowałam mamie za popilnowanie dzieci i położyłam się do łóżka, dotarło do mnie, że pozwoliłam mu do siebie zadzwonić, obiecując, że odbiorę.

Najprawdopodobniej pewność, że Artur jest obok mnie, zrodziła we mnie siłę, dzięki której byłam w stanie oczyścić wyboistą drogę do Filipa z zasypujących ją gruzów.



Rozdział 5

Już od bardzo dawna nie miałam tak stresującego poniedziałku. Denerwowałam się wizytą w przedszkolu specjalnym oraz tym, jak mój synek zareaguje na inne dzieci. Bezustannie starałam się przypominać sobie pokrzepiające słowa Kamili.

Mama widziała, że jestem kłębkim nerwów, i posyłała mi uśmiechy pełne otuchy. Odprawiłam Emilkę do szkoły, a następnie zajęłam się Jasiem: nakarmiłam, ładnie ubrałam i obejrzałam z nim jego ulubioną poranną bajkę.

– Synku, dziś pojedziemy w takie specjalne, bardzo miłe miejsce, wiesz? – zagadnęłam go, gdy bajka dobiegła końca, a jego uwaga znów skupiła się na mnie. W reakcji na moje słowa uniósł wzrok i popatrzył na mnie z zaciekawieniem. – Będzie tam Kamila i inna miła pani, a także bardzo fajne dzieci, wiesz? Pobawicie się razem, a jeśli ci się spodoba, to będziesz mógł bawić się z nimi codziennie – dodałam powoli, uśmiechając się do mojego synka czule i szczerze.

Chciałam wypełnić go pozytywnym nastawieniem. Kiedyś czytałam, że dzieci z zespołem Downa bardzo odczuwają nastroje swoich rodziców, a także dostrzegają to, co potencjalnie chce się ukryć pod szerokim uśmiechem. Dlatego postanowiłam poczekać z tą rozmową do ostatniej chwili. Musiałam najpierw przekonać samą siebie, że pomysł z przedszkolem jest dobry, bo gdybym próbowała okłamać mojego synka fałszywym pozytywnym podejściem, on od razu by to po mnie poznał i cały plan wprowadzenia Jasia do grupy spaliłby na panewce.

W kuchni rozdzwonił się mój telefon, co od razu zwróciło moją uwagę. Chciałam wstać z kanapy i pobiec po komórkę,

lecz wtedy mama wpadła do salonu z aparatem w ręce i wręczyła mi go.

– Ela dzwoni – powiedziała tylko i wróciła do kuchni.

Zmarszczyłam brwi i natychmiast odebrałam.

– Halo?

– Dzień dobry, Elizo. – Głos mojej teściowej rozbrzmiał w słuchawce, sprawiając, że moje wnętrzności wywróciły się kilkukrotnie. Od momentu, gdy dowiedziałam się tej mrocznej prawdy o niej, mimowolnie tak na nią reagowałam.

– Dzień dobry, Elu – odpowiedziałam, siląc się na swobodę i spokój.

– Tak sobie pomyślałam, że zadzwonię i zapytam, czy nie miałabyś ochoty wybrać się ze mną na kawę? Może dziś albo jakoś w tygodniu? – zaproponowała tym swoim śpiwnym, serdecznym głosem.

Zebrało mi się na mdłości. Gdzieś w podświadomości przeczuwałam, że to się prędzej czy później stanie. Stanisław mówił, że Ela zauważyła zmianę w moim zachowaniu i kompletnie jej nie rozumiała. Logicznym wydawało się więc, że w końcu podejmie próbę spotkania ze mną na neutralnym gruncie i przekonania się, czy ta przeszkadzająca jej zmiana nadal się utrzyma. Problem polegał jednak na tym, że moje udawanie też miało swoje granice, a dłuższe przebywanie w towarzystwie Elżbiety skutkowało tym, że w końcu bym wybuchła. A przecież nie tak powinna się dowiedzieć o tym, że jej tajemnica wyszła z ukrycia i postanowiła o sobie przypomnieć.

– Dziś nie dam rady, bo jadę z Jasiem do przedszkola specjalnego – odpowiedziałam spokojnie. Do tego stopnia, że mogła mnie uznać za znudzoną rozmową z nią.

– Przedszkole specjalne? – sapnęła z zaskoczeniem, podłapując temat w locie. – Czy jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– A dlaczego nie? – fuknęłam ostrzej, niż zamierzałam, i natychmiast poczułam, że emocje zaczynają wymykać mi się spod kontroli.

Elżbieta zamilkła, jak gdyby dobitnie zrozumiała moją niechęć.

– Powinnaś się upewnić, czy nie jest jeszcze za wcześnie... – powiedziała niepewnie, a ja wywróciłam oczami i spojrzałam na Jasia, który zsunął się z kanapy i podszedł do stolika, żeby sięgnąć po interaktywnego misia koalę.

– Dziś zamierzam się upewnić – odparłam oschle, po czym odchrząknęłam i wzięłam głęboki oddech. – Zobaczę, jak ułoży mi się ten tydzień, i dam ci znać. A jeśli nie uda nam się spotkać, to mam nadzieję, że odwiedzicie nas ze Stanisławem już niebawem – dodałam niby serdeczniej, aczkolwiek nie było w tym nawet grama szczerości, a raczej chęć ratowania sytuacji.

– Och... – westchnęła z zaskoczeniem. – Dobrze. Wobec tego będę czekać na telefon, a jeśli się nie uda, to chętnie przyjedziemy do was w jakiś luźniejszy dzień. Pasuje? – zapytała z uprzejmością, którą emanowała, odkąd tylko ją poznałam.

– Tak, jak najbardziej – odpowiedziałam szybko i po chwili dość niezręcznie pożegnałyśmy się, kończąc rozmowę, która przyniosła więcej kłopotu niż pożytku.

Dwie godziny później zaparkowałam na prywatnym parkingu przedszkola specjalnego Słoneczko. Jaś przez całą drogę siedział grzecznie w foteliku i obserwował przez okno okolicę. Zauważyłam, że ciekawili go ludzie chodzący po ulicach oraz inne samochody. Żołądek miałam ściśnięty od nadmiaru emocji, ale jednocześnie gdzieś w głębi serca czułam, że to może być ważny dzień nie tylko dla mnie, ale przede wszystkim dla mojego synka.

Dla naszego synka, prawda, Arturze?

Budynek przedszkola był pomalowany na dwa odcienie zielonego, a nad wejściem widniało logo w kształcie uśmiechniętego słoneczka oraz godziny otwarcia i ogromny napis „Zapraszamy!”. Wyciągnęłam Jasia z fotelika, a następnie zamknęłam auto i powolnym krokiem przeszliśmy przez parking do wejścia. Jaś dzielnie stawiał kroki, obserwując otoczenie. Co chwilę na niego zerkałam, doszukując się przebłysku niepokoju, ale nic takiego nie nastąpiło.

Wewnątrz budynku było ciepło i przyjemnie. Uderzyły nas kolory pełne radości i nadziei, tak typowe dla każdego przedszkola. Na ścianach wisiały duże tablice korkowe, a każda z nich po brzegi wypełniona była rysunkami podopiecznych. Dostrzegłam stolik dla dzieci, a na nim mnóstwo kolorowanek i kredek. W każdym kącie holu dostrzec można było akcenty informujące o tym, że miejsce jest przyjazne dla najmłodszych.

W naszym kierunku kroczyła już młoda, niska blondynka o krągłej twarzy i sympatycznym uśmiechu.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – zapytała, patrząc najpierw na mnie, a następnie na Jasia, który stał bez ruchu tuż obok. Od razu pochyliłam się nad nim i zdjęłam mu z głowy czapeczkę, przeczesując palcami zmierzwione włoski.

– Dzień dobry. Przyszliśmy do pani Kamili Hetmańczyk-Brzóstowicz – powiedziałam z niepewnym uśmiechem, zerkając co chwilę na mojego synka.

Wyglądało na to, że kobieta na nas czekała. Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy i serdeczniejszy.

– Tak, zapraszam za mną – odpowiedziała grzecznie i poprowadziła nas do drzwi na końcu holu. Otworzyła je, a ze środka natychmiast wydobyły się dźwięki jakiejś radosnej piosenki dla dzieci. – Kamila, mogłabym cię prosić?

– Pewnie. – Z wnętrza sali dobył się doskonale mi znany głos dawnej przyjaciółki. Po dosłownie chwili ukazała się naszym oczom i wyglądała tak, jakby nie posiadała się ze szczęścia. – Przyszliście! – powiedziała radośnie i od razu przytuliła mnie serdecznie, a po chwili przykucnęła i ucałowała zaczerwienione od chłodu policzki Jasia. – Dzień dobry, kochanie. Cieszę się, że odwiedziłeś mnie w pracy, wiesz? – zagadnęła go czule i pogładziła po główce, gdy uraczył ją uśmiechem.

Jaś radził sobie chyba lepiej niż ja, bo gdy Kamila wyciągnęła do niego dłoń, chwycił ją raźnie i wszedł do środka. Miła pani, która nas przywitała, uśmiechnęła się pokrzepiająco i zachęciła mnie gestem do ruszenia w ślady Kamili i Jasia.

Sala przedszkolna była bardzo duża, kolorowa i przyjemna dla oka. Wszędzie było mnóstwo zabawek, rysunków, plansz i przyborów szkolnych. Na środku stał niski stolik dla dzieci, po lewej znajdował się kącik zabaw, a po prawej miejsce do nauki. Do pomieszczenia wpadało mnóstwo naturalnego światła przez trzy duże okna. Wszystkie dzieci zamarły na dywanie, patrząc z zaciekawieniem na stojącego w wejściu Jasia. Druga opiekunka, chyba Basia, uśmiechała się tak, jak gdyby i ona czekała na przybycie mojego synka.

To było niewiarygodne, ale wszyscy w tym miejscu zdawali się wypełnieni tak niesamowicie dobrą energią.

Kamila cierpliwie rozebrała Jasia z zimowej kurtki, butów i szalika, a ja pospiesznie wyciągnęłam z torebki jego bamboszki, bo mama podpowiedziała mi, że mogą się przydać, skoro Jaś ma uczestniczyć w zajęciach z grupą. Spojrzenie mojej dawnej przyjaciółki było roziskrzane, wdzięczne i pełne nadziei, gdy łagodnym głosem prosiła mojego synka o podniesienie w powietrze najpierw lewej, a później prawej

nóżki. On ufnie złapał ją za ramię, żeby nie stracić równowagi, i wykonał polecenie bez jakiegokolwiek marudzenia.

Postanowiłam w ciszy obserwować przebieg wydarzeń, dlatego rozebrałam się z kurtki i przycupnęłam na ławce przy wejściu, nie spuszczając Jasia z oka.

Żołądek zaciskał mi się jak szalony i nic nie mogłam na to poradzić. Radosna piosenka o zimie łagodziła nieco mój stres, a widok papierowych ozdób na oknach i ręcznie robionych gwiazdek zdobiących przedszkolną tablicę sprawiał, że chciałam uwierzyć w początek nowego rozdziału dla mojego małego chłopczyka.

Kamila podeszła z Jasiem do miejsca, gdzie na dywanie siedziały dzieci i druga opiekunka. Przykucnęła, zrównując się poziomem ze wszystkimi, i popatrzyła na mojego synka, obejmując go opiekuńczo.

– To jest Jaś. Jaś chciałby zostać waszym nowym kolegą, wiecie? – Głos Kamili był czuły i spokojny, a wypowiedane słowa wyraźne i proste w zrozumieniu. – Jasiu, poznaj Bartka, Adasia, Anię i Maję.

Dzieci patrzyły na siebie wzajemnie, ale po nienachalnej prośbie ze strony drugiej opiekunki wstały i po kolei podeszły do Jasia, witając się z nim wyciągnięciem ręki. Trwało to kilka minut, bo dane polecenie trzeba było powtórzyć po dwa lub trzy razy, ale po pokonaniu tej pierwszej trudności Jaś wreszcie usiadł z pozostałymi dziećmi na dywanie.

– Dzień dobry, Jasiu. Jestem Basia. – Głos drugiej opiekunki był melodyjny i bardzo przyjemny, przyciągał uwagę wszystkich podopiecznych.

Patrzyłam, jak Kamila i Basia wprowadzają mojego synka do grupy powoli i bez pośpiechu. Opowiadały mu o zimowej piosence, a także zachęcały pozostałe dzieci do odzywania się w obecności Jasia. Od razu zobaczyłam, że najbardziej wycofany był chłopiec z autyzmem, natomiast Ania,

dziewczynka z zespołem Downa, zdecydowanie wykazywała największą otwartość na nowego kolegę.

Podobała mi się delikatność i cierpliwość obu opiekunek oraz to, jak tłumaczyły wszystko mojemu synkowi, pokazując mu mnóstwo zabawek, wciągając do zabawy, zachęcając do złapania innego dziecka za rękę i tańczenia w kółku.

Znałam Jasia najlepiej i wiedziałam, że czuł się zagubiony, ale to zagubienie było wprost proporcjonalne do zaciekawienia i prawdopodobnie dlatego mój synek ani razu nie pomyślał, żeby obejrzeć się przez ramię i sprawdzić, czy nadal jestem w pobliżu.

Co kilka minut Kamila zerkała w moim kierunku i uśmiechała się z zadowoleniem, a ja odpowiadałam jej tym samym i pokazywałam kciuk uniesiony w górę. Mój wyraz uznania skutkował jej dumą i cieszyło mnie to, że jest szczęśliwa.

Ten zawód był jej życiem. Emanowała energią i empatią względem tych dzieci, które od razu po urodzeniu startowały z gorszej pozycji. Była cierpliwa, czuła i troskliwa, skupiona na swoich podopiecznych i wyczulona na każdy, nawet najmniej niepokojący sygnał.

Cudownie było patrzeć, jak mój synek dołącza do ćwiczeń wykonywanych przez resztę dzieci, a następnie zerka na jedną czy drugą opiekunkę i szuka w ich oczach uznania bądź pochwały. Wystarczyło jedno słowo, a na jego ustach pojawiał się uśmiech.

Widziałam, jak Basia tłumaczy coś Bartkowi, chłopcu z autyzmem, i nie pozwala, by rodzący się na jego twarzy grymas niezadowolenia przyjął groźniejszą formę. Kamila pomagała Ani poprawnie dopasować obrazek z bałwankiem, a gdy jej się udało, wręczyła dziewczynce kolejne elementy układanki.

W pewnej chwili, kierowana jakimś nieopisanym uczuciem rozrzewnienia, wyciągnęłam telefon i zrobiłam zdjęcie, chcąc uwiecznić ten pierwszy, próbny dzień mojego synka w przedszkolu specjalnym Słoneczko.

Udało mi się uchwycić jego skupienie i pomocną dłoń Kamili.

Patrzyłam na to zdjęcie przez chwilę, a następnie pod wpływem impulsu otworzyłam ikonkę wiadomości tekstowej i załączyłam fotografię, adresując SMS do Filipa ze słowami:

Pierwszy, próbny dzień Jasia w przedszkolu.

Serce zabiło mi mocniej, gdy zobaczyłam, że wiadomość została dostarczona pod jego numer. To była moja pierwsza gałązka oliwna, bo on przecież wyciągnął ich już tak wiele. Nadeszła moja kolej.

Odpowiedź przyszła w ciągu kilkunastu sekund.

Zuch chłopak! Jestem z niego dumny! Trzymam kciuki!

Uśmiechnęłam się na widok tych kilku słów. Filip był dumny z mojego syna i trzymał za niego kciuki. Byłam pewna, że gdyby Artur żył, też czułby właśnie to: dumę. To był taki mały-wielki krok dla naszego dziecka. Chciałam wierzyć, że mój mąż widzi to wszystko z miejsca, w którym przebywał od momentu swojej śmierci. Chciałam wierzyć, że czuwa i opiekuje się nami tak, jak robiłby to, gdyby nadal żył...

Ciche otwarcie drzwi zwróciło moją uwagę, wyrrywając z zadumy. Do sali zajrzała elegancka, choć pulchna kobieta, która popatrzyła najpierw na ćwiczące przy stole dzieci, a następnie na mnie. Uśmiechnęła się. One wszystkie się tutaj uśmiechały.

– Dzień dobry. Czy mogłabym panią poprosić na chwilkę? – zapytała przyciszonym głosem, nie chcąc dekoncentrować dzieci.

– Oczywiście – odpowiedziałam i wstałam cicho, rzucając jeszcze jedno spojrzenie na mojego skupionego syna.

Wyszłam za kobietą z sali i zamknęłam cicho drzwi. Spojrzałyśmy na siebie, a następnie przywitałyśmy się raz jeszcze uściskiem dłoni.

– Alicja Dzięgowska, dyrektorka przedszkola – przedstawiła się kobieta, poprawiając okulary na szerokim nosie.

– Eliza Bielecka, mama czteroletniego Jasia – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się uprzejmie.

– Zapraszam panią do mojego gabinetu, porozmawiamy – powiedziała i poprowadziła mnie korytarzem. – Kamila bardzo dużo mi opowiadała o pani synku i jego postępach, które w sporej mierze są pani zasługą – zaczęła, gdy zasiadłyśmy naprzeciwko siebie w jej chłodnym, małym biurze.

Dzieliło nas biurko z ciemnego drewna, a wokół otaczały regały wypełnione książkami pedagogicznymi i kolorowymi segregatorami. Przypatrzyłam się dokładniej Alicji Dzięgowskiej, oceniając, że mogła mieć około pięćdziesięciu pięciu lat. Wokół jej szeroko rozstawionych oczu potworzyły się głębokie zmarszczki, podobnie jak w okolicy ust. Elegancka fryzura i gustowna garsonka idealnie pasowały do zajmowanego przez nią stanowiska.

– Pani Elizo, na ogół nie wyrażam zgody na to, żeby dziecko dołączało do naszego przedszkola w ciągu trwającego roku. Zazwyczaj obawiam się, że to wprowadzi zamęt do grupy i rozbije system pracy z dziećmi, których możliwości opiekun już zna – zaczęła spokojnie, splatając na biurku dłonie i patrząc mi prosto w twarz. – Jak doskonale pani wie, dzieci niepełnosprawne są wyjątkowe i każde z nich wymaga indywidualnego podejścia. Sposób pracy uzależniony jest od stopnia upośledzenia zarówno fizycznego, jak i umysłowego. Nasi opiekunowie pierwszy miesiąc dziecka w naszej placówce poświęcają na to, żeby dobrze je poznać. Następnie, po konsultacji z rodzicami, dobiera się odpowiednią terapię i rozpoczyna pracę – kontynuowała tym samym spokojnym

i cierpliwym tonem. – Według tego, co powiedziała Kamila, poświęciła pani bardzo dużo czasu na ćwiczenia z Jasiem. Przyznam szczerze, że zaskoczyły mnie efekty opisane przez Kamilę. Chciałam się z panią spotkać, bo jak już wspomniałam, to nie jest standardowa sytuacja, żeby przyjmować dziecko w środku roku. Tym razem chcę zrobić wyjątek. – Na muśniętych brązową szminką ustach dyrektorki wykwitł uśmiech. – Uważam, że Jaś powinien uczęszczać do naszego przedszkola. Ogromnym plusem jest to, że zna swoją opiekunkę, więc łatwiej będzie go wprowadzić do grupy. Kolejna zaleta jest taka, że grupa prowadzona przez Kamilę i Basię jest niewielka, bo liczy tylko czworo dzieci. Jaś będzie piąty i znajdzie się wśród dzieci, które są w tym samym wieku co on. Każde z nich jest indywidualnością, ale wiem, że potrafią zawiązać się między nimi bliskie relacje koleżeńskie, chociaż oczywiście wymaga to czasu. – Głos dyrektorki przedszkola był jednocześnie uspokajający i profesjonalny. Przez cały czas utrzymywała ze mną kontakt wzrokowy, jakby chciała się upewnić, że wszystko, co ma mi do przekazania, z pewnością do mnie dotrze.

Katalogowałam sobie w głowie wszystkie jej słowa, zastanawiając się, o co mogłabym zapytać, zanim podejmę ostateczną decyzję, czy zapisać Jasia do przedszkola.

– Mój syn jest pod stałą opieką dietetyka i zastanawiam się, czy ta kwestia zostałaby uwzględniona, gdybym zdecydowała się zapisać go do tej placówki – powiedziałam spokojnie, a na twarzy dyrektorki od razu odmalował się ten sam profesjonalny, acz sympatyczny uśmiech.

– Oczywiście! Jeśli dostarczy pani jadłospis syna razem z wymaganymi dokumentami, to zostanie on uwzględniony przez naszego kucharza. Bo wie pani, u nas, w przeciwieństwie do innych przedszkoli, jedzenie dla dzieci

przygotowywane jest na miejscu, a nie przywożone w ramach cateringu – odpowiedziała z dumą.

Przez kolejne kilka minut opisywała mi początki przedszkola, przedstawiała osiągnięcia wychowanków i wymieniała zalety pracy w grupie. Następnie opowiedziała o współpracy dzieci z fizjoterapeutą i psychologiem oraz o atrakcjach, jakie przygotowywane są dla podopiecznych. Zapoznała mnie z obszerną galerią zdjęć z wycieczek dzieci oraz zajęć z ciekawymi osobami. Opowiedziała mi, co może zyskać Jaś, jeśli zdecyduję się go zapisać do przedszkola specjalnego. Obiecała mi ciągły wgląd w postępy mojego syna i możliwość dowolnego odwiedzania go w placówce, jeśli naszłaby mnie taka chęć lub potrzeba.

Następnie oprowadziła mnie po wszystkich salach dydaktycznych, pokazała łazienki i szatnie dla dzieci, pozwoliła również zajrzeć na stołówkę i do kuchni. Na terenie przedszkola znajdował się wspianiały i ogromny plac zabaw, ale największą zaletą tego miejsca było to, że wszędzie było jasno, czysto, kolorowo i przyjemnie.

– Pani Bielecka, proszę się zastanowić i zadzwonić na numer, który pani podałam. Jeśli się pani zdecyduje, to w każdej chwili może pani przywieźć Jasia, a mnie tylko dostarczyć wymagane dokumenty – powiedziała Alicja Dzięgowska, gdy zakończyliśmy nasz obchód pod salą, w której obecnie przebywał Jaś.

Po cichu otworzyłam drzwi i obie zajrzałyśmy do środka. Dzieci siedziały właśnie w kółku na dywanie i razem z opiekunkami bawiły się w głuchy telefon. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych i zaciekawionych.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, który cisnął mi się na usta.

– Widzi pani? Świetnie sobie radzi – szepnęła stojąca obok mnie kobieta, a gdy na nią spojrzałam, uśmiechnęła się

szeroko.

Zaledwie chwilę później przypomniała sobie o kolejnym spotkaniu, więc przeprosiła mnie, podziękowała za rozmowę i odeszła w kierunku holu, gdzie czekał na nią elegancko ubrany mężczyzna z neseserem w ręce. Ja natomiast zajęłam poprzednie miejsce na ławce pod ścianą i obserwowałam mojego synka, który dziś zdawał się promienieć z ekscytacji.

Ten dzisiejszy eksperyment dał mi wiele wiedzy na temat tego, co może być dla Jasia najlepsze. Mój własny strach przed wypuszczeniem go w większy świat sparaliżował mnie do tego stopnia, że nie potrafiłam rozgraniczyć własnych uczuć i tego, co w rzeczywistości może być dla niego najlepsze. Na dużą korzyść przemawiał fakt, że Jaś wszedł do grupy dzieci, które borykały się z podobnymi problemami, co on sam. Nie byłby odludkiem, tylko jednym z nich.

Patrzenie na niego, gdy był taki uśmiechnięty i spokojny, sprawiało mi olbrzymią radość. Czułam, jak ciepło otula moje ciało i gdzieś na horyzoncie tej naszej wspólnej, nie zawsze łatwej drogi pojawia się światełko nadziei.

Nawet nie wiem, kiedy tak naprawdę minęło te kilka godzin, ale z czułością obserwowałam, jak pod koniec zajęć Jaś podawał dłoń pozostałym dzieciom – nadal jeszcze nieśmiało, ale z uśmiechem.

– I co? Jakie wrażenia po dzisiejszym dniu? – zapytała Kamila, podchodząc do mnie z ubranym już Jasiem i podając mi jego bamboszki, które od razu schowałam do torby.

– Jestem bardzo pozytywnie nastawiona. Masz niesamowicie sympatyczną szefową – stwierdziłam z uśmiechem i wyciągnęłam dłoń do mojego synka, który od razu ją ujął.

– Tak, pani Alicja jest bardzo w porządku, ale ma swoje zasady, które nagieła po raz pierwszy, dla Jasia. – Przykucnęła przy chłopcu i pogładziła go lekko po policzku. – Odwiedzisz nas tu jeszcze? – zapytała czule, patrząc w oczy mojego synka.

– Tak – odpowiedział Jaś z przekonaniem, a ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu w odpowiedzi na jego stanowczy ton.

– Wobec tego – zaczęła Kamila ze znaczącym spojrzeniem i uniesionymi brwiami – do zobaczenia.

Przez całą drogę do domu zastanawiałam się nad tym, co miało dzisiaj miejsce. Wkroczyliśmy z moim synkiem do zupełnie innego świata, opuszczając naszą wspólną strefę komfortu, jaką był dom. Pozwoliliśmy sobie na zasmakowanie innego otoczenia, a Jaś po raz pierwszy miał szansę stanąć twarzą w twarz z dziećmi takimi jak on sam. Czy mogłam uznać, że to był błąd?

Nie. Zdecydowanie nie.

Zerknąwszy we wsteczne lustro, zobaczyłam mojego śpiącego w foteliku samochodowym synka, który wyglądał na zrelaksowanego i spokojnego. W rzeczy samej przeżył bardzo fajny dzień.

Weszliśmy do domu po cichu, bo niosłam Jasia na rękach i nie chciałam go zbudzić. Mama od razu wyjrzała z kuchni, podekscytowana i zaciekawiona. Pokiwała znacząco głową, gdy zobaczyła, że mój synek śpi, i gestem dała znać, że poczeka na mnie i mam spokojnie iść go położyć.

Rozbierałam go z kurtki, butów, czapki oraz szalika powoli, a później ostrożnie ułożyłam jego bezwładne ciało w łóżeczku, całując ostrożnie w główkę. Uruchomiłam elektroniczną nianię i zesłam na dół, gdzie spotkałam mamę, która oczekiwała na moje przyjście.

– Opowiadaj, jak było! – ponagliła mnie, kręcąc się z ciekawości na krześle i robiąc wielkie oczy z podekscytowania.

Usiadłam przy stole i uśmiechnęłam się z ulgą.

– Było bardzo fajnie. Placówka jest czysta, przystosowana do potrzeb dzieci, a w tej grupie, do której miałby dołączyć Jaś, jest troje dzieci z zespołem Downa i jeden chłopiec

z autyzmem, ale opiekunki świetnie sobie z nimi radzą. Dyrektorka pokazała mi wszystko i wyjaśniła, a także powiedziała, że nie będzie problemu, by kucharz przygotowywał dla Jasia posiłki z jego jadłospisu – powiedziałam z uśmiechem, przekładając z dłoni do dłoni radyjko od elektronicznej niani.

Oczy mamy roziskrzyły się, a następnie ostentacyjnie wypuściła powietrze i strzepnęła dłonie, uwalniając zaciskane w pięściach kciuki.

– Kamień spadł mi z serca! – westchnęła radośnie.

Przez kilka minut mówiłam jej o tym, co w przedszkolu robił Jaś: począwszy od wspólnych zabaw, poprzez wykonywane zadania, a na pożegnaniu z innymi dziećmi skończywszy. Dopiero na spokojnie, gdy już nieco odetchnęłam po tym pierwszym emocjonalnym szturmie, zdałam sobie sprawę, że czuję wszechogarniający spokój, gdy myślę o wielkim postępie, jaki zrobił dziś mój syn.

Wiedziałam z całym przekonaniem, że Artur podzielałby moje uczucia.

Dopiero spojrzenie na zegar uświadomiło mi, że o mały włos się nie zasiedziałam, a przecież należało odebrać Emilkę z przystanku autobusowego.

– Andrzej po nią poszedł – odpowiedziała mama, uspokajając mój nagły popłoch.

Spojrzałam na nią i dostrzegłam smutek w oczach; ten sam, który był tam obecny od momentu kłótni z tatą.

– Nadal nic się nie zmieniło? – zapytałam ze zmarszczonymi brwiami, patrząc na mamę smutno.

Pokręciła głową i westchnęła.

– Właściwie to Kuba stwierdził, że odezwie się do ojca i wyjaśni sobie z nim tę sytuację. Chce to zrobić jak najszybciej – odparła, wykręcając palce w wyrazie zakłopotania.

Nazajutrz spadły kolejne hałdy świeżego śniegu, a nasz dom wypełnił się gwarem, jakiego brakowało w nim od początku stycznia. Tata z Kubą, którzy wyjaśnili swój konflikt szybko i po męsku, zabrali się do pracy na zewnątrz: odśnieżali podjazd i porządkowali pomieszczenia gospodarcze. Ja i mama w lepszych humorach niż do tej pory zajmowałyśmy się codziennymi obowiązkami, a Ola wreszcie wpadła nas odwiedzić w porze przedpołudniowej kawy. Wtedy opowiedziałam jej o wizycie w przedszkolu, a ona piała z zachwytu nad dokonaniem Jasia, by chwilę później porwać go w ramiona i wycałować w rumiane policzki.

Zaraz po śniadaniu zadzwoniłam też do dyrektorki przedszkola i poinformowałam ją, że chciałabym zapisać Jasia do ich placówki. Po drugiej stronie odpowiedział mi tak autentyczny entuzjazm, że przez dłuższą chwilę nie mogłam przestać się uśmiechać. Moja rozmówczyni poprosiła o przygotowanie zestawu dokumentów i powiedziała, że mogę przywieźć Jasia już następnego dnia na godzinę ósmą rano.

Przygotowałam mu wieczorem całą wyprawkę, według listy, którą podała mi pani Alicja. Opowiedziałam Emilce o tym, że jej brat przeżyje jutro swój wielki dzień, a ona obiecała, że będzie trzymać za niego kciuki.

Jaś patrzył na mnie z zainteresowaniem, gdy mówiłam mu, że następnego dnia wydarzy się coś ważnego i znów zobaczy Kamilę oraz dzieci, które niedawno poznał. Uśmiechnął się, gdy ucałowałam jego jasnowłosą główkę, a następnie przytulił się do mnie i zamknął oczka, zasypiając spokojnym, niezmaconym snem.

Bardzo mocno przeżywałam fakt, że jutro nastąpi ten przełomowy dzień. Ten, gdy po raz pierwszy rozdzielę się z moim synem na więcej niż dwie godziny. Ten, gdy nie będę miała go cały czas na oku. Ten, gdy stanie się częścią grupy i zacznie się uczyć, jak radzić sobie w tej nowej rzeczywistości.

Pod wpływem impulsu, nie myśląc racjonalnie i nie analizując do przesady pomysłu o podjęciu tego konkretnego kroku, sięgnęłam w ciemności po komórkę i odblokowałam ekran.

Mój kciuk, jak gdyby żyjąc własnym życiem, nacisnął ikonkę wiadomości, a następnie wybrał kontakt opisany imieniem „Filip”. Drobne drzenie w piersi było sygnałem kotłujących się pod skórą emocji, których ignorowanie czy powstrzymywanie nie miałyby najmniejszego sensu.

Bo one tam były – ciągle, bezustannie, nieodwracalnie. Czegokolwiek bym nie robiła, każda komórka mojego ciała, każda myśl i oddech – wszystko pamiętało Filipa tak, jak gdyby nasza bliskość miała miejsce wczoraj, a nie kilka miesięcy temu.

Jaś jutro zaczyna naukę w przedszkolu. Trzymaj za niego kciuki, dobrze?

Wysłałam, nie dając sobie czasu, aby się rozmyślić. Przeczytałam tę wiadomość i cicho parsknęłam śmiechem. Celowo zakończyłam SMS pytaniem, by móc oczekiwać od niego odpowiedzi.

Było już późno, bo za dwie minuty miała wybić północ, więc nie liczyłam, że odpisze.

Chociaż z drugiej strony miałam do czynienia z pracoholikiem, który niemal nigdy nie chodził spać z kurami...

Piknięcie telefonu sprawiło, że serce wywinęło mi w piersi potężnego fikołka.

Będę trzymał przez cały dzień! Do którego przedszkola go zapisałaś?

Mrowienie na całym ciele objawiło przede mną samą niezdrową i absolutnie nieodpowiednią w zaistniałej sytuacji ekscytację. Lekkie drzenie w kącikach ust było zapowiedzią uśmiechu na myśl o tym, że może i on uciekł się do chwytu

zakończenia wiadomości pytaniem, by mieć nadzieję, że odpiszę.

Chciałam odpisać. Tak bardzo chciałam odpisać. Po naszej ostatniej szczerzej rozmowie znów przeskoczyła między nami jakaś iskra. Porozumienie, wzajemna fascynacja, tak szczerze i niewypowiedziane uczucia...

Do Słoneczka we Wrocławiu. Moja koleżanka Kamila (może ją pamiętasz?) tam pracuje i Jaś trafi do jej grupy.

Formułowanie odpowiedzi przychodziło mi naturalne i bez trudu. Gdzieś w głębi duszy tliła się we mnie radość – płynąca z faktu, że Filip interesował się Jasiem i szczerze mu kibicował. Gdyby nie łączyła nas tak jednoznaczna przeszłość, mogłabym bez trudu wmówić sobie, że jego zainteresowanie wynika jedynie z tego, że jakkolwiek by patrzeć, moje dzieci były jego rodziną. Jednak zarówno serce, jak i rozum (które przecież z natury bardzo rzadko się ze sobą zgadzały) podpowiadały mi, że ja i moje dzieci byliśmy dla Filipa ważniejsi na zupełnie innym, trudnym do opisanie poziomie. Poziomie, który nigdy by nie zaistniał, gdyby on pojawił się w naszym życiu przed śmiercią Artura.

Żadna odpowiedź przez bardzo długi czas już nie przychodziła, więc pomyślałam, że poszedł spać lub po prostu postanowił nie odpisywać. Odłożyłam telefon na szafkę nocną, wzięłam głęboki oddech i wpatrzyłam się w ciemność, myśląc o tak wielu rzeczach, że niemal natychmiast zaczęły mi się mieszać w jeden wielki chaos.

Wtedy właśnie ekran telefonu rozświetlił się, a ja drgnęłam z zaskoczeniem i wzięłam aparat w dłoń.

Wiadomość była krótka, stanowiła pytanie i zawierała tylko dwa słowa.

Mogę zadzwonić?

Północ minęła, wszyscy w domu spali, a on pytał, czy może zadzwonić. Każda nastolatka na moim miejscu zarumieniłaby

się uroczo na myśl o potajemnych nocnych rozmowach z ukochanym chłopakiem. Ja jednak nie byłam już nastolatką, i to od wielu, wielu lat. Nie powinnam się rumienić, pozwalać sobie na motylki zrywające się do lotu w moim brzuchu, uśmiechać czy w ogóle rozważać opcji nocnej rozmowy akurat z TYM człowiekiem.

Zamiast odpisywać pomyślałam, że chciałabym go zaskoczyć. Już tak dawno nie widziałam na jego twarzy uśmiechu, a myśl, że teraz mógłby on przyozdobić jego wargi, wydała mi się najpiękniejsza na świecie.

Dlatego wstałam z łóżka, zapaliłam lampkę nocną i po cichu zaczęłam się ubierać. Co chwilę zerkałam na Jasia, chcąc się upewnić, że śpi twardym snem. Opuściłam pokój ubrana w grube skarpety, dzinsy i obszerny zimowy sweter, do kieszeni którego wsunęłam elektroniczną nianię. Palce lewej dłoni zacisnęłam na telefonie, gdy na palcach schodziłam po schodach, wymykając się z domu tak, jakbym naprawdę była nastolatką, która przeżywa pierwsze wielkie zauroczenie.

Ubierałam się po omacku w ciemnym korytarzu, naciągając na głowę czapkę, na nogi zimowe buty, a na ramiona kurtkę. Otworzyłam drzwi frontowe powoli, modląc się w duchu, żeby tym razem nie zaskrzypiały.

Co ja właściwie wyprawiałam?

Na werandzie paliła się lampa, oświetlająca swym wątłym światłem fragment podwórza i schodki wejściowe. Przysiadłam na drewnianej huśtawce, drżąc lekko od bardzo mroźnego nocnego powietrza.

Termometr wiszący w zasięgu mojego wzroku wykazywał, że tej nocy temperatura spadła do minus dwunastu stopni, więc nic dziwnego, że trzęsłam się jak osika, a z moich drżących ust wydobywały się gęste obłoczki pary.

Co mi w ogóle przyszło do głowy?!

Odblokowałam ponownie telefon i szybko wybrałam numer Filipa, zanim mogłabym się rozmyślić.

Pomyślałam o jego głosie, który już przy pierwszym spotkaniu wytrącił mnie z równowagi. Ta nieopisana głębia i cholernie seksowna szorstkość, a do tego moc, która pozwalała jego słowom wdzierać się do najmocniej strzeżonych zakamarków ludzkiej duszy – to wszystko sprawiało, że pragnienie usłyszenia jego głosu w słuchawce okazało się niemożliwe do przewyciężenia.

– Eliza? – Był naprawdę zaskoczony. Chyba nie dowierzał, że dzwonię do niego w środku nocy.

– Przecież wiesz, że to ja... – wyszeptałam z urywanym westchnieniem, nagle przytłoczona wszystkimi doznaniem. Wiedziałam, że mnie nie widzi, więc mogłam sobie pozwolić na przeżywanie tego wszystkiego, co nadal i pomimo wszystko do niego czułam.

– Nie wierzę, że zadzwoniłaś – powiedział wprost, ubierając w słowa to, co sama myślałam.

– Jest noc, a nocą ludzie często robią szalone rzeczy...

– Może to prawda. A czasem te szalone rzeczy jednych ludzi sprawiają, że noce innych stają się zaskakująco i niewiarygodnie wspaniałe – wyszeptał miękko, trafiając tymi słowami w sam środek mojego serca.

– To znaczy, że nie miałaś dziś zbyt dobrego wieczoru? – zapytałam spokojnie. Nie zrobiłam tego, żeby wypełnić ciszę. Zrobiłam to, bo byłam naprawdę ciekawa jego samopoczucia.

– Pojęcie dobrych dni i dobrych wieczorów odeszło razem z tobą – wyszeptał tak cicho, że mogłabym uznać te słowa za wytwór mojej wyobraźni. – Mam teraz sporo pracy w lecznicy. Dziś przeprowadziłem dwa trudne zabiegi... – dodał głośniejszym głosem, udzielając bezpiecznej odpowiedzi.

– Powiodły się?

– To się okaże w ciągu najbliższej doby. Psiaki były dzielne, więc jestem dobrej myśli – odpowiedział z nutą nadziei, która rozbrzmiała wyraźnie na tle jego smutnego, zmęczonego głosu.

– A Kuba znalazł ostatnio trzy małe kociaki w stajni i chyba postanowili je z Olką przygarnąć.

– Wiem. Kuba był z nimi u mnie. Odrobaczyliśmy je, zaaplikowaliśmy środek na pchły i zaszczepiliśmy, więc wygląda na to, że im się poszczęściło – odpowiedział spokojnie, a ja od razu wyobraziłam sobie, jak jego wyraziste wargi wyginają się w lekkim, czułym uśmiechu. Takim, który przyozdabia usta człowieka wykonującego zawód weterynarza z tak autentyczną pasją, z jaką robił to Filip.

– Nic nie wspominał, że był u ciebie – mruknęłam niby mimochodem. Nie miałam Kubie za złe tego, że to zrobił. W końcu sama podsunęłam mu ten pomysł. Poniekąd.

– To może nawet lepiej.

– Dlaczego?! – zapytałam ostro. Zmarszczyłam brwi i przycisnęłam telefon mocniej do ucha.

– Bo trochę go o ciebie wypytywałem – przyznał po chwili, jak gdyby wstydził się swojego zachowania.

– Co masz na myśli? – wyszeptałam bez tchu. Rozumiałam, że wkraczamy na bardzo grząskie tereny naszej konwersacji.

– Tylko to, że teoretycznie nie powinienem interesować się twoim życiem, a w praktyce wygląda to tak, że wszelkie moje postanowienia szlag trafia, gdy tylko nadarza się możliwość, żeby czegokolwiek się dowiedzieć – odpowiedział wprost.

Zamilkłam, bo wszelkie słowa uleciały z mojej głowy razem z kolejnym oddechem. Podniosłam wzrok i spojrzałam w niebo, dostrzegając bez trudu wszystkie gwiazdy w ich zachwycającej okazałości. Chociaż była późna godzina nocna, to nie czułam nawet minimalnego zmęczenia. Zamiast tego w mojej głowie i sercu toczyły się nieopisane emocjonalne tyrady dotyczące Filipa.

– Eliza? – wyszeptał cicho, najwyraźniej pragnąc sprawdzić, czy nadal znajduję się po drugiej stronie linii.

– Tak?

– Czego się w tej chwili najbardziej boisz?

To pytanie nie było wcale trudne. Miałam wiele lęków, które towarzyszyły mi codziennie. Zrodziły się we mnie wraz z narodzinami Jasia. Wcześniej zarówno ja, jak i Artur byliśmy beztroscy, cieszyliśmy się życiem, rodziną, pracą i planami na przyszłość, nie biorąc w ogóle pod uwagę, że może nas spotkać coś złego. Narodziny Jasia nie były „złem”, a jego wady genetycznej nie rozpatrywaliśmy w kategoriach brzemienia czy tragedii. Przynajmniej w późniejszym okresie, bo pierwsze zmierzenie się z informacją o tym, że nasz synek ma zespół Downa, było jak zderzenie z szybko jadącym pojazdem. Później ochłonęliśmy, zasięgnęliśmy informacji o tej wadzie genetycznej, odetchnęliśmy i postanowiliśmy stanąć twarzą w twarz z postawioną przed nami misją.

Bo to była misja.

A lęki podczas wykonywanej misji przecież nie były niczym nienormalnym.

Już miałam odpowiedzieć Filipowi szczerze o tym, czego się boję, gdy przeanalizowałam dokładnie jego pytanie.

Zapytał, czego boję się *w tej chwili...*

Przymknęłam na moment powieki i oczami wyobraźni zobaczyłam jego twarz... Bałam się tych oczu, które były tak podobne do oczu mojego zmarłego męża i od początku stanowiły moją zgubę. Bałam się tych ust, których smak i miękkość nawiedzały mnie w snach. Bałam się głosu, którego głębia, naturalna szorstkość i moc wprawiały moje serce w drżenie, nie pozwalając zapomnieć o wszystkim, co razem przeżyliśmy.

W tej chwili to właśnie on najbardziej mnie przerażał. Jego wpływ na mnie, siła, z jaką oddziaływał na każdą komórkę

mojego ciała...

– Ciebie – wyszeptalam w końcu po dłuższej chwili milczenia.

Zasługiwał na szczerłość, a już zwłaszcza w momencie, gdy nie mógł zobaczyć mojej twarzy. Wystarczyło, że spojrzełby na mnie w tej jednej, konkretnej chwili, a przekonałby się, że żadne ze słów, które wykrzyczałam mu w twarz przed wieloma miesiącami, nie jest już aktualne.

– Dlaczego? – zapytał tak cicho, że mogłabym uznać to za dźwięk jego oddechu, gdyby każdy z moich zmysłów nie był tak bardzo wczulony.

Pod tym pytaniem kryło się tak wiele, bo już nie chodziło o to, że chciał po prostu wiedzieć. Potrzebował potwierdzenia dla swoich przypuszczeń. Potrzebował wiedzieć, że jego serce się nie myli.

Czy mogłam mu to dać? Tej konkretnej nocy?

– Wiesz dlaczego.

Strach zapuszczał swe macki pod moją skórą, czyniąc mnie bezbronną i obnażoną przed tym mężczyzną, który już raz odbudował moje serce i złamał je na nowo.

– Kocham cię taką, jaka jesteś, Eliza.

Świat zadrżał w posadach po jego słowach, a moje serce przypuściło nieustępliwy szturm na klatkę piersiową, utrudniając mi oddychanie i sprawiając, że do oczu napłynęły piekące łzy.

Każda kobieta marzy, żeby chociaż raz w życiu usłyszeć te słowa z ust mężczyzny. Nie trzeba mieć romantycznej duszy i marzyć o przeżyciu wielkiej miłości, ale po prostu takie słowa kiedyś powinny paść dla każdego, brzydkiego czy ładnego, grubego czy szczupłego, a nawet skrzywdzonego i poranionego przez życie.

Bo takie słowa miały ogromną moc naprawczą. Działały na rany jak łagodzący balsam, były jak niezawodny lek na

wszystkie emocjonalne bolączki świata.

Zacisnęłam usta i wypatrzyłam jedną z gwiazd, która migiała najmocniej i najintensywniej ze wszystkich. Uśmiechnęłam się, wypuszczając spod powieki prawego oka jedną łzę i przyciskając telefon do ucha.

Byłam szczęściarą. Kilka lat temu pewien chłopak, który później został moim mężem, wypowiedział do mnie te znaczące, jakże ważne słowa. Minęło wiele dni i miesięcy, tamtego chłopaka już nie ma, ale w moim życiu pojawił się ktoś inny.

Ktoś bliski pod wieloma względami.

I w środku tej mroźnej nocy szepcze te same słowa, co jego przyrodni brat wiele lat wcześniej.

Gdzieś w zgłiszczach mojego starego życia zaczęło niespodziewanie kiełkować nowe.

– Filip, ja... – zaczęłam, nie do końca świadoma tego, co naprawdę chciałabym mu powiedzieć. – Te słowa... wiele dla mnie znaczą – przyznałam po chwili, czując całą sobą, że powinnam dać temu człowiekowi coś, co pozostawi nadzieję.

Na lepsze jutro, może na jakąkolwiek przyszłość.

We dwoje. We czworo.

– Dla mnie te słowa są wszystkim, co w tej chwili mam, Eliza – wyszeptał szczerze, a w jego tonie zabrzmiała jakaś niezidentyfikowana nuta, która ścisnęła mnie za serce.

Mróz przesączał się przez moje ubranie, sprawiając, że przemarzałam do kości. Chociaż ta rozmowa była tak trudna, nie chciałam jej kończyć. Jednak co by się nie działo, w pierwszej kolejności byłam matką chłopca, który za kilka godzin miał rozpocząć swój ważny, być może przełomowy dzień.

Na tym musiałam się skupić, by jutro oddać mu całą siebie. Swoje wsparcie, myśli i całą miłość.

– Muszę kończyć, Filip. Wstaję wcześnie, bo Jaś...

– Wiem – wszedł mi w słowo, zawierając w tych czterech literach ogrom wyrozumiałości. – Mam nadzieję, że niebawem się zobaczymy – dodał spokojnie, a następnie zaczerpnął głęboki oddech.

– Śpij dobrze, Filip.

– Śpij dobrze, Eliza.

Zakończyłam tę rozmowę z myślą, że chciałabym tej nocy śnić o nim.



Od samego rana Jaś był w rewelacyjnym nastroju. Uśmiechał się i pozwalał ubierać bez najmniejszych protestów. Sam z siebie podbiegł do Emilki, gdy wychodziła z moim tatą na przystanek, po czym przytulił się do niej mocno i ucałował w policzek. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, a mama i tata spojrzeli nawet na siebie z uniesionymi brwiami, lecz oboje szybko odwrócili wzrok, najwyraźniej speszeni swoją śmiałością.

Zapakowałam do torebki wszystkie potrzebne dokumenty i chwyciłam torbę z wyprawką dla Jasia. Mama odprowadziła nas do samochodu i patrzyła, jak przypinam synka w foteliku. Każdorazowe spojrzenie na nią pokazywało, jak bardzo była przejęta.

– Trzymam kciuki, kochanie! – powiedziała, wykonując wspomniany gest.

On w odpowiedzi szeroko się uśmiechnął, a następnie przycisnął dłoń do ust i posłał w kierunku babci buziaka.

Przytuliłam mamę i wsiadłam do samochodu, a już po chwili wyjeżdżałam powoli z zasypanego śniegiem podwórka.

W odtwarzaczu włączyłam płytę z dziecięcymi piosenkami i słuchałam, jak mój synek nuci sobie pod nosem, patrząc przez szybę na otaczający go świat.

Prawdopodobnie moje kilkukrotne powtarzanie informacji o przedszkolu zakorzeniło się w jego umyśle na tyle, że był świadomy zmian, jakie zapoczątkuje dzisiejszy dzień.

Pod budynkiem przedszkola zaparkowałam piętnaście minut przed godziną ósmą. Wyciągnęłam Jasia z samochodu i pokręciłam ostrzegawczo głową, gdy pochylił się z zamiarem nabrania śniegu i uformowania z niej śnieżki, którą chciał następnie we mnie rzucić.

Przewiesiłam sobie przez ramię torebkę, w dłoń wzięłam torbę z rzeczami Jasia, a drugą złapałam synka za rękę, kierując się powolnym krokiem do przedszkola. Po wyrazie jego twarzy od razu się zorientowałam, że rozpoznał budynek, do którego właśnie zmierzaliśmy.

Wewnątrz było ciepło i przytulnie, a po holu kręciło się już mnóstwo dzieci, opiekunów i rodziców. Kilka głów obróciło się w naszym kierunku, witając skinięciem głowy i uśmiechem.

Mój czterolatek wydawał się taki mały i kruchy pośród obecnych w korytarzu starszych dzieci. Ze smutkiem zauważyłam, że podopieczni tej placówki borykali się z różnego rodzaju upośledzeniami, zarówno ruchowymi, jak i umysłowymi. Wielu z nich potrzebowało pomocy przy najprostszych czynnościach, były dzieci na wózkach inwalidzkich i ze zdeformowanymi kończynami.

Najbardziej niesamowite było jednak to, że wszyscy tutaj emanowali dobrą energią, uśmiechając się tak, jak gdyby nie mieli nawet najmniejszych zmartwień.

Przykucnęłam przy Jasiu i zaczęłam rozbierać go z wierzchnich ubrań. Zdjęłam zimową czapkę i kurtkę, poprawiłam mu zmierzwiłone jasne włoski i dotknęłam czule rumianych od mrozu policzków.

– Cieszysz się, że spędzisz tu dziś dzień? – zapytałam, patrząc w niebieskie oczy Jasia.

– Tak – odpowiedział swoim miękkim, dziecięcym głosem, przytakując energicznie.

Serce zalało mi ciepło, gdy przytuliłam go i pocałowałam w głowę.

– Dzień dobry, moi kochani! – Głos Kamili rozbrzmiał nam nad głowami, więc oboje spojrzeliśmy do góry, widząc dobrze nam znaną, uśmiechniętą twarz. Wyprostowałam się i popatrzyłam jej w oczy. – Czy nasz mały przedszkolak jest gotowy? – zagadnęła raźnie, zerkając to na mnie, to na Jasia.

– Tak! – potwierdził entuzjastycznie, a my wybuchliśmy śmiechem.

– No! To mi się podoba! My idziemy, a mama się nie martwi i przyjeżdża po synka o godzinie szesnastej, tak? – odpowiedziała i posłała mi znaczące spojrzenie, które doskonale znałam. Oznaczało tyle, że wszystko będzie dobrze i powinnam przestać wyglądać tak, jak gdybym rozstawała się z moim dzieckiem na zawsze.

Przytaknęłam.

– Tutaj masz ręcznik, przybory toaletowe, piżamkę, bambosze, ulubionego misia Jasia do leżakowania, poduszeczkę, kocyk, szczoteczkę i pastę... – wymieniałam nerwowo i pewnie robiłabym to dalej, gdyby Kamila nie złapała mnie stanowczo za ramię, sprawiając, że na nią spojrzałam.

– Poradzimy sobie, Eliza. Spokojnie – powiedziała cicho, po czym uśmiechnęła się uspokajająco i przytaknęła krótko, gdy wzięłam głęboki oddech.

Pewnie, że sobie poradzą, bo dlaczego miałyby być inaczej? Mój synek z jednej strony miał tylko cztery lata, ale z drugiej trafił pod opiekę osób, które znały się na pracy z niepełnosprawnymi dziećmi, więc wiedziałam, że nie stanie

mu się krzywda. Poza tym wszyscy byli tu tacy uśmiechnięci i miałam nadzieję, że gdy pod koniec dnia odbiorę Jasia z przedszkola, i on będzie tak pięknie rozpromieniony.

Kamila złapała mojego synka za dłoń, przewiesiła sobie torbę z jego rzeczami przez ramię i zaczęła go prowadzić w kierunku sali. Po drodze jeszcze przystanęli, a Jaś odwrócił się i pomachał mi. Gardło ścisnęło mi się z emocji, gdy odpowiedziałam na jego gest, uśmiechając się z całą miłością, jaką darzyłam tego małego, ślicznego, nieidealnego chłopczyka.

Drzwi od sal zamykały się, a hol zaczął pustoszeć. W końcu wzięłam się w garść i ruszyłam do gabinetu dyrektorki. Zapukałam cicho.

Przywitała mnie z entuzjazmem typowym nie tylko dla jej osoby, ale i całego tego miejsca. Od razu dostrzegła moją zafrasowaną minę, więc przez pierwsze pięć minut zapewniała, że wszystko będzie dobrze, a Jasiowi włoszek z głowy nie spadnie. Dopiero gdy poczułam się nieco pewniej, przeszłyśmy do formalności.

Złożyłam przed dyrektorką wszystkie niezbędne dokumenty mojego dziecka oraz jadłospis przepisany na ostatniej wizycie u dietetyka. Wypełniłam również formularz dotyczący tego, kto może odbierać Jasia z przedszkola. Omówiłam ten temat z Olą i zdecydowałam, że tylko ją do tego upoważnię. Im mniej osób, tym lepiej.

Wychodziłam z budynku przedszkola z poczuciem podjęcia słusznej decyzji. Patrzyłam pod stopy, wyobrażając sobie, jak spędzę dzisiejszy dzień. Z jednej strony miałam ręce pełne roboty, bo mogłam nadgonić obowiązki domowe i przecież powinnam zrobić zakupy, bo w lodówce prawie wszystko nam się już skończyło. Z drugiej jednak obawiałam się, że bez Jasia mogę nie odnaleźć się w całym tym dniu.

– Jak tam nasz dzielny przedszkolak?

Podskoczyłam jak oparzona na dźwięk tak dobrze mi znanego głosu. Wyrwana z zamyślenia poderwałam głowę, napotykając spojrzenie tych przepięknych, jasnych oczu, które przyszpiliły mnie w miejscu bez najmniejszego trudu.

Wyglądał tak dobrze... Policzki zaróżowiły mu się lekko od mrozu, a materiał czarnego płaszcza opinał ramiona. Natomiast wyraz twarzy nie przedstawiał zafrasowania czy zmartwienia, czego zapewne nie dało się powiedzieć o mnie...

– Co tu robisz? – zapytałam z niemałym zaskoczeniem. Czulałam, jak pod warstwami grubych ubrań zaczyna generować się gorąco od szalejącego w piersi serca.

– Miałem nadzieję, że zdążę życzyć Jaśkowi powodzenia, ale spóźniłem się o kilka minut, bo zdążyliście już wejść do środka – odpowiedział, wzruszając ramionami. Uśmiechnął się do mnie w charakterystyczny, jakby przekorny sposób.

Stał w pobliżu mojego samochodu – starego i mającego czasy świetności już dawno za sobą. To auto kompletnie nie pasowało do jego eleganckiej i zachwycającej osoby. Zmarszczki czy przyprószone lekką siwizną skronie nie stanowiły rysy na jego wizerunku. Każda drobna niedoskonałość cholernie mi się w nim podobała.

– Chyba będzie dobrze, bo bardzo się cieszył, że tam idzie – odpowiedziałam, otulając się lekko szalem, żeby ochronić twarz przed chłodnymi podmuchami wiatru.

– Czy to znaczy, że masz teraz chwilę na kawę w moim towarzystwie? – zapytał i przechylił lekko głowę, patrząc na mnie z błyskiem w oczach.

Ta jego niewymuszona uwodzicielskość i szarmanckość rozbijały mnie wewnątrz na drobniutkie części. On nie grał, nie udawał kogoś, kim nie był. Pokazywał mi się taki, jaki był naprawdę. W całej swojej zachwycającej okazałości.

Może powinnam odmówić i konsekwentnie chronić swoje serce. Zamiast tego zamarzyłam o tym, by znaleźć się

z Filipem w jakiejś przytulnej kawiarni i wypić coś ciepłego w jego towarzystwie.

– Mam pół godziny – odpowiedziałam, siłąc się na spokój i starając się zabrzmieć tak, jak gdyby jego propozycja wcale nie miała dla mnie ogromnego znaczenia.

– Wobec tego jedźmy do kawiarni Na rogu. Jest najbliżej – odpowiedział i w ciągu minuty oboje wyjechaliśmy z parkingu pod przedszkolem, by po chwili znaleźć się przed wspomnianą przez niego kawiarnią.

Otworzył mi drzwi i przepuścił w przejściu. Takie proste, a jednak często wzgardzane gesty robiły na mnie wrażenie.

Wnętrze kawiarni było niewielkie, a mogłabym nawet uznać, że zagracone przesadną liczbą mebli. Dominowały starocie w dawno niemodnych już wzorach. Kanapy, fotele, taborety, krzesła. Wszystko z innej parafii. Ten artystyczny nieład, czy nawet chaos, zdawał się mieć w sobie coś urzekającego, gdy na każdy z mebli padały promienie ognia strzelającego w kominku i wypełniającego ciepłem całą kawiarnię.

– Czego się napijesz? – zapytał Filip, gdy zajęliśmy miejsca przy chybotliwym stoliku w bliskiej odległości od kominka.

– Poproszę o gorącą czekoladę z piankami – odparłam spontanicznie. Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się.

Przez jego twarz przemknął zachwyt, a oczy roziskrzyły się w radosnym, swobodnym i pięknym uśmiechu. W tej jednej sekundzie odmłodził o kilka lat i wyglądał tak, jakby wreszcie udało mu się umówić na randkę z dziewczyną, w której od dawna się podkochiwał.

Ależ ja miałam dziwne myśli w jego obecności.

Nie powiedział nic, tylko ruszył do kontuaru złożyć nasze zamówienie. Wrócił po kilku minutach, gdy ja już zdążyłam zdjąć płaszcz i powiesić go na wieszaku. Postawił przede mną jeden z kubków, z którego wprost wysypywały się pianki. Z rozbawieniem zauważyłam, że dla siebie zamówił to samo.

– Picie gorącej czekolady przed dziewiątą rano poskutkuje tym... – zaczął, a ja popatrzyłam na niego i weszłam mu w słowo:

– ...że nas zemdli.

– Dokładnie tak – przyznał, kręcąc głową i śmiejąc się pod nosem.

Patrzyłam, jak kciukiem i palcem wskazującym wyciąga z kubka jedną piankę, wkłada ją do ust i kiwa z uznaniem, gdy słodycz zaczęła rozpuszczać mu się na języku.

Uśmiechnął się do mnie zachęcająco i kiwnął głową, czekając, aż zrobię to samo. Z wielką chęcią wzięłam sobie piankę i włożyłam do ust, delektując się cudownym smakiem dzieciństwa.

– Tylko błagam, nie mów moim dzieciom, że ich mama od rana opycha się piankami i pije gorącą czekoladę – powiedziałam z rozbawieniem, przekrzywiając nieco głowę i patrząc na niego krótko.

Wyglądał tak przystojnie w półmroku tej chaotycznej kawiarni, ubrany w granatowy zimowy sweter zapinany na guziki i z zarumienionymi policzkami.

Gdybym nie zakochała się w nim już wcześniej, to z pewnością stałoby się to teraz.

– Wiesz... – zaczął z uniesionymi brwiami, wyciągając z kubka kolejną piankę – ...to zależy.

– Od czego niby?

– Od tego, czy mi się narazisz. Jeśli będę miał powód, żeby się zemścić, to namówię dzieciaki do buntu i następnym razem to z nimi wybiorę się na gorącą czekoladę przed dziewiątą rano – odpowiedział z psotnym uśmiechem i zmrużył lekko oczy.

Parsknęłam śmiechem i pokręciłam głową, połykając piankę.

– Strach nie pozwoli ci tak mi się sprzeciwić – stwierdziłam z przekonaniem, unosząc brwi i opierając się łokciami o blat

okrągłego stolika.

– Jesteś tego pewna? – zapytał cicho. Przesunął spojrzenie po mojej twarzy. O kilka chwil za długo wpatrywał się w moje usta, które zamarły w bezruchu pod wpływem jego palącego spojrzenia.

– Możemy się przekonać – odpowiedziałam powoli, z pełną świadomością pozerając spojrzeniem jego jasne, niebieskie oczy otoczone woalką niewiarygodnie długich, ciemnych rzęs.

Zamarliśmy w tej dziwnej, nieopisanej przestrzeni, która powstawała tylko wtedy, gdy pomiędzy dwojgiem ludzi była ta tajemnicza chemia. Ja i Filip czuliśmy wzajemne przyciąganie, które w naszym przypadku potęgowane było jeszcze wzajemną tęsknotą i wspomnieniami tych kradzionych, upojnych nocy sprzed kilku miesięcy.

Mogłabym tak patrzeć na niego jeszcze długo, przypominając sobie, jak dobrze mi było w jego ramionach, lecz wtedy telefon w mojej torebce zaczął dzwonić jak szalony, wyrywając nas z niebezpiecznego, naelektryzowanego otumanienia.

– Przepraszam cię – powiedziałam i wyłowiłam komórkę spomiędzy licznych bibelotów zajmujących przestrzeń mojej średniej wielkości torebki.

Dzwoniła Ola.

– Halo?

– Dzień dobry, kochana! Już nie mogłam wytrzymać, żeby nie zadzwonić i nie zapytać o to, jak poradził sobie Jaś w swoim wielkim dniu! – Entuzjastyczny głos Oli zaatakował moje prawe ucho. Spojrzałam na Filipa, który uśmiechnął się wyrozumiale i dał mi znać, że mam spokojnie porozmawiać, a on poczeka.

– Myślę, że dobrze. Był w świetnym humorze od samego rana i chętnie poszedł z Kamilą do sali – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Nie płakał? – zapytała zaskoczona Ola.

– Ani trochę – odparłam i uśmiechnęłam się lekko, chociaż przecież ona nie mogła tego zobaczyć.

– Dzielny chłopiec! – westchnęła z zachwytem. – A więc jak spędzasz swój pierwszy wolny dzień? – zagadnęła entuzjastycznie, a ja bez trudu wyobraziłam sobie, jak wielki ma teraz uśmiech na twarzy.

– Aktualnie piję gorącą czekoladę – odpowiedziałam spokojnie, łudząc się, że nie padnie więcej pytań.

– O dziewiątej rano? – zdziwiła się Ola. – Toś się zbuntowała, kiedy dzieciaki w szkole – mruknęła, a ja byłam pewna, że kręci w tej chwili głową.

Gdzieś w tle usłyszałam jakiś szelest, a po chwili łoskot upadającego przedmiotu. Ciche kwilenie dziecka sprawiło, że w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka. Po zaledwie sekundzie usłyszałam przytłumiony głos mojej siostry w głośniku telefonu.

– Zapytaj, z kim pije tę czekoladę.

W pierwszej chwili miałam ochotę poddać się temu krótkiemu ukłuciu irytacji. Zaraz jednak poczułam, że bardziej chce mi się śmiać. Miałam w tym momencie zadziwiająco dobry humor.

– Mogłaś powiedzieć, że jestem na głośnomówiącym – stwierdziłam udawanym srogim tonem, patrząc na Filipa, który z rozbawieniem pokręcił głową. – Cześć, Milena.

– Witaj, siostro! – przywitała się bez skrępowania. – To jak będzie, zdradzisz swojego towarzysza do picia gorącej czekolady o dziewiątej rano? – zapytała rezolutnie i przypominała mi w tej chwili tę dawną, szaloną Milenę.

Spojrzałam w twarz siedzącego naprzeciwko mężczyzny, zastanawiając się, czy powiedzenie prawdy będzie dobrym posunięciem. Jego przeszywający wzrok utkwiony był we mnie tak mocno, że niemal odbierał mi dech.

– Jestem z Filipem – powiedziałam spokojnie i powoli, spodziewając się dostrzec na jego twarzy jakikolwiek wyraz sprzeciwu.

Nie było go. Zamiast tego pojawiła się ulga, a jasne tęczęwki wypełniły się ciepłem i czułością, która otuliła mnie niczym mięciutki koc.

– Och... – westchnęła Ola z zaskoczeniem. – Tego się nie spodziewałam – przyznała szczerze.

W dziwnej nerwowości oczekiwałam na reakcję Mileny, nadal nie mogąc do końca uwierzyć w to, że jej uczucia do Filipa były tylko platoniczne.

– Nareszcie... – Pełen ulgi głos mojej siostry dotarł do mnie wyraźnie, sprawiając, że z mojego serca spadł ciężki kamień. – Porozmawiajcie, bo wasze cierpienie trwa już zbyt długo – dodała miękko, jak gdyby uśmiechała się z głębi serca przy wypowiedaniu tych słów.

– Dzięki... – mruknęłam, czując, jak na mojej twarzy odmalowują się wszystkie kluczowe emocje, które Filip mógł bez trudu zobaczyć.

Zwłaszcza że przez cały czas wpatrywał się we mnie intensywnie.

– Wobec tego nie przeszkadzamy – szepnęła Ola dziwnie podekscytowanym głosem.

– I trzymamy kciuki! – dodała szczerze Milena.

Rozmowa została zakończona kilka sekund później. Dopiero wtedy dotarło do mnie, jak za moment może być niezręcznie. Czułam, że moja twarz jest niezdrowo zarumieniona z emocji, więc zaczęłam skupiać się aż nadto na chowaniu telefonu do torebki, żeby tylko opóźnić moment, gdy będę musiała znów spojrzeć w twarz Filipa.

– Cieszę się, że im powiedziałaś – przyznał spokojnie, przerywając ciszę między nami.

Mój wzrok pofrunął do niego bezwiednie, zauważając szczerłość, delikatny uśmiech zdobiący wyraziste wargi oraz głębię malujących się w tęczęwkach emocji.

– Dopytywały, więc...

– Cieszę się, że im powiedziałaś – powtórzył i upił łyk czekolady, zerkając w kierunku szklanej witryny kawiarni, za którą toczyło się życie całego miasta.

Ujęłam w obie dłonie filiżankę z nieco przestygniętą już czekoladą i upiłam łyk, rozkoszując się przepyszną słodyczą tak, jak robiłam to, gdy byłam małym dzieckiem. Rodzice od zawsze zdawali sobie sprawę z mojej wielkiej miłości do słodkości, więc często w ramach nagrody za zdobycie dobrej oceny lub wykonanie powierzonego zadania zabierali mnie na gorącą czekoladę.

– Co tam u twoich rodziców? – zapytał Filip, bo najwyraźniej starał się wyciągnąć nas z tej odrobinę niezręcznej sytuacji.

Przywołałam na usta uśmiech, wyprostowałam się na krześle i popatrzyłam na niego.

– Całkiem dobrze. Mama, jak to mama, działa w kuchni na pełnych obrotach, a tata tradycyjnie zabrał się do porządków w budynkach gospodarczych, bo zimą zawsze pozbywa się niepotrzebnych przedmiotów – powiedziałam spokojnie i upiłam łyk czekolady. Postanowiłam nie mówić mu o napiętej sytuacji w domu. To nie było przecież jego zmartwienie. – A tobie jak się wiedzie? Słyszałam, że dużo pracujesz, ale poza tym...

Opuścił na chwilę wzrok, a gdy znów na mnie spojrział, zobaczyłam, że był samotny.

W całym tym zapętleniu spraw zapomniałam, że przecież Filip nie miał już nikogo na tym świecie... Stracił ojca, rozstał się z żoną, matki nigdy nie miał, a przyrodniego brata nie zdążył poznać. Był sam. Jego jedyną rodzinę stanowiły moje dzieci.

Nagle smutek przeszył mnie niczym miecz samurajski, a usta zacisnęły się w wąską linię, żeby nie ukazać przed nim drżenia. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Jak mogłam być tak beznadziejna? Jak mogłam zapomnieć, że on nie ma nikogo bliskiego poza... nami? Przecież nie tak dawno temu były święta... Spędził je sam? A może z Mileną, lecz my o tym nie wiedzieliśmy, bo zdecydowali się z tym nie afiszować?

– O nie, Eliza. Nie rób tej swojej miny – powiedział poważnie, śledząc spojrzeniem moją skutą smutkiem twarz.

– Jakiej miny? – zapytałam cicho. Staralam się udawać, że właśnie wcale nie zjadały mnie wyrzuty sumienia.

– Jakbyś znalazła na ulicy małego szczeniaczka i chciała mu za wszelką cenę pomóc – odpowiedział sucho i z nutką goryczy, bo chyba nie mógł znieść mojego współczucia.

– Wcale nie...

– A właśnie że patrzysz tak na mnie. Nie chcę tego, rozumiesz? Radzę sobie. Dużo pracuję, owszem, ale to nie znaczy, że nie jestem w jakimś tam sensie szczęśliwym człowiekiem – odpowiedział stanowczo i szybko uciekł wzrokiem w bok.

Wiedziałam, że kłamie.

– Dlaczego mam wrażenie, że mijasz się z prawdą?

Wydawał się poirytowany moją dociekliwością. Czy to nie było oczywiste? Od dawna nikt się o niego nie troszczył, więc nie był nauczony przyjmować czyjegoś zainteresowania ze spokojem.

Ta myśl jeszcze mocniej mnie dobiła.

– Eliza, dlaczego miałbym cię okłamywać? – zapytał spokojnie. Zaciskał usta, a z jego oczu zniknęły wszystkie te piękne, dobre iskry.

Zobaczyłam, że dłoń, którą trzymał na stole, zacisnęła się bezwiednie w pięść, gdy opuścił spojrzenie na opróżnioną do

połowy filiżankę.

Działając pod wpływem impulsu i niemożliwego do opisanie pragnienia, żeby przynieść mu ukojenie, wyciągnęłam rękę przez stół i otoczyłam palcami jego pięść. Delikatnie rozluźniłam uścisk i splótłam nasze dłonie razem tak naturalnie, jakbyśmy robili to od zawsze.

Naturalnie jasne tęczówki pociemniały, a przez lekko rozszerzone źrenice przemknęła jakaś ulotna, ale wstrząsająca emocja. Dopadło mnie dziwne uczucie, jakbyśmy oboje cofnęli się w czasie.

Do dnia, kiedy po raz pierwszy mnie pocałował. Tak gwałtownie i niespodziewanie, w mojej sypialni, pod wpływem złych emocji. Zrobił to, bo chciał, żebym miała realny powód, by go znienawidzić.

Po drodze pojawiło się kilka powodów, za które mogłabym żywić do niego tylko nienawiść. Nasza znajomość była burzliwa i wypełniona skrajnymi emocjami, a to dlatego, że oboje byliśmy ludźmi z przeszłością. Niełatwą i nadal rzucającą się cieniem na to, co mieliśmy obecnie.

Co by się jednak nie działo, ja nie umiałam go nienawidzić. Był ważny. Był potrzebny. Był bliski mojemu sercu.

Był mój.

Był po prostu mój. Nie swojej żony, nie Mileny... Mój.

Stał się mój w chwili, gdy dopadł do moich ust po raz pierwszy. Wówczas przeskoczyło między nami coś potężnego, sprawiając, że zaczęliśmy należeć do siebie.

Minęło tyle czasu, a ja dopiero w tej chwili to zrozumiałam.

Jak mogłam być taka ślepa?

– Odwiedź nas w weekend – wyszeptałam tak cicho, że prawdopodobnie musiał to odczytać z ruchu moich warg.

Zaskoczyłam go. Zastanawiał się przez chwilę, lecz szybko pokręcił przecząco głową. Stanowczo i z miną, która była sygnałem, że w tej kwestii z pewnością się nie ugnie. Zaciętość

ściągnęła jego twarz, a każda ze zmarszczek jakby się pogłębiła.

– Nie tak od razu, Eliza. Nie mogę zrobić tego sobie, tobie, dzieciakom, a już zwłaszcza Arturowi – odpowiedział spokojnie, acz z pełnym przekonaniem. Zacisnął palce na mojej dłoni i pogładził lekko jej wierzch swoim kciukiem. – Jeśli będziesz chciała, to możemy spotkać się u mnie. Bo ja bym chciał. Bardzo – przyznał, patrząc mi szczerze w oczy.

Przytaknęłam, bo tylko to byłam w stanie zrobić. Ja także chciałam się z nim spotkać. Chciałam stanąć z nim twarzą w twarz i zdecydować o tym, co dalej będzie z nami.

Wolną dłonią złapałam kubek i upiłam kolejny łyk czekolady, oblizując usta. Filip prześledził spojrzeniem ruch mojego języka i widziałam wyraźnie, jak jego grdyka drgnęła, gdy przełknął ślinę.

Iskry znów przeskoczyły, a wspomnienie jego nagiego ciała górującego nad moim znów stało się nieprzyzwoicie żywe w mojej wyobraźni.

– Dziękuję ci za wczorajszą rozmowę i za dzisiejszy poranek – wyszeptał i pocałował lekko wierzch mojej dłoni, gdy po kwadransie rozmowy na niezobowiązujące tematy wstaliśmy od stolika i zaczęliśmy się ubierać.

Nie chciałam się z nim jeszcze rozstawać, bo chociaż w jego obecności stawałam się rozchwiana emocjonalnie, to było to bez porównania lepsze od martwicy, która wypełniała moje wnętrze, zanim go poznałam. Filip ożywiał mnie pod każdym możliwym względem.

Wyszliśmy z kawiarni w milczeniu wprost na chłód ulicy. Płatki śniegu leniwie spadały z nieba, osiadając na naszych włosach, twarzach i ubraniach. Zimowa aura ogarnęła całe miasto.

Obłoczki pary wydobywały się z naszych ust, łącząc się pośrodku dzielącej nas odległości i razem rozmywając

w powietrzu. Drżałam lekko, na poły z zimna, na poły z dziwnego oczekiwania na to, co może się wydarzyć w ciągu tych ostatnich wspólnych minut.

Filip pokonał dzielący nas krok bez pośpiechu, jak gdyby dawał mi czas na ucieczkę, która zapewne miałyby mnie ocalić przed jego bliskością. Następnie ujął w dłonie moją twarz i pogładził zaczerwienioną skórę na policzkach. Moje spojrzenie napotkało jego oczy, w tej chwili całkowicie skupione na mnie.

– Kocham cię taką, jaka jesteś – wyszeptał ledwo słyszalnie i przybliżył się nieco.

Zatrzepotałam powiekami, bojąc się tego, co może nastąpić w następnej sekundzie, a jednocześnie pragnąc, żeby stało się wszystko, co tylko może się stać.

Dotyk jego ciepłych ust na moim policzku był szokujący. Był też czuły i poruszający w sposób, którego nie potrafiłam opisać słowami. Spodziewałam się płomiennego pocałunku, pełnego tęsknoty i łączącego nas pożądania. A tymczasem on dał mi delikatność i sensualność, po raz kolejny udowadniając, że jest absolutnie wyjątkowym mężczyzną.

Odsunął się szybko, jakby natychmiast musiał odzyskać swoją przestrzeń. Uśmiechnął się tak, że zaparło mi dech w piersi, a następnie odwrócił się i odszedł.



Rozdział 6

Postanowiłam skorzystać z pierwszego wolnego dnia i załatwić większość spraw z długiej listy oczekujących. Pojechałam na duże zakupy do jednego z najpopularniejszych polskich marketów i starałam się kupić wszystko, co konieczne. Dwukrotnie dzwoniłam do mamy, by upewnić się, że mam w koszyku wszystkie potrzebne produkty, a ona tylko się ze mnie śmiała – bo byłam taka roztargniona i próbowałam udawać, że świetnie radzę sobie w ciągu pierwszych godzin bez Jasia.

Okolo południa zasiadłam przy stoliku w kawiarni, tym razem naprawdę decydując się na wypicie kawy. Po zakupowej batalii czułam się zmęczona bardziej niż po dniu ciężkiej pracy.

Do głowy wpadł mi pomysł, by napisać do Kamili i zapytać, jak radzi sobie Jaś, lecz to byłoby naprawdę idiotyczne. Zrezygnowałam, bo nie chciałam wyjść w jej oczach na jakąś matkę wariatkę. Już i tak wiedziała, że potrafiłam nieźle panikować. W końcu wstałam z miejsca i opuściłam kawiarnię, kierując się do galerii handlowej znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Spacerowałam po parterze, oglądałam witryny sklepowe i próbowałam jakoś zabić czas. Kierowana impulsem postanowiłam wejść do jubilera. Jakiś czas temu myślałam sobie, że gdybym pogodziła się z Filipem i znów stalibyśmy się częścią swojego życia, to chciałabym mu podarować coś, co miałoby związek z Arturem – jako symbol mojej akceptacji dla przeszłości. W oczu od razu rzucił mi się srebrny męski łańcuszek z krzyżykiem. Patrzyłam na niego dłużej, analizując, czy taki podarunek ode mnie miał szansę spodobać się Filipowi.

– Dzień dobry – zagadnęła mnie pracownica sklepu. – Widzę, że patrzy pani na łańcuszek z krzyżykiem. To nasza nowość, bo do łask znów wraca biżuteryjna prostota – powiedziała swoim miłym, słodkim głosem. – Ten krzyżyk ma możliwość wygrawerowania kilku znaków – dodała, uśmiechając się serdecznie.

– Jeśli zdecydowałamby się na graver, to na kiedy łańcuszek byłby do odebrania? – zapytałam. Wzięłam delikatnie zawieszkę w palce i patrzyłam na nią z bliska.

– Na jutro – odpowiedziała z uśmiechem ekspedientka i przechyliła lekko głowę, obserwując mnie. Najwyraźniej chciała sprawdzić, czy udało jej się mnie przekonać.

– Wobec tego poproszę – powiedziałam szybko, żebym nie zdążyła się rozmyślić.

– Cudownie! Proszę mi napisać, co ma zostać wygrawerowane. – Kobieta podała mi kartkę oraz długopis.

Dłoń zadrżała mi nieznacznie, gdy zaczęłam pisać to, co od początku chodziło mi po głowie, mając nadzieję, że będzie odpowiednie.

4.04.2015 A.

Opuszczałam sklep jubilerski na lekko drżących nogach, nie wiedząc, czy Filip nie odbierze źle mojego prezentu. Chciałam dać mu coś, co połączy go z bratem, którego nigdy nie poznał. Widziałam, że każda opowieść o Arturze wiele dla niego znaczyła, więc wierzyłam i miałam nadzieję, że ta drobnostka, którą będzie mógł nosić ze sobą każdego dnia, okaże się dobrym rozwiązaniem, a nie powodem do smutku czy złości.

Zerknęłam na zegarek w telefonie, a zobaczywszy, że była godzina piętnasta, uznałam, że wpadnę z krótką wizytą do Mileny, a następnie odbiorę Jasia z przedszkola.

Wychodząc z galerii, zadzwoniłam do siostry.

– Halo?

- Hej. Jesteś w mieszkaniu? Wpadłabym na chwilę - zagadnęłam, szukając w torebce kluczyków.

- Tak, jestem. Wpadaj śmiało. Czekamy z Amelką na ciebie - odpowiedziała pogodnie.

Kilka minut później byłam już w mieszkaniu Mileny. Ciasnym i zagraconym, ale mimo wszystko uroczym. Zauważyłam, że nie było już tego chaosu, który zastałam za pierwszym razem, wtedy, gdy był tu także Filip.

- Cześć - powiedziałam i uścisnęłam moją siostrę.

Następnie podeszłam cicho do łóżeczka, w którym słodko i spokojnie spała moja siostrzenica. Była uroczym, bezbronnym, malutkim dzieckiem ubranym w różowy śpioszek. Tak łatwo można było stracić dla niej głowę.

- Jest taka śliczna, Milena - wyszeptalam z czułością, pochylając się lekko i gładząc opuszkami palców cieniutkie włoski dziecka.

Moja siostra uśmiechnęła się z miłością, przytakując lekko.

- I bardzo grzeczna. Praktycznie wcale nie płacze. W nocy wstaję i sprawdzam, czy żyje, bo jest taka cichutka - odpowiedziała i wyciągnęła dłoń, poprawiając kocyk okrywający małe ciało Amelki.

- Tak, znam to. Emilka też praktycznie w ogóle nie płakała. Artur strasznie przez to panikował - powiedziałam, wspominając tamte czasy z nostalgicznym uśmiechem. - Z Jasiem to była zupełnie inna sprawa. Pierwszy rok był koszmar... - dodałam głucho, pamiętając, jak silny był Artur; jego siła starczała na nas dwoje.

- Ale teraz już jest dobrze, prawda? - zapytała Milena, gładząc pocieszająco moje ramię.

Wzięłam głęboki oddech i przytaknęłam.

- Teraz już tak. Miesiąc temu byłam z nim na sprawdzeniu stanu wady serca. Na szczęście ten ubytek międzyprzedsionkowy nie powiększa się i lekarz uważa, że

operacja nie będzie potrzebna ani teraz, ani w przyszłości. Mam nadzieję, że Jaś już swoje odchorował. Sama dobrze wiesz, że przez pierwszy rok jego życia ciągle byliśmy w szpitalu... Nie miał nawet odrobiny odporności, dopiero teraz ją nabył – odpowiedziałam, z goryczą myśląc o tamtych trudnych czasach, gdy izba przyjęć była naszym drugim domem.

Jaś bardzo ciężko przeszedł pierwszy rok swojego życia. Średnio co dwa tygodnie łapał infekcję, która z racji na jego wadę genetyczną i chore serce niemal każdorazowo wymagała hospitalizacji. Nie wiem, jak przeżyłabym tamten trudny okres, gdyby nie Artur. On był moją opoką i nieocenionym wsparciem. Potrafił za pomocą jednego gestu czy zdania sprawić, że chwytająca mnie za serce panika po prostu odpuszczała.

– Cieszę się, że postanowiłaś puścić go do przedszkola. Obojgu wam dobrze to robi – odpowiedziała Milena i przytuliła mnie w ten szczególny, siostrzany sposób.

Ze wzruszeniem odwzajemniłam jej gest, zdając sobie sprawę, że bardzo za nią tęskniłam. Dom wydawał się dziwnie duży bez energicznej i szybkiej Mileny.

– Mam nadzieję, że nie będę tego żałować – stwierdziłam tylko, wzruszając ramionami.

Przez twarz mojej siostry przebiegł jakiś psotny wyraz, a ja od razu zrozumiałam, że nadszedł czas siostrzanej przepytywanki.

– My tu sobie gadu gadu, a ja bardzo chcę wiedzieć, jak przebiegł poranek w towarzystwie Filipa – powiedziała z uniesionymi brwiami i rezolutnym uśmiechem.

Westchnęłam i spojrzałam na Amelkę, upewniając się, że śpi smacznie. Powoli odeszłam od łóżeczka i usiadłam na kanapie, a Milena niezwłocznie uczyniła to samo, podwijając

pod siebie nogi i zwracając się w moim kierunku z zaciekawionym uśmiechem.

– To nie jest nic wielkiego, Milena... – zaczęłam, chcąc ją uprzedzić, że nie powinna spodziewać się fajerwerków.

Może to nie była do końca prawda, bo dla mnie fajerwerki były, i to nie były jakie. Każde spojrzenie w oczy Filipa, jego uśmiech, a już zwłaszcza dotyk – to wszystko sprawiało, że czułam, jakbym stawała w płomieniach. Pojawiły się przecież także deklaracje, i to takie, które niosły ze sobą ogromną obietnicę.

Kocham cię taką, jaka jesteś...

– Filip przyjechał do przedszkola, bo chciał życzyć Jasiowi powodzenia, ale zdążyliśmy już wejść do środka. Gdy wyszłam, to zaprosił mnie na kawę, a skończyło się na gorącej czekoladzie. To... tyle – odpowiedziałam, wzruszając ramionami. W tych kilkunastu słowach spróbowałam opisać mój wyjątkowy poranek w towarzystwie mężczyzny, który był dla mnie tak nieopisanie ważny.

Milena zmarszczyła brwi, zerkając na mnie podejrzliwie.

– Skąd Filip wiedział, że Jaś zaczyna dzisiaj zajęcia w przedszkolu? I skąd wiedział w którym? – zapytała, przyszpilając mnie swoim czujnym spojrzeniem. W jej dużych oczach błysnęły cwaniackie ogniki.

Zapomniałam, że moja siostra od zawsze była samozwańczym agentem FBI.

– Dzień wcześniej rozmawialiśmy przez telefon i mi powiedziałam – mruknęłam cicho, umykając spojrzeniem w bok.

Każde wspomnienie tej nocnej rozmowy wywoływało dreszcze i przyspieszało bicie serca.

– A więc to tak! – powiedziała Milena i omal nie klasnęła w dłonie, szybko jednak zreflektowała się, że niecały metr od nas śpi jej córka. – Ola pęknie z zazdrości, że ja wiem, a ona

nie... – dodała z uniesionymi brwiami i diabolicznym uśmiechem.

– Weźcie się zajmijcie sobą, co? A nie tylko ciągle mnie szpiegujecie – odpowiedziałam z lekkim niesmakiem, patrząc na siostrę zmrużonymi oczami.

– My się po prostu o ciebie martwimy – odpowiedziała i przechyliła lekko głowę z uśmiechem.

Prychnęłam cicho. Nie chciałam tego komentować.

Amelka poruszyła się niespokojnie w łóżeczku, a po chwili zaczęła cicho płakać, więc Milena zerwała się z kanapy i podbiegła do niej, uspokajając swoim kojącym głosem. Ja natomiast zerknęłam na zegarek i zobaczyłam, że mam jeszcze dwadzieścia pięć minut do godziny szesnastej.

Wstałam, a Milena spojrzała na mnie przez ramię ze spokojnym uśmiechem.

– Już się zbierasz?

– Tak, Jasiek za chwilę kończy. Jestem ciekawa, jak mu poszło – przyznałam, czując, że żołądek na nowo zaciska mi się ze strachu.

Chyba najbardziej obawiałam się tego, że zastanę go całego we łzach. Odrzucałam tę myśl uparcie, bo przecież był dzisiaj tak radosny i pozytywnie nastawiony, ale mimo wszystko gdzieś w podświadomości zagnieździł się niepokój i nie chciał odpuścić.

– Daj znać. Chociaż SMS-em – poprosiła, gdy podeszłam do łóżeczka, żeby pożegnać się z siostrzenicą.

Pogładziłam ją po główce, następnie przytuliłam moją siostrę i opuściłam jej małe, zagracone mieszkanie. W ogóle mi do niego nie pasowała. Jej energia zdawała się tłamszona przez niewielki metraż kawalerki, a ona sama nie wyglądała tak naprawdę na szczęśliwą.

Jej miejsce od zawsze było w Lilecku.



Jaś wybiegł do mnie z sali, witając się okrzykiem pełnym radości. Padł mi w ramiona, a jego drobne ciało aż drżało od nadmiaru entuzjazmu i dobrej energii.

Serce niemal natychmiast napęczniało mi z dumy i miłości.

– Nasz nowy uczeń świetnie sobie dziś poradził! – oznajmiła rozradowana Kamila, która wybiegła za moim synem. – Tylko za bardzo nie chciał jeść, bo obiadek nie był od babci – dodała z rozbawieniem. Pokręciła lekko głową i puściła do mnie oko.

Trzymała w dłoniach kurtkę, czapkę, szalik, rękawiczki i buciki zimowe Jasia. Obie zaczęłyśmy go ubierać, a ja przez cały czas wpatrywałam się w jego pogodną i zarumienioną z emocji twarzyczkę.

Sięgnęłam do torebki po chusteczkę, wytarłam mu ślinę z okolicy ust, a następnie wycalowałam.

– Pożegnaj się ładnie z Kamilą i powiedz „do jutra”.

Jaś podszedł do mojej znajomej i wyciągnął rękę, patrząc pod górę z lekką trudnością spowodowaną zimowymi ubraniami.

– Do jutła!

– Do jutra – odpowiedziała i pogładziła go po głowie. Uśmiechnęła się najpierw do niego, a później do mnie. – Zadzwoń do ciebie wieczorem – dodała, kiwając nam na odchodne.

Jaś przez całą drogę do domu śpiewał zimową piosenkę, której nauczył się w przedszkolu. Kazał zdjąć sobie rękawiczki z dłoni, a następnie zaczął rysować palcem po zaparowanej szybie. W normalnym wypadku pewnie zabroniłabym mu to

robić, ale dziś był wyjątkowy dzień, więc postanowiłam się nie odzywać.

Mama i Ola wyściskały Jasia, pytając z przejęciem o to, co robił i jak się bawił z nowymi kolegami i koleżankami. Odpowiadał tak, jak potrafił, wyrażając dziś niesamowitą chęć do komunikacji. Ja w tym czasie zwróciłam uwagę na Emilkę, która siedziała w salonie ze smutnym wyrazem twarzy, patrząc bez emocji na lecącą w telewizji bajkę.

Podeszłam do niej, lecz nawet nie zareagowała. Drgnęła dopiero, gdy usiadłam obok, położyłam jej dłoń na ramieniu i pogładziłam opuszkami palców po karku.

– Coś się stało, kochanie? – zapytałam cicho, skupiając spojrzenie na jej pozbawionej wyrazu twarzy.

Wzruszyła ramionami i westchnęła ciężko.

– Jest mi smutno, mammo... – powiedziała cicho, a ja miałam wrażenie, że te słowa po prostu jej się wymknęły i tak naprawdę nie miała zamiaru ich wypowiadać.

– Dlaczego?

– Bo ja lubię Szymona, ale moje koleżanki go nie lubią i powiedziały, że mam się z nim nie zadawać, bo mnie wyrzucą z paczki... – Smutny głos Emilki drżał na granicy płaczu, sprawiając, że moje serce skurczyło się boleśnie.

– Szymon chodzi do twojej klasy? – zapytałam spokojnie. Wyczuwałam, że moja ośmioletnia córeczka stanęła właśnie u progu pierwszego uczuciowego dramatu.

– Nie, mammo. Ja jestem w A, a on w B – odpowiedziała markotnie, rzucając mi karcące spojrzenie, jakbym popełniła ogromny błąd, nie wiedząc o tym.

– Wiesz, co myślę? Nie powinnaś przejmować się koleżankami. Jeśli lubisz Szymona, a on lubi ciebie, to może warto się tego trzymać? One nie powinny stawiać ci takich warunków, kochanie – wyszeptałam cierpliwie, przeczesując

jej miękkie włosy. Popatrzyła na mnie niepewnie, jakby analizowała, ile w praktyce warte są moje słowa.

– Nie wiem, co mam robić...

– Porozmawiaj z koleżankami i powiedz im, że nie chcesz wybierać. Zobaczysz, co się wydarzy – odpowiedziałam cierpliwie, chociaż tak naprawdę doskonale zdawałam sobie sprawę z jej rozterek i niepewności.

– Zniechębia mnie... – mruknęła płacząco, opuszczając głowę i mnąc w palcach krawędź koszulki.

Nie chciałam dłużej zapychać jej głowy pustymi zapewnieniami, że wcale tak nie będzie. Dzieciaki bywały okrutne, a motywowane zazdrością posuwały się do takich właśnie sposobów na wywalczenie sobie tego, co było dla nich istotne.

Emilka jeszcze nigdy nie opowiadała mi o żadnym Szymonie, więc ta znajomość musiała być dość świeża. Najwyraźniej koleżanki, kierowane złymi pobudkami, próbowały w zarodku stłamsić coś, co dopiero zaczęło się rodzić.

Przytuliłam córkę do piersi, chcąc sprawić, że może chociaż przez chwilę poczuje się nieco lepiej. Metoda pocieszania przez przytulanie została mi wpojona przez moją własną mamę, a ja często uciekałam się do niej przy radzeniu sobie z problemami moich dzieci.

– Wszystko będzie dobrze. – Czułam, że muszę to powiedzieć, łudząc się, że w tych trzech słowach kryje się jakaś ukryta magia, która odczaruje nieco sytuację mojej córki.

Do salonu weszła Ola z Jasiem na rękach, a ja i Emilka od razu się wyprostowałyśmy, tak by nikt nie wiedział, że przeprowadzałyśmy właśnie trudną rozmowę. Uśmiechnęłam się do córki, a ona z pewnym trudem odwzajemniła ten gest.

Spędziliśmy dzień przed telewizorem i na zabawach z dziećmi.

Wieczorem natomiast napisałam wiadomość do Mileny z dość trudnym pytaniem: *Czy myślałaś już, jak pogodzić się z ojcem?*

Odpisała bardzo szybko

Myślałam, ale wiem, że na ten moment tata nie chce mnie znać. Filip poradził, bym jeszcze poczekała, bo emocje nadal są zbyt silne.

Filip jej poradził... Może i miał rację, by jeszcze poczekać, ale czas mijał, a między Mileną i tatą nic nie ulegało zmianie.

Bardzo mnie to martwiło.



W niedzielny poranek mama zawołała mnie do siebie i wyszeptała, że chciałyby dziś zorganizować trochę bardziej uroczysty obiad, by ukoić burzliwą relację między nią a tatą. Zapytała, czy jej pomogę, a ja oczywiście chętnie się zgodziłam.

Zaprosiła Olę i Kubę, a gdy jej synowa zaproponowała, że wpadnie nam pomóc, mama stanowczo zabroniła, bo chciała do ostatniej chwili utrzymać wszystko w tajemnicy przed tatą.

Miała już dość niemiłej sytuacji między nimi. Bardzo kochała ojca pomimo wszystkich jego wad i przypuszczałam, że prędzej czy później poszuka okazji, by się z nim pogodzić.

Przeżyli razem już kilkadziesiąt lat, a przez ten czas mieli dużo wzlotów i jeszcze więcej upadków. Łagodne i pokojowe nastawienie mamy było spoiwem ich małżeństwa. To ona zawsze wyciągała rękę w geście dobrej woli.

Ola była podekscytowana „obiadem zgody” – naprawdę, taki tytuł nadała planom mojej mamy.

Śmiałam się pod nosem, obierając ziemniaki, bo moja rodzicielka wydała mi się dziś jakaś bardziej rozpromieniona i żywsza przez sam tylko fakt, że postanowiła wreszcie podjąć próbę pokonania dystansu powstałego między nią a ojcem. To nadal nie rozwiązywało głównego problemu z Mileną, lecz było małym krokiem ku lepszemu. Około trzynastej, gdy prawie wszystko było już gotowe, mama zapowiedziała, że idzie nakryć do stołu w salonie. Dzieci bawiły się na podwórzu z Olą, a ja kończyłam dekorować lukrem szarlotkę, którą naprędce zdecydowałam się upiec.

Zatrzymałam się w pół kroku, gdy usłyszałam głosy z sąsiedniego pomieszczenia.

– Andrzej, już najwyższy czas. Nie chcę dłużej się kłócić. – Przyciszony głos mamy był pełen emocji i aż ścisnęło mi się serce.

– Ja już też nie, Helena... Ale wiesz, że w kwestii... – zaczął tata, lecz mama przerwała mu soczystym cmoknięciem.

Nic nie mogłam poradzić na to, że zaczęłam chichotać pod nosem, bo to, jakkolwiek by patrzeć, było urocze. Po tylu latach potrafili się godzić jak młodzieniaszki.

Dziś po raz pierwszy od dnia pogrzebu Artura zamierzałam ubrać kolorową sukienkę. A dokładniej tę czerwoną w granatowe kokardki, którą kupił mi w prezencie na naszą ostatnią wspólną rocznicę ślubu. Może to był moment, kiedy postanowiłam zakopać w sobie to bolesne pragnienie ukrycia bólu za czernią. A może chęć rozplątania więzów, które mnie krępowały, okazała się wreszcie na tyle silna, żeby zwyciężyć.

Pierwsza myśl, żeby zrezygnować z wyłącznie ciemnych ubrań, pojawiła się, gdy pojawił się Filip i mnie dostrzegł. Tak naprawdę dostrzegł. Wówczas przez jedną ulotną chwilę zastanowiłam się, jak bym wyglądała, mając na sobie coś

kolorowego, jasnego. Ta myśl zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Prawdopodobnie dlatego, że było jeszcze za wcześnie.

Ale teraz już nie.

Czułam się emocjonalnie gotowa na to, żeby mój mąż, patrząc z nieba, znów ujrzał mnie w sukience, którą sam dla mnie wybrał. Dziś był wyjątkowy dzień – mroźny, śnieżny i magiczny – a ja chciałam otrząsnąć się z letargu i ruszyć. Ruszyć przed siebie.

Pogodziłam się już ze świadomością, że czas nie leczy ran. Bo mógł minąć rok, dwa, trzy i dziesięć, a te rany nadal będą cholernie mocno boleć. Wspomnienie dnia śmierci Artura już zawsze będzie mnie prześladować w najgorszych koszmarach, a tęsknota raz za razem miała rozrywać to, co pozornie zasklepione.

Z bólem można się było po prostu nauczyć żyć. Wstawać każdego dnia z myślą, że twoje życie już nie jest takie samo. Funkcjonować ze świadomością, że więcej nie zobaczy się tego jedyne, niesamowitego mężczyzny.

Każda śmierć odziera człowieka ze złudzeń... O tym, że jesteśmy niezniszczalni, że dożyjemy z całą pewnością sędziwej starości we dwoje.

Nic nie jest nam dane ot tak, na zawsze. A już zwłaszcza życie.

Uśmiechałam się, gdy zajrzałam do salonu i zobaczyłam stół nakryty białym obrusem. Zerkałam porozumiewawczo na mamę, która przebrała się w odświętne ubrania i nieśmiało uśmiechała, jakby wiedziała, że słyszałam, jak godziła się z tatą.

Równo o czternastej drzwi frontowe otworzyły się, a do domu weszła Ola z moimi dziećmi, a za nimi Kuba. Tata wyszedł z pokoju ubrany w białą koszulę. Zdziwił się na widok syna oraz synowej, ale zaraz zaprosił wszystkich do stołu.

Poszłam szybko się przebrać i zrobić lekki makijaż. Ta niedziela była inna, wszyscy to czuliśmy. Podobnie jak wszyscy byliśmy dobitnie świadomi braku Mileny w naszym gronie.

Oczy Kubę, Oli, mamy, taty, Jasia i Emilki zwróciły się na mnie, gdy przekroczyłam próg pokoju. Dzieci uśmiechały się z uznaniem, a mama miała łzy wzruszenia w oczach. Kuba pokazał kciuk uniesiony w górę, natomiast tata i Ola wpatrywali się we mnie z niemałym zaskoczeniem. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego małego przełomu, który się właśnie dokonał. Do czwartej rocznicy śmierci Artura pozostały niespełna trzy miesiące. Chciałam być gotowa, żeby po raz pierwszy przeżyć ten dzień z wyjątkową i nieznaną dotąd siłą.

Zgromadziliśmy się przy stole. Po mojej lewej stronie stało puste krzesło, a ja wyobraziłam sobie, że było to miejsce Artura. Po prawej siedział Jaś, upierając się, że chce zrobić wszystko sam. Naprzeciwko miałam rodziców, ubranych odświętnie i zarumienionych w ten charakterystyczny, niemal intymny sposób. Ola siedziała obok Emilki, a pomiędzy mamą a moją bratową miejsce zajął Kuba.

– Kochani moi – zaczęła mama, zanim wszyscy zabraliśmy się do spożywania przepysznie pachnącego obiadu. – Wiecie, że ostatnio sytuacja w naszej rodzinie była trudna. Nadal jest. – Zerknęła ukradkiem na tatę, lecz on udawał, że tego nie dostrzegł. – Zawsze jednak potrafiliśmy się jednoczyć podczas wspólnych posiłków, więc chciałam, byśmy się tu dzisiaj spotkali, spędzili miło czas i spróbowali zastanowić, co jeszcze można naprawić we wzajemnych relacjach. – Odchrząknęła, a tata uniósł lekko jedną brew i to była jedyna reakcja z jego strony. Aluzja do Mileny była aż nazbyt jasna dla wszystkich.

Ola westchnęła i uśmiechnęła się serdecznie do mojej mamy.

– Mam najlepszą teściową na świecie – powiedziała z czułością.

Wspólny śmiech rozładował atmosferę.

Wszyscy z apetytem zaczęli pałaszować rosół z lanymi kluskami, a tata z Kubą dyskutowali ze sobą na rozmaite tematy, najwyraźniej próbując nadrobić dni, gdy ze sobą nie rozmawiali. Mama chętnie podawała jedzenie Emilce, natomiast Jaś obserwował wszystkich, bawiąc się serwetką. Karmiłam go powoli, dając czas na dokładne pogryzienie i uśmiechając się za każdym razem, gdy na mnie zerkał.

Stół ugiął się od potraw, a ja z nietypowym jak na mnie apetytem zjadłam spory kawałek ryby i dojadłam się tłuczonymi ziemniakami, tak że na nic więcej nie starczyło mi już miejsca. Kuba z tatą zawsze próbowali wszystkiego, a Ola i mama także się nie oszczędzały. Dla mojej córki istniała tylko pierś z kurczaka. Nic innego się nie liczyło. No, może poza szarlotką.

Po zjedzonym obiedzie posprzątaaliśmy wszyscy razem, a następnie przygotowałam kawę, herbatę oraz ciasto ku uciesze wszystkich zgromadzonych. Zawsze, niezależnie od tego, ile zjedli, znajdowali w żołądkach miejsce na moje wypieki.

W dobrych nastrojach spędziliśmy popołudnie przy planszówkach, chociaż Emilka namawiała nas do wyjścia na dwór. Obawiałam się, że jeśli przesadzimy z nadmiarem zabaw w śniegu, to skończy się to prędzej czy później gorączką i katarem.

Tego wieczora położyłam dzieci spać znacznie później niż zwykle, bo rozemocjonowane udanym dniem z ludźmi, których kochały, nie chciały tak szybko poddać się senności. Kuba zaoferował, że z nimi zostanie, bo wiedział, że chcę jechać na cmentarz.

Ola także zaoferowała swoją pomoc w opiece nad Emilką i Jasiem, a następnie popędziła mnie, bym już jechała do

Artura. Ubrałam się ciepło i wyjechałam moim starym autem z garażu. Kilkanaście minut później byłam już na miejscu.

Mróz szczypał w policzki, a śnieg skrzypiał pod podeszwami butów, gdy szłam powoli ścieżką cmentarza. Obłoczki pary wydobywały się z moich ust, światło ze zniczy migotało, a cisza atakowała uszy ze wszystkich stron.

Zasiadłam na ławeczce i patrzyłam na płytę nagrobną, a oczami wyobraźni przywoływałam wspomnienie mojego męża z zimy przed czterema laty.

Był wtedy tak bardzo zapracowany, bo trwał gorący okres w jego firmie. Często nosił wtedy te ładne, ciemnoszare koszule. Podwijał rękawy i odpinał górny guziczek, bo wiedział, że to lubię. Regularnie golił zarost, by prezentować się nienagannie przed kontrahentami. Spryskiwał się tymi niesamowicie uwodzicielskimi perfumami od Calvina Kleina.

Każdego dnia patrzyłam na niego jak zakochana wariatka i dostrzegali to wszyscy wokół, aż moi rodzice i rodzeństwo zaczęli żartować, że po tylu latach z jednym mężczyzną nie powinnam być dalej tak mocno zakochana.

Ale ja byłam. Całkowicie i nieodwracalnie zakochana w Arturze Bieleckim.

Jeden moment szczególnie zapadł mi w pamięć. Mój mąż po długim i ciężkim dniu w pracy spojrzał na mnie podczas kolacji, którą przygotowałam, a w jego niebieskich oczach szalały psotne, rezolutne ogniki – te, które od razu dostrzegłam, gdy nasze spojrzenia spotkały się po raz pierwszy przed wieloma laty. Pełne wargi Artura uniosły się w uśmiechu, a w policzku powstał ten zdradziecki, nieopisane seksowny dołeczek, dla którego traciłam głowę raz za razem od wielu lat.

Tym uśmiechem i spojrzeniem mówił mi bez słów, że bardzo mnie kocha i jestem dla niego tak samo ważna, jak on dla mnie. Tamtego wieczora czuliśmy się spokojni, bo tydzień

wcześniej opuściłam z Jasiem szpital i lekarz powiedział, że sytuacja zaczyna wracać do normy. Nasz synek miał wówczas dziesięć miesięcy, a za sobą już tyle wizyt u lekarzy, że nikt by mu tego nie pozazdrościł.

– To był taki cudowny wieczór, prawda? – wyszeptałam cicho, poddając się fali wzruszenia i smutku, która zawsze w tym miejscu prędzej czy później mnie dopadała.

Płyta nagrobna mieniła się od mrozu w świetle księżyca, a gdzieś w oddali słychać było przejeżdżające samochody.

Niespodziewanie zaczęłam się zastanawiać, jak dzisiejszy dzień spędziła Zofia Skalska i czy jej niedziela przebiegała w podobnie miłej atmosferze jak moja. Sympatia do tej staruszki przyszła mi tak naturalnie jak oddychanie. Jej ciepło i życiowa mądrość wpływały kojąco na moje zszargane przez trudne doświadczenia nerwy.

Siedziałam w ciszy na ławeczce przed grobem zmarłego męża, patrząc na te wszystkie znicze, na rozgwieżdżone niebo. Czasem zamykałam oczy, żeby przywołać jakieś dobre wspomnienie, innym razem brałam głęboki oddech, próbując powstrzymać szczypiące pod powiekami łzy. Lwia część mojego serca spoczywała w tym grobie razem z Arturem.

Inna była tam, gdzie w tej chwili przebywał Filip.

Może jeszcze pracował, może właśnie jadł późną kolację, a może już spał...

– Wiedziałem, że cię tutaj zastanę. – Głęboki, mocny głos za moimi plecami sprawił, że podskoczyłam ze strachu, odwracając się przez ramię.

Stał tam, niczym mroźny, mroczny książę. W dłoni trzymał znicz, który podpalił sprawnie i ustawił obok grobu, bo na płycie nie było już miejsca. Nie przysiadł obok mnie na ławce, chociaż właśnie tego się spodziewałam. Potarł skostniałe z zimna dłonie i nałożył rękawiczki, co chwila zerkając na mnie ukradkiem.

Czyli nie praca, nie kolacja i nie sen. Był tutaj.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Pomyślałam o moim podarunku, który spoczywał w ostatniej szufladzie komody. Zastanawiałam się nad jego reakcją, gdy mu go wręczę.

– Dasz się zaprosić na spacer? – zapytał, koncentrując na mnie wreszcie swój wzrok.

– Tak – odpowiedziałam krótko i wstałam z ławeczki. Przykucnęłam przed grobem Artura i odmówiłam cichą modlitwę, a w myślach powiedziałam słowa, które były tylko nasze: *Kocham cię. Zawsze i na zawsze, Arturze.*

Podeszłam do Filipa, a on wysunął ku mnie ramię niczym prawdziwy dżentelmen. Ujęłam je z trwogą i ulgą jednocześnie.

Ruszyliśmy spacerem do wyjścia, rozglądając się dookoła, lecz ani razu nie patrząc na siebie. Napięcie między nami było niemal widoczne gołym okiem, a gorące iskry zdawały się roztopiać mróz i ogrzewać powietrze.

Myślałam, że Filip zaproponuje, żeby gdzieś pojechać, lecz on skierował się do centrum miasta bez słowa wyjaśnienia.

Przez kilka minut towarzyszyły nam tylko odgłosy moich obcasów i samochodów, które czasem przejechały obok.

Weszliśmy do pobliskiego, zadbanego parku, spacerując odśnieżoną brukowaną ścieżką pośród okrytych białym puchem drzew i krzewów.

W końcu przysiedliśmy na jednej z wolnych ławek, z której Filip zgarnął grubą warstwę śniegu, i obserwowaliśmy otoczenie z lekkimi uśmiechami.

– Wydajesz się dzisiaj rozpromieniona – zagaił nagle, przesywając mnie siłą swojego głosu na wskroś. Zerknęłam na niego krótko, uśmiechnęłam się i przytaknęłam.

– Tak. Mama zorganizowała dziś obiad, by zakopać topór wojenny z tatą. Jakiś czas temu pokłócili się o Milenę. Spędziliśmy dziś dzień w gronie rodziny, chociaż oczywiście

bardzo brakowało Mileny i Amelki – odpowiedziałam, przytakując.

– Tak mi się wydawało, że sytuacja u was nie była zbyt ciekawa – odparł spokojnie.

– Dlaczego? – Zmarszczyłam brwi.

– Milena ostatnio powiedziała coś, co zasugerowało mi, że między rodzicami coś się wydarzyło. Nie pamiętam dokładnie jej słów.

– No tak... – mruknęłam. – W każdym razie pogodzili się. Mama i tata, a także tata i Kuba – powiedziałam z ulgą.

– Dzieciaki pewnie mocno odczuwały zmianę relacji między wami, co? – zagadnął po chwili milczenia.

– Niestety. Obserwują nas bacznie na każdym kroku. Nie da się ich oszukać.

Zobaczyłam, jak uśmiechnął się czule, a po chwili popatrzył mi w oczy i wstrzymał oddech.

– Tęsknię za nimi – wyszeptał w końcu. Atmosfera znów zrobiła się gęstsza, przepelniona elektrycznością i pragnieniami buzującymi pod skórą. Mróz kompletnie przestał być mi straszny, w tle rozbrzmiał śmiech siedzącej nieopodal pary zakochanych nastolatków, a w moim żołądku znów do lotu wzbiło się stado motyli.

Śnieg, który przestał na moment padać, teraz znów o sobie przypomniiał, obsypując nas łagodnie dużymi płatkami. Jeden zatrzymał się przy lewym oku Filipa, wywołując mój śmiech. Niespełna pięć sekund później i on zachichotał, gdy na nosie roztopiła mi się całkiem spora śnieżynka.

– Lubię twój uśmiech, wiesz? – wyszeptał w pewnej chwili, zamierając ze wzrokiem utkwionym w mojej twarzy.

Ten mężczyzna patrzył na mnie tak, jakbym była najpiękniejsza na świecie, chociaż doskonale zdawałam sobie sprawę, że to nieprawda. Moje ciało, chociaż nigdy nie było doskonałe, w obecnej chwili znajdowało się bardzo daleko od

ideału. Dwie cięższe odcisnęły na mnie swoje piętno, przypominając o sobie przez utraconą jędrność biustu czy rozstępy. Filip widział mnie całą, taką, jaka byłam, i nie uciekł z krzykiem.

Powiedział wtedy, że jestem piękna. Jakaś zakopana głęboko we mnie próżność chciała uwierzyć w te słowa, lecz nieustępliwy rozsądek nie pozwalał przyjąć tego komplementu. Nawet jeśli został wypowiedziany w tak ważnej i intymnej chwili. Nawet jeśli brzmiał tak szczerze, jak już od dawna nic nie brzmiało.

Patrzyłam na niego dalej, lecz nic nie powiedziałam, bo wszystko, co przychodziło mi do głowy, zdawało się nieodpowiednie.

Filip opuścił wzrok na swoje dłonie i zdjął rękawiczki, a następnie znów na mnie popatrzył, biorąc głęboki oddech. Po jego ustach błędził leciutki uśmiech, lecz oczy były sztormowe, tajemnicze i niezgłębione. Ta uzależniająca mieszanka działała na kobiety w każdym wieku: przystojny mężczyzna i jego nieopisanie piękne oczy.

Wyglądał tak, jakby się nad czymś zastanawiał, coś analizował, a dziwne łaskotanie w żołądku, które z sekundy na sekundę przybierało na sile, przypomniało mi, co się czuje na chwilę przed pocałunkiem.

Jego dłonie ujęły moją twarz tak lekko, że niemal niewyczuwalnie. Westchnęłam urwanie, a już ułamek sekundy później jego usta zetknęły się z moimi. Powoli i nienachalnie, bez zbytniego szaleństwa i namiętności. Szaleńcza tęsknota i pragnienie majaczyły gdzieś w tle, lecz w samym centrum była miłość. Ta dobra, spokojna, pozbawiona zrywów miłość.

Świat wokół nas po części się rozmył, bo gdzieś tam, za szumem krwi w uszach, było słyhać czyjś śmiech. A śnieg prószył, dekorując nas białymi płatkami.

To wszystko było jednak niczym w porównaniu z tą delikatną, niewiarygodnie wspaniałą pieśczętą ust Filipa. Jego zarost drapał mnie lekko w zarumienione od mrozu policzki, kciuki muskały skórę wokół oczu, nasze oddechy mieszały się i umykały gdzieś bokiem, a serce... Ono szalało. Drżało ze strachu, bo znów znalazło się niebezpiecznie blisko tej granicy, po której przekroczeniu zazwyczaj czeka tylko ból. Z drugiej była euforia, tak silna, że niemożliwa do opanowania, sprawiająca, że każda komórka ciała rozkwitała, budziła się do życia.

Pragnęłam go do granic zdrowego rozsądku, a nawet tam, gdzie rozsądek już się kończył. Czułam się lekka jak motyl w jego ramionach, silna i wolna. Odwzajemniałam pocałunek bez trudu, bez zastanowienia, zachłannie i czule.

Filip wplótł palce w moje włosy i odsunął się nieznacznie, lecz na tyle, że oboje byliśmy w stanie złapać ten pierwszy, życiodajny, drżący oddech. Zetknięci czołami patrzeliśmy na siebie jak ta para zakochanych w sobie bez pamięci nastolatków, która siedziała kawałek dalej. Nagle wszystkie dźwięki powróciły na swoje miejsce, ziemia znów zaczęła się kręcić, a my ponownie trafiliśmy na ławkę.

Widziałam w jego oczach odbicie własnych uczuć. Chciał więcej, lecz wiedział, że nie może. Nie tutaj.

W ten zimowy wieczór, otuleni spokojną atmosferą, przekroczyliśmy razem tę tłamszącą nas granicę wzajemnych pretensji, żalu i niedomówień.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo tego pragnąłem – wyszeptał mi w usta, a jego głos, pełen bólu i tęsknoty, ugodził moją duszę tak, że cała wręcz zadrżała.

– Wiem. Uwierz mi. Wiem – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się ze zrozumieniem, gładząc go po szorstkim od zarostu policzku.

Filip wziął głęboki oddech i odsunął się, ale zanim zdążyłam poczuć z tego powodu gorycz, objął mnie ramieniem i przytulił do siebie, pozwalając, żebym opłotła go dłońmi w pasie.

Nie było mi zimno. Było mi wspaniale. Spokojnie i dobrze. Jak gdyby nagle brakujący element układanki, właśnie ten, który się zagubił, powrócił na swoje miejsce.

– Lubię sobie czasem wyobrażać, że Artur patrzy na nas i nie ma mi za złe tego, że zakochałem się w jego żonie – powiedział niespodziewanie Filip, kompletnie mnie zaskakując. – To nie tak, że nie czuję nic w związku z tym, że cię kocham. Nie wiem, czy on nie ma z tym problemu, tam na górze – dodał, patrząc w niebo i pozwalając, żeby płatki śniegu osiadały na jego twarzy. Mrużył lekko oczy, ale nie przestawał patrzeć.

Sama nie wiedziałam, co o tym sądzić. Czy Artur mógłby mieć za złe Filipowi, że połączyło nas uczucie?

Możliwe, że tak.

Jednak ja gdzieś w podświadomości czułam, że odpowiedź nie byłaby aż tak oczywista.

Znałam mojego męża bardzo dobrze, ale nigdy nie pokusiłabym się o stwierdzenie, że poznałam go całkowicie. On potrafił każdego dnia mnie zaskakiwać i robił to na tysiące różnych sposobów.

Myślę, że gdyby mógł jeszcze ten jeden, ostatni raz porozmawiać ze mną – na przykład tak, jak miało to miejsce w filmie *Uwierz w ducha* – to spojrzalby mi w oczy i zapytał, czy jestem z Filipem szczęśliwa.

Co bym odpowiedziała?

Zastanowiłam się nad tym, zerkając na niego ukradkiem. Nasza relacja była burzliwa, a niejednokrotnie przyprawiała mnie też o łzy, jednak te chwile, gdy było dobrze, te momenty, gdy trzymał mnie w ramionach...

Tak, wtedy czułam się szczęśliwa.

Nawet teraz, siedząc obok niego na ławce i patrząc, jak płatki śniegu zatrzymują się na jego ciemnych, długich rzęsach, zdałam sobie sprawę, że krążąca w żyłach krew zaczyna wypełniać się hormonami szczęścia.

Odpowiedziałabym Arturowi, że jestem szczęśliwa u boku jego brata.

A dla niego to byłoby najistotniejsze. Nic więcej nie musiałby wiedzieć, żeby zaznać spokoju.

– Mam swoje zdanie na ten temat – odpowiedziałam, zwracając jego uwagę na siebie. – Dla Artura zawsze najważniejsze było moje szczęście. Jeśli by wiedział, że przy tobie je odczuwam, to nie byłoby dla niego nic istotniejszego – wyjaśniłam, uśmiechając się lekko i wzruszając ramionami.

To była prosta, ale jakże piękna prawda o moim zmarłym, wspaniałym mężu.

– Czujesz się przy mnie szczęśliwa? – zapytał spokojnie, patrząc mi głęboko w oczy i oczekując na odpowiedź w minimalnie widocznym napięciu.

– W tej chwili tak – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, obrysowując kontur jego dolnej wargi opuszką kciuka.

Ucałował mój palec, a następnie wnętrze dłoni, i ten gest, tak delikatny i ulotny, wydał mi się najbardziej intymną pieśczęcią. Jego bliskość wymazywała z mojej świadomości panujące wokół nas zimno, wszystkie dźwięki i problemy piętrzące się w umyśle.

– Często wpadasz do Mileny? – zapytałam niespodziewanie, a Filip uniósł brwi, zaskoczony. – Rozmawiałam z nią. Ona ciągle jest spięta, jeśli chodzi o ciebie – dodałam, wyjaśniając mu sytuację i dając do zrozumienia, że nie mam mu tego za złe.

– Raz lub dwa razy w tygodniu. Początkowo, po wyjściu z szpitala, dużo płakała, ale chyba gdzieś w duchu cieszyła się, że nie jest sama i że nie obarcza was swoimi smutkami –

odpowiedział, gładząc mnie dłonią po ramieniu. – Przeżywa to, że ojciec nie chce jej znać. Tęskni za Lileckiem i nie wie, jak długo jeszcze wytrzyma w tej małej kawalerce. Brakowało jej też możliwości spędzenia z wami Wigilii – dodał, patrząc na mnie smutno.

Ten smutek znalazł odbicie także w mojej twarzy.

– Tata jest tak bardzo nieugięty w tej kwestii... Pogodził się z mamą i Kubą, ale najwyraźniej zawarł jakiś niepisany pakt, że nikt nie mówi o Milenie.

Filip przytaknął powoli, a mięsień na jego szczęce drgnął.

– Mnie też nienawidzi. W końcu jestem kłamcą – powiedział gorzko, nawiązując do sytuacji sprzed kilku miesięcy, gdy tata dowiedział się, że Filip nie jest biologicznym ojcem dziecka Mileny. Wówczas padło wiele gorzkich słów, lecz akurat ten konkretny zarzut ja także doskonale zapamiętałam.

– Tata ma trudny charakter – odpowiedziałam, nie mogąc się powstrzymać od usprawiedliwiania go. – Bardzo zawiódł się na Milenie, a fakt, że i ty brałaś w tym kłamstwie udział, sprawił, że poczuł, jakby wszyscy zrobili sobie z niego żarty – wyjaśniłam, wpatrując się w Filipa. – Nie wiem, czy mu przejdzie, ale mam nadzieję, że tak, bo i mnie brakowało Mileny podczas dzisiejszego obiadu – dodałam niepewnie, uciekając spojrzeniem gdzieś w bok. – Ciebie też mi tam brakowało.

Nie było łatwo wypowiedzieć na głos te słowa. Głównie dlatego, że wiedziałam, jak reagował Filip, gdy chciałam zaprosić go do nas. Nie pozwalał sobie pomóc.

– Eliza... Nie zaczynaj, proszę cię – odpowiedział znaczącym tonem.

Zamilkłam.

Czasem wydawało mi się, że Filip uważał, iż nie zasługuje na niczyją miłość oraz zainteresowanie. Przez tak wiele lat jego jedyną bliską osobą był ojciec, że teraz nie potrafił odnaleźć

się w sytuacji, gdy ktoś inny chciał mu ofiarować swoją uwagę i wsparcie.

Był dorosłym mężczyzną, ale gdzieś w środku nadal nosił tego zranionego, porzuconego przez matkę chłopca, który czasem po prostu się bał, bo nie znał świata, a miał tylko jednego rodzica, który mógł mu go pokazać.

Kolejny raz poczułam, jak ciało nieprzyjemnie spina mi się z nienawiści do Elżbiety. Usprawiedliwianie jej nie miało sensu. To, co zrobiła, było złe i zasługiwało na pogardę. Myśl, że w końcu będę musiała z nią porozmawiać i zmierzyć się z jej, słusznymi zresztą, przypuszczeniami, że coś jest nie tak, napawała mnie nie tyle strachem, co obrzydzeniem. Każde spojrzenie w jej twarz objawiało przede mną obraz kogoś, kto skrywał okropną tajemnicę. Wstrętną wręcz.

Ta kobieta wydała na świat dwóch wspaniałych mężczyzn. Jeden został jej odebrany, a mimo to nigdy nie postanowiła poszukać drugiego. Nawet nie zainteresowała się, jak żył jej drugi syn, kim był, na kogo wyrósł.

– Nie zasłużyłeś na to, co zrobiła ci Ela. Odkąd wiem, nie mogę na nią patrzeć. Tak bardzo jej nienawidzę, Filip... Najgorsze, że ona się czegoś domyśla, chce rozmawiać, wyjaśniać. Nie będę w stanie spojrzeć jej w oczy i ukryć tego, co czuję – wyznałam z bólem po dłuższej chwili ciszy, wpatrując się w sztormowe tęczęwki siedzącego obok mnie mężczyzny.

Zobaczyłam w nich czułość i ogromną miłość, a także zrozumienie, gdy lekko się uśmiechnął.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele to dla mnie znaczy... To wszystko, każde twoje słowo – odpowiedział, gładząc mnie kciukiem po zmarzniętym policzku.

Wiedziałam, że był to najszczęśliwszy wyraz wdzięczności, jaki był w stanie mi dać, biorąc pod uwagę wszystkie jego

wewnętrzne blokady. Uśmiechnęłam się, studiując spojrzeniem każdy milimetr jego twarzy.

Chciałam to zapamiętać, bo nie wiedziałam, jak długo będzie mi dane być przy nim w tak spokojnej atmosferze. Tym razem ufność, że wszystko się ułoży, nie chciała przyjść tak łatwo jak za pierwszym razem.

Spędziliśmy ze sobą niesamowity wieczór, a w chwili rozstania przyjęłam od Filipa czuły, lekki pocałunek, który wprowadził moje serce w drżenie.

Nawet jeśli w nic innego nie mogłam i nie chciałam wierzyć, to w miłość Filipa po prostu wierzyłam.



Rozdział 7

Następnego dnia nasz dom został opanowany przez małe stadko szaleńczo wesołych i pełnych życia kociąt. Kuba i Ola przynieśli nam je pod opiekę na chwilę przed tym, jak wyjechali w nieplanowane odwiedziny do mamy Oli. Świerszczyk, Sówka i Kruszyńka nie znały najwyraźniej pojęcia strachu, bo wparowały do kuchni tak, jakby znały ją na wylot, i robiły wszystko, żeby zaznaczyć swoją obecność w każdym kącie.

Dzieciaki miały niesamowity ubaw, a mama i tata, nawet jeśli chcieli się zdenerwować, to w obliczu radości ukochanych wnuków po prostu odpuścili sobie, akceptując to, że kocięta rozpanoszyły się po całym domu.

Poniedziałek zaobfitował opadami śniegu, nadając całej okolicy prawdziwie magiczny wygląd. Przez kilka minut stałam na tarasie domu w grubym swetrze i z kubkiem ciepłej kawy w dłoniach, obserwując spadające płatki i wyłączając się z hałasów wypełniających dom.

Wyciągnęłam rękę i obserwowałam, jak płatki osiadają na mojej skórze i materiale swetra, a ten widok w jakiś sposób wywołał na moich ustach uśmiech. Para unosiła się z kubka, rozmywając w mroźnym powietrzu, a każdy kolejny oddech zdejmował mi nieco ciężaru nagromadzonego w ostatnim trudnym okresie.

Wyciągnęłam telefon z kieszeni ciemnych dżinsów i wybrałam numer Kamili. Chociaż nie musiałam tłumaczyć, dlaczego Jaś nie pojawił się dziś w przedszkolu, to chciałam, żeby wiedziała.

– Halo? – Odebrała po drugim sygnale.

– Hej – powiedziałam z uśmiechem, zerkając w niebo. – Nie przywiozłam dziś Jasia do przedszkola, bo lekcje w szkole Emilki zostały odwołane z powodu awarii ogrzewania i stwierdziłam, że dobrze będzie, jeśli zostaną w domu razem.

– Eliza! Nic nie szkodzi. Wiele dzieci dziś nie dotarło z różnych powodów, ale głównie przez warunki na drogach, tak że nie masz się czym martwić. Co porabiacie? – odpowiedziała entuzjastycznie. W tle usłyszałam dźwięk rozmów, a po chwili zamykanie drzwi. – Przepraszam, musiałam wyjść z sali, bo dziś zebraliśmy się w jednym pomieszczeniu i próbujemy ogarnąć to wszystko, by żaden podopieczny się nie zdenerwował – wyjaśniła pośpiesznie.

– Brat i bratowa przynieśli do nas troje małych kociąt, więc Emilka i Jaś stracili kontakt z rzeczywistością. Nie spuszczają zwierzaków z oka – odpowiedziałam rozbawiona, czując, jak serce wypełnia mi się ciepłem na myśl o dobrym humorze moich dzieci. Upiłam łyk ciepłej kawy. – A u ciebie wszystko gra? – zapytałam, poważniejąc.

Każda rozmowa z Kamilą przypominała mi o tym, jak niedawno zadzwoniła, żeby odwołać zajęcia, a ja od razu domyśliłam się, że coś było nie tak. Co więcej, nie potrafiłam przestać się o nią martwić i troszczyć. Kiedyś wiele dla mnie znaczyła. Właściwie i teraz na nowo stała mi się bliska. Okazywała moim dzieciom tyle cierpliwości i dobroci, starała się dla nich, jak tylko mogła. To dzięki niej zdecydowałam się puścić Jasia do przedszkola. Sporo jego postępów było jej zasługą.

Jeśli mogłam jej się odwdzięczyć moją troską, to chciałam to zrobić.

A najbardziej pragnęłam ochronić ją przed ponownym spotkaniem z byłym mężem.

– Wiem, o co pytasz. Nie odzywał się. A ja... – przerwała i wzięła głęboki oddech.

– A ty? – odpowiedziałam z bijącym mocno sercem.

– A ja od kilku dni prowadzę bardzo miłe rozmowy z bardzo miłym synem znajomych moich rodziców – wyjaśniła, a w jej głosie zabrzmiała ta charakterystyczna nuta, którą od razu rozpoznałam. Kimkolwiek był wspomniany mężczyzna, wpadł jej w oko. – Ooo, właśnie napisał!

– Och, to nie przeszkadzam – odpowiedziałam od razu, unosząc lekko brwi i uśmiechając się.

– Nie przeszkadzasz, ale... muszę już kończyć – wyszeptała z podekscytowaniem, a ja nic nie mogłam poradzić na to, że zaczęłam się śmiać. Jakbyśmy znów miały po osiemnaście lat i rozmawiały o chłopakach podczas szkolnych przerw.

– Wobec tego powodzenia – powiedziałam, ale Kamila już się rozłączyła.

Dalszy przebieg wydarzeń mogłam sobie tylko wyobrazić, lecz wiedziałam, że i tak prędzej czy później mi o wszystkim opowie.

Dokończyłam picie kawy na tarasie i wróciłam do domu, słysząc radosne śmiechy dzieci dochodzące z salonu. Zerknęłam na zegarek. Dochodziła dwunasta.

Udałam się na górę, gdzie zamieniłam moje wygodne dżinsy i sweter na elegancką sukienkę w kolorze śliwkowym. Przeleżała w szafie kilka lat, ale z racji tego, że przez niekończące się kłopoty mocno schudłam, to nadal leżała na mnie tak dobrze jak dawniej.

Zeszłam na dół i wsunęłam głowę do salonu, zastając rodziców siedzących przy kominku i obserwujących, jak Emilka i Jaś bawią się z kociakami za pomocą dwóch kłębków wełny.

– Gdzie jedziesz, mamuś? – zapytała moja córka, dostrzegając, w co byłam ubrana.

– Do taty – odpowiedziałam, posyłając rodzicom znaczące spojrzenie.

– Dzisiaj poniedziałek – zdziwiła się Emilka.

– Czuję, że muszę z nim porozmawiać.

Mama i tata przytaknęli krótko i uśmiechnęli się ze zrozumieniem. Tak dobrze było na nich patrzeć, gdy nie byli ze sobą skłóceni. Stanowili specyficzne, przekomarzające się małżeństwo, ale nigdy nie wątpiłam w to, że łączy ich miłość.

Taka od zawsze i na zawsze.

Taka, jaka połączyła przed laty mnie i Artura.

A teraz być może także mnie i Filipa...

Dzieci pomachały mi na odchodne, zbyt zajęte zabawą, żeby podejść i się pożegnać. Nałożyłam płaszcz, kozaki, szalik oraz rękawiczki i wyszłam z domu. Przebrnęłam przez śnieg aż do garażu.

Jechałam powoli, bo sytuacja na drodze nie była zbyt ciekawa, a ostatnim, czego bym chciała, byłoby wylądowanie samochodem w przydrożnej zaspie.

Na parkingu cmentarza stało kilka aut, ale nie tyle, żebym nie dała rady zaparkować blisko bramy. Wzięłam z siedzenia pasażera torebkę oraz siatkę z wkładami do zniczy.

Szłam powoli, na pamięć, z zadumą tak typową dla tego miejsca.

Przykucnęłam przy grobie mojego ukochanego męża i zmówiłam modlitwę, patrząc na płytę nagrobną. Następnie wstałam i zaczęłam przeglądać liczne znicze, wymieniając wypalone wkłady na nowe i podpalając je za pomocą zapalniczki.

A później, gdy już oczyściłam ławeczkę z grubej warstwy puchu, usiadłam na niej i w ciszy tego mroźnego dnia wspominałam mężczyznę, którego miłość była moim wybawieniem, moim światłem i sensem życia.

To było tak niesamowicie uleczone... Siedzieć w tym z natury przygnębiającym miejscu i myśleć o mężu, nie roniąc już łez. Płakałam tak wiele godzin, dni i tygodni, a te tygodnie

w końcu stały się miesiącami, zaś miesiące latami. Słony smak łez szczypał rozległe rany, ale nigdy nie przynosił ukojenia.

Bo każdego dnia bolało bardziej.

Dobrze było dziś się tu znaleźć.

Nie stał się cud, a moja żałoba nie dobiegła końca. Po prostu nauczyłam się z nią żyć i normalnie funkcjonować. Normalnie, jeśli porównać moje obecne życie z tym, które prowadziłam trzy lata temu.

– Taką miałam nadzieję, że cię tu dzisiaj spotkam, Elizka! – Ciepły głos Zofii Skalskiej rozległ się za moimi plecami, sprawiając, że drgnęłam lekko i odwróciłam się.

Ku mojemu zaskoczeniu obok dobrze mi znanej staruszki stał mężczyzna w podeszłym wieku, który podtrzymywał panią Zofię pod ramię, tak że nie musiała całego ciała opierać na swojej nieodłącznej lasce.

– Dzień dobry państwu – powiedziałam z uśmiechem, domyślając się, że to musiał być pan Staszek, druga miłość Zofii Skalskiej.

Wstałam, wzięłam kobietę w objęcia, a ona odwzajemniła mój uścisk tak serdecznie, jakbyśmy były rodziną. Jej kruche, małe ciało zdawało się jeszcze kurczyć w moich ramionach. Spojrzałam na towarzyszącego jej starszego pana i już chciałam wyciągnąć dłoń, gdy przytulił mnie niespodziewanie, zaskakując całkowicie, ale także wywołując szeroki i szczery uśmiech.

– To mój Staszek, a to Eliza, ta dziewczyna o której tyle ci już opowiedziałam. – Pani Zofia przedstawiła nas sobie. Nie traciła ani na moment tego ciepłego, babcinego uśmiechu, który pogłębiał gęstą sieć zmarszczek na jej twarzy. – Też się dziś wybrałaś na cmentarz. Czy to nie przeznaczenie?

Ubrana w puchaty beret, gruby płaszcz i czarne buty zachowała swoją skromność, którą zaprezentowała mi już

niejeden raz. Nigdy bym nie przypuszczała, że nasze pierwsze spotkanie zaowocuje tak niesamowitą, międzypokoleniową przyjaźnią.

– Skoro już się spotykamy, to chcielibyśmy cię zaprosić do nas na herbatę, Elizo – odezwał się pan Staszek, uśmiechając się czule i z miłością do pani Zofii. Staruszka przytaknęła nader energicznie jak na swój wiek i popatrzyła na mnie serdecznie.

– Nie chciałam przeszkadzać – odpowiedziałam z zakłopotaniem. Nie spodziewałam się takiego zaproszenia.

– Kochana, ty nam lepiej nie odmawiaj, bo Staszek się załamie! Ciągłe powtarza, że powinnaś nas odwiedzić! – wtrąciła pani Zofia, mrugając do mnie z uśmiechem.

– Zatem będzie mi bardzo miło – odparłam. Przytaknęłam lekko i podziękowałam za zaproszenie. – Pojedziemy moim samochodem, państwo pokierują – dodałam.

Szliśmy powoli po odśnieżonej ścieżce cmentarza, rozmawiając o moich dzieciach i codziennych sprawach. Te tematy utrzymywały się również przez całą naszą drogę do domu pani Zosi i pana Staszka. Z przyjemnością słuchałam ich opowieści o tym, jak żyło się dawniej i jak inaczej było teraz. Zdałam sobie sprawę, że w ogóle nie miałam trudności z podtrzymaniem rozmowy, bo czułam się wyjątkowo dobrze w towarzystwie tych dwojga niesamowitych staruszków.

Po dotarciu na miejsce zadzwoniłam do mamy i powiedziałam, że wrócę za jakąś godzinę, tłumacząc, że dostałam zaproszenie od pani Zofii Skalskiej na herbatę. Mama sporo już ode mnie słyszała na temat tej staruszki, więc od razu wiedziała, o kogo mi chodzi. Dodała też, że dzieciaki padły ze zmęczenia, a koty razem z nimi.

Dom pani Zofii był zadbane, duży i staromodny. Przypominał te wszystkie budynki, do których chętnie zjeżdżały się całe rodziny z okazji świąt. Drewniane okna, masywne drzwi

pomalowane zieloną farbą, a w środku wystrój, który zdawał się przenosić człowieka do przeszłości.

Pomieszczenia były bardzo duże, na ścianach królowały beże i brązy, a z sufitów zwieszały się starodawne żyrandole. Obicia kanap i krzeseł w kwiatowe motywy tak bardzo pasowały do obrazu Zofii Skalskiej. Masywne szafy i długi stół – to wszystko natychmiast mi uświadomiło, że poznana na cmentarzu staruszka była nie tylko autentyczna, ale naprawdę szczerze skromna, bo nigdy nie powiedziałabym, że posiada aż tak wiele.

Dom, chociaż czas zdawał się w nim stanąć już dawno, tętnił życiem i licznymi głosami osób, które rozgościły się w salonie. Po korytarzu biegały dzieci, ktoś grał na gitarze, a kilka kobiecych sopranów śpiewało właśnie nieznaną mi piosenkę. W tym samym czasie któryś z mężczyzn zachwycał się głośno pysznym ciastem, a inny radził mu spróbować galaretki z owocami.

Spojrzałam na Zofię Skalską, która zdejmowała właśnie płaszcz przy pomocy pana Staszka.

– Mają państwo gości i... – zaczęłam niepewnie, czując, że akurat dziś, gdy w domu było tyle ludzi, moja obecność nie była tu potrzebna. – Chętnie przyjadę na herbatę w inny dzień – dodałam od razu i uśmiechnęłam się z taką swobodą, jaką w obecnej chwili byłam w stanie wykrzesać.

– Elizo, wszystko jest dobrze. Naprawdę – zapewniła mnie pani Zofia, łapiąc swoją kruchą dłonią moją rękę. – Staszku, czy przyniesiesz nam dzbanek herbaty do biblioteki? – zapytała, zwracając się do starszego pana.

Do biblioteki?!

– Oczywiście. Z gwiazdkami anyżu?

– Dokładnie tak.

Pani Zofia poprowadziła mnie w głąb korytarza, a następnie otworzyła ostatnie drzwi po lewej stronie. Weszła do środka,

a ja z zakłopotaniem zrobiłam to samo.

Szczęka lekko mi opadła. To nie była taka biblioteka, jaką widuje się w filmach o milionerach. Była znacznie mniejsza, ale wystarczyło tylko rzucić okiem na przepełnione regały, by dostrzec wiele drogocennych tytułów z klasyki literatury. Pośrodku pomieszczenia stały dwa fotele i mały stolik, więc Zofia Skalska zaprosiła mnie do zajęcia miejsca, co też z niemałym zszokowaniem uczyniłam.

– Niesamowite zbiory – wyszeptałam z uznaniem, nie mogąc przestać śledzić wzrokiem grzbietów licznych książek.

– Dużo czytasz? – zapytała z dobrotliwym uśmiechem, zwracając na siebie moją uwagę.

– Kiedyś czytałam bardzo dużo, ale gdy urodził się Jaś, zabrakło na to czasu – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, przytakując lekko.

– Warto czytać. Książki to niezwykła przygoda, szansa na poznanie takiego życia, o jakie często normalnie nie mielibyśmy szansy się nawet otrzeć – powiedziała z zadumą, uśmiechając się samymi tylko kącikami ust. – Ja kiedyś czytałam ciągle... Teraz już wzrok nie ten, więc i możliwości mniejsze. Jednak uwielbiam to pomieszczenie, ten zapach i spokój...

– Spokój pewnie czasem się przydaje, bo u pani w domu chyba sporo się dzieje – odpowiedziałam, rzucając znaczące spojrzenie w kierunku drzwi.

– Och – machnęła dłonią – nie zawsze. Tylko przy okazji świąt i rodzinnych obiadów, które organizuje moja córka – stwierdziła, wzruszając ramionami.

– Dziś jest jeden z nich? – zagałam, rozsiadając się wygodniej na fotelu. Do tej pory siedziałam tak, jakbym połknęła kij.

– Och, tak. Wnuki nie rozjechały się jeszcze do swoich miast, więc stwierdziła, że trzeba to wykorzystać i spotkać się

wspólnie przed ich wyjazdem, bo kolejna okazja będzie dopiero na Wielkanoc. Są rozsiani po całej Polsce. Studiują, pracują... – Westchnęła. – A mi córka cały czas głowę suszy, bo Alicja dzieci nie chce, wspominałam ci chyba? – Przytaknęłam. – A to Paweł szykuje się do wyznania prawdy o sobie i ostatecznie znowu nie da rady tego zrobić. A to już trwa z dziesięć lat – powiedziała, kręcąc głową z politowaniem. Zmarszczyłam brwi. – Paweł to ten, którego poznałaś przed cmentarzem – wyjaśniła, a ja przytaknęłam i uśmiechnęłam się. – Jest gejem.

– Och... – westchnęłam z zaskoczeniem, bo nie wyglądał mi na geja.

– Tak... Od dziesięciu lat jest w ukrytym związku z takim Przemysławem, miły nawet. Pewnie by mi Paweł o nim nie powiedział, ale naszłam ich raz na schadzce, no i się wydało – odpowiedziałam z cichym śmiechem, unosząc swoje siwe brwi wysoko do góry. – A zresztą u mnie w rodzinie to pełno takich... – dodała, machnąwszy dłonią. – Lepiej mi powiedz, co u ciebie. Dzieci zdrowe?

– Tak, zdrowe, a Jaś kilka dni temu zaczął uczęszczać do przedszkola specjalnego. Moja przyjaciółka z liceum, Kamila, jest pedagogiem specjalnym w tej placówce i namówiła mnie, żeby wykonać ten krok – opowiedziałam, patrząc w jasne, pełne ciepła oczy staruszki, która z uwagą słuchała moich słów.

– To wspaniale! Jak sobie radzi? – zapytała, składając dłonie jak do modlitwy i oczekując mojej odpowiedzi.

– Mam wrażenie, że dobrze, chociaż to dopiero początek.

Drzwi do pomieszczenia otworzyły się z cichym skrzypnięciem, a do środka wszedł pan Staszek, niosąc tacę z dzbankiem herbaty i dwiema filiżankami. Postawił ją na niewielkim stoliku między nami i ulotnił się natychmiast z ciepłym uśmiechem, nie chcąc przeszkadzać.

Z rozbawieniem zauważyłam, że porcelana była w kurzym motywie. Z czymś takim nigdy się jeszcze nie spotkałam. Zerknęłam na Zofię Skalską z uśmiechem, gdy zaczęła się podnosić z fotela, chcąc nalać herbaty.

– Ja to zrobię – powiedziałam szybko, po czym wyręczając staruszkę, napełniłam nasze filiżanki prawdziwie aromatycznym, przepysznie pachnącym napojem. – Świetna jest ta zastawa – dodałam, układając jedną podstawkę przed Zofią, a drugą bliżej siebie.

– W zeszłym roku Paweł dał mi ją na urodziny. Bardzo lubię z niej korzystać – odpowiedziała i upiła ostrożny łyk naparu.

Obraz Zofii Skalskiej zaczął się krystalizować w mojej głowie. Dopiero teraz, siedząc w jej domu, zdałam sobie sprawę, jak niewiele o niej wiedziałam, pomimo długich rozmów podczas naszych spotkań.

Zofia Skalska była niebanalną staruszką, która akceptowała brak powołania do macierzyństwa u wnuczki i homoseksualnego wnuka. Mieszkała w dużym i pięknym domu, ale nie miała w sobie nawet grama wyniosłości czy nadmiernej ekstrawagancji. Była skromna, krucha i pełna ciepła, potrafiła słuchać i opowiadać o sobie. Zaprosiła mnie do siebie, chociaż w domu gościła najbliższą rodzinę, uraczyła pyszną herbatą w zabawnych filiżankach i pokazała, jaka jest naprawdę.

Nie myślałam, że to możliwe, ale polubiłam ją jeszcze bardziej niż wcześniej.

– Cieszę się, że przyjąłeś zaproszenie na herbatę – odezwała się znów, patrząc na mnie tak ciepło, jak tylko babcie potrafią.

– A ja się cieszę, że zostałam tu zaproszona – odpowiedziałam uprzejmie. Twarz kobiety rozjaśniła się w uśmiechu.

Przez moment w ciszy sączyłyśmy herbatę z gwiazdkami anyżu, lecz w końcu Zofia Skalska drgnęła lekko, a po chwili

wyciągnęła spod małego stolika jakiś przedmiot.

W dłoni trzymała notes. Czarny ze złotymi żłobieniami. Można było bez trudu dopatrzeć się zniszczeń, a pożółkłe brzegi kartek świadczyły o tym, że był bardzo stary.

Obserwowałam, jak staruszka kładzie przede mną notes, a po chwili jeszcze bardziej go ku mnie przysuwa, jak gdyby chciała zachęcić do wzięcia go w dłonie.

– To mój prezent dla ciebie – zaczęła spokojnie i z wyczuwalną nutką przejęcia, mnąc w palcach róg swojego wełnianego puloweru. – Otwórz – dodała zachęcająco. Zerkała to na mnie, to na notes.

– Ale z jakiej to okazji?– wydukałam z zawstydzeniem, zaskoczona przez tę kobietę po raz kolejny.

– Bez okazji – odpowiedziała szczerze i z uśmiechem. – Otwórz.

Nie wiem, czemu tak bardzo się denerwowałam. Może chodziło o tę nadzieję w oczach Zofii Skalskiej i przejęcie, jakie odmalowywało się na jej twarzy? A może o to, że gdzieś podświadomie czułam, jak bardzo to jest osobiste?

Lekko drżącymi palcami chwyciłam notes i ostrożnie, jakby miał się za moment rozpaść w moich dłoniach lub spłonąć, otworzyłam go.

To chyba był dziennik. Albo pamiętnik. Pisała go najprawdopodobniej jakaś kobieta, bo pismo zdobiące pierwszą pożółkłą kartkę było staranne i wypełnione ozdobnikami. Chociaż nie chciałam czytać tego, co zostało napisane, to moje oczy samoistnie prześledziły tekst, wdzierając się do tajemniczego wnętrza.

Dziś pierwsza myśl o tobie, kochanie, że bardziej cię kochać nie byłabym w stanie.

Och, Boże...

Zaledwie kilka słów, jedno zdanie, a sprawiło, że pod powiekami zapiekły mnie łzy. Było w tym coś pięknego

i poruszającego, miazdżącego serce i odradzającego zranioną duszę...

Ktokolwiek był autorem tych słów, pisał je z serca. Nie miałam co do tego wątpliwości.

Wzięłam głęboki oddech i uniosłam wzrok, wpatrując się w siedzącą naprzeciwko mnie staruszkę. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu zobaczyłam, że w jej jasnych oczach otoczonych gęstą siateczką zmarszczek także kołyszą się wzbierające łzy.

Łzy wzruszenia, których wydzźwięk łagodził uśmiech.

– To ja. Ja to napisałam – wyszeptała emocjonalnym, drżącym głosem. – Chcę ci to dać, bo wiem, że ty zrozumiesz każdą z myśli, jaka została tam zatrzymana. Patrzę na ciebie i widzę samą siebie sprzed wielu lat. Przechodziłam przez te same etapy bólu i żałoby, które i ty przerabiasz. – Po pomarszczonym policzku staruszki potoczyła się łza, której nie zamierzała ocierać. Była szczera w swoich wszystkich emocjach. – Długo myślałam, co ci podarować, bo od początku wiedziałam, że coś chcę. Uznałam, że ten dziennik będzie najodpowiedniejszy. Na końcu znajdziesz jeszcze kilka pustych stron. Wypełnij je tak, jak podpowie ci serce. Wyrzuć z siebie wszystko, co cię blokuje – dodała cicho i wyciągnęła dłoń przez stolik, by zacisnąć kruche i pokrzywione starością palce na mojej.

W gardle miałam olbrzymią gulę, która powstała pod wpływem ogarniającego mnie ekspresowo wzruszenia.

Zofia Skalska podarowała mi w prezencie coś absolutnie bezcennego.

Bo emocji, tak szczerych, powstałych w wyniku bolesnych doświadczeń, nie dało się jakkolwiek wycenić. Sama wiedziałam, jak to jest żyć, gdy nagle wszystko traci sens, bo człowiek, który miał z tobą iść każdego dnia ramię w ramię, nagle znika i wiesz, że już nigdy nie wróci.

Podobne doświadczenia i obopólne zrozumienie doprowadziły nas do momentu, gdy nie liczyła się różnica wieku, sposób myślenia i przeżycia, bo byliśmy dla siebie po prostu przyjaciółkami.

Uśmiechnęłam się lekko, czując obezwładniającą wdzięczność. Bez zastanowienia wstałam z fotela i pochyliłam się nad kruchym ciałem staruszki. Wzięłam ją w ramiona i przytuliłam czule, bo czasem to gesty muszą za nas mówić, gdy słowa nie są w stanie wyrazić wszystkiego, co należy.

Schowałam notes do torebki, po czym obie z panią Zosią uspokoiłyśmy się nieco i dokończyłyśmy herbatę w pełnej sympatii atmosferze. Rozmawiałyśmy o śniegu i o tym, jak srogie zimy były kilkadziesiąt lat temu. Nic jednak nie mogłam poradzić na to, że moje myśli co i rusz uciekały do zawartości pamiętnika Zofii Skalskiej.



Wieczorem, jak tylko położyłam dzieci spać, wzięłam kąpiel, nałożyłam piżamę i ciepłutki, przyjemny w dotyku szlafrok od rodziców, po czym zesłam do kuchni z notesem pani Zosi pod pachą. Nalałam sobie lampkę wina i przeniosłam się do salonu.

Pomieszczenie wypełnione było magicznym światłem ognia trzeszczącego w kominku, stwarzając niemal bajkową atmosferę w połączeniu z bielą śniegu za oknem.

Umościłam się na fotelu, podwinęłam nogi pod siebie, po czym z głębokim oddechem otworzyłam notes na pierwszej stronie i raz jeszcze przeczytałam tę niebanalną, piękną myśl.

Na następnej stronie dostrzegłam kolejną, zapisaną tym samym starannym pismem.

Dziś myśl druga o tobie, kochanie, że mniej tęsknić to nie tęsknić wcale.

Jak bardzo to było szczere i pasujące do mnie samej? Właśnie to miała na myśli pani Zosia, ofiarowując mi tę niezwykle osobistą rzecz. Wiedziała, że w każdej ze stron odnajdę siebie i Artura.

Nigdzie nie było dat, ale zaschnięte ślady łez, maleńkie pofalowane kółeczka, były aż nadto wymowne. Poznawałam właśnie Zofię Skalską w pierwszych chwilach po przyjęciu informacji o śmierci męża. Może napisała te dwie pierwsze myśli w ten sam dzień, może w następny. Jedno było pewne: znajdowała się jeszcze na tym pierwszym, najbardziej naiwnym etapie, czyli niedopuszczania do siebie myśli o tym, że bliska osoba po prostu umarła.

Myśl dziś trzecia o tobie, kochanie, że śmierci twojej nie akceptuję wcale.

Serce ścisnęło mi się z bólu, gdy patrzyłam na to jedno zdanie, czując doskonale wszystko to, co czuła w tamtym czasie Zofia Skalska. Wyobraziłam sobie ją jako młodą wdowę i matkę, której szok nie pozwalał na zaakceptowanie rzeczywistości, a umysł postanowił poszukać drogi ucieczki w puste kartki dziennika. Nieakceptowanie było tak normalnym odruchem każdego człowieka.

Krzyczysz: „Nie!”, i myślisz, że cały koszmar po prostu się cofnie, a ty nawet nie będziesz pamiętać, że w ogóle cię nawiedził.

To tak nie działało. Nigdy tak nie działało.

Kiedy koszmar się zaczynał, to trwał. Nie godzinę, nie dzień. Miesiące i lata, a tak właściwie to całe życie. Z czasem cichł, zdawał się odsuwać w cień, lecz atakował, gdy było się najmniej przygotowanym.

To już czwarta myśl o tobie, kochanie, że bez ciebie życie bez sensu pozostanie na stałe.

Zatrzasnęłam gwałtownie notes i odłożyłam go na stolik kawowy. Ukryłam twarz w dłoniach, biorąc świszczący oddech. To było tak trudne. To było niczym *déjà vu*, niczym zdzieranie strupów z niezagojonych ran.

Wiedziałam, że będzie ciężko, ale nie sądziłam, że aż tak.

Balansowałam na drżącej granicy płaczu, gdy drzwi do salonu otworzyły się cicho, a do środka weszła Ola. Uśmiechnęła się lekko, unosząc w górę wino i dwa kieliszki. Automatycznie podniosłam swój, nietknięty, a ona zrobiła swoją teatralną oburzoną minę, przez co o mało się nie roześmiałam.

– O ty! Pijesz beze mnie?! – Zmarszczyła złowrogo brwi.

– Nie zdążyłam się napić.

– Masz szczęście! – odpowiedziała buńczucznie, po czym usiadła na drugim fotelu i ostentacyjnie nalała wina z odkorkowanej już butelki do swojego kieliszka. – Skończyłam pogaduchy z moją najukochańszą teściową, to teraz my możemy porozmawiać – dodała z szerokim uśmiechem i rozsiadła się wygodnie.

Posłałam jej uśmiech pozbawiony energii.

– Co słyhać u twojej mamy? Jak się czuje? – zapytałam z troską. Wpatrzyłam się w nią i próbowałam dostrzec jakąś zmianę w mimice twarzy.

– Jest lepiej. Dostała teraz nowe leki i mówi, że służą jej lepiej niż te poprzednie – odpowiedziała z namysłem, sącząc wino. – Jadźka to twarda sztuka, ale jest już w takim wieku i po takich chorobach, że musi na siebie uważać – dodała ze smutnym uśmiechem, przekrzywiając lekko głowę, jak gdyby się nad czymś zastanawiała.

Ola często mówiła na swoją mamę „Jadźka”; była to pozostałość po jej dzieciństwie, gdy próbowała robić

wszystkim na złość i zwracać się do nich wyłącznie po imieniu, zwłaszcza gdy nie byli z tego zadowoleni.

– A nie uważa?

Ola wywróciła oczami w wymowny sposób.

– Wiesz, jak to z mamą. Drewno do kominka przyniesie sobie sama, na zakupy to najlepiej stopem, mycie okien od rana do wieczora, bo co, ona nie da rady? – mruknęła nerwowo, patrząc na mnie znacząco. – Nie idzie jej upilnować... Tylko Kuby się słucha, jak dziś jej powiedział, że musi trochę przystopować, to przyznała mu rację.

Tak, mama Oli miała ogromną słabość do swojego zięcia i wiedzieli to wszyscy, którzy chociaż raz spotkali się z tą kobietą. Wychwalała wszystko, co robił mój brat, i uznawała go za chodzący ideał mężczyzny. Nie dałaby na niego jednego złego słowa powiedzieć. Tak nietypowej relacji pomiędzy zięciem a teściową świat nie widział.

– Dobrze, że liczy się chociaż z jego zdaniem – odpowiedziałam, śmiejąc się lekko.

Z piersi Oli wydobyło się głębokie westchnienie, a mina nieco jej zrzedła. Upiła kilka łyków wina, jak gdyby szykowała się do powiedzenia trudnych słów.

– Czasem się boję, że ona nie doczeka... Wiesz, wnuka – wyznała cicho, opuszczając wzrok. Serce mi zamarło, bo to był trudny i newralgiczny temat. – Wystarczyło, że Kuba zaopiekował się tymi kociętami, a ja już zaczęłam myśleć, jak by to było, gdybyśmy mieli małe dziecko. Byłby wspaniałym ojcem... On ma w sobie tyle ukrytej miłości i troski – westchnęła ze smutkiem. Popatrzyła na mnie przez chwilę, jakby wstydziała się własnego cierpienia.

Bez słowa dolałam nam wina do kieliszków, czując, że będzie potrzebne do obłaskawienia negatywnych emocji i uczuć.

– Olka, jesteście w tym razem i we dwoje to przetrwacie. Bez względu na końcowy wynik – odpowiedziałam spokojnie

i wyciągnęłam rękę, dotykając jej dłoni. – Kuba to silny facet. Zniesie z tobą wszystko, co będzie trzeba – dodałam z pokrzepiającym uśmiechem.

– A ja się boję, że w końcu to go przerośnie. Trafiła mu się wybrakowana imitacja kobiety, która nawet nie potrafi dać mu dziecka... – wyszeptała drżącym głosem, a w jej oczach zalśniły łzy.

– Nie jesteś imitacją kobiety! Nawet tak nie mów!

– Ale tak jest, Eliza... Ty urodziłaś, Milena też, a ja? Chcę, a nie mogę...

W ciągu kilku sekund łzy zalały jej twarz, a drżące z rozpaczy usta raz za razem obejmowały brzeg kieliszka. Wiedziałam, że Ola potrzebowała się wygadać. To był taki nasz niepisany rytuał: wino i rozmowy na poważne tematy. Od dawna zastanawiałam się, jak ona wewnętrznie znosi bliskość dziecka Mileny i konfrontuje to z własną bezpłodnością. W moich oczach Ola nie była wybrakowana, bo takie rzeczy niestety coraz częściej się zdarzały. Życie biegło jak szalone, ludzie nie mieli czasu, żeby się zatrzymać. Problemy z płodnością miały różne podłoże i częstokroć nie można ich było jednoznacznie sklasyfikować.

To tak jak z mutacjami genetycznymi... Po prostu przydarzały się dwójce ludzi, chociaż kompletnie się tego nie spodziewali. Na świat przychodziło dziecko niedoskonałe pod wieloma względami, a rodzice stawali przed zadaniem obdarzenia takiego maleństwa bezkresem swojej rodzicielskiej miłości.

Kuba był mężczyzną z bardzo wyraźnym kręgosłupem moralnym i kochał Olę do szaleństwa, chociaż przez jego brak wylewności nigdy przesadnie tego nie okazywał. Jednak ja wiedziałam. Znałam mojego brata niemal na wylot, a z oczu potrafiłam mu czytać jak z książki. Nie zostawiłby jej z powodu niemożności urodzenia dziecka.

– Jesteś wspaniałą żoną i wierzę, że dane ci będzie zostać też matką. Nic ci nie odbierze tego, że masz wspaniałe serce. A mój brat bardzo cię kocha, pomimo upływu lat – zapewniłam ją płomiennie, patrząc w te smutne, zapłakane oczy.

Ola odstawiła kieliszek z winem na stolik i zbliżyła się do mnie, przytulając mocno. Odwzajemniłam ten gest z całą sympatią, jaką żywiłam względem jej osoby.

– Tak się cieszę, że Kuba ma siostry. Obie jesteście takie wspaniałe. Gorzej, gdybyśmy się nienawidziły... – Zachichotała przez łzy. – Tyle że ciebie nie da się nienawidzić – dodała ciszej, uśmiechając się do mnie.

Wróciła na swoje miejsce i wpatrzyła się w ogień, który hulał w kominku. Ja natomiast rozmyślałam nad jej słowami. Powiedziała coś wielkiego i ważnego. Dla mnie. A chociaż moja wewnętrzna pesymistka chciała wątpić w to, co wyznała, to ja wierzyłam. Wierzyłam, bo to była Ola – szczerą i prawdziwą tak bardzo, jak mało kto w dzisiejszych czasach.

Moja szwagierka przez kilka chwil milczała, lecz w końcu ocknęła się i jej wzrok padł na dziennik pani Zosi.

– Co to? – zapytała z ciekawością.

– Prezent od Zofii Skalskiej – odpowiedziałam spokojnie, chociaż w moim sercu było tak wiele emocji na samą myśl o zawartości dziennika.

– Dała ci jakiś stary... notes?

Zachichotałam, bo przecież w pierwszej chwili pomyślałam tak samo.

– Nie, to jej dziennik. Zaczęła go pisać po śmierci swojego męża.

Na twarzy Oli odmalowało się zrozumienie. Opowiadałam jej o mojej znajomości z Zofią Skalską, dlatego wiedziała, co tak naprawdę nas połączyło. Miałyśmy podobny bagaż

doświadczeń, który był niczym most pomiędzy naszymi światami.

– Zaczęłaś już go czytać?

Przytaknęłam.

– Nie dałam rady przeczytać zbyt wiele, bo... jest bardzo emocjonalny. To bezcenny prezent i nie byłam pewna, czy powinnam go przyjmować, ale nalegała. Przelatała na kartki tego dziennika bardzo trudne emocje. To jak cofnięcie się do przeszłości, wiesz? – Przytaknęła z powagą. – Jest bardzo mądrą kobietą i wiem, że każe mi przejść tę drogę przez mękę nie bez powodu. Mam coś dzięki temu zrozumieć.

Ola wysłuchiwała moich słów, a po chwili sięgnęła ręką i zanim zdążyłam zaprotestować, otworzyła dziennik na przypadkowej stronie. Patrzyłam, jak przebiega wzrokiem zapisany tekst, którego musiało być wyjątkowo dużo, a po chwili uśmiechnęła się i podała mi otwarty na wybranej przez siebie stronie.

*A jeżeli tak? A jeżeli nie?
Trułem ja się myślą złudną,
Tobą jasną, tobą cudną,
I zatruty śnię,
A jeżeli nie?
No to... trudno.*

*A jeżeli coś? A jeżeli tak?
Rozgotębią mi się zorze,
Ogniem cały świat zagorzę.
Bo jeżeli tak,
No to... – Boże!!!*

*~ Julian Tuwim, „Jeżeli”
Czy nie tak z nami było, Kochany?*

- Niesamowita kobieta - powiedziałyśmy jednocześnie, patrząc na siebie w zdumieniu i z uśmiechem. Zamknęłam dziennik, odłożyłam go na stolik i przytknęłam krawędź kieliszka do dolnej wargi, myśląc o tym, co właśnie przeczytałam.

Jak niezgłębiona była jej dusza? Jak bogaty w doświadczenia umysł?

Serce kobiety było wielką tajemnicą. Sama doskonale zdawałam sobie tego sprawę. Westchnęłam i uśmiechnęłam się, myśląc o słowach, którymi w inwazyjny sposób uświadomiła mi moje uczucia względem Filipa.

Była dosadna. Była szczera. Była niezwykłą osobą, która wkroczyła do mojego zwykłego życia.



Samochód Bieleckich wjechał na nasze podwórko dokładnie o czternastej we wtorek. Byłam przyszykowana na ich przyjazd, bo Stanisław wysłał mi ostrzegawczą wiadomość, a dopiero po nim zadzwoniła Ela, nieświadoma działań męża.

Nałożyłam zieloną sukienkę w kwiaty, starając się konsekwentnie trzymać mojego postanowienia o powrocie do kolorowych ubrań. Dzieci biegały po salonie, a na stole spoczywał biały obrus, który nałożyła mama, usłyszawszy, że spodziewam się gości.

Nikt nie miał pojęcia, jak ogromny ucisk w żołądku czułam.

Dziś po raz kolejny miałam być aktorką. A kompletnie mi to nie wychodziło. Nie potrafiłam grać dobrej i miłej synowej przed kobietą, która zrobiła w przeszłości coś tak odrażającego. Poznałam Filipa i pokochałam go, chociaż nie

przyszło mi to łatwo. Ta miłość niosła ze sobą wiele wewnętrznych walk, wiele bólu i łez, ale te dobre chwile z Filipem były tego warte.

Miałam prawo jej nienawidzić. Wprawdzie nie byłam pewna, kim jestem dla Filipa, bo oboje nie mieliśmy odwagi, żeby zdefiniować naszą relację, jednak czułam w sercu przemożną potrzebę, żeby go chronić. Już zbyt wiele razy został w życiu zraniony.

Elżbieta jak zawsze wyglądała elegancko i promiennie, gdy stanęła w wejściu do naszego domu, witając się w korytarzu z moimi rodzicami, a następnie ze mną. Uścisnęła mnie serdecznie, a ja bardzo się starałam nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem zdenerwowana. Za nią wszedł Stanisław, obładowany podarunkami. Również się przywitał, tradycyjnie uprzejmy i dobrze wychowany. Posłał mi uśmiech pełen pokrzepienia i takiej dobrej, zupełnie nowej siły.

Przeszliśmy do salonu, gdzie przez kolejne pół godziny wszystko kręciło się wokół dzieci i ich radości z nowych prezentów. Jaś, który wreszcie miał okazję poznać dziadków, powoli zaczął się do nich przekonywać, wykazując chęci do komunikacji.

Ja w tym czasie zdążyłam rozkroić sernik i szarlotkę. Przygotowałam kawę w dzbanku oraz filiżanki. Ociagałam się celowo, próbując w dziecinny sposób przedłużyć nieunikniony moment wejścia do salonu i rozpoczęcia mojego marnego show.

Z niemałą ulgą przyjął fakt, że tym razem moi rodzice mogli towarzyszyć mi podczas spotkania z teściami, bo ich łatwość w prowadzeniu rozmowy właśnie dziś mogła okazać się dla mnie zbawienna.

Goście zabrali się do rozlewania kawy i pałaszowania ciasta, a ja usiadłam razem z nimi, sadzając sobie Jasia na kolanach. W małej niebieskiej miseczce miałam dla niego mus jabłkowy

z naszych jabłek, bo dietetyk polecił, żeby nie torturować dziecka dietą w obecności suto zastawionego stołu, tylko pozwolić mu na więcej, a najlepiej stosować smaczne zamienniki.

– Mówiła ci Elizka, że Jaś świetnie poradził sobie w przedszkolu? – zagadnęła moja mama, zając się szarlotką mojego autorstwa.

– Wiedziałam, że idzie do przedszkola, ale o wrażeniach Jasia nie mówiła – odpowiedziała Elżbieta, spoglądając na mnie znacząco.

Tylko cudem powstrzymałam się, żeby nie przewrócić oczami.

– Dzielny jest ten nasz chłopczyk. Podoba mu się wśród innych dzieci – szepnęła mama z dumą, gładząc wnuka po policzku. Niezmiennie wzruszało ją to, że moje dzieci tak szybko rosną.

– A jak u twojej młodszej córki? Jak sobie radzi jako mama?

Pozornie miłą atmosferę trafił szlag. Tata napiął się jak struna, a jego twarz momentalnie zaczęła przypominać maskę. Wbił wzrok w jakiś punkt na stole i udawał, że nie słucha. Mama natomiast przez ułamek sekundy pozwoliła pochłonąć się smutkowi, lecz zaraz odzyskała rezon, przywdziewając uśmiech.

– Wszystko u nich w porządku. Amelka jest prześliczna i taka grzeczna, że Milena musi wstawać w nocy i sprawdzać, czy ona żyje, bo w ogóle nie płacze – powiedziała mama z zachwytem.

– Och, a karmi piersią? – zdziwiła się Elżbieta. Jednym z jej dziwactw, które próbowała mi wmusić po narodzinach Emilki, był sprzeciw wobec karmienia dziecka mlekiem matki. Uważała, że to niezdrowe i tak naprawdę szkodzi, chociaż kompletnie nie wiem, skąd wytrzasnęła tę swoją filozofię.

– Oczywiście, że tak! Ma mnóstwo pokarmu, to karmi – odpowiedziała mama i posłała Elżbiecie uśmiech.

– A ten ojciec dziecka... znalazł się w końcu czy nie?

Tego było już za wiele. Spojrzałam na nią tak zimnym wzrokiem, że tylko cudem nie zamieniła się w bryłę lodu, i wstałam, sadzając Jasia w jego krzeselku. Wykorzystałam pretekst, że mój synek dokończył jedzenie musu, i wyszłam z salonu, zanim roztrzaskałabym jej głowę o stół.

Jak mogła być na tyle bezczelna, by zadać takie pytanie?!

Zostawiłam za sobą tę ciężką atmosferę i może postąpiłam źle, bo teraz mama musiała sama mierzyć się z moją teściową, ale z drugiej strony ona zamieniała się w lwicę, zawsze gdy jej dzieciom zagrażało niebezpieczeństwo, więc wiedziałam, że nie pozwoli obrażać Mileny.

Nawet nie wyobrażałam sobie, co musiał czuć tata. Pewnie był wściekły. W końcu każdy na jego miejscu by był. Nie dość, że borykał się ze złością na Milenę, to teraz jeszcze zupełnie obca osoba dołała oliwy do ognia.

Spędziłam w kuchni kilka minut, nasłuchując krzyków, lecz one nie nastąpiły. W tym czasie umyłam miseczkę i łyżeczkę po podwieczorku Jasia, schowałam do zmywarki szklanki i sztućce, po czym podeszłam do zlewu, wyciągnęłam wilgotną ściereczkę i udawałam, że czyszcę kuchenkę gazową, chociaż mama zrobiła to dwie godziny temu.

Byłam po brzegi wypełniona złymi emocjami, gdy do kuchni wszedł Stanisław. Spojrzałam na niego z grobową miną, nie ukrywając tego, że miałam ochotę roznieść Elżbietę w drobny mak.

– Przepraszam cię za nią – powiedział na wstępie, robiąc skruszoną minę. – Ona zawsze się tak zachowuje, gdy czuje, że coś jest nie tak...

– A co niby jest nie tak? – Poza tym, co oczywiste, miałam ochotę dodać.

– Ela wie, że masz do niej jakiś żal, ale kompletnie się nie domyśla, z czym on jest związany, więc robi się złośliwa z tego powodu. Nie czuje się komfortowo – odpowiedział spokojnie.

Prychnęłam głośno i przewróciłam oczami, a Stanisław spojrzał tylko na mnie znacząco i gestem wskazał, że wraca do pokoju. Najwyraźniej wymknął się tylko na moment, a ja pod wpływem tych wszystkich emocji nie zapytałam go nawet, jaka atmosfera panuje w salonie.

Okazało się, że mama postanowiła ratować sytuację alkoholem. Wyciągnęła wino i nalała sobie, Elżbiecie oraz odrobinę tacie. Ciągle próbowała walczyć z jego niezdrowymi nawykami, mając na uwadze przebyty przez niego zawał. Tata natomiast palił jak lokomotywa i nie za wiele robił sobie z własnego zdrowia, chociaż bywały dni, gdy czuł się naprawdę fatalnie.

Usiadłam przy stole, odmawiając wina, gdy mama mi je zaproponowała. W otumanieniu słuchałam opowieści Eli o sukniach, które szyła w ostatnim czasie na zamówienie, zachwycając się zwłaszcza balową kreacją dla małej dziewczynki, której mama nie szczędziła pieniędzy na to, żeby jej córka podczas zbliżającego się wielkimi krokami szkolnego baliku olśniła wszystkich.

Patrzyłam na dzieci, które grzecznie bawiły się na kanapie nowymi zabawkami. Od czasu do czasu rzuciłam okiem w kierunku telewizora, gdzie leciał jakiś serial paradokumentalny. Zirytowana szybko zmieniłam kanał, bo nie mogłam znieść poziomu głupoty, jakie przedstawiały tego typu „życiowe” programy.

Kolejną godzinę później Elżbieta była już lekko podchmielona, podobnie jak moja mama, i obie śmiały się z jakichś bezsensownych żartów. Stanisław wydawał się skrepowany i zdenerwowany, siedział prosto i tylko

obserwował żonę z zaciśniętymi ustami. Tata był milczący, bo najwyraźniej nie przerobił tak łatwo wzmianki o Milenie.

A ja czekałam już tylko na moment, gdy zbiorą się i pojedą...

Wyszłam z salonu, bo przyszedł czas na przyszykowanie kolacji. Nie chciałam odwoływać mamy do pomocy, bo w przeciwieństwie do mnie bawiła się świetnie, więc miałam przynajmniej wiarygodną wymówkę do ucieczki.

Uszykowałam sobie talerze i sztućce, wypełniłam dzbanki napojami, a mięso przełożyłam do naczynia żaroodpornego, żeby podgrzać w piekarniku. W międzyczasie zebrałam ze stołu ciasto i brudne talerzyki.

Byłam pochłonięta pracą do tego stopnia, że nie usłyszałam, gdy ktoś wszedł do kuchni, więc podskoczyłam raptownie ze strachu, odwracając się od piekarnika i dostrzegając w pomieszczeniu Elżbietę.

– Możemy porozmawiać? – spytała spokojnie, chociaż jej oczy błyszczały znacząco od wypitego z mamą wina.

– Jasne. O czym? – odpowiedziałam, wracając do przygotowywania kolacji, żeby nie musieć patrzeć jej w twarz.

– Zauważyłam już jakiś czas temu, że stałaś się wobec mnie bardzo... chłodna – powiedziała wprost, podpierając się jedną ręką pod bok. – Próbowałam podpytać Stasia, czy nie wie, o co ci chodzi, lecz nic mi nie mówi – dodała, jak gdyby oskarżając przede mną męża o kłamstwo.

– O nic mi nie chodzi, Ela. Musi ci się coś wydawać – odpowiedziałam i całą siłą woli zmusiłam się do uśmiechu.

Wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia i już otwierała usta, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

Odstawiłam na blat miskę z sałatką jarzynową, chcąc iść i otworzyć, ale gdy stanęłam w korytarzu, mama właśnie dopadła drzwi.

Otworzyła je szeroko, a moim oczom ukazał się Filip.

O mój Boże.

Stałam i patrzyłam na niego, jakbym zobaczyła ducha. Na widok mojej mamy uśmiechnął się tak, że nogi omal się pod mną ugięły.

Mówił, że do nas nie przyjdzie...

A jednak przyszedł. Właśnie w takim momencie!

– Dzień dobry, pani Helenko – powiedział uprzejmie, ale coś na jego twarzy pozwalało mi myśleć, że czuł się lekko skrępowany. Nie odwiedzał nas od chwili, gdy Milena wyznała rodzicom prawdę o dziecku i spakowała swoje rzeczy, wyprowadzając się. Wtedy tata nazwał Filipa kłamcą, a i ja nie byłam gotowa, żeby go widywać. – Przyszedłem do Elizy – dodał i właśnie wtedy jego spojrzenie pofrunęło ponad głową mamy, napotykając moją twarz.

Byłam pewnie blada jak ściana, bo całą sobą czułam Elżbietę za moimi plecami. Stała i przyglądała się z zaciekawieniem przybyszowi...

Swojemu synowi, do cholery, się przyglądała!

Filip zmarszczył nieznacznie brwi, widząc mój strach, lecz mama, kompletnie niczego nieświadoma, otworzyła jeszcze szerzej drzwi i zaprosiła go do środka.

– Zapraszam, kochaniutki! Elizka jest, przygotowuje właśnie... O! – Nadmierna wesołość w głowie mamy była jasnym znakiem, że tego dnia wypła już dosyć. Uśmiechnęła się szeroko do mnie, następnie spojrzała na Filipa. Wyglądała, jakby nie żywiła do niego żalu o uczestnictwo w kłamstwie.

Pewnie tak było.

– Masz kogoś? – spytała półgębkiem Ela, zrównując się ze mną.

Poczułam, jak cierpnie mi skóra na karku. Ze strachu i wściekłości, bo w jej tonie zabrzmiała srogość, jak gdyby zamierzała mnie skarcić za to, że chciałam ułożyć sobie życie z kimś nowym.

Udałam, że kompletnie nie usłyszałam jej pytania, i postąpiłam kilka kroków naprzód, podchodząc do mamy i Filipa. Stukot obcasów za plecami uświadomił mi, że ona uparcie podążała za mną.

– Cześć – powiedziałam cicho, patrząc w jego oczy i próbując go uświadomić w tym, że po raz pierwszy od dnia narodzin znalazł się tak blisko swojej biologicznej matki.

Na jego twarzy widniała powaga i niepokój. Wiedział, że coś było nie tak.

Jego spojrzenie poszybowało w kierunku Elżbiety i szybko, zdecydowanie za szybko, znów padło na mnie. Zacisnął usta i wyglądał tak, jakby nie chciał dopuścić do siebie tej dziwnej myśli, która przebiegła mu po głowie, taka nietypowa, taka nieproszona, taka niewiarygodna.

– Och, poznajcie się! – Mama zreflektowała się, gdy korytarz wypełnił się dziwną ciszą. Nawet rozmowy z salonu przestały dochodzić, jakby cały dom i wszystkie osoby w nim przebywające z zapartym tchem oczekiwały rozwoju wydarzeń.
– Kochana, to jest nasz sąsiad, Filip Buczkowski. Filip, poznaj teściową Elizki, Elżbietę Bielecką.

Między nami wybuchła bomba, lecz tego wybuchu byliśmy świadomi tylko ja i Filip, a po części chyba także Ela. Jak w zwolnionym tempie widziałam, że z przystojnej twarzy stojącego naprzeciwko mnie mężczyzny odpływa cała krew, a mięśnie szczęki niekontrolowanie się napinają.

Z walącym szaleńczo sercem spojrzałam na Elżbietę, której twarz spowił grymas zaniepokojenia, a w oczach błysnęło coś mrocznego, jakby rozpoznanie swojego dawnego grzechu. Stali i patrzyli na siebie o kilka sekund za długo. Wstrzymywałam oddech, bojąc się tego, co mogło nadejść. Przecież w salonie siedział Stanisław, który znajdował się między młotem a kowadłem i ten fakt mógł z automatu sprawić, że jego małżeństwo stanie pod znakiem zapytania.

Filip powoli, z napiętą twarzą wyciągnął dłoń w kierunku Elżbiety, a ona uściśnięła ją szybko i niechętnie. Jej ciało było wyprostowane, a ona sama wydała mi się dziwnie zestresowana.

Samo brzmienie tego nazwiska musiało przywalić ją lawiną wspomnień o krótkotrwałym młodzieńczym romansie sprzed lat. Może, jeśli gdzieś tam trawiło ją poczucie winy za dawne decyzje, automatycznie zaczęła doszukiwać się w Filipie podobieństw do jego ojca. Może zauważyła te oczy, które obaj synowie odziedziczyli po niej...

Może...

– Chodźmy do salonu, nie będziemy tak przecież stać w korytarzu – rzekła dziarsko mama i wskazała gościom wejście do pokoju.

Elżbieta weszła jako pierwsza, za nią mama, a Filip po prostu stał i na mnie patrzył.

Wykradł chwilę tylko dla nas i wiedziałam, że mama to zrozumie.

Był wyraźnie rozstrojony, chociaż bardzo starał się skupić na mnie całą uwagę. Rozumiałam go bardziej, niż zapewne przypuszczała, bo też drżałam wewnętrznie po sytuacji sprzed chwili.

– Nie sądziłam, że się dziś zjawisz. Przyjechali do dzieci – zaczęłam tłumaczyć półszeptem. Kręciło mi się w głowie od tego wszystkiego. Wzięłam głęboki oddech i szybko znalazłam drogę ucieczki. Krzyżyk. No przecież! – Mam coś dla ciebie. Poczekaj, jest w moim pokoju, zaraz wracam – powiedziałam w popłochu. Podeszłam do niego i złożyłam mu na policzku lekki pocałunek. – Poczekaj – powtórzyłam. Czułam, jak jego bliskość pobudza nieśmiałe motyle w moim ściśniętym żołądku do lotu.

Chciałam się odsunąć i wejść po schodach na górę, lecz Filip złapał mnie za rękę, sprawiając, że spojrzałam mu w oczy

z niepokojem.

– To naprawdę ona, prawda?

Potrzebował potwierdzenia, chociaż wiedział.

Serce ścisnęło mi się z bólu, gdy zdałam sobie sprawę, że się boi. Strach wзираł z jego sztormowych oczu, objawiając przede mną tego ukrytego głęboko w sercu małego chłopca, który odczuwał strach i nie wiedział, gdzie może się przed nim skryć.

Mogłam sobie tylko wyobrażać, co czuł w tym momencie. Przyjechał do Lilecka z zamiarem odszukania matki, ale odkładał to w czasie, bo nie był gotowy na ten jeden, decydujący moment, który mógł wpłynąć na całe jego dotychczasowe życie. Los postanowił jednak zagrać mu na nosie i sprawił, że spotkali się w naszym domu zupełnie przypadkiem.

Bez planowania. Bez przygotowań.

Przełknęłam ciężko ślinę, patrząc mu głęboko w oczy i próbując bez słów przekazać całe moje wsparcie. Przytaknęłam powoli. Coś w jego oczach zniknęło.

Zobaczył ją. Jakiś etap w jego życiu dobiegł końca. Nie musiał już sobie wyobrażać, jak wygląda, ani zastanawiać się, jak przebiegnie ich pierwsze spotkanie. Miał to już za sobą. Czy ta myśl była pocieszająca, czy dołująca, to ciężko było stwierdzić, lecz ja chciałam wierzyć, że jakoś to udźwignie. Był silnym mężczyzną, bo każdy cios zadany przez życie umacniał go i kształtował. Stał się kimś, kto walczy o siebie, kto docenia innych i ich szanuje.

Postanowiłam, że później pójde po prezent dla Filipa. Złapałam go za dłoń i razem przekroczyliśmy próg salonu.

Oczy wszystkich skierowały się na nas. Dzieciaki krzyknęły jego imię z radością, podbiegając, żeby się przywitać. Puścił moją dłoń i objął Emilkę oraz Jasia, tuląc ich do siebie z miłością, która roztopiała moje serce. Oczy wszystkich

skupione były na nas. Stanisław wyglądał tak, jakby był bliski zawału, mama uśmiechała się promiennie, sącząc kolejny kieliszek wina, a tata z niedowierzaniem patrzył mi w twarz, na poły zaskoczony, na poły skrzywdzony. Posłałam mu słaby uśmiech, lecz on od razu odwrócił wzrok. Wyglądało na to, że i ja go zawiodłam.

Na koniec zmusiłam się do tego, żeby popatrzeć na Elżbietę.

Nie obserwowwała Filipa. Wbijiała swój pełen noży wzrok we mnie. Jej twarz skrzywiona była w odrażającym grymasie, a oczy wyrażały najczystsza pogardę. Mierzyłam się z nią na spojrzenia, pragnąc jej pokazać, że się nie boję i nie czuję winna tak, jak ona by tego chciała. Poczekalam, aż Filip zajmie miejsce przy stole, po czym wyszłam z salonu, by zacząć podawanie kolacji. Wolałam mieć ręce pełne roboty aniżeli siedzieć i zmuszać się do zachowania normalnego wyrazu twarzy, gdy tak naprawdę w moim sercu panowała prawdziwa burza.

Strach i powoli wspinająca się po kręgosłupie panika pustoszyły moje myśli. Nie byłam w stanie się skupić, dwukrotnie musiałam przeliczyć talerze oraz sztucce, bo nie byłam pewna, czy jest ich wystarczająco, nawet gdy dodałam wszystkiego po jednym dla Filipa.

Nie patrzyłam nikomu w oczy, rozstawiając na stole potrawy oraz nakrycia. Ukierunkowałam się tylko na to jedno zadanie, szukając najlepszego sposobu na poradzenie sobie z własnymi emocjami.

Moment dołączenia do wspólnego stołu był najtrudniejszy. Po jednej stronie miałam Jasia, a po drugiej zasiadł Filip – a to miejsce zawsze należało do Artura. Bliskość i ciepło jego ciała otulały moje drżące serce, ale każde dobre uczucie wyparowywało pod wpływem palącego spojrzenia Elżbiety.

Rozmowa toczyła się o życiu codziennym, tym razem to Stanisław i mama próbowali ratować sytuację. Mój teść dla

niepoznaki wypytywał trochę Filipa o jego codzienność, zawód i zainteresowania, jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu. Ela siedziała spięta, jadła niewiele i intensywnie o czymś myślała.

Zerkała na Filipa wtedy, gdy myślała, że nikt z nas tego nie zauważa. Ja widziałam wszystko, bo za mocno skupiałam się na jej osobie, żeby coś przeoczyć. Czasem, gdy czułam, że siedzący obok mnie mężczyzna traci swój wystudiowany rezon, kładłam mu dłoń na udzie, dodając otuchy.

Bliskość między nami była widoczna dla wszystkich, bo czasem po prostu na siebie spoglądaliśmy tylko po to, żeby się uśmiechnąć. Wyczuwaliśmy swoje nastroje, a mnie najbardziej zdumiewało to, jak dobrze się czułam w każdej z tych chwil, gdy na mnie patrzył.

Spożywanie posiłku było tylko czynnością zajmującą ręce, bo o wiele łatwiej było wgapić się w talerz i przesuwać po nim jedzenie niż patrzeć na twarze otaczających mnie ludzi. Zmysły miałam wyczulone do granic możliwości, dlatego bez trudu zarejestrowałam, że tata nadal się nie odzywał.

Był smutny, zawiedziony, załamany.

A w pewnej chwili wstał i mruknął, że idzie zapalić, na co mama pokręciła głową z przyganą.

Od razu zerwałam się za nim i wyszłam na taras, gdzie siedział samotnie na huśtawce i strzepywał popiół do szklanej popielnicy.

Usiadłam obok niego, bojąc się odezwać jako pierwsza. Wiedziałam jednak, że on tego z całą pewnością nie zrobi.

– Jesteś na mnie zły, tato?

Odpowiedziało mi coś pomiędzy parsknięciem a chrapnięciem.

– Jesteś z nim, tak? – Głos miał chłodny, wyprany z emocji, ale drżenie jego dłoni, gdy zaciągał się papierosem, zdradziło go lepiej niż cokolwiek innego.

To był prawdziwie mroźny i śnieżny wieczór. Opatuliłam się ciaśniej płaszczem, szykując się do udzielenia odpowiedzi. Bo ona przecież nie była tak zwyczajna i oczywista. Nasza relacja nie miała nazwy. Między nami nigdy nie padły deklaracje. A jednak powiedział, że mnie kocha. To przecież wiele znaczyło, prawda?

– Trochę za wcześnie, żeby nadawać temu nazwę. Ale coś do niego czuję, tato – przyznałam cicho, postanowiwszy być tak szczerą, jak tylko się da.

Spojrzenie ojca złagodniało tylko minimalnie, bo w oczach nadal miał te wszystkie negatywne emocje.

– Czy on czuje to samo?

– Powiedział, że tak...

Zaciągnął się mocno po raz kolejny, a po chwili wypuścił dym i strzepnął popiół. Wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, jak gdyby ono mogło mu coś powiedzieć czy doradzić. Nasze sytuacje były trudne, czasem wręcz patowe, a gwiazdy rzadko kiedy się litowały i udzielały swej migoczącej pomocy.

– To twoje życie, Eliza. Jeśli czujesz się gotowa na kogoś nowego, to nic mi do tego. Wiesz, że mam do niego żal za tamto kłamstwo. Jeśli cię skrzywdzi, to ja sobie z nim porozmawiam. Za wiele przeszłaś, żeby jeszcze kiedyś płakać przez mężczyznę. Artur postawił poprzeczkę bardzo wysoko – odpowiedział tata, zaskakując mnie swoją chłodną wylewnością. Mówił, nie patrząc w moją stronę, ale liczyło się to, że w ogóle mówił.

Jego słowa, nawet jeśli wypowiedziane mało przychylnym tonem, miały swoje drugie dno. Pokazywały, że się o mnie troszczy i że zależy mu na moim szczęściu.

To było dla mnie bezcenne.

Uśmiechnęłam się lekko i bez słowa po prostu go przytuliłam. Drgnął zaskoczony, a po chwili także objął mnie ramieniem, co było równoznaczne z naszym pojednaniem.

Nie znosił kłamstwa. Ja byłam z nim szczerą.

To zaważyło.

– Dobra, już dobra! Wracam do środka poobserwować sobie jeszcze twoją teściową, która jest dzisiaj wyjątkowo nabuzowana.

Tata wstał z ławki i ruszył do domu, a w momencie, gdy chciał złapać za klamkę, drzwi otworzyły się z drugiej strony.

O wilku mowa, do cholery.

Elżbieta posłała tacie sztuczny uśmiech, po czym namierzyła mnie spojrzeniem i zmrużyła oczy. Tata zniknął w domu, a ja napięłam się lekko, gdy teściowa zajęła jego miejsce.

– Eliza, czy ty i ten mężczyzna jesteście razem? – Jej pytanie, zadane oschłym tonem, uświadomiło mi, że nie odpuści. Zachowywała się, jakby miała święte prawo do monitorowania mojego życia prywatnego tylko dlatego, że była matką mojego zmarłego męża.

A przy okazji matką mężczyzny, który w pewnym sensie zajął jego miejsce.

– Ela, myślę, że to nie jest twoja sprawa – odpowiedziałam spokojnie, udając, że chcę obejść się z nią ostrożnie. Tak naprawdę miałam to w nosie.

Sapnęła z niedowierzaniem, a po chwili zirytowana wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i zapalniczkę. Od lat popalała w stresujących sytuacjach. Kilka dni po śmierci Artura paliła jak lokomotywa.

– Jak to nie jest moja sprawa?! – zapytała z oburzeniem, zaciągając się papierosem. – Przypominam, że jesteś żoną mojego syna i...

– Byłam żoną twojego zmarłego syna, Ela! – warknęłam ostro, patrząc na nią wściekłym wzrokiem.

Zobaczyłam, że jest wstrząśnięta. Po raz pierwszy wyraziłam się tak dobitnie, że bardziej się nie dało. Poczulałam silny

skurcz w sercu, wypowiadając te słowa na głos, ale one były przecież prawdą.

Tak przedstawiała się rzeczywistość. Artura już nie było. Już nigdy nie wróci, nie pocałuje mnie, nie zaśnie ze mną w łóżku. Nasze małżeństwo istniało jeszcze tylko w moim sercu i pamięci, bo dla świata nie byłam już żoną, tylko wdową po tragicznie zmarłym motocyklicście. Mój mężczyzna odszedł bezpowrotnie.

– Jak możesz?! – wysapała z niedowierzaniem, kładąc dłoń na swojej obfitej piersi w miejscu, gdzie zapewne szaleńczo biło jej serce.

– Taka jest prawda... Artura już nie ma. On już nie wróci – odpowiedziałam, walcząc z gulą, która zgromadziła mi się w gardle i uciskała niemal do bólu.

– I to jest powód, żeby już prowadzać się z innym facetem?! – huknęła i zaciągnęła się papierosem, a następnie wściekle wydmuchała dym przez nos.

Tego było już za wiele.

Zerwałam się z huśtawki i podeszłam do balustrady. Wpatrzyłam się w zasypane śniegiem podwórko, bo patrzenie na Elżbietę było w tym momencie niemożliwe. Nie myślałam, że mogę nienawidzić jej jeszcze bardziej, a jednak. W tej chwili wściekłość mieszała się we mnie z goryczą i niemożliwą do opanowania niechęcią.

– Jakże już?! Minęły trzy lata! Zaraz będą cztery! – warknęłam i rzuciłam jej nienawistne spojrzenie przez ramię.
– A poza tym to nie jest twój interes!

Jeszcze nigdy nie zwracałam się do niej w ten sposób i widziałam, że była zszokowana. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi, błyszczącymi od alkoholu oczami, nie rozumiejąc, dlaczego zachowuję się w ten sposób.

Prawdopodobnie była głupsza, niż myślałam, albo naprawdę nie rozpoznała w Filipie swojego syna. Może tylko nazwisko

mgliście coś jej przypomniało, lecz żadne inne olśnienie nie nastąpiło.

– Jest mi bardzo przykro, że się tak zachowujesz – wysapała z niedowierzaniem, wstając z ławki i patrząc na mnie z bojowym nastawieniem.

Wściekłość zagotowała mi się pod skórą, gdy patrzyłam prosto w te jej pełne urazy oczy, tak jakbym to ja zrobiła jej krzywdę, a ona była bez winy. Oczami wyobraźni ujrzałam maleńkiego Filipa, którego zaraz po urodzeniu oddała w ręce Jacka Buczkowskiego i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Skrzywdziła go na wiele lat, poraniła jego duszę w sposób, którego na pewno nie była w stanie sobie wyobrazić.

– A mnie... – zaczęłam z urywanym oddechem, drżąc na całym ciele. – A mnie jest przykro przez to, co zrobiłaś przed wieloma laty!

Słowa opuściły moje usta tak nagle, że nie byłam już w stanie ich powstrzymać. Głęboko ukryta rana, która powstała w momencie poznania prawdy o Elżbiecie i Filipie, teraz przybrała rozmiar okropnej, bolesnej dziury. Nie tak to powinno się potoczyć, a ja nie powinnam wypowiadać tych słów. Ale stało się i wiedziałam, że trudno będzie mi wypić piwo, które nawarzyłam.

Twarz Elżbiety przypominała zastygłą w wyrazie szoku maskę. Jej szeroko otwarte oczy i rozchylone usta, blada cera... Wszystko to było czystym dowodem na to, że nawet przez ułamek sekundy nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele o niej wiem. Nie dostrzegła w Filipie żadnego podobieństwa do siebie i Artura. Nie wzięła pod uwagę, że zbieżność nazwisk bynajmniej nie jest przypadkowa.

Stałyśmy tak naprzeciw siebie w chłodnym powietrzu zimowego wieczora, a nasze spojrzenia niemal strzelały iskrami. Wzajemna wrogość przybrała formę niemożliwego do

sforsowania muru, a zmiany, która zaszła między nami, nie dało się już odwrócić.

– O czym ty mówisz, Eliza? – zapytała przez ściśnięte gardło, a ja dostrzegłam, jak jej skostniałe z zimna palce zaciskają się w pięści.

Byłam pewna, że w tej chwili nienawidziła mnie tak bardzo, jak ja nienawidziłam jej już od kilku miesięcy.

– Był kiedyś taki chłopak, prawda? Jacek Buczkowski... Mówi ci to coś? – warknęłam przez zaciśnięte zęby, wiedząc, że nie mam możliwości zejścia z drogi, którą nieopatrznie obrałam. Raz wypowiedzianych słów nie można cofnąć.

Przez moment miałam wrażenie, że ziemia osunęła się spod stóp Elżbiety Bieleckiej. Wstrzymała oddech i jeszcze bardziej pobladła, a wzrok zaczął jej błędzić. Moje serce waliło jak młotem, obijając się boleśnie o żebra i odbierając zdolność logicznego myślenia. Przebieg dzisiejszego wieczoru wymknął się zupełnie spod kontroli. Pierwsze ataki paniki zaczęły zwiastować napływ świadomości, która przedzierała się przez gęstą mgłę nienawiści.

Wyobrażenie sobie konsekwencji sprawiło, że dopadły mnie mdłości. Złość Filipa, niechęć Stanisława, szok moich rodziców... To wszystko miało spaść na mnie w ramach kary, jako następstwo bezmyślnego wtrącenia się do tej delikatnej kwestii, która powinna spoczywać wyłącznie w rękach Filipa.

A ja to wszystko po prostu zepsułam...

Chciałam uciec. Odwrócić się i uciec, lecz wtedy drzwi do domu otworzyły się, a na werandę wyszedł Filip. Sekundę po nim pojawił się też Stanisław.

Oboje zmarli, patrząc na nas szeroko otwartymi oczami. Byli przerażeni, bo bez trudu dostrzegli, co się właśnie wydarzyło. Napięcie, ciężkie i duszące, wisiało między nami, odzierając ze złudzeń o lekkiej, przyjemnej pogawędce. Dłoń na piersi Elżbiety i mój przerażony wzrok informowały o tym, że mleko

już się rozlało i uronienie nad nim łez już niczego nie mogło zmienić.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał cicho Stanisław, najwyraźniej chcąc uchwycić się ostatniej nadziei i wmówić sobie, że może sytuacja nie jest tak tragiczna, jak się spodziewał.

– Do domu. Chcę do domu – wydukała Elżbieta, opuszczając wzrok i błędząc nim gdzieś pod naszymi stopami.

Spojrzenie Stanisława opadło na mnie i pełne było zawodu i smutku. Drżałam jak osika, lecz nie miało to nic wspólnego z panującym chłodem, który wzmagął się z minuty na minutę.

Mój teść podszedł do swojej żony i objął ją opiekuńczo ramieniem, skupiając na niej całą swoją uwagę. Bez słowa sprowadził ją po schodach i po prostu wsiedli do samochodu. Zacisnęłam mocno powieki, słysząc podwójny trzask samochodowych drzwi. Po chwili zawarczał silnik, a skrzypienie kół na śniegu oznaczało, że wyjechali z podwórka.

Właśnie wtedy ukryłam zmarzniętą twarz w dłoniach i rozplakałam się jak dziecko. Ciężar emocji był już nie do udźwignięcia. Zrobiłam coś bardzo złego, popełniłam błąd, pozwalając sobie na to, żeby wściekłość przejęła nade mną kontrolę.

Był kiedyś taki chłopak... Jacek Buczkowski. Mówi ci to coś?

Boże, jak mogłam to zrobić? Czego się spodziewałam? Co chciałam osiągnąć?

Poczułam, jak otaczają mnie silne i ciepłe ramiona, a znajomy zapach Filipa uderzył w moje nozdrza. Złakniona jego bliskości wczepiłam się palcami w materiał jego płaszcza, łkając głośno i wylewając cały swój żal, strach i poczucie winy.

Nic nie mówił, chociaż słyszałam mocny łomot jego serca. Bałam się spojrzeć mu w twarz, żeby nie zobaczyć niechęci, nienawiści, odrazy...

– Co się wydarzyło? – wyszeptał wprost do mojego ucha, otaczając je swoim gorącym oddechem.

– Zrobiłam coś złego, Filip... – odpowiedziałam przez łyzy, zaciskając mocno powieki niczym mała dziewczynka.

– Co takiego? – Spokój w jego głosie z jednej strony zabijał mnie po tysiącokroć, a z drugiej miał w sobie coś kojącego.

– Powiedziałaś jej o twoim tacie i...

– Co zrobiłaś?! – Spokój, który jeszcze przed chwilą brzmiał w jego głosie, teraz przeobraził się we wściekłość i niedowierzanie.

Odsunął mnie od siebie na długość ramion, a ja musiałam wreszcie zmierzyć się z jego ostrym spojrzeniem. Patrzył na mnie szeroko otwartymi, sztormowymi oczami, jak gdyby czekał, aż powiem, że żartuję.

Chciałabym żartować. Tyle że to się naprawdę stało.

– Jak mogłaś tak to spieprzyć?! – warknął i odwrócił się do mnie plecami, zatapiając palce w swoich krótkich, ciemnych włosach.

Wydawał się oszołomiony i zagubiony, jakby nagle wszystko się posypało niczym domek z kart.

– Naprawię to jakoś... – wyszeptałam słabo.

– Jak?! Jak to naprawisz?!

Nie krzyczał, ale balansował na tej cienkiej granicy, której przekroczenia tak bardzo się bałam. Zaledwie zaczęliśmy się wzajemnie odzyskiwać po poprzednim trudnym dla nas momencie, a kolejny raz coś upadło, potłukło się, starło na pył.

Gdzieś głęboko we mnie zrodziła się siła, która kazała mi podejść do niego i nie pozwolić, żeby to, co dobre, znów nam umknęło. Ujęłam jego twarz w dłonie, zmuszając do tego, żeby spojrzał w moje zalane łzami oczy. Sztorm, który opanował jego tęczę, był z jednej strony piękny, a z drugiej niemożliwie przerażający. Wiedziałam jednak, że to właśnie

w te oczy chcę patrzeć przez resztę życia, a nie tylko podczas tych urywanych, kradzionych chwil we dwoje.

– Naprawię to. Obiecuję. Coś wymyślę i to naprawię – wyszeptałam z całą mocą i przekonaniem. A przecież nie mogłam mieć pewności, że uda mi się cokolwiek wskórać w kwestii tego, co dziś zburzyłam.

Wiedziałam jednak, że zrobię wszystko, co się tylko da, żeby ona dała Filipowi szansę. Na cokolwiek. Chociażby na chwilę rozmowy.

Jego usta drgnęły, jakby chciał coś powiedzieć, lecz po chwili z całej jego twarzy opadło napięcie, gdy po prostu mnie objął i wtulił twarz w moje włosy.

Nie miałam pojęcia, co dzieje się w jego sercu i głowie, ale wiedziałam, że z pewnością nie ma tam nawet odrobiny spokoju. Czułam ogromne wyrzuty sumienia, a były one jeszcze większe, gdy przypatrywałam się Filipowi, myśląc nieprzerwanie o tym, jak niekompletny musiał się czuć, będąc dzieckiem.

Teraz, gdy istniała jakakolwiek szansa na to, że może choć raz porozmawia z matką, ja to wszystko zrujnowałam pod wpływem emocji.

Nie wiem, jak długo staliśmy tak jeszcze na werandzie, trzymając się w objęciach, ale nie mówiąc nic. W końcu Filip odsunął się i powiedział, żebym pożegnała od niego rodziców. Pobiegłam jeszcze na chwilę do sypialni i wręczyłam mu jego prezent, czując przy tym pewną dozę niepewności. Złożył na moich ustach pocałunek lżejszy niż muśnięcie skrzydeł motyla, po czym wsiadł w samochód i odjechał, a ja stałam i patrzyłam za światłami tak długo, aż znikły.

Wszedłszy do domu, wymyśliłam jakąś bajkę o tym, że Elżbieta poczuła się gorzej, a Filip otrzymał pilny telefon od opiekuna jednego z swoich pacjentów. Jak na autopilocie pomogłam mamie posprzątać po kolacji, a następnie

wykąpałam dzieci i przez długi czas siedziałam na łóżku, patrząc w jeden punkt. Bolał mnie każdy nerw w ciele, a wyrzuty sumienia skutecznie odgoniły sen.

Jak mogłam zachować się dziś tak nieodpowiedzialnie?



Rozdział 8

Następnego dnia rano zawiozłam Jasia do przedszkola, gdyż drogi zostały wreszcie porządnie odśnieżone, a dzieci mogły wrócić do szkoły. Kamila, pełna energii i serdeczności, próbowała wciągnąć mnie w rozmowę, lecz nie byłam w stanie się zaangażować. Zmarszczyła brwi i spytała, czy ma później do mnie zadzwonić, lecz odparłam, że nie ma takiej potrzeby.

Po powrocie do domu zadzwoniłam pod numer Elżbiety, lecz nie odebrała. Telefon do Stanisława także nie przyniósł efektów. Kolejny raz przemyślałam moje zachowanie w świetle dnia i znów w pełni zdałam sobie sprawę, jak nieodpowiedzialne ono było.

Cała radość, która wypełniała mnie w minioną niedzielę, uleciała tak, jakby nigdy jej nie było. Wypełniłam sobie czas bez dzieci pracą przy koniach, bo dawno do nich nie zaglądałam, a ich bliskość zawsze bardzo mnie wyciszała.

Dopiero dwa dni później otrzymałam poranny telefon od Stanisława, który zapytał, czy moglibyśmy się jak najszybciej spotkać. Odpowiedziałam, że tak, i spytałam, czy coś się stało, lecz nie udzielił mi odpowiedzi.

Pół godziny później byłam już w umówionym miejscu, bo udałam się tam zaraz po oddaniu Jasia w ręce Kamili.

Stanisław siedział przy kawiarnianym stoliku, sącząc z dużej filiżanki czarną kawę. Był zamyślony, lecz drgnął, gdy tylko mnie zobaczył. Nie odpowiedział na moje przywitanie, co było jasnym sygnałem, że nie miałam co liczyć na pojednawczą pogawędkę z teściem. Zdjęłam płaszcz i odwiesiłam go na wieszak, zamawiając dla siebie taką samą kawę, jaką pił Stanisław.

Czułam okropne napięcie w okolicach karku oraz ucisk w klatce piersiowej, drżałam na myśl o tym, jak będą brzmiały pierwsze słowa, które padną z ust Stanisława.

– Jestem tak cholernie na ciebie zły, Eliza! – powiedział ostro, patrząc na mnie wzrokiem pełnym złości. – Co ci strzeliło do głowy, żeby ruszać ten temat?! Od trzech dni nie ma z Elą kontaktu. Siedzi tylko w pracowni i patrzy w jeden punkt. Zabrałem ją wczoraj na wizytę do psychologa, który pomógł jej po śmierci Artura. Znow dostała leki przeciwdepresyjne. Powiedziałaś jej o Filipie?

Pomimo wszystkich negatywnych uczuć względem Eli w tym momencie czułam się tak, jakbym miała za moment zapaść się pod ziemię. Wyrzuty sumienia przybrały na sile, gdy pomyślałam o mojej teściowej będącej w stanie, który opisywał Stanisław. Nie miałam pojęcia, jak ona przeżyła śmierć Artura, bo wówczas nie utrzymywaliśmy już kontaktów, ale leki przeciwdepresyjne nie brzmiały dobrze...

– Nie powiedziałam o Filipie – odparłam sucho. – Powiedziałam o Jacku Buczkowskim.

Dłoń Stanisława opadła ciężko na blat stolika, wywołując lekki huk. Kilka osób odwróciło się w naszym kierunku, lecz my kompletnie nie zwracaliśmy na nich uwagi. W oczach mojego teścia panowała złość, balansująca jednak na pograniczu przerażającej pustki.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego, Eliza? – Desperacja w głosie Stanisława ścisnęła mi gardło niczym niewidzialna żelazna dłoń. Brzmiał tak, jakby gotów był oddać wszystko, żeby tylko cofnąć czas. Żeby tylko znow nie stracić Eli...

– Nie spodziewałam się, że do ich pierwszego spotkania dojdzie w takich okolicznościach. Byłam wściekła, bo Elżbieta nachalnie dopytywała, czy ja i Filip jesteśmy razem, a później robiła mi o to wyrzuty, przywoływała pamięć o Arturze... Straciłam nad sobą panowanie, chociaż nieczęsto mi się to

zdarza... – Wyznanie prawdy przed Stanisławem nie było łatwe, ale wiedziałam, że jestem mu to winna.

Zawsze, nawet wtedy, gdy Ela tonęła we własnym bólu po stracie syna i winę za jego śmierć próbowała zwalić na mnie, Stanisław był daleki od mowy nienawiści i szukania ukojenia w pogłębianiu mojego cierpienia. Dziś jednak, patrząc na niego, widziałam niechęć do mojej osoby. Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy.

– Myślałem, że jesteś rozsądniejsza, Eliza. Myślałem, że postąpisz mądrze – szepnął z bólem i przetarł zmęczoną twarz dłońmi.

– Przepraszam – wyszeptałam tylko, bo to było jedyne słowo, które powinno paść w takiej chwili.

Objęłam drżącymi dłońmi filiżankę kawy i upiłam kilka ostrożnych łyków, chcąc za wszelką cenę zająć czymś myśli. Ciężko mi było znieść świadomość, że Stanisław mógłby mnie znienawidzić. On – a swego czasu także Damian – był jedynym mostem, który łączył mnie i rodzinę Artura. Nigdy nie zwątpiłam w tę nić porozumienia, która połączyła nas już przy pierwszym spotkaniu.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, oboje zamyśleni i niepewni tego, co będzie dalej. Patrzyłam przez witrynę kawiarni na biegających ulicami ludzi. Śnieg prószył z nieba, tworząc urokliwą atmosferę, lecz ten typowy dla wielkich miast pośpiech nie miał w sobie już nic magicznego.

W pewnej chwili dostrzegłam, że starsza pani, schodząc po schodkach sklepu, potknęła się i upuściła torbę z zakupami, przewracając się na chodnik pokryty śniegiem. Odruchowo poderwałam się z miejsca, lecz nagle u jej boku pojawił się nastoletni chłopak z dużymi słuchawkami na uszach, zdjął je i pomógł staruszce stanąć na nogi, a następnie otrzepał jej płaszcz ze śniegu, pozbierał zakupy i podał laskę. Najwyraźniej zaproponował, że ją kawalek odprowadzi, bo na

twarży kobiety wykwitł pełen wdzięczności uśmiech, po czym przytaknęła i ruszyli powoli przed siebie.

Wzięłam głęboki oddech i właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że się uśmiecham. W moich oczach zalśniły łzy, więc zaczęłam szybko mrugać, żeby tylko nie wypuścić ich na zewnątrz. Pomyślałam o Zofii Skalskiej i jej dzienniku, czując natychmiast ciepło otulające moje serce.

Krótki brzdęk filizanki odkładanej na talerzyk sprawił, że spojrzałam na Stanisława, zauważając, że i on patrzy na mnie. W jego twarzy raptownie coś się zmieniło. Wzrok zmiękł, a bryły lodu wypełniające źrenice zdawały się topnieć.

– Ja ją naprawdę kocham, wiesz? – zaczął niespodziewanie, patrząc mi w oczy. – Nasi rodzice zaplanowali, że się pobierzemy. Była dla mnie kompletnie obcą osobą, gdy stanąłem przed ołtarzem, by złożyć przysięgę małżeńską. Poznawaliśmy się przez lata, docieraliśmy, układaliśmy plan na dalsze życie... Aż pewnego dnia obudziłem się, spojrzałem na jej spokojną twarz i zdałem sobie sprawę, że ją kocham. Tak po prostu – wyszeptał z mocą, uśmiechając się blado na samo wspomnienie. – To był szok, gdy Filip opowiedział mi o swoim ojcu i Eli. Nie chciałem wierzyć, przecież zdążyłem już poznać własną żonę, prawda? Czuję się taki wściekły, a z każdą chwilą, gdy on dawał mi kolejne niepodważalne dowody, miałem wrażenie, że słabnę... Nie chciałem już czuć się słaby, bo dość tego zaznałem, gdy zmarł Artur. A teraz znów się tak czuję, bo ją tracę... Skrzywdziłaś moją żonę, Eliza. Chciałbym cię nienawidzić, ale jak mógłbym, skoro byłaś kobietą życia mojego syna? – Dłoń Stanisława opadła na moją, zaciskając lekko opuszki palców.

Tak, może chciałby mnie nienawidzić, bo w jakiś sposób zrobiłam krzywdę Elżbiecie. Kochał ją i nie mogłam mu mieć tego za złe, ale był mądrym mężczyzną. Potrafił rozłożyć tę

okropną sytuację na czynniki pierwsze i każdy z nich oceniać w innej kategorii.

– Ona skrzywdziła Filipa. Nawet nie wiesz, jak bardzo...

– Oczywiście, że wiem. Nie zapomnę naszego pierwszego spotkania. Stał przede mną mężczyzna, przystojny i tajemniczy, który przedstawił się imieniem i nazwiskiem, a następnie powiedział, że musi ze mną porozmawiać na temat mojej żony. – Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi Stanisława. Upił łyk kawy i kontynuował: – Z początku, gdy podawał mi tylko suche fakty, zdawał się silny i opanowany. Gdy weszliśmy na temat jego uczuć, wówczas już nie miałem najmniejszych wątpliwości, że mówi prawdę, bo płakał jak dziecko, wiesz? Z dorosłego mężczyzny nie pozostało wiele. Miałem przed sobą skrzywdzonego chłopca.

Twarz Stanisława okryła się bólem. Znałam ten wyraz twarzy, bo po śmierci Artura był tak często widoczny. Strata jedyne go syna odbiła się mocno na moim teściu, a nagłe pojawienie się Filipa nie mogło być dla niego tylko epizodem. W końcu się zaprzyjaźnili i porozumieli w jakiś zaskakujący, nieokreślony sposób.

– Oni muszą się spotkać. Oboje potrzebują wyjaśnień... – westchnął Stanisław, a ja przytaknęłam. – Nie będzie to dla nich łatwe. Może będą nas potrzebować, ale musi dojść do tego spotkania. Teraz, gdy Ela jest w takim stanie, to cholernie trudno mi udawać, że o niczym nie wiem. Jakkolwiek by patrzeć, okłamuję ją, a nigdy nie chciałem i nie lubiłem tego robić.

– Świat się dla nich zmieni po tym spotkaniu...

Przytaknął powoli i zacisnął usta.

– Wiem. Wiem i bardzo się tego boję. Ela myślała, że przeszłość już się o nią nie upomni, a tymczasem niespodziewanie stanęła twarzą w twarz z własnym synem i jeszcze zobaczyła, że jej synowa coś do tego mężczyzny czuje.

To sporo jak na jeden raz... – stwierdził ponuro, dopijając kawę i obracając łyżeczkę w fusach osadzonych na dnie.

– Nie wiem, jak ona mogła to zrobić... – wyszeptałam z bólem. Zacisnęłam powieki i myślałam o małym Filipie, a następnie o moich dzieciach, których nigdy bym nie oddała, bo kochałam je ponad własne życie.

– Była bardzo młoda, Eliza. Przestraszyła się...

Wściekłość zabułgotała mi w gardle na myśl o tym, że Stanisław cały czas próbował ją bronić.

– Przestraszyła się?! Wiele nastoletnich dziewczyn rodzi dzieci i je wychowuje, a ona oddała Filipa jak jakąś maskotkę! – warknęłam przez zaciśnięte zęby, pozwalając, żeby szwy na moich wewnętrznych ranach puściły i znów zaczęły spływać krwią.

Stanisław opuścił wzrok i zacisnął usta. Wytrąciłam mu argument z ręki i nie czułam się z tym źle. Ela była winna. Nie Filip, nie Jacek. Ona. Bo to ona nie stanęła na wysokości zadania. To ona oddała syna zaraz po urodzeniu i uciekła, nie chcąc mieć z nim nic wspólnego.

Jakby czymś jej zawinił.

A był tylko bezbronnym dzieckiem, które chciało być kochane.

Dokończyłam kawę w pełnym napięcia milczeniu, po czym zebrałam się do wyjścia, dziękując Stanisławowi na rozmowę. Rozmowę, która przydała mi nowych rzeczy do przemyśleń.

– Zadzwoń do ciebie, gdy... będziemy gotowi – wyszeptał, również wstając od stolika i zasuważąc krzesło.

– Skontaktuj się z Filipem – odparłam, zakładając na ramiona płaszcz.

– On sam przez to nie przejdzie. Oboje doskonale o tym wiemy.

Z tymi słowami pobrzmiwającymi w głowie opuściłam kawiarnię i ruszyłam do samochodu, czując coś kojącego

w tych lekkich, opadających wokół mnie płatkach śniegu.

On sam przez to nie przejdzie.

Przejdziemy przez to razem.



Kilka dni później Filip zadzwonił do mnie i zapytał, czy mógłby na chwilę do mnie wpaść. Zjawił się w ciągu piętnastu minut, otrzepując buty przed wejściem i wprowadzając do domu podmuch zimowego powietrza. Jego policzki były zaczerwienione od mrozu, a na włosach mieniły się płatki śniegu.

Był późny wieczór i dzieciaki już spały, a rodzice oglądali razem film w salonie, nadrabiając wszystkie te dni, gdy ze sobą nie rozmawiali.

Zobaczyłam, jak usta Filipa wyginają się w lekkim uśmiechu, gdy zmierzył mnie spojrzeniem i dostrzegł, że mam na sobie szarozielone spodnie od pizamy i koszulkę w tych samych kolorach; niespodziewanie jasnych jak na mnie.

Zdjął płaszcz i buty, a następnie rozejrzał się ukradkiem i upewniwszy się, że nikt nas nie widzi, podszedł do mnie, ujął moją twarz w dłonie i złożył na ustach delikatny pocałunek.

Taki, który zmiękczył mi kolana.

– Napijesz się czegoś? – spytałam, patrząc w jego oczy, gdy się uśmiechnął.

– Poproszę herbatę.

Udaliśmy się do kuchni, gdzie nastawiłam wodę w czajniku i przygotowałam dwa kubki, wrzucając do nich po jednej

torebce do zaparzenia. Odwróciłam się twarzą do Filipa i przyłapałam go na tym, że mnie obserwuje.

– Cieszę się, że zaczynasz nosić kolorowe ubrania – przyznał spontanicznie, a ja poczułam, jak motyle w moim brzuchu wzbijają się do lotu.

– To dzięki tobie – odpowiedziałam szczerze, postanowiwszy wyznać mu tę prostą prawdę.

– Dzięki mnie? – zdziwił się, marszcząc brwi.

Gotująca się w czajniku woda szumiała lekko, lecz żadne z nas zdawało się kompletnie nie zwracać na to uwagi, bo byliśmy zbyt zapatrzeni w siebie nawzajem.

– Tak. Przywróciłeś mnie do życia i pokazałeś, że jeszcze może wyjść dla mnie słońce – odszepnęłam, obserwując, jak jego wzrok mięknie w przepiękny sposób.

Filip zerwał się z miejsca i dopadł do mnie w szale miłości i namiętności, całując tak, że straciłam oddech.

Spraw, żeby zaparło mi dech...

Znów mi to zrobił.

Zrobił to nam.

Gdzieś za plecami Filipa usłyszeliśmy głośne chrząknięcie, więc oderwaliśmy się od siebie jak oparzeni, a ja miałam ochotę zachichotać jak nastolatka, chociaż od ostatniego spotkania ze Stanisławem wcale nie było mi do śmiechu.

W wejściu stali rodzice i patrzyli na nas. W oczach mamy migotało coś ciepłego, a po ustach błąkał się uśmiech. Tata był chłodny i jakby obrażony tym, że całujemy się w kuchni ich domu.

– Dobry wieczór – przywitał się uprzejmie Filip.

– Dobry wieczór – odpowiedziała mama, uśmiechając się do niego.

Tata burknął coś pod nosem i podszedł do lodówki, wyciągając z niej leki osłonowe, które łykał każdego wieczora.

Nie patrzył na nas, a właściwie usilnie starał się ignorować zwłaszcza Filipa.

Mama nalęła tacie wody do szklanki i podała, żeby popił tabletkę. Następnie włożyła ją do zmywarki. Tata skierował się do wyjścia, najwyraźniej nie zamierzając wypowiedzieć słowa, gdy Filip nagle podszedł do niego i złapał go za ramię, a mnie zaparło dech.

– Panie Andrzeju, wiem, że mnie pan nie lubi przez to wszystko, co się stało, ale chciałbym panu coś dać – powiedział spokojnie, sięgając do tylnej kieszeni dżinsów, z której wystawało coś białego.

Początkowo myślałam, że to koperta, ale w momencie, gdy Filip podawał to ojcu, zdałam sobie sprawę, że było to zdjęcie.

Zdjęcie przedstawiające uśmiechniętą Milenę i śpiącą słodko Amelkę.

Serce łomotało mi w piersi jak szalone, bo bałam się okropnie tego, co wydarzy się za chwilę. Mama zamarła i niemal pobladła z przerażenia, lecz Filip zdawał się przekonany do tego, co właśnie uczynił.

A tata... po prostu stał i patrzył na tę fotografię. Z początku myślałam, że kompletnie go to nie obeszło, lecz po chwili dłoń, która trzymała zdjęcie, zaczęła drżeć. Kąciki ust opadły, a w oczach zalśniły łzy.

Nie spojrzął na nikogo, nie wypowiedział słowa. Po prostu odwrócił się i wyszedł.

Zabrał zdjęcie ze sobą.

Mama wpatrywała się w Filipa szeroko otwartymi oczami, balansując na granicy płaczu. Przyciskała dłonie do piersi, łapiąc jeden drżący oddech za drugim. Wreszcie opuściła ręce i podeszła do Filipa, po czym bez słowa go przytuliła, pocałowała w oba policzki i bezgłośnie wyartykułowała słowo „dziękuję”.

Nie miałam pojęcia, co tu się właściwie wydarzyło, ale w chwili, gdy i mama wyszła z kuchni, zostawiając nas samych, wiedziałam już, że było to coś dobrego i bardzo znaczącego.



Leżeliśmy w ciszy na moim łóżku w sypialni, patrząc sobie w oczy jak zakochani nastolatki. Pokój rozświetlało tylko blade światło lampki nocnej, rzucając na całe pomieszczenie niezliczoną ilość cieni. Pozwalałam, żeby kciuk Filipa muskał powoli moją dolną wargę. Przymykałam powieki z rozkoszy, gdy przybliżał się, żeby mnie pocałować.

Byłam trzydziestopięcioletnią kobietą i matką dwójki dzieci, a zakochałam się bez pamięci po raz drugi. W bracie mojego zmarłego męża.

To było szaleństwo i doskonale o tym wiedziałam, ale niech mnie szlag, jeśli nie pragnęłam w to brnąć, chcąc się przekonać, dokąd nas to zaprowadzi.

– Masz jakieś plany na weekend? – zapytał cicho Filip, zaskakując mnie.

Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się.

– Emilka zaprosiła koleżanki, więc będę ich pilnować – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Moja córka przybiegła do mnie wczoraj i powiedziała, że chciałyby zaprosić kilka koleżanek na nocowanie w ramach uczczenia tego, że pogodziły się po niedawnym konflikcie o chłopca imieniem Szymon. Zgodziłam się, widząc, jak bardzo jej na tym zależy. W efekcie przez prawie dwie godziny

wisiałam na telefonie, rozmawiając z matkami wszystkich dziewczynek, które jutro miały trafić pod moją opiekę.

– A co byś powiedziała na to, żebyście ty i wszystkie dzieci przyszli jutro do mnie? – zapytał z uśmiechem błakającym mu się po tych pięknych, wyrazistych ustach.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami.

– Filip, zdajesz sobie sprawę, co proponujesz? Będę miała pod opieką pięć rozwrzeszczanych dziewczynek i Jasia. Obawiam się, że możesz tego nie wytrzymać – przyznałam szczerze i zaśmiałam się pod nosem.

– A dlaczego nie? Przygotuję im wypasiony namiot, mnóstwo słodyczy i napoje. One będą szczęśliwe, a my razem z nimi.

Wyobraziłam sobie, jak by to było znów spędzić wieczór i noc w ramionach Filipa, i ta krótka wizja spodobała mi się tak bardzo, że aż wstrzymałam oddech. Jego bliskość odzierała mnie z wszelkich barier i postanowień. Był moim niezwykłym uzależnieniem. Był moim marzeniem.

– Chyba muszę się zastanowić – odpowiedziałam, nie chcąc mu pokazać, jak bardzo spodobała mi się wizja spędzenia u niego jutrzejszej nocy.

– Nad czym? Zaopiekujemy się dziećmi razem – wyszeptał, patrząc mi w oczy z nadzieją. Potarł kciukiem moją dolną wargę, którą chwilę temu próbowałam przygryźć w wyrazie zastanowienia. – Chciałbym, żebyś ubrała sukienkę – dodał ledwie słyszalnie, przesuwając leniwym spojrzeniem po każdym milimetrze mojej twarzy.

Pierś zaczęła mi pulsować od nadmiaru emocji i silnego pragnienia, żeby być z nim tak, jak wiele miesięcy temu.

Wtedy, gdy cały jego dom wypełniały dźwięki piosenki *Take My Breath Away*... Wtedy, gdy pokazałam mu wszystkie moje niedoskonałości, a on powiedział, że jestem piękna.

– Co ty nam robisz...? – westchnęłam urywanie, gdy zatopił palce w moich włosach.

Najpierw wkroczył do mojego serca, teraz rozgościł się w mojej sypialni, a na koniec zawłasczał każdą moją myśl, każdą komórkę mojego ciała.

– Próbuję cię przekonać... – wyszeptał wprost w moje usta, uśmiechając się uwodzicielsko.

Przyjęłam jego pocałunek z głębokim westchnieniem, który przerodził się w jęk, gdy jego język wdarł się między moje spragnione wargi, rozpoczynając namiętne wojaze i rozbudzając we mnie tę głęboko ukrytą żądzę bycia kobietą, której ktoś pragnie.

Sięgnął dwoma palcami za materiał ciemnej koszulki i wyciągnął łańcuszek z krzyżykiem, który mu podarowałam. Serce ścisnęło mi się z miłości do niego.

– Nie mogłaś mi dać lepszego prezentu, kochanie... – przyznał szczerze. Skóra zamrowiła mnie od tej słownej pieszczoty. – To znak, że zaakceptowałaś moją przeszłość, bo...

– ...bo nie masz na nią wpływu – dokończyłam za niego, gładząc jego szorstki od zarostu policzek.

Przymknął powieki i wziął głęboki oddech, jakby mój dotyk sprawiał mu niesamowitą przyjemność.

A może coś w nim uzdrawiał... Tak jak to było w moim przypadku, gdy on mnie dotykał.

Złożył pocałunek na mojej szyi, a następnie na obojczykach. To było tak wiele.

Jak bardzo mój świat się zmienił od dnia tragicznej śmierci Artura... W ciągu niespełna czterech lat przeszłam przez wszystkie etapy żałoby, przerobiłam ból tak wielki, że niemożliwy do opisanego, a wreszcie dotarłam do etapu, gdzie życie nie było życiem, a tylko istnieniem dla dobra dzieci. Otarłam się o myśli samobójcze, ulotne i niepozostawiające we mnie głębszego śladu, bo miałam dla kogo trwać w swoim własnym ciele. W końcu, gdy już przestałam marzyć i wierzyć w szczęście, na mojej drodze stanął on. Filip. Zrobił coś

niebываłego, wyciągnął mnie siłą z mojej szczelnej skorupy. Rozbił jej mocne ścianki w drobny mak, uzdrowił moją duszę i pokazał, że można w życiu kochać dwa razy.

Zdażyłam go znienawidzić za kłamstwo, zatęsknić niemal do bólu i wrócić w te znane już ramiona, gdzie było mi tak bezpiecznie i dobrze.

Wrócić ze świadomością, że Artur to widzi. Wrócić z wiarą, że Artur to akceptuje.

– Spędź ze mną jutrzejszy wieczór, kochanie. Proszę. – Te słowa, ciche niczym westchnienie, wydobyły się z jego ust pomiędzy kolejnymi pocałunkami znaczącymi moje ciało, rozgrzewając mnie i osłabiając.

– Dobrze – odpowiedziałam tylko, a on uśmiechnął się i w półmroku sypialni zabrał do świata bliskości, pragnienia, miłości.

Zabrał mnie do świata nas. Świata, który dopiero z mozołem budowaliśmy na gruzach dawnego bólu.

Gdzieś w tle zawibrował telefon Filipa. Oderwał się ode mnie, spojrzął na wyświetlacz i przez krótki moment wydawało mi się, że jego ciało napięło się niepokojąco, lecz zaraz wyciszył komórkę, położył ją na mojej szafce nocnej i całą uwagę skupił na mnie.

A jego umysł, serce i ciało znów należały tylko do mnie.

Kochaliśmy się w ciszy, zapamiętując dotyk i każdy, nawet najdelikatniejszy pocałunek. Jego ciało przy moim ciele. Moja dusza przy jego duszy.

On we mnie.

To było po prostu dobre.



Było jeszcze ciemno, gdy następnego dnia kroczyłam ścieżką cmentarza. Wokół mnie panowała cisza, chłód zimowej nocy nadal był wyraźnie odczuwalny, a serce po raz kolejny wybijało mi nerwowy rytm, szykując się na mentalne spotkanie z moim zmarłym mężem.

– Witaj, kochany – wyszeptałam cicho, stojąc nad grobem Artura. Za każdym razem docierała do mnie przemijalność naszego istnienia. Mijały minuty, godziny, dni, miesiące i lata, a świat nie zatrzymał się nawet na chwilę, gdy Bóg odebrał mi męża.

Wszyscy żyli dalej, robili swoje, myśleli o przeszłości. A dla mnie wtedy, w ten najgorszy dzień, wszystko się rozpadło.

Długo zajęło mi podźwignięcie się po tym niespodziewanym ciosie. Tego dnia czułam się jednak jakaś bardziej żywa, częściowo odbudowana, myśląca o przyszłości i oddychająca niezatrutym tęsknotą powietrzem.

Wracałam z cmentarza lżejsza o pozostawione w tamtym miejscu myśli. Po drodze wjechałam do sklepu po bułki, nuciłam piosenkę leącą w radiu i zadzwoniłam do Mileny, żeby dowiedzieć się, jakie ma plany na wieczór.

– Ola z Kubą przyjadą. Zamierzam dziś wreszcie wypocząć, bo kolki Amelki nie dają mi spać – odpowiedziała zmęczonym głosem, biorąc głęboki oddech. – A ty masz jakieś plany?

– Będę pilnować dzieciaków, bo Emilka zaprosiła koleżanki na nocowanie.

– A Filip?

– Będziemy razem.

Czułam, że te dwa słowa nie opisują tylko tego jednego wieczoru. Czułam, że są definicją naszej przyszłości.



Emilka piszczała z radości jak szalona, gdy powiedziałam jej, że nocowanie z koleżankami odbędzie się w domu Filipa. Jaś siedział w foteliku i klaskał w dłonie, wypluwając z radości owsiankę. Moja córka od razu pobiegła do swojego pokoju, pakując wszystkie niezbędne zabawki i kolorowanki do trzech plecaków.

Ja natomiast skupiłam się na zebraniu wszystkich potrzebnych przyborów dla Jasia. Filip zapewnił mnie, że ma nadmiar poduszek i koców, więc dla wszystkich starczy. Powiedział mi też, że przygotował całą górę przekąsek dla dziewczynek, lecz nie był do końca pewien, co z Jasiem, więc kupił mu tylko kukurydziane chrupki i prosił o wsparcie.

Zapakowałam wszystkie najważniejsze rzeczy do bagażnika samochodu, a w międzyczasie zadzwoniłam do matek wszystkich dziewczynek, informując je o małej zmianie adresu miejsca imprezy.

O godzinie szesnastej weszłam do domu Filipa z całym naręczem toreb, na co on zaczął się głośno śmiać, rzucając mi się do pomocy. Emilka z niespotykaną u niej ostatnio energią rozgościła się w salonie, lecz Filip powiedział, że powinna zajrzeć do pokoju na piętrze, bo to tam przygotował im „imprezownię”.

Głośny pisk radości sprawił, że spojrzałam na niego ze zmarszczonymi brwiami, po czym wzięłam Jasia na ręce i całą trójką weszliśmy po schodach na górę.

– Coś ty tam zmalował? – zapytałam z uśmiechem, poprawiając sobie synka na biodrze.

– Zobacz sama – odparł z zadowoleniem.

Na środku pokoju stał przepiękny materiałowy namiot, przygotowany z jakiejś jasnej, dużej narzuty. Wspierany na krzesłach i podwieszony do sufitu był duży i imponujący. W środku znajdowały się latarki i mnóstwo poduszek oraz koców. Na niskim stoliku po prawej stronie piętrzyły się najróżniejsze przekąski, a kolejna porcja zajmowała sporą powierzchnię komody. Przy wejściu stała półkolista lampa, która wyświetlała na pociemniałym suficie przepiękne, jasne gwiazdki.

– Kiedy ty to wszystko zrobiłeś? – zapytałam z niedowierzaniem, stawiając na podłodze Jasia, który z zaciekawieniem wkroczył do pokoju.

– Wziąłem się od rana i zdążyłem – odpowiedział spokojnie, wzruszając ramionami.

– Dziękuję – wyszeptałam miękko, czując, jak wdzięczność wypełnia całe moje serce.

Spojrzał na mnie tak, jakby chciał powiedzieć, że nie ma za co dziękować. Zamiast tego zbiegł na parter, żeby po chwili wrócić ze wszystkimi trzema plecakami Emilki. Razem z Jasiem zabrali się do rozpakowywania zabawek i układania ich w namiocie. Mój synek złapał w dłonie latarkę i z głośnym śmiechem bawił się nią, włączając i wyłączając naprzemiennie.

Patrzenie na radość moich dzieci było bezcenne i nieporównywalne z niczym innym. Serce mi rosło, kiedy pomyślałam sobie, że los postawił na naszej drodze mężczyznę, który chciał się troszczyć o moje dzieci tak, jak robiłby to Artur, gdyby tylko żył.

Już kwadrans później na podwórku Filipa pojawił się pierwszy samochód, a Emilka z radością powitała swoją koleżankę, Kasię. Następnie przyjechały Julka i Zosia, a na końcu Weronika. Wszystkie z piskiem rozgościły się w namiocie, licząc przekąski i wypakowując przywiezione

przez siebie zabawki. W ciągu kilku minut pokój zamienił się w prawdziwe centrum dowodzenia pięciu ośmiolatek.

Filip wydawał się zrelaksowany i zadowolony, gdy mógł doglądać zabawy dziewczynek. Najszczęśliwszy był jednak wtedy, gdy rozsiadł się z Jasiem w salonie i zaczęli razem malować farbami. Nie myślał o tym, że mój synek może pobrudzić dywan lub kanapę. Pozwalał mu maczać dłonie w kolorach i odciskać ślady na kartce. Całkowicie jednak rozłożył mnie na łopatki, gdy zdjął koszulkę przez głowę i odwrócił się do Jasia plecami, a on zaczął klepać go dłońmi po ciele, zostawiając kolorowe ślady i śmiejąc się głośno.

Stałam w wejściu bez ruchu, przyciskając dłoń do łomoczącego serca. Po ustach błąkał mi się najszczęśliwszy z uśmiechów, a w oczach migotały łzy radości.

W którymś momencie Filip głośno się roześmiał, gdy Jaś połaskotał go w okolicy karku, znacząc mu szyję i włosy niebieską farbą. Wtedy nasze oczy się spotkały i zobaczyłam, jak bardzo jest w tej chwili szczęśliwy.

Czuł się tak, jakby wreszcie gdzieś przynależał.

Przynależał do nas. Był jednym z nas.

– Mama! – pisnął Jaś. Podniósł się z klęczek i stanął na kanapie. Pokazał mi swoje ubrudzone od farbek rączki, machając nimi w powietrzu i podskakując lekko.

Filip, jak gdyby wyczuł moją nerwowość, od razu się odwrócił i złapał go w pasie, asekurując i dbając, żeby nie spadł na podłogę.

Zobaczyłam, jak mój synek obejmuje ramionkami szyję Filipa, mażąc go dalej różnymi kolorami. Zachichotał, gdy poczuł na swoim policzku szorstki pocałunek Filipa, ale po chwili musnął jego nos na niebiesko i oddał pocałunek. Dziecięcy, mokry i tak bardzo szczery. Pełen miłości.

Podeszłam do nich na miękkich nogach i usiadłam obok na kanapie, uśmiechając się ze szczęścia, które wypełniało każdą

komórkę mojego ciała.

Obserwowałam z czułością tego malutkiego chłopczyka, który pojawił się w moim życiu spodziewanie, a jednak z tak druzgocącym piętnem. Jego płaska twarzyczka, hiperteloryzm oczny, jasne włoski i plamki Brushfielda na błękitnych tęczęwkach były jasnym sygnałem dla każdego zdrowego człowieka, że Jan Bielecki urodził się z trisomią dwudziestego pierwszego chromosomu. Wtedy, gdy ta diagnoza spadła na mnie i Artura jak grom z jasnego nieba, czułam się oszukana przez los, Boga i cały świat. Płakałam dniami i nocami, doszukiwałam się jakiegokolwiek sygnału, że coś mogło być nie tak, próbowałam zlokalizować winę w swoim postępowaniu.

Nikt nie zawinił. Czasem tak się po prostu dzieje. Pomimo starań, w życiu matki i ojca pojawia się dziecko z trudnym bagażem i trzeba stanąć na wysokości zadania. Tylko ja wiedziałam, jak wiele łez i nieprzespanych nocy mieliśmy za sobą. Te trudne pierwsze tygodnie, niezliczone wizyty w szpitalu, obezwładniający strach przed widmem operacji uszkodzonego serduszka, szczegółowe badania wzroku i słuchu, psycholog, logopeda i rehabilitacja...

Nie mogłam z całą pewnością stwierdzić, że wszystkie trudne momenty miałam już za sobą. Wiedziałam tylko, że to, co do tej pory przeżyliśmy, umocniło nas wszystkich.

Dla rodzica, który wychowuje zdrowe dziecko, zwykła grypa stanowi powód do narzekania. Dla mnie codziennością stało się życie z chłopcem, który nigdy nie będzie zdrowy, a każdy kolejny dzień jego życia już zawsze będzie okupiony moim strachem.

Teraz jednak czułam się po prostu dobrze, bezpiecznie i spokojnie, wiedząc, że moje dzieci są szczęśliwe.

– Dlaczego płaczesz? – zapytał cicho Filip, gdy jedna z tych niesfornych łez wydostała się spomiędzy moich powiek.

Szybko otarłam policzek, uśmiechając się.

– Ze szczęścia – odpowiedziałam szczerze, widząc, jak spojrzenie Filipa wypełnia się miłością.

Jego akceptacja, zaangażowanie i chęć otoczenia opieką nie tylko mnie, ale także moich dzieci były niczym zdobycie ostatniego bastionu mojego serca. Język niemal mrowił mnie od pragnienia, by wyznać mu, co czuję. On już znalazł w sobie odwagę do wypowiedzenia tych dwóch bezcennych słów.

Ja do tej pory tego nie zrobiłam.

Dwa słowa.

Tak mało, a jednak wszystko.



Dziewczynki bawiły się w najlepsze przywiezionymi ze sobą zabawkami, co jakiś czas prosząc o przygotowanie popcornu lub rozlanie napoju do kubeczków. Jaś obserwował je z boku, w końcu dołączył do nich, lecz wciąż w rozczulający sposób ignorował wszelkie próby nakłonienia go do zabawy lalkami. Siedzieliśmy z Filipem na kanapie, obserwując dzieciaki i śmiejąc się razem z nimi. Gdzieś w tle z telewizora leciała muzyka dla dzieci.

Obejmował mnie tak, jakbyśmy byli normalną rodziną. Często zaglądał mi w oczy, oczekując na mój uśmiech. Czujnym spojrzeniem obserwował mojego synka, stojąc na straży jego bezpieczeństwa. Rozczulał mnie ich niesamowitym porozumieniem, taką mocną, szczerą więzią, którą zazwyczaj syn dzieli z ojcem.

Jaś już nigdy nie będzie mógł stanąć twarzą w twarz ze swoim tatą. Wierzyłam jednak, że Artur opiekował się naszymi

dziećmi z nieba.

Może zesłał nam Filipa, żeby zajął tu na ziemi jego miejsce?

Może...

– Opowiedz mi o nim... – wyszeptał cicho Filip wprost do mojego ucha, jakby czytał mi w myślach i wiedział, że wspominam Artura.

– Co chciałbyś wiedzieć? – zapytałam spokojnie, spoglądając mu w oczy.

– Jaki był...

Uśmiechnęłam się nostalgicznie.

– Był niesamowitym mężczyzną. Skradł moje serce przy pierwszym spotkaniu, lecz dość długo lawirowaliśmy wokół siebie, bo żadne z nas nie chciało się przyznać do własnych uczuć. Straszny był z niego żartowniś i od zawsze miał bzika na punkcie motocykli. Potrafił być cierpliwy i bez trudu zdobywał się na rozsądne myślenie, gdy inni nie potrafili tego zrobić. Gdy patrzył na mnie, to miałam wrażenie, że nikt inny dla niego nie istnieje... – wyszeptałam, biorąc przez lekko rozchylone wargi jeden drżący oddech.

– Jestem pewien, że właśnie tak było... Nikt inny dla niego nie istniał – odpowiedział Filip, uśmiechając się z mieszaniną czułości i smutku.

– Wiem – przyznałam, potakując. – Trochę się naczekałam, zanim zdobył się na pierwszy krok. On z kolei twierdził, że nie był pewien moich uczuć, bo tak świetnie się maskowałam. W stosunku do innych ludzi potrafiliśmy być szczerzy, lecz między nami tak wiele było niedopowiedzeń, że teraz momentami bardzo mnie to śmieszy – dodałam, kręcąc głową z lekkim rozbawieniem.

Wreszcie dotarłam do etapu, kiedy mogłam mówić o Arturze i się śmiać, wspominając te stare, najwspanialsze czasy. Już nie wylewałam łez, już nie wypłakiwałam oczu, bo czas

największego bólu miałam za sobą, nawet jeśli rany nadal pozostawały niezasklepione.

Czułam obecność ukochanego męża w sercu, doświadczając, jak dawna miłość godzi się z tą, która wypełniała moją duszę obecnie.

Spojrzałam na Filipa, wiedząc, że uśmiech błądzi mi po wargach na widok jego pomazanego farbkami ciała, na co on kompletnie zdawał się nie zwracać uwagi.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał, marszcząc lekko brwi i lustrując mnie swoim sztormowym spojrzeniem.

– Trochę cię mój synek udekorował, a ty nic sobie z tego nie robisz – powiedziałam z rozbawieniem i wzruszeniem.

Filip wzruszył ramionami i popatrzył na Jasia, a po chwili znów na mnie.

– A co mam sobie robić? Skoro sprawiało mu to radość, to i ja się cieszyłem – odpowiedział z rozbijającą szczerością, rozgrzewając moje serce za pomocą tych prostych słów.

Telefon w jego kieszeni rozdzwonił się nagle, a Filip od razu wydobył go i spojrzał na wyświetlacz. Z grobową miną przerwał połączenie. Zanim zdążył odłożyć komórkę na stolik, znów rozbrzmiała dźwiękiem przychodzącego połączenia, a Filip ponownie je odrzucił.

– Nie odbierzesz? – zapytałam cicho, bo chociaż pewnie nie powinnam dopytywać, to nie mogłam się powstrzymać.

Mięśnie szczęki napięły się pod skórą, gdy zacisnął zęby.

– Nie zamierzam – odparł krótko, ucinając temat. Znów spojrzał na Jasia, który wśród ośmiolatek wydawał się jeszcze mniejszy, niż był w rzeczywistości. – Uwielbiam go, wiesz?

– Tak? – wyszeptałam z uśmiechem.

– Bardzo. Zaimponował mi, gdy tak odważnie przyjął fakt, że ja się nim zajmę, gdy ty byłaś chora – odpowiedział, patrząc na mnie z czułością. Telefon znów zadzwonił, a on gwałtownie

wziął go w dłoń i wyciszył. Znów spojrzał na mnie tak, jakby nic mu nie przerwało. – Jak wyglądały jego pierwsze dni?

Wzięłam głęboki oddech i postanowiłam sięgnąć pamięcią do tamtego czasu. Tak trudnego, szokującego, obfitującego w łzy.

– Diagnoza Jasia była dla nas ogromnym szokiem. Cięża przebiegała prawidłowo, nie mieliśmy powodu podejrzewać, że coś jest nie tak. Początkowo trudno mi było w to uwierzyć. Patrzyłam na mojego synka godzinami, próbując wmówić sobie, że przecież wcale nie wygląda tak, jakby miał wadę genetyczną. Mógł być po prostu opuchnięty, przecież noworodki tak mają... Zaklinanie rzeczywistości nic mi nie dało. Więcej go przy mnie nie było, niż był, bo ciągle sprawdzali, badali, oglądali, oceniali. Sześć punktów w skali Apgar brzmiało tak bardzo źle...

Na moment umilkłam. Tak trudno było znaleźć odpowiednie słowa.

– Pierwsza bomba była najsilniejsza, ale to druga sprawiła, że zapadłam się w sobie i zaczęłam wyć z bólu tak, że musieli podać mi leki uspokajające. Konieczne było wykonanie dodatkowych badań, bo lekarze podejrzewali jeszcze wadę serca, a konkretnie ubytek przegrody międzyprzedsionkowej. Przypuszczali, że konieczna będzie operacja. Tego nie dało się tak po prostu przeżyć. Płakałam nieprzerwanie dniami i nocami, obojętna na próby pocieszenia od kobiety leżącej na sąsiednim łóżku, głucha na słowa otuchy ze strony pielęgniarek i wściekła na psychologa, który próbował mi pomóc. Pamiętam koszmar tych pierwszych dni, gdy bezustannie otaczał mnie strach. Słabym pocieszeniem była informacja, że wada serca nie jest tak groźna, jak się z początku wydawało, i nie wymaga operacji. Obniżyła jednak jakość życia Jasia, które przecież już i tak było trudne. Przez kolejny rok miał nawracające zapalenia płuc, grypy i drobne infekcje, a szpital stał się naszym drugim domem.

Pomyślałam o Arturze. Przez pierwsze dni życia Jasia odczuwałam dziwną, wewnętrzną blokadę przed okazywaniem synkowi czułości, której on przecież tak bardzo potrzebował. To Artur przewijał go chętnie, całował w stópki i mówił do niego z czułością za nas dwoje.

– Metodą prób i błędów nauczyliśmy się życia z naszym małym, niedoskonałym chłopczykiem. Z nim na wszystko się czekało... Pierwszy krok, pierwszy uśmiech, pierwsze słowo. Potrzebowaliśmy organizera, żeby zapamiętać każdą umówioną wizytę u kolejnego specjalisty, a założenie segregatora na dokumentację medyczną było jedynym rozsądnym wyjściem, żeby nie zgubić niczego istotnego. Pamiętam godziny spędzone na masowaniu Jasiowi stópek, na rehabilitowaniu go wedle wytycznych... Niezliczone noce wypłakiwania łez w poduszkę.

Wspominanie tamtych trudnych dni nigdy nie przychodziło mi łatwo, bo wiązało się z myślami o tym, jak bliska byłam zastanawiania się, co by było, gdybym zrobiła badania prenatalne, dowiedziała się o wadzie genetycznej dziecka i miała jeszcze wybór: urodzić czy... nie urodzić?

Urodziłam. Tylko to się liczyło. Jaś pojawił się na świecie i zmienił całe moje życie. Nauczył mnie cieszyć się z drobnostek i kochać wszystkie jego niedoskonałości. Patrzyłam na jego twarzączkę i nie widziałam tego, co złe. Widziałam chłopczyka, którego kochałam ponad wszystko.

Opowiadając to wszystko Filipowi, też patrzyłam na Jasia. Był tak bardzo pochłonięty zabawą, że nie zauważał niczego poza misiem koala trzymanym w rączkach. Z oczami pełnymi łez śledziłam jego kroki, ciągle jeszcze czując ten niekomfortowy strach, że nagle się zachwieje, straci równowagę i przewróci.

Ocknęłam się dopiero w momencie, gdy Filip pogładził mnie czule po policzku opuszką swojego kciuka. Popatrzyłam na

niego i ze zdumieniem zauważyłam, że w oczach lśnią mu łzy wzruszenia. Uśmiechał się, lecz balansował na granicy płaczu.

– Przeszłaś to, Eliza... Przeszłaś i wytrzymałaś – wyszeptał zduszonym głosem, dumny i poruszony do głębi.

– Gdyby nie Artur, to nie wiem, co by się z nami stało... – przyznałam, odchylając lekko głowę i opierając ją o oparcie kanapy. Włosy odsłoniły mi szyję, a on dotknął jej tak, jak gdyby badał mi szalejący puls.

To było tak nieopisanie cudowne. On, dzieci i ja, ubrana w jasną sukienkę po raz pierwszy od lat. Leżała idealnie i była śliczna. Czułam się w niej zadziwiająco dobrze i komfortowo.

Gdzieś w tle słychać było śmiechy dziewczynek i głos Jasia, który wypowiadał jakieś przypadkowe słowa. W tej jednak chwili patrzyłam wyłącznie na Filipa, a on śledził spojrzeniem moją twarz, zatrzymując wzrok na ustach.

Chciałam go pocałować.

Wtedy jego telefon zaczął szaleńczo wibrować, wyrrywając nas z tego cudownego, romantycznego zawieszenia.

Twarcz Filipa wykrzywiła się w grymasie wściekłości, gdy spojrzał na wyświetlacz. Wstał szybko i spojrzał na mnie krótko.

– Zaraz wracam. Muszę odebrać.

Pozostałam w pokoju z uczuciem dziwnej pustki i niepokoju, gdy drzwi zamknęły się za nim. Patrzyłam na dzieci, lecz myślami byłam z Filipem na korytarzu.

Minuty mijały, on nie wracał, a ja w końcu wzięłam Jasia na rękę, gdy zobaczyłam, że trze oczka ze zmęczenia.

– Pójdziemy się wykąpać? – zapytałam go czule.

– Tak – odpowiedział krótko i przytulił się do mnie.

– Dziewczynki, idę wykąpać Jasia, a wy bądźcie grzeczne, zaraz wróci pan Filip – powiedziałam, zwracając się do mojej córki i jej koleżanek.

Wszystkie jednocześnie przytaknęły, a ja wyszłam z pokoju i zostawiłam uchylone drzwi. Na korytarzu nie dostrzegłam Filipa, ale wąty dźwięk jego głosu niósł się z parteru. Był podenerwowany, tylko tyle udało mi się ustalić w ciągu chwili, jednocześnie nie podsłuchując specjalnie.

Wzięłam torbę z rzeczami Jasia i zamknęłam się z nim w łazience. Był zmęczony, lecz od razu zrobił się dziwnie niespokojny, gdy zdał sobie sprawę, że dziś będzie brał kąpiel w innym brodziku niż ten, który znał.

– Zobacz, synku, twoje kaczuszki też dzisiaj się tutaj wykąpią – powiedziałam, przykucając i zrównując się z nim poziomem wzroku. Zaczęłam wyciągać gumowe zabawki z wnętrza torby, pokazując mu je po kolei z uśmiechem.

– Do domu, mama – pisnął, tuląc do siebie rączki i rozglądając się niepewnie.

– Kochanie, a powiesz mi, co będziemy myć przed spaniem?
– zagadnęłam tym samym rażnym głosem, próbując odwrócić jego uwagę.

Przez cały czas używałam gestów i patrzyłam mu w oczy, upewniając się, że obdarza mnie uwagą i słucha, co mówię. Zaczęłam powoli pokazywać na swoje części ciała, próbując nakłonić Jasia do wypowiedzania poszczególnych słów.

– Noga. Bzuch. Nos. Ucho. Buzia – wyliczał powoli, zastanawiając się nad każdym słowem dwa razy. Zrobił niezadowoloną minę, gdy nie był w stanie wypowiedzieć słowa „ręka”, lecz pospiesznie zrobiłam to za niego i zaczęłam rozkładać wszystkie gumowe kaczkę na podłodze łazienki.

Jaś usiadł na ręczniku, który dla niego przygotowałam, a ja w tym czasie napuściłam ciepłej wody do prysznicowego brodzika i zrobiłam pianę, wiedząc, że mój synek się z tego powodu ucieszy.

Z uśmiechem zerkał w kierunku unoszącej się piany, pozwalając mi się rozebrać, a następnie usadzić w wodzie

i otoczyć kaczkami. Zaczął podrzucać pianę w rączkach, chichocząc radośnie. Bawił się zabawkami z niemałym zainteresowaniem, natomiast ja mogłam w tym czasie umyć mu włoski i ciało. Cały czas do niego mówiłam, chwaliłam i tłumaczyłam, co robię. Był oswojony z moim dotykiem, więc pozwalał się myć i to nie wywoływało napadu hysterii. Akceptował również Olę, natomiast moja mama i Milena miały surowy zakaz kąpania Jasia, gdyż kiedyś wpadł w taki szal podczas kąpieli z nimi, że nie były w stanie go uspokoić.

Po kilkunastu minutach zabawy w wodzie wyciągnęłam synka z brodzika i wytarłam go ręcznikiem do sucha, a następnie ubrałam w granatową piżamkę z księżycami i gwiazdkami. Założyłam mu także pampersa, bo Jaś nie nauczył się jeszcze sygnalizowania swoich potrzeb fizjologicznych w nocy. Czasem w dzień również zdarzało mu się zapomnieć, dlatego każdy, kto się nim opiekował, musiał mu często o tym przypominać, próbując pobudzić w jego świadomości konieczność udania się do toalety za każdym razem, gdy odczuwał taką potrzebę.

Posprzątałam wszystkie nasze rzeczy w łazience i udałam się do sypialni Filipa, kładąc się z Jasiem do łóżka. Pościel była świeża, miękka i pachniała cudownie. Proszkiem do prania, płynem do płukania i czymś, co dla mnie było po prostu Filipem. Przytuliłam synka do swojej piersi, czując, jak jego małe dłonie obejmują mnie, a on cały rozluźnia się w ten dobry, uspokajający sposób.

Obawiałam się tej nocy z wielu powodów, a jednym z nich był właśnie Jaś i jego totalny brak tolerancji dla gwałtownych zmian. Brałam pod uwagę możliwość, że będę musiała wracać z nim do domu, bo nie będzie mógł zasnąć w innym miejscu. On natomiast po raz kolejny podczas swojego krótkiego życia zaskoczył mnie, udowadniając, że jest pod każdym względem niezwykły.

Leżałam w półmroku sypialni Filipa, nucąc cicho kołysanki, chociaż Jaś zdążył już zasnąć twardym snem. Patrzyłam w sufit, myśląc o mężczyźnie, który na co dzień zajmował to łóżko. Analizowałam zmiany, jakie zaszły w moim życiu, odkąd pojawił się w Lilecku.

Drzwi otworzyły się cichutko, rzucając podłużny snop światła z korytarza na drewnianą podłogę sypialni. Uniosłam głowę i dostrzegłam w wejściu Filipa. Wszedł do środka niemal bezszelestnie i popatrzył na śpiącego w moich ramionach Jasia, uśmiechając się czule.

– Zasnął?

– Tak. Już chwilę temu – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Podniosłam się ostrożnie do pozycji siedzącej, włączając elektroniczną nianię.

– Zajrzałeś może do dziewczynek?

– Tak. Włączyłem im w laptopie *Krainę Lodu*, więc teraz grzecznie leżą i oglądają – odpowiedział pogodnie.

Wystarczyło jednak spojrzeć w jego oczy, żeby zobaczyć czający się w nich mrok.

– Chcesz pogadać?

Zamarł, jakbym zaskoczyła go tym pytaniem. Zacisnął usta, przełknął ślinę i unikał mojego spojrzenia.

– Sam nie wiem.

Postanowiłam przejąć panowanie nad sytuacją. Wstałam i wzięłam go za rękę, po czym wyszliśmy z sypialni, przymykając cicho drzwi, i stanęliśmy naprzeciwko siebie na korytarzu. Ustawiłam radyjko elektronicznej niani na stojącej w pobliżu szafeczce, a następnie ujęłam twarz Filipa w dłonie i pogładziłam go po policzkach.

– Słucham. Co się dzieje?

Wyglądał na strapionego, bo nagle cała maska opadła i roztrzaskała się pomiędzy naszymi stopami. Już wiedziałam,

że coś się wydarzyło. Nic nie mogłam poradzić na ten nagły uścisk w żołądku, który zwiastował kłopoty.

– Kilka tygodni temu zadzwoniła do mnie moja była żona – zaczął, a ja poczułam, jak grunt, który wydawał się stały, nagle zaczyna osuwać mi się spod nóg. – Płakała i prosiła, żebym jej pomógł, bo ma jakieś kłopoty. Zbyłem ją raz, drugi, trzeci, lecz ona nie odpuszcza. Próbowала się dowiedzieć, gdzie teraz mieszkam, i wpadła w lekki szał, gdy nie chciałem jej powiedzieć. Dzwoni bezustannie, próbuje mnie wziąć na litość, groźbą i prośbą – wyszeptał, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Dziś dobija się od rana, ale nie odbieram. Napisała kilka wiadomości, których nie odczytałem. Wiem tylko tyle, że facet, z którym się związała po rozwodzie, oszukał ją na jakąś większą kwotę, po czym zniknął, a teraz komornik wszedł jej na mieszkanie.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. Czułam, jak strach, złość i silne pragnienie buntu kumulują się we mnie, atakując umysł i serce. Właśnie spełniał się najgorszy sen każdej kobiety, która wiązała się z mężczyzną po przejściach. Nic bardziej nie niszczyło nowego związku niż powrót osoby z przeszłości, która kiedyś była ważna, bliska, istotna.

A przecież Filip kochał swoją byłą żonę...

Wiedziałam o tym, sam wiele razy to powtórzył. A teraz ona chciała się z nim zobaczyć, płakała i miała problemy finansowe. Filip, podobnie jak mój mąż, był najporządniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek poznałam, więc moje myśli już zaczęły kręcić się wokół tego, jak on zacznie jej pomagać.

Wtedy wolna przestrzeń, którą powoli zaczęłam wypełniać, zniknie, bo rozgości się w niej ona.

– Ona nic między nami nie zmienia, rozumiesz? – wyszeptał z mocą, dostrzegając wyraz mojej twarzy, daleki od wszystkiego, co pozytywne. – Nie chcę mieć już z nią do czynienia. Nie istnieje dla mnie. Należy do przeszłości. Ty

jesteś moją przyszłością – dodał ciszej, niemal wprost w moje usta.

Odsunęłam się w ostatniej chwili, nie pozwalając, żeby doszło do pocałunku. Wiedziałam, że dotyk jego ust skutecznie zaburzy mi zdolność logicznego myślenia, a chciałam być w tym momencie całkowicie świadoma i skupiona.

Bo cokolwiek by nie powiedział, miałam wrażenie, że ścianki otaczającej mnie bezpiecznej bańki zaczynają pękać.

– Kochałeś ją... – wyszeptałam głucho, wypuszczając pierwszą myśl, jaka balansowała na granicy moich ust.

W oczach Filipa coś na moment mignęło, lecz zniknęło tak szybko, jak gdyby nigdy nie istniało.

– Kochałem. Teraz kocham ciebie. Ada nic już nie znaczy – odparł stanowczo, dotykając opuszką mojej dolnej wargi.

Ada. Ma na imię Ada.

Adrianna Buczkowska, żona tego mężczyzny.

– Nie zamierzasz z nią porozmawiać? – zapytałam bez mocy, chociaż z wątplą nadzieją w głębi serca.

– Nie zamierzam. Zdecydowała, że nie chce naszego wspólnego życia, więc teraz musi radzić sobie sama – odpowiedział z przekonaniem i przytulił mnie do swojego ciała.

Na moich oczach wyłączył telefon, pokazując, że ma uruchomiony tylko ten służbowy, na wypadek gdyby ktoś dzwonił po pomoc dla zwierzęcia. Objął mnie ramieniem i razem poszliśmy zajrzeć do pokoju dziewczynek.

Kraina Lodu wciąż się wyświetlała, ale żadna ośmiolatka nie doczekała końca seansu, bo wszystkie spały słodko pod kocykami w przygotowanym przez Filipa namiocie. Pomimo dręczących myśli uśmiechnęłam się, wchodząc po cichu, żeby wyłączyć bajkę. Zabraliśmy laptopa i zgasiliśmy główne

światło, pozostawiając tylko dwie lampki nocne i projektor wyświetlający na suficie gwiazdki.

Filip zaproponował, żebyśmy coś zjedli, więc po drodze do kuchni wzięłam elektroniczną nianię i razem zeszliśmy na parter. W domu zapanowała cisza i spokój, chociaż ten stan nie do końca odwzorowywał moje obecne uczucia.

Patrzyłam, jak Filip sprawnie przygotowuje dla nas późną kolację. Była dwudziesta druga trzydzieści, gdy wsunął do piekarnika pomidory faszerowane serem mozzarella i szpinakiem, a następnie podszedł do mnie i pocałował w sposób, który odebrał mi dech.

– Wyglądasz przepięknie w tej sukience, wiesz? – wyszeptał wprost w moje usta, a ja mimo wszystko się uśmiechnęłam.

Nie potrafiłam przyjmować komplementów; lepiej niż ktokolwiek inny zdawałam sobie sprawę z własnych niedoskonałości, ale te dobre słowa wychodzące z ust Filipa zawsze bez trudu trafiały do mojego serca, jak gdyby to tam było ich miejsce.

– A ty chyba musiałbyś się umyć – odpowiedziałam z przekornym uśmiechem, pocierając zaschnięty ślad niebieskiej farby na skroni Filipa.

– Co w tym złego, że wyglądam tak kolorowo?

Parsknęłam śmiechem, wpatrując się w jego rozświetlone, jasne oczy.

– Teoretycznie nic...

Śmialiśmy się razem. Patrzyliśmy sobie w oczy jak zakochani nastolatkwie. Wiedziałam już, że nie zniosłabym kolejnej rozłąki z nim. Tamto rozstanie odbiło się mocno na moich emocjach, a wyobrażenie o nim i jego byłej żonie raniło mocniej, niż mogłabym przypuszczać.

– Co dobrego spotkało cię w ostatnim czasie? – zapytał nagle, poważniejąc.

To było bardzo trudne pytanie. Minione tygodnie obfitowały w wiele negatywnych zaskoczeń i mało pozytywnych wydarzeń.

Wystarczyło jednak zastanowić się chwilę dłużej, żeby dostrzec dobrą zmianę, która na początku wydawała się zła.

– Ty – odpowiedziałam tak cicho, że mógłby tego nie usłyszeć.

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem, bo najwyraźniej nie tego się spodziewał. Taka była jednak prawda. Pojawienie się Filipa w moim życiu było początkiem szeregu najróżniejszych emocji, ale przede wszystkim było przebudzeniem dla mnie samej. Jego czułość i zainteresowanie wyzwoliły mnie z więzów smutku, tęsknoty i żałoby za mężem, który już nigdy nie wróci. Dowiedziałam się, że znów mogę się śmiać, czuć dobrze w towarzystwie mężczyzny i pragnąć bliskości kogoś, kto widzi we mnie nie tylko wyniszczoną emocjonalnie wdowę.

– A co dobrego spotkało ciebie?

Uśmiechnął się leniwie i nieśmiało. Opuścił na moment wzrok, lecz zaraz znów nawiązał ze mną ten wyjątkowy kontakt.

– Eliza, Emilia, Jan, Lilecko – odpowiedział spokojnie i tak pewnie, że nie mogłabym mieć wątpliwości co do szczerości jego słów.

Piekarnik zadzwęczał, dając nam znać, że kolacja już gotowa. Filip odsunął się, wyciągnął pachnące i zapieczone pomidory na przygotowaną wcześniej podkładkę silikonową i podał mi talerze, prosząc, żebym nakryła w salonie.

Kilka minut później zasiedliśmy naprzeciwko siebie i raczyliśmy się przepysznym posiłkiem. W tle dźwięczał telewizor, ogień trzaskał w kominku, a ja mimo wszystko co chwilę zerkałam na elektroniczną nianię, upewniając się, że jest włączona.

Rozmawialiśmy o ulubionych potrawach z dzieciństwa, a także najśmieszniejszych przygodach, które przeżyliśmy. Co jakiś czas wybuchaliśmy śmiechem, pozwalając sobie na odprężenie. Nie poruszaliśmy smutnych tematów, pielęgnując tę dobrą, pozbawioną smutków chwilę.

– Zajrzę do dzieciaków – powiedziałam, odkładając na talerz sztucce po skończonym posiłku. Filip przytaknął, uśmiechnął się i zebrał nasze talerze, a ja ruszyłam na górę.

Najpierw sprawdziłam pokój dziewczynek, by upewnić się, że spały smacznie, kompletnie wycieńczone po emocjonującym wieczorze. Jaś był spokojny i zadowolony przez sen. Z rączkami rozrzuconymi nad głową znów wyglądał jak mały zwycięzca po bitwie. Uśmiechnęłam się i zrobiłam mu zdjęcie, nie mogąc się powstrzymać.

Przymknęłam drzwi sypialni i zobaczyłam, że w korytarzu pojawił się Filip.

– Chcesz iść pierwsza się wykapać? – zapytał cicho, patrząc na mnie intensywnie.

W mojej głowie automatycznie zaczęły rodzić się niestosowne wizje, które starałam się jak najszybciej stłumić. Poczułam, jak na policzkach wykwita mi niepokorny rumieniec, a Filip, dostrzegając go od razu, uśmiechnął się w sposób, który sprawił, że kolana mi zmiękły.

– Tak – odpowiedziałam tylko i wróciłam szybko do sypialni po ręcznik, kosmetyczkę i piżamę.

Wszystko, żeby tylko nie poddać się temu zapomnianemu, cudownemu pragnieniu, które kumulowało mi się w podbrzuszu.

Zamknęłam się w łazience i ustawiłam radyjko od elektronicznej niani na pralce. Zdjęłam ubrania, weszłam pod prysznic i puściłam przyjemnie ciepły strumień wody. Znów myślałam tylko o tym, że wszystko wokół pachniało tą

cudowną, uderzającą do głowy mieszanką, którą stanowił dla mnie Filip.

Patrzyłam na jego kosmetyki, myjąc ciało moim żelem o zapachu truskawek. Związane na czubku głowy włosy nie uniknęły częściowego pomoczenia, lecz kompletnie nie zwracałam na to uwagi.

Nałożyłam na siebie zwykły T-shirt w ciemnoszarym kolorze oraz czarne dresowe spodnie. Z torby wyciągnęłam także moje domowe kapcie, a stając przed lustrem, zdałam sobie sprawę z własnej beznadziejności. Znalazłam się w mieszkaniu przystojnego mężczyzny, był późny wieczór, zbliżała się północ, a ja wzięłam ze sobą najmniej seksowną piżamę w historii. I do tego kapcie, do cholery.

Nacierając twarz kremem, usłyszałam dzwonek do drzwi. Od razu pomyślałam, że może coś się stało i Filip będzie musiał jechać na pomoc jakiemuś zwierzakowi.

Umyłam zęby i wyszłam z łazienki. Nie zdążyłam zamknąć za sobą drzwi, gdy to usłyszałam.

Z korytarza roznosił się głośny, rzewny kobiecy płacz i jakieś niewyraźne słowa.

Serce momentalnie mi stanęło, a w głowie rozszalały się tysiące myśli. Zmarszczyłam brwi i zesłam po schodach, zerkając na dół.

Ten widok złamał mi serce na miliony kawałków, a szok, strach i niedowierzanie mieszały mi się w głowie. Czułam, jak wszystko we mnie zamiera, kurczy się, szuka drogi ucieczki...

Zobaczyłam Filipa, który stał w pobliżu drzwi frontowych i trzymał w ramionach wysoką, jasnowłosą kobietę, która miała na sobie zimowy płaszcz, a przy jej stopach leżała niewielka podróżna torba. Obejmowała go tak, jakby był jej jedynym kołem ratunkowym, szłochała mu w ramię, a on gładził ją uspokajająco po głowie.

To *Ada*, szepnął mi w głowie ten irytujący głosik, który zawsze odzywał się wtedy, gdy najmniej tego potrzebowałam.

Każdą komórką mojego ciała czułam, że to była ona. Sposób, w jaki się obejmowali, wyrażał jakąś trudną do opisanania bliskość.

Bliskość, z jaką ja objęłabym Artura, gdybym tylko mogła to jeszcze kiedykolwiek zrobić.

W gardle narastało mi dławienie, a ucisk w klatce piersiowej nasilał się z sekundy na sekundę. Wzięłam głęboki oddech, chcąc uciec, zanim mnie zauważą, i udawać, że o niczym nie wiem, lecz właśnie wtedy Filip uniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały.

W jego oczach coś zgasło, jakby poczuł się przegranym, pokonanym człowiekiem. Wpatrywał się we mnie z błaganiem, najwyraźniej prosząc, żebym nie wyciągała pochopnych wniosków.

Tyle że ja nie musiałam niczego się domyślać, nadmiernie interpretować.

Ona wróciła. Właśnie dziś, gdy spędzałam noc w jego domu razem z dziećmi, bo przecież tak mnie o to prosił... Właśnie dziś, gdy zaledwie kilka godzin wcześniej powiedział mi o tym, że znów zaczęła dobijać się do jego życia.

W jakiś sposób go znalazła. Zalana łzami i tak bezbronna stanowiła przepaść, której ja nie byłam w stanie pokonać.

Posłałam Filipowi smutny uśmiech i po prostu udałam się do sypialni. Wsunęłam się do łóżka i przytuliłam ciepłe ciało Jasia do siebie. Wymamrotał coś przez sen, układając rączkę na moim brzuchu. Ucałowałam jego pachnącą główkę i wpatrzyłam się w sufit, mrugając szybko, żeby odgonić przemożną chęć zalania się łzami.

Tylko dlatego, że pojawienie się byłej żony Filipa roztrzaskało moje raczkujące szczęście w drobny mak...



Była trzecia w nocy, gdy Jaś zaczął się wiercić i kwilić cichutko, wybudzając mnie z drzemki.

– Co się stało, kochanie? – zapytałam, zapalając od razu lampkę nocną, by jego jasne, rozespane oczka mogły mnie zobaczyć. – Chcesz mleka?

– Tak – zapłakał, a ja przytuliłam go i ukołysałam, czekając, aż się nieco wyciszy.

– Już ci przynoszę – odpowiedziałam i wstałam, wyciągając z torby Jasia jego kubeczek.

Przytulił się do swojego ulubionego misia, gdy wychodziłam z sypialni. W domu było całkowicie cicho, co mogło oznaczać... wszystko. Zajrzałam do dziewczynek, by upewnić się, że śpią. Schodziłam po schodach z sercem w gardle, obawiając się, że zobaczę coś, co złamie mi serce jeszcze bardziej.

Gdyby nie dzieci, odeszłabym od razu. Widok Filipa i jego byłej żony był dla mnie nieopisanie trudny, ale myśl o budzeniu wszystkich tylko po to, żeby uciec, wydawała mi się mimo wszystko kompletnie pozbawiona sensu. Postanowiłam zostać do rana i pomówić z Filipem w świetle dnia...

W salonie było ciemno, jeśli nie liczyć dogasającego żaru w kominku. W kuchni natomiast paliła się mała lampka nad stołem. Na jednym z krzeseł siedział Filip.

Z opuszczoną głową i zgarbionymi ramionami wyglądał jak człowiek, któremu problemy zwały się na głowę bez ostrzeżenia i nie miał dość siły, żeby się podnieść.

Drgnął, gdy weszłam do pomieszczenia. Spojrzał na mnie przygaszonymi, przekrwionymi ze zmęczenia oczami.

- Jaś obudził się do mleka - odpowiedziałam usprawiedliwiająco i czym prędzej podeszłam do aneksu kuchennego, przygotowując napój dla mojego synka.

Obecność Filipa sprawiła, że każdy mięsień w moim ciele był nienaturalnie, nerwowo napięty. Czułam jego wzrok na moich plecach, a powietrze wprost iskrzyło od niewypowiedzianych słów.

- To nie tak, jak myślisz, Eliza - wyszeptał, gdy kierowałam się do wyjścia z kubkiem ciepłego mleka w dłoni.

Spojrzałam na Filipa. Czułam ból na widok jego udręczenia.

- Nie wiem, co myślę - przyznałam cicho i bez słowa ruszyłam na piętro. Weszłam do sypialni i podałam mojemu synkowi napój.

Złapał kubeczek w rączki od razu zaczął pić. Obserwowałam go, a za każdym razem, gdy na mnie spojrzał, uśmiechałam się, żeby nie wyczuł mojego kiepskiego samopoczucia.

Zasypiałam z poczuciem, że coś się nieodwracalnie zmieniło.



Rozdział 10

Wołanie Emilki obudziło mnie po siódmej rano. Uniosłam głowę znad poduszki i dostrzegłam moją córeczkę w piżamce i z roztrzepanymi włoskami. Stała z szerokim uśmiechem i rezolutną minką.

– Jesteśmy głodne, mamusiu! – powiedziała, podpierając się pod boki.

– Już wstaję. Ubierzcie się – poleciłam, podnosząc się z łóżka.

Jaś od razu także otworzył oczka, gotowy na przeżycie kolejnego fajnego dnia. Przygotowałam nas do zejścia, od razu pakując wszystkie prywatne rzeczy do toreb. Wiedziałam, że nie zabawię tutaj długo.

Zerknąwszy na telefon, zobaczyłam, że mam wiadomość od Filipa z godziny 5.17. Zmarszczyłam brwi i odczytałam.

Dostałem wezwanie do schroniska. Wrócę około dziewiątej. Poczekaj na mnie i nie uciekaj. Musimy porozmawiać.

Zacisnęłam usta i wsunęłam telefon do tylnej kieszeni dzinsów. Zeszłam z dziećmi na parter.

Wszędzie było cicho, jakbyśmy byli sami. Wiedziałam jednak, że prawdopodobnie doszło do kuriozalnej sytuacji, gdy znalazłam się w domu Filipa z jego byłą żoną...

Dziewczynki rozsiadły się w salonie, dyskutując głośno na jakiś tylko sobie znany temat, gdy ja zabrałam się do przygotowywania naleśników. Filip uprzedził, że w razie jego nieobecności mam śmiało ze wszystkiego korzystać. W lodówce znalazłam powidła, dżem, nutellę oraz banany, a to wszystko idealnie nadawało się do słodkiego śniadania dla dzieci.

Jaś, zdając sobie doskonale sprawę, że nie jest u siebie w domu, przez cały czas chodził za mną, mrucząc pod noskiem mniej lub bardziej zrozumiałe słowa, które ostatnimi czasami zakotwiczyły się w jego pamięci po spotkaniach z logopedą.

Poruszałam się po kuchni Filipa zadziwiająco sprawnie, starając się nie popadać w paranoję na myśl o przebywającej w domu Adriannie Buczkowskiej. Zrobiłam dziewczynkom herbatę i zaniiosłam ją do salonu, a po chwili rozłożyłam talerze. Obserwowałam przez chwilę ich bez troskę i radość z powodu tego, że były razem.

To przypomniało mi o najlepszych czasach z Kamilą...

Dziewczynki pisnęły radośnie na widok góry naleśników i wszystkich dodatków. Rzuciły się chętnie na jedzenie i pałaszowały ze smakiem. Ja w tym czasie nakarmiłam Jasia owsianką z bananem. Uśmiechałam się do niego, gdy dzielnie łykał podawane mu porcje na plastikowej łyżeczce.

Po śniadaniu powiedziałam dzieciakom, że mogą się jeszcze chwilę pobawić, a następnie zadzwoniłam do rodziców dziewczynek, informując, że już wstały. Brudne talerze, sztućce i szklanki włożyłam do zmywarki, a większe naczynia umyłam w wodzie z płynem.

Wyczułam ruch przy drzwiach, chociaż nie dotarł do mnie żaden dźwięk.

Odwróciłam się gwałtownie, napotykałam wzrokiem postać wysokiej, niemal posągowej blondynki.

Serce mi zamarło, gdy zmierzyłam spojrzeniem jej idealną sylwetkę modelki. Była piekielnie zgrabna, za to jej twarz wydawała się ponura i blada. Wąskie usta i ciężkie powieki sprawiały, że na pierwszy rzut oka miało się wrażenie obcowania z wyjątkowo nieprzyjemną osobą.

Weszła do kuchni i usiadła przy stole, zakładając nogę na nogę. Miała na sobie czarne dżinsy i jasną koszulę zapinaną

na guziki. Obserwowała mnie bez słowa, a ja patrzyłam na nią, zupełnie zapominając o myciu naczyń i pianie na dłoniach.

– To ty... – szepnęła jakby do siebie, lecz mnie na dźwięk jej chłodnego głosu przeszły ciarki. – Od razu wiedziałam, że kogoś tutaj poznał... Chociaż to taka dziura – dodała głośniejszym głosem, wykrzywiając usta w grymasie pełnym odrazy. – Długo ze sobą jesteście? – zapytała bezczelnie, unosząc jedną brew.

Może byłam naiwna i głupia, ale ona w tej chwili kompletnie nie przypominała tej rzewnie płaczącej kobiety, którą widziałam w nocy.

– Nie czuję się zobowiązana o tym z tobą rozmawiać – odpowiedziałam, siląc się na spokój. Nie chciałam, żeby wiedziała, jak bardzo drżałam wewnątrz.

– Och – westchnęła teatralnie, unosząc brwi. – Jak chcesz. W każdym razie myślę, że czas, żebyś przestała się łudzić. Filip nie zmarnuje sobie życia dla ciebie i twojego dziecka z downem – odparła lekceważąco, machając nogą i uśmiechając się do mnie nieprzyjemnie.

Skóra ścierpła mi z nienawiści i wściekłości. Wytarłam mokre dłonie w ręcznik kuchenny, podeszłam bliżej niej i złożyłam ręce na piersi. Obelga, jaką właśnie wysunęła w kierunku mojego dziecka, była ciosem poniżej pasa i wiedziałam, że jeśli padnie jeszcze jedna, przestanę ręczyć za siebie.

– A dlaczego nie? Bo ty się pojawiłaś? – zapytałam drwiąco, unosząc brwi i udając niezachwianą pewnością siebie, której w rzeczywistości w ogóle nie czułam.

– On mnie kocha – odpowiedziała krótko i tak pewnie, że skreśliło mnie w środku.

Powiedział mi te słowa. Powiedział je przecież.

Powinnam mieć pewność, że to ja jestem dla niego tą jedyną, prawda?

A jednak wcale się tak nie czułam, bo miałam przed sobą jego byłą żonę: niesympatyczną, niezbyt piękną, ale piekielnie zgrabną i znającą Filipa znacznie lepiej niż ja. W końcu to ją pierwszą kiedyś pokochał. To ją poślubił...

– Polemizowałabym – wycedziłam wyniośle, mierząc ją wzrokiem.

Grałam kogoś, kim nie byłam. Starłam się dorównać jej kroku w byciu bezduszną suką, ale nie wiedziałam, jak długo dam radę ciągnąć ten teatr. Wszystko we mnie cierpło, gdy słuchałam jej słów. Wszystko mnie bolało na myśl o tym, że Filip mógłby do niej wrócić. Nie zasługiwała na niego. Była zbyt zimna i wyrachowana, a on... On miał wielkie serce, mnóstwo czułości i delikatności, które tak bardzo w nim kochałam.

Ada podniosła się z krzesła i stanęła ze mną twarzą w twarz. Zmierzyła mnie spojrzeniem i uśmiechnęła się drwiąco. Nagle pomyślałam o niewielkich kurzych łapkach wokół moich oczu, wąskich ustach i piersiach, które utraciły swoją jędrność wiele lat temu. Szczupła sylwetka nie była zgrabną sylwetką. Fizycznie wypadałam przy Adzie blado.

Ona o tym wiedziała.

I ja też.

Otwierała usta, żeby coś powiedzieć, gdy usłyszałyśmy, że frontowe drzwi otwierają się, a dzwonienie kluczy było sygnałem, że Filip wrócił wcześniej, niż zapowiadał w swojej wiadomości.

Wtedy wydarzyło się coś niewiarygodnego.

Adrianna uderzyła się z otwartej dłoni w twarz, a następnie skrzywiła się płaczliwie i przywołała w oczach łzy. Wybiegła z kuchni tak szybko, że nie zdążyłam zareagować. Byłam osłupiała z szoku i przerażona tym, co stało się w ciągu zaledwie kilku sekund.

– Filip, jak dobrze, że jesteś! – Usłyszałam szloch z korytarza i poczułam, jak skręca mi się żołądek. – To jakaś wariatka! Uderzyła mnie!

– Uspokój się. Co się stało?

Ruszyłam za nią i już po chwili stałam w korytarzu i patrzyłam, jak oni znowu się przytulają.

Filip był wykończony i ledwo stał na nogach, lecz Adrianna kompletnie nie zwracała na to uwagi, zbyt skupiona na odgrywaniu swojego teatrzyku. Patrzyła na mnie z błyskiem szyderstwa w oku, zalewając się fałszywymi łzami. Popatrzyłam w przekrwione oczy Filipa ze strachem i błaganiem.

– Eliza, co się stało? – zapytał raz jeszcze, powoli i spokojnie.

– Ona udaje. Nic jej nie zrobiłam! – odpowiedziałam ostro.

– Nie kłam! Uderzyłaś mnie, gdy ci powiedziałam, że nadal go kocham! – pisnęła Adrianna. Wtuliła twarz w zagłębienie szyi Filipa i łkała spazmatycznie.

Czułam, jak z sekundy na sekundę słabnę. Z salonu wyszły dziewczynki, patrząc na całą sytuację szeroko otwartymi oczami.

– Wracajcie do pokoju – rozkazałam stanowczo, a one posłusznie wbiegły do pomieszczenia. Zamknęłam drzwi, nie chcąc, żeby oglądały tę przedziwną, nerwową sytuację.

Filip wyglądał tak, jakby poza zmęczeniem odczuwał wielką chęć zrzucenia z siebie drżącego ciała Ady. Patrzył na mnie bezustannie, nie okazując czułości swojej ekszynie. To nie było to samo, co widziałam w nocy. Teraz emanował z niego jakiś nieopisany chłód, chociaż nie obejmował oczu. Bo oczy, utkwione we mnie, wypełniało uczucie.

– Ada, poczekaj na mnie na górze – odpowiedział stanowczo, a ona pociągnęła nosem i otarła policzki, po czym przytaknęła i z udawanym bólem wspięła się po schodach na piętro. Filip

patrzył na nią, chcąc się upewnić, że weszła do któregoś z pokoi, a dopiero wówczas znów spojrzał na mnie.

– Nic jej nie zrobiłam – wyszeptałam od razu, patrząc prosto w oczy Filipa.

Przytaknął krótko i posłał mi smutne spojrzenie.

– Wiem. Ada jest manipulanką, ale liczyłem, że nie będziesz musiała się o tym przekonać – odpowiedział cicho, podchodząc do mnie bliżej. – Sprawiała ci przykrość?

Tak...

– To nie jest istotne – odpowiedziałam, machając ręką i odwracając wzrok. – Niebawem powinni przyjechać rodzice i zabrać dziewczynki, więc i ja będę się zbierać.

– Ale...

– Filip, zrobiło się tu cholernie tłoczno – mruknęłam ze znużeniem. – Poukładaj swoje sprawy i... wtedy będziemy myśleć, co dalej.

– Będzie jakieś dalej? – zapytał cicho, jak gdyby nie miał w sobie dość siły, żeby znów żywić się tylko nadziejami.

– Mam nadzieję, że tak.

Podszedł do mnie w trzech długich krokach i zanim zdążyłam zareagować, wpił się w moje usta z namiętnością, zachłannością, pragnieniem oraz całym swoim strachem o to, że znów moglibyśmy utracić to, co zdobyliśmy z tak niewyobrażalnym trudem.

Odwzajemniłam mu pocałunek, przekazując w ten sposób to, czego nie byłam jeszcze gotowa wypowiedzieć na głos.

Kocham cię i chcę mieć nadzieję, że będziemy razem. Boję się, bo ona nadal ma siłę, jakiej nie mam ja, ale wierzę i jeśli będzie trzeba, to zawalczę.

O ciebie.

O siebie.

O nas.



Dopiero po powrocie do domu pozwoliłam sobie na płacz. Płakałam, żeby wyrzucić z siebie wszystkie złe emocje. Płakałam, bo wierzyłam, że za chwilę poczuję się lepiej. Emilka przytuliła się do mnie z prawej strony, a Jaś z lewej i oboje pocieszali mnie w swój szczerzy, najwspanialszy dziecięcy sposób. Pytali, dlaczego płaczę, a ja odpowiadałam tylko, że czasem po prostu trzeba uronić kilka łez.

Jaś ocierał mi policzki, dwukrotnie wkładając mi palec do oka, co z kolei sprawiło, że całą trójką zaczęliśmy się śmiać.

Po południu zasiadłam z mamą przy herbacie, opowiadając jej o tym, jak Emilce i jej koleżankom minął wczorajszy wieczór. Pominęłam tę mało przyjemną część, która mogłaby ją tylko niepotrzebnie zdenerwować.

Wieczorem natomiast wpadła Ola, wnosząc do naszego domu nie tylko powiew chłodnego powietrza, ale i szczerzy uśmiech oraz nowe zdjęcia Amelki w pamięci swojego telefonu. Zasiadłyśmy przy kominku w salonie, a ona opowiadała mi o tym, jak cieszy się, że dotrzyмали Milenie towarzystwa, bo była wczoraj w mało pozytywnym nastroju. Nawet jej się nie dziwiłam.

– A u ciebie jak było? – zapytała, patrząc z uśmiechem w moje oczy, bo najwyraźniej spodziewała się jakiejś pikantnej opowieści.

Westchnęłam ciężko, a jej automatycznie zrzędnęła mina.

– Wszystko przebiegało wspaniale do momentu, gdy do drzwi zapukała była żona Filipa...

Ola pobladła, wpatrując się we mnie oczami wielkimi jak pięćdziesiątówki.

– Co?! Jaka była żona?! Skąd się wzięła w Lilecku?!

– Nie wiem. Od jakiegoś czasu wydzwaniała do Filipa i w jakiś sposób go wysłodziła... – odparłam bezbarwnym głosem, upijając łyk ciepłej herbaty z sokiem z kwiatów czarnego bzu.

Opowiedziałam Oli o sytuacji z dzisiejszego poranka, opisując teatr, jaki odegrała Adrianna, i od razu wyjaśniłam, że Filip jej nie uwierzył.

– Zakłamana flądra! – oburzyła się. Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Co on teraz robi?

Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam. Ten dzień był ciężki, bo wiedziałam, że kilkaset metrów dalej on znajdował się w domu ze swoją byłą żoną, a ja nic nie mogłam zrobić. Nie napisał do mnie przez cały dzień, nie zadzwonił. Cisza z jego strony wydawała się złowroga, złowróźbna, przerażająca...

Zatruwała mi myśli, odbierała apetyt, pobudzała paniczną tęsknotę i myśli o tym, jak przeżyję moment, kiedy Filip powie mi, że między nami koniec.

Tyle że on podobno nie chciał żadnego końca. Liczył na ciąg dalszy tak bardzo jak ja.

Tej ostatniej myśli powinnam się trzymać niczym tonący brzytwy, lecz to było tak cholernie trudne...

– Ona będzie chciała do niego wrócić. Nie bez powodu go odszukała... – wyszeptałam cicho.

W tej właśnie chwili zabrzączał mój telefon. Wychyliłam się i sięgnęłam po komórkę, która leżała na stoliku kawowym. Wiadomość od Filipa.

Serce wykonało mi w piersi koziołka, lecz zaraz ścisnęło się ze strachu.

Chciałbym z Tobą porozmawiać. To ważne. Możemy się spotkać?

Bez słowa pokazałam wiadomość Oli, a ona rzuciła mi znaczące spojrzenie w odpowiedzi.

– Czy tylko mi się wydaje, czy ten SMS brzmi źle? – zapytałam cicho, patrząc na Olę tak, jakby mogła mi udzielić wszystkich odpowiedzi, zanim stanie się to, co w mojej opinii i tak się musiało stać.

– Chce pogadać. To może oznaczać tyle, że ogarnął swoją stukniętą byłą żonkę i posłał ją do diabła, a ciebie pragnie szybko o tym poinformować – odpowiedziała Ola, patrząc na mnie z psotnymi ognikami w oczach.

Posłałam jej gorzkie spojrzenie, kręcąc głową.

– Nie liczę na nic...

– Cicho bądź! Odpisz mu lepiej!

Jutro około 9.00 w kawiarni Na rogu? Odwożę Jasia do przedszkola, będę miała czas.

Wiadomość od Filipa przyszła niemal od razu.

Pasuje. Do zobaczenia.

A po sekundzie dotarła kolejna o treści:

Kocham cię.

– Widzisz? Kocha. Nie zostawi cię dla tej zakłamaney flądry – powiedziała Ola z szerokim uśmiechem.

Przez krótką chwilę pławiłam się w tej pewności, czując, że wsparcie z jej strony jest wprost bezcenne.



Następnego dnia udałam się w umówione miejsce na spotkanie z Filipem. Odprowadziłam Jasia do przedszkola, rozmawiając chwilę z Kamilą, która opowiadała mi, że tego dnia planują plastyczne zajęcia z motywem zimowym. Mój

synek był wyraźnie uradowany i chętny do współpracy, co napawało mnie odrobiną spokoju.

Zamówiłam sobie czarną parzoną kawę, wypatrując sylwetki Filipa przez udekorowaną szronem witrynę.

Czekałam najpierw spokojnie, lecz gdy minęło dziesięć minut, zaczęłam odczuwać pewien rodzaj niepokoju. Wyciągnęłam telefon i zerknęłam na wyświetlacz, lecz nie czekała na mnie żadna wiadomość czy połączenie, którego mogłabym nie usłyszeć. Postanowiłam, że poczekam jeszcze kwadrans, lecz jakiś dziwny ciężar w żołądku i posmak goryczy w ustach podświadomie podpowiadały mi, że on się nie pojawi.

Zaciskałam palce na komórce, biorąc pod uwagę opcję, żeby po prostu do Filipa zadzwonić, lecz ostatecznie zrezygnowałam, myśląc o tym, że pewnie jest z Adrianną. Dopiąłam kawę machinalnie, bez typowego dla mnie rozkoszowania się zapachem i smakiem. Wyszłam i otuliłam się wełnianym szalem, żeby ochronić twarz przed zimnymi podmuchami wiatru.

Skierowałam się w lewą stronę, bo tam zaparkowałam samochód, gdy usłyszałam krzyk za plecami:

– Eliza!

Odwróciłam się, patrząc na biegnącego w moim kierunku Filipa.

Stanął przede mną i wziął głęboki oddech.

– Przepraszam, że się spóźniłem. Ada... ona miała dziś wizytę u adwokata. Jest sporo rzeczy, które chcę z tobą omówić. Wrócisz ze mną do kawiarni? – zapytał, patrząc na mnie roziskrzonymi, pięknymi oczami.

Coś w jego tonie i wyrazie twarzy sprawiło, że nie mogłam mu odmówić. Przytaknęłam tylko i oboje weszliśmy ponownie do ciepłego wnętrza pachnącego kawą i cynamonowym ciastem.

Zajęliśmy ten sam stolik, który przed chwilą opuściłam. Dziewczyna zza lady uśmiechnęła się do mnie, a po chwili podeszła i zebrała nasze zamówienia. Poprosiłam o herbatę z imbirem. Filip zdecydował się na mocną kawę.

Z rozpoczęciem rozmowy poczekał do chwili, gdy filiżanki znalazły się przed nami. W ten swój uprzejmy sposób podziękował obsługującej nas dziewczynie i wtedy spojrzał na mnie z poważną miną.

Wyglądał nieziemsko w ciemnogrnatowym swetrze wkładanym przez głowę, z zarumienionymi policzkami i błyszczącymi oczami. W jego spojrzeniu nie było jednak bez troski oraz radości. Dominowało raniące serce zagubienie.

– Nie wiem, od czego zacząć... – powiedział, biorąc głęboki oddech. – Wczoraj zadzwonił do mnie Stanisław.

– Och... – wyszeptałam raptownie, czując, jak serce zaczyna bić mi szybciej.

– Powiedział, że Elżbieta jest gotowa na rozmowę ze mną. Kilka dni temu przyznała mu się do znajomości z moim ojcem i ciąży, w której była, zanim się poznali. On jednak nie wyznał jej, że już wcześniej o tym wiedział. Płakała przez wiele godzin, bojąc się, że ją porzuci, ale gdy ją przytulił, to obiecała, że ze mną porozmawia, bo jest mi to winna. – Filip przetarł twarz dłonią i ostrożnie upił łyk parującej kawy. – Boję się tego jak cholera... Nie będę cię oszukiwał, że jest inaczej. Kompletnie nie znam tej kobiety i nie mam pojęcia, czego spodziewać się po tej rozmowie. Chciałbym, żebyś ze mną była... Po prostu tego potrzebuję.

Patrzyłam na niego z powagą, czując ciężar w okolicy serca. Wiedziałam, że Filip będzie chciał mieć mnie przy sobie podczas spotkania z Elżbietą. Znałam tę kobietę od lat, potrafiłam w pewnych kwestiach ją przejrzeć, a poza tym... chodziło też pewnie o wsparcie. Po prostu.

– Będę ci towarzyszyć, oczywiście, ale wiesz, że pewne rzeczy i tak muszą się wydarzyć, prawda? Tego się po prostu nie uniknie – odpowiedziałam cicho, obejmując dłońmi filiżankę z herbatą, żeby zająć czymś ręce.

Przytaknął z ponurą miną.

– Chcą się spotkać w sobotę o trzynastej. U nich w domu.

Wzięłam głęboki oddech, patrząc na niego intensywnie. Widziałam w jego oczach zagubienie, strach i niepewność, ale żadne inne uczucia nie byłyby bardziej szczerze w obecnej sytuacji. Ten mężczyzna miał za kilka dni po raz pierwszy porozmawiać z własną matką, która go nie chciała. Każdy, nawet największy twardziel, wymiękłby w takiej sytuacji.

Mimo ogromnych chęci nie byłam w stanie wyobrazić sobie jego emocji.

– Ela jest dość specyficzną kobietą – rzekłam, kręcąc młynka kciukami. – Z jednej strony bardzo otwarta na ludzi, a z drugiej w wielu kwestiach tak niepoprawna, roztrzepana, czasem wręcz dociekliwa i nieprzyjemna. Po śmierci Artura ona i Stanisław zerwali ze mną kontakt na trzy lata, wiesz? Ela obwiniła mnie o to, że nie zrobiłam nic, żeby odciągnąć jej syna od motocyklowej pasji... Jakby w ogóle ktokolwiek był w stanie to zrobić – powiedziałam gorzko, parszcząc krótko przy ostatnim zdaniu. – Emilka pamiętała ich dość mgliście, natomiast dla Jasia byli kompletnie obcymi ludźmi, gdy przyjechali do domu moich rodziców po raz pierwszy po śmierci Artura...

– Nie pomyśleli, że ty też cierpisz i że potrzebujesz wsparcia z ich strony?

Pokręciłam przecząco głową.

– Byli za bardzo skupieni na swoim własnym bólu.

Nozdrza Filipa zafalowały, gdy jego twarz wykrzywiła się w grymasie złości. Ja ten etap miałam już dawno za sobą. Przerobiłam gniew, nienawiść, obojętność... Potrzebowałam

czasu, żeby zrozumieć sytuację Eli i Stanisława – rodziców, którzy stracili syna. Jeśli obarczanie mnie winą było w stanie chociaż odrobinę ukoić ich ból, to po jakimś czasie uznałam, że jakoś sobie z tym poradzę.

– Postanowiłem, że jeśli rozmowa nie będzie szła zbyt dobrze, to po prostu wstanę, podziękuję jej i wyjdę. Przyjechałem tutaj z postanowieniem odszukania matki i poznania ciebie. Próba rozmowy z nią będzie wypełnieniem postanowienia. Wiem, że nigdy nie nazwę jej „mamą”, bo dla mnie jest obcą kobietą, która kiedyś wydała mnie na świat. Chcę po prostu podjąć próbę. Myślę, że mój ojciec też tego chciał. W przeciwnym razie nie powiedziałby mi tego wszystkiego przed śmiercią...

Wzruszenie chwyciło mnie za gardło, gdy po raz kolejny pomyślałam o tym, jak Filip musiał czuć się samotny po odejściu taty. Wyciągnęłam dłoń i zacisnęłam ją na jego palcach, pragnąc, żeby poczuł się przeze mnie wspierany.

Przez kilka chwil po prostu milczeliśmy, czasem patrząc sobie w oczy, a innym razem rozglądając się po wnętrzu kawiarni. Cisza między nami była swobodna, pozbawiona tej niezręczności, która wielokrotnie występuje między ludźmi. Podobno komfortowo milczeć w swoim towarzystwie potrafili tylko ci, którzy byli sobie bliscy.

– Chciałem z tobą jeszcze porozmawiać o mojej byłej żonie...
– wyszeptał Filip, a ja skrzywiłam się raptownie i szybko podniosłam filiżankę to ust, żeby on tego nie zobaczył. – Rozmawiałem z nią dość długo i wreszcie wszystko mi wyznała... Po naszym rozwodzie związała się z mężczyzną, który wpędził ją w kłopoty finansowe, a dwa tygodnie temu zniknął bez śladu z całą gotówką, jaką posiadała. Komornik już jakiś czas temu wszedł jej na konto bankowe, a nie na mieszkanie, jak wcześniej myślałem. Wyłączyli jej prąd i wodę, a ona musi spłacać długi tego faceta... Poprosiła mnie o pomoc, bo znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Słowa Filipa przetaczały się przez mój umysł, wprowadzając do niego mrok i zwątpienie w jego zdrowy rozsądek. Myślałam o tej zgrabnej kobiecie, która tak kłamała przed Filipem na mój temat. Porównywałam ją z tą płaczącą kupką nieszczęścia, którą zobaczyłam w objęciach byłego męża.

Patrzyłam na siedzącego przede mną mężczyznę, lecz nie do końca wiedziałam, co należałoby powiedzieć, żeby nie wyjść na bezduszną, ogarniętą nienawiścią sukę. Smutek, z jakim Filip mi to opowiadał, sprawiał, że skóra cierpła mi na ciele od poczucia zbliżających się kłopotów.

Podrapałam się pod okiem i upiłam łyk ciepłej herbaty, grając na zwłokę.

Wreszcie przytaknęłam. Powoli i bez patrzenia Filipowi w oczy.

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytał w końcu.

– Nie do końca wiem, co powinnam powiedzieć...

– Muszę jej pomóc, Eliza. To moja była żona. Ma olbrzymie kłopoty, znalazła się w jakiejś finansowej ślepej uliczce... – szeptał gorączkowo, chcąc mnie przekonać do swoich racji.

Uniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy. Wzruszyłam chłodno ramionami, czując, jak ściska mi się serce na widok bólu wykrzywającego jego twarz.

– Nie ufam jej. Ty też nie powinieneś – odparłam stanowczo, znów zbliżając filiżankę do ust. – Twierdziłeś, że ma sobie radzić sama.

– Wiem, że zachowała się źle wobec ciebie, ale to nie ma nic wspólnego z...

– Chcesz wiedzieć, jak to się skończy? – zapytałam, wchodząc mu brutalnie w słowo. – Będzie grała przed tobą poszkodowaną owieczkę tak długo, aż nie spłacisz jej długów. Omota cię, między nami wszystko się rozpadnie, a kiedy upewni się, że nie stanowię zagrożenia, znów będzie cię zwodzić.

Zobaczyłam, jak zacisnął mocno usta, a mięsień na jego szczęce zadrgał w jakiś złowrogi sposób.

– Nie powinnaś jej tak oceniać...

O mały włos nie zadławiłam się przetykanym właśnie łykiem herbaty.

Czułam się, jakby w każdy milimetr mojego ciała ktoś bezdusznie wbijał miliony malutkich szpileczek. Bronił jej!

– Och, tak, masz rację, nie powinnam... – odparłam drwiąco, odstawiając filiżankę z resztką herbaty na dnie. – To są tak właściwie twoje sprawy. Wasze sprawy. Mnie nic do tego – dodałam, wstając z krzeselka i przewieszając torebkę przez ramię.

Filip spojrzał na mnie z niedowierzaniem, otwierając usta, żeby coś powiedzieć. Posłałam mu smutny, wymuszony uśmiech, czując całą sobą, że niechcący zapuściłam się w rejony, które nigdy nie powinny znaleźć się w moim zasięgu, jeśli chciałam żyć chociażby tak spokojnie, jak ostatnimi czasy.

– Eliza...

– Nie martw się. Pojadę z tobą na spotkanie z Elą – rzekłam na odchodnym, po czym podeszłam do wieszaka, nałożyłam płaszcz oraz szal i wyszłam, nie oglądając się za siebie.

Zawołał za mną raz jeszcze, lecz nie zareagowałam, chociaż moje serce rwało się do niego jak szalone.



Rozmowa była mi potrzebna, więc ucieszyłam się, że udało mi się zastać w kawalerce mojej siostry także Olę. Zdążyły wrócić

z krótkiego spaceru i właśnie ostrożnie rozbierały z zimowych ubranek śpiącą smacznie Amelkę.

– Wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Co się stało? – zapytała Milena, gdy rozsiadłam się na jej łóżku i odebrałam kubek z drugą herbatą dzisiejszego dnia.

– Niech zgadnę... Problem tyczy się pani Flądry, prawda? – wtrąciła Ola, unosząc brwi i siadając obok mnie.

Milena stanęła przy parapecie z kubkiem w dłoniach, czekając na moją opowieść.

– Spotkałam się z Filipem, a on najpierw powiedział, że Ela jest gotowa z nim porozmawiać. Chce, żebym towarzyszyła mu podczas tej rozmowy. Zgodziłam się, bo wiem, jakie to dla niego trudne – powiedziałam z ciężkim westchnieniem, wpatrując się w swoje dłonie. – Później opowiedział mi o Adriannie i jej problemach finansowych, spowodowanych przez faceta, z którym się związała po ich rozwodzie. Filip zamierza jej pomóc, rozumiecie to?! Chyba chce spłacić jej długi, bo przecież kiedyś sporo ich łączyło – wycedziłam z goryczą, czując dławienie w klatce piersiowej na myśl o tym wszystkim.

– Czy on upadł na głowę? – wyszeptała z niedowierzaniem Ola, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Najwyraźniej... – mruknęła Milena. Odłożyła kubek na parapet i zabrała się do prasowania stosu ubranek Amelki.

Zawsze gdy dopadała ją nerwowość, zajmowała się prasowaniem, bo podobno to niezawodnie ją uspokajało.

– Może nadal ją kocha...

– A przestań, Eliza! Kocha ciebie! – fuknęła Ola, gromiąc mnie spojrzeniem. – To, jak ten facet na ciebie patrzy... Nie masz pojęcia, naprawdę – dodała z mocą, utrzymując ze mną intensywny kontakt wzrokowy.

Poczułam, jak policzki oblewają mi się rumieńcem, bo automatycznie zaczęłam myśleć o tych niesamowitych iskrach,

które nie raz pomiędzy nami przeskakiwały. Zaraz jednak wyparłam to z umysłu i skupiłam się na mało wesołych faktach.

– Pogadam z nim. Co ty na to, Eliza? – zapytała Milena z bojową miną.

– Nie. Przyjechałam wam się wyżalić w tajemnicy. Nie chcę, żebyś go o to dręczyła...

Nienawidziłam uczucia bezsilności, ale dopadło mnie tak po prostu, kompletnie z zaskoczenia. Moja opowieść bardzo obniżyła poziom radości i szczęścia w kawalerce Mileny, bo zarówno Ola, jak i Milena nie mogły przestać złorzeczyć pod adresem Adrianny Buczkowskiej, a czasem także Filipa.

Ogromna część mojego serca chciała go bronić, wstawić się za nim, powiedzieć, że to wcale nie tak... Oszukiwałam samą siebie, bo było dokładnie tak, jak im opisałam. A ich złość była tak naprawdę moją złością.

Atmosfera uległa polepszeniu, gdy malutka Amelka zaczęła kwilić w łóżeczku, domagając się zainteresowania. Wzięłam ją na ręce i nakarmiłam z butelki, żeby Milena nie musiała przerywać prasowania. Ola pomagała jej, składając ubranka i chowając w szafie. Ja patrzyłam jak urzeczona w duże oczy siostrzenicy, uśmiechając się do niej i szepcząc czule słowa płynące prosto z serca.

Opuszczałam kawalerkę siostry z głową pełną najróżniejszych myśli oraz mnożącymi się bez kontroli pytaniami o to, jak będzie wyglądała moja przyszłość.



Nie zadzwonił. Nie napisał. Telefon milczał przez całą środę, jakby ktoś rzucił na niego czar. W czwartek tak samo nie otrzymałam żadnego znaku życia z jego strony, a każda myśl o tym, że nie kontaktuje się ze mną, bo jest z nią, raniła moje serce na wiele brutalnych sposobów.

Dopiero w piątek rano otrzymałam wiadomość z pytaniem, czy ma po mnie przyjechać. Odpisałam, że spotkamy się na miejscu. Bałam się znaleźć z nim sam na sam w niewielkiej przestrzeni samochodu, obawiając się, że tym razem milczenie wcale nie będzie komfortowe, a próba rozmowy mogłaby zakończyć się kłótnią.

Od momentu przebudzenia czułam niesłabnący ból żołądka. Strach paraliżował moje myśli niemal bezustannie, więc dwa razy bardziej musiałam skupiać się podczas jazdy, kiedy odwoziłam Jasia do przedszkola. Ola zadzwoniła, chcąc się upewnić, czy na pewno dobrze zapamiętała godzinę umówionego spotkania z Elą. Milena napisała mi pokrzepiający SMS, deklarując, że będzie cały czas trzymać za nas kciuki.

Dziś świat Filipa miał się nieodwracalnie zmienić. Dziś miał poznać odpowiedzi na pytania, które nosił w sercu przez całe swoje życie. Nie wiedziałam, jak się czuł i co myślał. Wiedziałam natomiast, że ja byłam drżącym kłębkim nerwów. Wskazówki zegara przesuwwały się nieubłaganie, przeskakując z godziny na godzinę i przybliżając nas do spotkania z Elżbietą.

Dopiero dzisiaj zaczęłam się zastanawiać, jak właściwie powinnam się zachować. Czy być milczącym słuchaczem występującym w roli wsparcia mentalnego dla Filipa? A może oskarżycielem, który za pomocą brutalnych słów prawdy wydobędzie z Elżbiety wszystkie trudne i wstydlive dla niej wyznania?

Przypomniałam sobie zawód na twarzy Stanisława, gdy rozmawialiśmy po raz ostatni. Nie wyglądał na zadowolonego z tego, jak zachowałam się w stosunku do mojej teściowej. Właściwie trudno mu się dziwić... Cała sytuacja wymknęła mi się wówczas spod kontroli.

Mama zauważyła moją nienaturalną nerwowość i zapytała, czy coś się stało. Odpowiedziałam tylko, że jadę na ważne spotkanie, lecz postanowiłam na razie nie wtajemniczać jej w szczegóły. Po części z obawy przed tym, jak mogłaby to znieść.

Kwadrans po godzinie dwunastej wsiadłam do mojego starego forda, zapięłam pas i zapatrzyłam się przed siebie. Bałam się tak bardzo, że momentami nie mogłam zapanować nad drżeniem całego ciała. Zerknęłam w lusterko wsteczne i wyjechałam z podwórka, opuszczając Lilecko z przekonaniem, że wrócę tu pod pewnymi względami nieodwracalnie odmieniona.

Samochód Filipa stał już pod posesją Bieleckich, gdy ja tam zaparkowałam. Uśmiechnął się do mnie krótko, gdy oboje wysiedliśmy z samochodów. Nie mówiliśmy nic, bo jakiegokolwiek słowa wydawały się zbędne.

Dom Eli i Stanisława był piękny i zachwycający pod niemal każdym względem. Nie oszałamiał wielkością, ale wykończeniem i niekrzykliwym bogactwem już tak.

Szliśmy ramię w ramię po brukowanym podejździe, a serce waliło mi w piersi tak bardzo, jakby miało za moment wyskoczyć na ziemię i potoczyć się w kierunku niezbyt ruchliwej ulicy. Filip miał zaciśnięte wargi, w dłoni trzymał jakąś prostą, czarną teczkę i wpatrywał się przed siebie.

Bałam się go dotknąć, bo czułam, że jeden niewłaściwy ruch mógłby go wytrącić z tej wątej równowagi, jaką udało mu się osiągnąć.

Stanęliśmy przed pięknymi dwuskrzydłowymi drzwiami wejściowymi, a ja powoli, jak gdyby z wahaniem i ostrożnością, nadusiłam przycisk dzwonka. Usłyszeliśmy, jak niesie się po domu. Nogi drżały mi w kolanach...

Lewe skrzydło otworzyło się, a naszym oczom ukazała się doskonale znana postać Stanisława. Skinął głową w moim kierunku, uścisnął dłoń Filipowi. Wpuścił nas do środka, unikając kontaktu wzrokowego, który mógłby nas ze sobą nieco bardziej spoufalić. Wydawał się oddalony, obcy i tak samo przerażony jak my.

Wskazał nam dłonią kierunek, a my powoli ruszyliśmy. Stukot moich obcasów uświadomił mi, że powinniśmy byli zdjąć buty przy wejściu. Szalejący wir myśli odbierał mi zdolność bycia typową sobą. Dziś nie przypominałam Elizy Bieleckiej. Ani tej z życia Artura, ani tej z życia po Arturze.

Elżbieta siedziała na długiej, skórzanej kanapie z dłońmi stulonymi na podołku i wzrokiem wbitym w przeszklony blat stolika kawowego. Ogień szalał w ogromnym kominku, a w tle leciał jakiś program telewizyjny z kilkudziesięciocalowego telewizora. Ela drgnęła, gdy nas dostrzegła, i przez pełną napięcia chwilę wpatrywała się we mnie, żeby za moment przesunąć spojrzenie na Filipa i zastygnąć bez tchu na jego widok.

Po raz pierwszy go zobaczyła. Tak naprawdę. Świadomie. Prawdziwie.

– Rozgoście się – powiedział Stanisław zza naszych pleców. Machinalnie zdjęliśmy płaszcze, a on je od nas odebrał. Zasiadliśmy na drugiej kanapie, dokładnie naprzeciwko Eli. – Napijecie się czegoś?

Jednogłośnie odmówiliśmy.

Czułam napięcie emanujące od Filipa, a sama byłam tak przerażona, że stres przed maturą i egzaminami na studiach nie mógł się z tym równać. Patrzyłam na Elę, która nie

przestawała wpatrywać się w Filipa, i gorączkowo oczekiwałam powrotu Stanisława.

Wszedł niemal bezszelestnie i zasiadł obok swojej żony, jakby chciał ją przed nami chronić.

– Prędzej czy później musiało do tej rozmowy dojść – zaczął swoim spokojnym, niskim głosem, patrząc raz na mnie, a raz na Filipa. Na koniec spojrział w oczy Eli. – Minęło wiele lat. Myślę, że oboje macie sobie coś do powiedzenia...

Na salon opadła ciężka zasłona milczenia, która wydusiła mi z płuc resztki powietrza. Zerknęłam kątem oka na Filipa, który wpatrywał się w swoje splecione dłonie, a mięsień na jego szczęce drgał złowrogo.

– Filipie... – Głos Eli uderzył w nas niczym grom z jasnego nieba. Oboje poderwaliśmy głowy, patrząc na nią w zdumieniu i przerażeniu. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby była tak krucha, przerażona i niepewna siebie jak dziś. Nawet po śmierci Artura wyglądała jakoś silniej. – Pewnie masz do mnie mnóstwo pytań, a ja jestem ci winna odpowiedzi. To dla mnie trudne, bo minęło trzydzieści osiem lat, ty jesteś dziś dorosłym mężczyzną, a ja mam u swojego boku męża. Czuję na sobie wzrok mojej synowej, która słusznie mnie potępia... – wyszeptała, patrząc prosto w oczy Filipa. Jego ciało było naprężone do granic możliwości, jakby w każdej chwili szykował się do ucieczki.

Odchrząknął, poruszył się nerwowo i sięgnął po teczkę, którą przyniósł ze sobą. Wyciągnął ze środka dokumenty. Dostrzegłam akt urodzenia, jakiś pożółkły list, zaświadczenie o grupie krwi, świadectwo szkolne z pierwszej klasy szkoły podstawowej oraz dzienniczek z uwagami i usprawiedliwieniami zapisany ręką jego taty. Na koniec sięgnął po portfel i spomiędzy przegródek wyjął zdjęcie – to, które przedstawiało Elżbietę i Jacka w młodości. To, które mi pokazał, gdy dowiedziałam się całej prawdy.

Patrzyłam, jak przesuwana wszystko w kierunku Elżbiety. Jej pobladła twarz i pogłębiające się wokół oczu zmarszczki świadczyły o ogromnych emocjach. Dłoń jej drżała, gdy powoli przeglądała dzienniczek Filipa, świadectwo, akt urodzenia i zaświadczenie o grupie krwi. List zostawiła na koniec. Podobnie jak zdjęcie.

Nikt z nas nie śmiał nawet głębiej odetchnąć, bo wszyscy baliśmy się, że to kruche opanowanie posypie się jak domek z kart. Ja i Stanisław byliśmy tylko postronnymi obserwatorami, a cała emocjonalna walka toczyła się na linii biologicznej matki i porzuconego syna. To oni musieli spróbować nawiązać chociaż najmniejsze porozumienie.

W oczach Elżbiety zalśniły łzy, gdy przeczytała pożółkły list. Przycisnęła dłoń do serca, a jej rozchylone lekko wargi z trudem pobierały kolejne hausty powietrza. Żołądek ścisnął mi się do bólu, gdy patrzyłam, jak drży jej broda...

Wreszcie zdecydowała się wziąć w palce stare zdjęcie. Swoje i Jacka. Patrzyła na nie długo i bez tchu, jej twarz była paletą najróżniejszych emocji, a z oczu w końcu potoczyły się łzy. Wielkie, pełne żalu i bólu, tęsknoty i świadomości tego, że przeszłość, chociaż przemija, pozostawia po sobie niezatarte ślady.

Spojrzałam na Filipa, a on w tej samej chwili spojrzał na mnie. Był rozdarty. Zraniony i poruszony, a z drugiej strony zdecydowany, żeby uzyskać wyjaśnienia. Odszukałam jego dłoń i splotłam nasze palce, bo chciałam, żeby wiedział, że z nim jestem. Ja. Nie Adrianna. Nie żadna inna.

Elżbieta trzymała zdjęcie w palcach i nie zamierzała go odłożyć. W końcu uniosła wzrok i popatrzyła na Filipa ze smutnym uśmiechem.

– Tak. To ja – przyznała cicho, biorąc głęboki oddech. – Wyjechałam wtedy do Gdańska, do wakacyjnej pracy. Chciałam zarobić na studia, poczuć się wolna... Moi rodzice

byli średnio zamożni, ale chcieli dla mnie najlepszego życia. Byłam ich jedyną córką, więc postawili sobie za punkt honoru, że ustawią mnie tak, bym nigdy nie musiała martwić się o pieniądze. Właśnie dlatego wybrali mi za męża Stanisława – wyszeptala, zerkając na siedzącego obok niej mężczyznę i uśmiechając się w taki sposób, jakby prowadzili niewerbalną rozmowę, którą tylko oni rozumieli. – Jadąc do pracy, wiedziałam, że jest ktoś, kto został mi wybrany. Chciałam jednak po raz ostatni zażyć wolności i dlatego tak chętnie padłam w ramiona Jacka. Był taki przystojny, a do tego niesamowicie sympatyczny i szczery. Lubiłam jego beztroskę, nutkę szaleństwa i odwagę. Zabierał mnie na wycieczki, zaskakiwał, rozkochiwał. Był moim pierwszym zauroczeniem i dlatego zdecydowałam się oddać mu moje dziewictwo. Wizja ślubu z wybranym chłopakiem bardzo mnie odrzucała, a myśl, że oddam się komuś, kogo nigdy nie zaakceptowałiby moi rodzice, była niesamowicie ekscytująca. – Jej szczerość zaskakiwała mnie ze zdania na zdanie, lecz oboje z Filipem siedzieliśmy bez ruchu, spijając kolejne słowa z jej ust. – Wystarczył jeden raz z Jackiem, a ja pod koniec września zorientowałam się, że jestem w ciąży. Powiedziałam mu o tym z rozpaczą i strachem, prosząc o pomoc. On odpowiedział, że chce tego dziecka, a jeśli ja nie chcę, to on sam je wychowa. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak ogromny był gniew moich rodziców, gdy wróciłam do domu i im powiedziałam. Tata krzyczał, mama szlochała w kącie, studia stanęły pod znakiem zapytania...

Stanisław słuchał tej historii z obojętnym wyrazem twarzy, lecz uśmiechnął się pokrzepiająco, gdy Ela spojrzała na niego błagalnie, jakby prosiła o otuchę. To było niesamowite... Mówiła o swojej mało chlubnej przeszłości w jego towarzystwie, a on potrafił ją jeszcze pocieszać, nie czując bólu czy żalu.

– Miałam być lekarzem. Zamiast tego znalazłam się na porodówce szpitala w Gdańsku, ale nie jako lekarz, lecz rodząca w bólach pacjentka. Pojawiłeś się na świecie i krzyczałeś tak głośno... – powiedziała, patrząc Filipowi w oczy z nostalgicznym uśmiechem. – Dwa dni później opuściłam szpital z tobą na rękach, a Jacek już czekał na parkingu. Oddałam mu ciebie, w myśl umowy, jaką zawarliśmy. Zapytał, czy chciałabym nadać ci imię. Odmówiłam. Powiedziałam, żeby nigdy więcej się ze mną nie kontaktował, odwróciłam się i odeszłam, a jeszcze tego samego dnia dotarłam do Wrocławia, gdzie kilka miesięcy później poślubiłam Stanisława, a następnie urodziłam drugiego syna, Artura. Tylko ja i moi rodzice wiedzieliśmy, że ty byłeś pierwszy – wyszeptała z mieszaniną bólu i wstydu, nie spuszczać wzroku z twarzy Filipa.

Nie mam pojęcia, w którym momencie zaczęłam płakać, ale łzy toczyły się po moich policzkach bez kontroli, jakby wreszcie wezbrały poza krawędź stojącej na przeszkodzie zapory. Analizowałam w głowie opowieść Elżbiety, czując, jak rani ona moje serce raz za razem.

Zapytał, czy chciałabym nadać ci imię. Odmówiłam.

Och, Boże... Ona naprawdę postąpiła tak bardzo, bardzo źle. Była młoda, ale nawet przez chwilę nie mogłam rozpatrywać kwestii jej wieku jako usprawiedliwienia dla tego, co zrobiła. Myślałam o Jacku, tym młodym chłopaku, który został na szpitalnym parkingu z noworodkiem na rękach. Myślałam o Elżbiecie, która odeszła i nie odwróciła się za siebie. Myślałam o maleńkim Filipie, który nigdy nie poczuł magii matczynej miłości.

– Czy chociaż raz o mnie pomyślałaś? – wycharczał Filip przez zaciśnięte gardło, patrząc na Elę oczami pełnymi łez. Jego sztormowe tęczęwki były teraz pełne bólu i rozpacz.

Siedząca przed nami kobieta przytaknęła powoli, lecz szybko odwróciła wzrok i wbiła go w trzymane pomiędzy palcami zdjęcie.

– Tak – potwierdziła cicho. – Myślałam o tobie. Początkowo każdego dnia, ale gdy pojawił się Artur, to było tych myśli coraz mniej... Dzień Dziecka, twoje urodziny, wakacje... To mi przypominało, że gdzieś w Polsce żyje chłopiec, którego wydałam na świat – przyznała z brutalną szczerością i wstydem, który był bardzo słuszny w świetle jej raniących słów.

– Dlaczego nigdy nie pomyślałaś, że ja i Artur chcielibyśmy się poznać, gdybyśmy tylko o sobie wiedzieli?

Ramiona Elżbiety lekko drgnęły, jakby chciała nimi wzruszyć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Popatrzyła krótko na Stanisława, a on skinął jej głową. Po raz kolejny dali sobie jakiś zrozumiwały tylko dla nich sygnał.

– Ty byłeś dzieckiem z błędu, Filip. Artura urodziłam, będąc już mężatką. Miałam przy sobie bogatego mężczyznę, który dbał o mnie i o syna. Jacek kojarzył mi się tylko z wakacyjną odskocznią, zauroczeniem, które w świetle prawdziwego życia po prostu przeminęło. Skupiałam się na mojej rodzinie, a gdy wreszcie zrozumiałam, że niespodziewanie pokochałam tego wybranego mi przez rodziców mężczyznę, zdecydowałam, że nie zburzę naszego spokoju wspomnieniami o tobie i Jacku – odpowiedziała bezbarwnym głosem, raniąc Filipa do żywego.

Widziałam, jak opuścił głowę, zacisnął mocno oczy i wciągnął powietrze przez nos. Po chwili je wypuścił, oparł dłonie na kolanach i wstał gwałtownie, jakby kanapa zaczęła go parzyć. Przetarł twarz dłonią, spojrzął w sufit i zaczął miotać się po pomieszczeniu. Na swój sposób starał się poradzić sobie z bólem po słowach swojej biologicznej matki...

Ty byłeś dzieckiem z błędu, Filip...

Ty byłeś dzieckiem z błędu, Filip...

Ty byłeś dzieckiem z błędu, Filip...

Te słowa rezonowały mi w głowie z mocą, która zdawała się rozsadzać czaszkę. Popatrzyłam na moją teściową dokładnie w momencie, gdy i jej wzrok skupił się na mnie.

– Jak mogłaś zostawić niemowlę w rękach ojca i po prostu odejść? Jak?! – warknęłam niespodziewanie, zdając sobie sprawę, że po jej ostatnich słowach moje hamulce całkowicie puściły. Z oczu wylewały mi się gęste potoki nienawiści, a ciało było napięte do granic możliwości, jak gdybym powstrzymywała się przed doskoczeniem do niej.

– Byłam jedyną córką moich rodziców. Oni tak wiele ode mnie oczekiwali. Wychowywali mnie w przeświadczeniu, że zostałam stworzona do życia w bogactwie, a ciąża z prostym chłopakiem poznanym podczas wakacji całkowicie przeczyła temu, co mi wpajali. Byłam przerażona do szpiku kości, rozczarowana samą sobą i zdruzgotana wizją pokrzyżowanej przyszłości. Zostałam napiętnowana przez rodziców, a moja deklaracja, że dziecko zniknie z mojego życia zaraz po urodzeniu, wcale nie umniejszała ich rozgoryczenia. Oni tak bardzo się bali, że Stanisław mnie nie zechce, jeśli wyjdzie na jaw, że byłam w ciąży. Po części zostałam zmuszona do porzucenia Filipa, ale prawda jest też taka, że sama tego chciałam, bo nie dostrzegałam dla siebie innego wyjścia z sytuacji – powiedziała spokojnie, opuszczając wzrok, gdy moja twarz wykrzywiła się w niekontrolowanym grymasie obrzydzenia.

Nosiła Filipa pod sercem przez dziewięć miesięcy i nazywała to „sytuacją”.

Była tak podła...

– Strata Artura niczego ci nie uświadomiła? – powiedziałam z niedowierzaniem, kręcąc głową. – Straciłaś syna, którego kochałaś, ale nawet to nie sprawiło, że zechciałabyś odszukać tego pierwszego i porozmawiać z nim?

– Po śmierci Artura od razu pojawiła się myśl, że Bóg mnie ukarał. To była kara za porzucenie Filipa. Jednak tak bardzo zamknęłam się na wszelkie myśli o nim, że postanowiłam rzucić winę na ciebie, żeby tylko nie doszukiwać się jej w sobie – przyznała z bólem, przyciskając dłoń do klatki piersiowej. – Skrzywdziłam cię, wiem o tym – dodała cicho, zwracając się do Filipa. – Wiem też, że nigdy mi tego nie wybaczysz...

– Mój ojciec przez całe swoje życie cię kochał, wiesz? – wycedził, odwracając się do niej. Jego tęczyki były teraz pogrążone w rozpacz, ale jednocześnie wyrażały coś, co wyglądało jak pogodzenie się z prawdą.

Jestem pewna, że Filip przez lata zdążył stworzyć sobie jakiś obraz swojej mamy. Podobno dzieci, które zostały porzucone, często myślą o tym, jacy byli ich rodzice. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie w jego twarz, żeby przekonać się, jak bardzo był rozczarowany w tej chwili. Przygotował się na trudną rozmowę, ale pewne słowa ze strony Elżbiety coś w nim zabiły.

Nadzieję. Tę kruchą, nieśmiałą nadzieję, że może usłyszy coś, co pozwoli mu myśleć o Elżbiecie jako o tej mamie, którą sobie wyobrażał.

Rzeczywistość okazała się przerażająco brutalna.

Ela milczała, najwyraźniej nie chcąc odpowiedzieć na ostatnie słowa Filipa. Może obecność Stanisława w pewien sposób ją blokowała, a może temat uczuć Jacka był jej całkowicie obojętny.

– Kiedy zobaczyłam cię kilka dni temu u Elizy, a następnie usłyszałam twoje nazwisko, gdzieś w podświadomości poczułam dziwne ukłucie rozpoznania. Wystarczyło tylko, że spojrzałam w twoje oczy. Zobaczyłam w nich siebie i Artura. Jesteś bardzo podobny do Jacka, ale oczy masz po mnie – wyszeptała z mieszaniną smutku i nostalgii, unosząc lekko kąciki ust w czymś na kształt uśmiechu.

Odwróciłam wzrok, bo nie mogłam na to patrzeć. Żadne jej słowa nie były w stanie zaleczyć ran, które zadała swoją szczerością.

Filip obserwował ją przez kilka długich sekund. Jego sztormowe oczy uspokoiły się i wydały mi się w tym jednym momencie kompletnie martwe. Zacisnął usta. Ja patrzyłam z zapartym tchem na tego imponującego mężczyznę, ale myślałam tylko o tym malutkim chłopcu, który ciągle gdzieś w nim mieszkał. Porzucony przez matkę, zraniony, niechciany. Kochany przez ojca, który przez całe życie robił wszystko, żeby Filip nigdy nie czuł się gorszy i mniej wartościowy.

Wiedziałam, że dziś jednak się tak poczuł. Jakby nie był wart zachodu, miłości Elżbiety, jej uwagi i zainteresowania. Przypomniałam sobie te chwile, gdy zachwyciałam się opiekuńczością mojej teściowej w stosunku do Artura, bo zawsze była tak szczerą, a jednocześnie nienachalną i wyważoną.

– Mam ostatnie pytanie... – powiedział chłodno, wpatrując się intensywnie w Elżbietę. – Czy chociaż raz żałowałaś tego, że mnie nie chciałaś?

Zacisnęła usta, a wokół nich pojawiły się zmarszczki. Coś w jej oczach drgnęło, lecz zniknęło tak szybko, jakby nigdy się nie pojawiło. Poczułam silny ucisk w żołądku, bojąc się kolejnych kilku sekund.

Elżbieta otworzyła usta, lecz od razu je zamknęła i opuściła wzrok, wbijając go w trzymane bezustannie zdjęcie. Wzięła głęboki oddech. Szykowała się do odpowiedzi.

– Przykro mi, ale odpowiedź brzmi: nie. Nigdy tego nie żałowałam.

Opadła na nas gęsta mgła szczerości i wzajemnej niechęci. Byłam wstrząśnięta i do szpiku kości poruszona jej obojętnością względem człowieka, którego kiedyś wydała na świat.

Twarz Filipa była maską. Spojrzał na mnie krótko, a ja od razu odczytałam to jako znak do odejścia. Zebrał wszystkie dokumenty do teczki, zostawiając na stoliku tylko list oraz zdjęcie, które trzymała Ela. Bez słowa ruszył do drzwi, a ja podążyłam za nim, nie oglądając się za siebie.

To było za wiele. Dla niego, ale także dla mnie. Czułam w sercu ogromną pustkę, a ból panoszył się po każdej części mojego ciała. Chciałam jak najszybciej uciec z tego domu i nigdy więcej tu nie wracać.

Filip otworzył drzwi frontowe i był już jedną nogą za progiem, gdy usłyszeliśmy za plecami głos Elżbiety:

– Zapomniałeś chyba tego.

Podążyła Filipowi list i zdjęcie, a on wyrwał je z jej dłoni nieco zbyt gwałtownie, biorąc pod uwagę fakt, że starał się wyglądać na niewzruszonego.

Odwrócił się, lecz wtedy Ela impulsywnie zacisnęła dłoń na jego nadgarstku, zaskakując tym nie tylko nas, ale chyba i samą siebie.

– Wybaczysz mi kiedyś? – W jej jasnych oczach błysnęła nadzieja i błaganie, które sprawiło, że poczułam mdłości.

– Nie. – Odpowiedź Filipa przecięła powietrze niczym miecz samurajski. Wyrwał rękę z jej uścisku i wyszedł, a ja spojrzałam na Elżbietę z pogardą i ruszyłam za nim.

Jak ona miała czelność pytać go, czy wybaczy jej to, co kiedyś zrobiła i co powiedziała podczas dzisiejszego spotkania? Podobno każdy zasługiwał na wybaczenie, lecz myśląc o Elżbiecie, wiedziałam już, że było to tylko etyczne kłamstwo.

Wsiedliśmy do naszych samochodów w milczeniu. Filip wyjechał z posesji pierwszy, ja zaraz za nim. Ten jego pozorny spokój bardzo mnie niepokoił, bo oznaczał, że tłumił wszystko w sobie. Nie spuszczałam wzroku z jego samochodu, chociaż w mieście było to bardzo trudne.

Około kilometra po opuszczeniu Wrocławia zobaczyłam, że Filip włączył kierunkowskaz w prawo i zjechał na zadrzewiony teren pobocza. Od razu zrobiłam to samo i z przerażeniem patrzyłam, jak opuszcza samochód, przysiada na masce czarnego bmw i ukrywa twarz w dłoniach.

Wybiegłam z mojego starego forda tak szybko, jakby od tego zależało moje życie. Otuliłam go ramionami, próbując ochronić przed całym bólem, jakiego zmuszony był doświadczyć.

Łkał cicho i był to jeden z najtrudniejszych momentów w moim życiu.

Przytulałam tego niezwykłego, pięknego mężczyznę, który wydawał się taki silny i twardy już od dnia, kiedy go poznałam. Dziś uległ pod naporem brutalnej prawdy o kobiecie, która wydała go na świat. Przez całe swoje dotychczasowe życie miał u boku kochającego i troskliwego ojca, a gdy został sam, chciał poszukać odpowiedzi na niezadane nigdy pytania... Stał twarzą w twarz z Elżbietą Bielecką, gotowy na konfrontację, która ostatecznie zwała go z nóg.

Serce pękało mi za każdym razem, gdy czułam, jak nabiera drżący oddech. Męskie łzy nie zawsze były oznaką słabości. Nawet najtwardsi wojownicy mogli czasem podupaść i na chwilę poczuć się przegranymi...

– Już dobrze, kochanie... Już dobrze... – szeptałam mu cicho do ucha, gładząc po szerokich plecach i błagając Boga w duchu, żeby pozwolił mu zaznać ukojenia.

– Myślałam, że gdy ją spotkam, to usłyszę, że tęskniła i myślała o mnie przez lata... – wyszeptał zdławionym głosem, wtulając mokrą od łez twarz w zagłębienie mojej szyi.

– Ona nie jest warta twojego cierpienia, Filip. Słyszysz? Nie jest tego warta! – powiedziałam gorączkowo, odsuwając się lekko, żeby ująć w dłonie jego twarz.

Popatrzyłam w te piękne, tak znajome oczy, które zawsze zapierały mi dech w piersiach. Teraz były zaczerwienione, wypełnione niewysłowionym bólem i rozpaczą. Ogromne łzy toczyły się po jego policzkach, niknąc gdzieś w dwudniowym zaroście.

Mimo nagromadzenia tych negatywnych emocji nadal był piękny.

– Powiedziała, że byłem błędem... Nie ruszyło jej to, że mój ojciec kochał ją przez całe życie! – warknął, kręcąc głową z niedowierzaniem. Przymknął powieki, najwyraźniej czując wstyd z powodu swoich łez.

– Masz to już za sobą. Odszukałeś ją, porozmawiałeś, poznałeś odpowiedzi. Wiesz, że na ciebie nie zasługuje. Jestem pewna, że gdyby Artur żył, to też poczułby do niej nienawiść za to, co powiedziała. Odebrała wam szansę na spotkanie się, potraktowała cię w sposób tak karygodny, że niemożliwy do opisanego... Jesteś dla niej zbyt dobry. Twój tata powinien być dumny z tego, że wychował cię na tak niesamowitego mężczyznę – wyszeptalam z mocą, uśmiechając się do niego poprzez wzbierające w oczach łzy.

Patrzył na mnie, jakby doznał objawienia. Rozchylił lekko wargi, biorąc głęboki oddech. Obok nas przejeżdżały samochody, chłód tego zimowego dnia dawał się nam we znaki, lecz nagle to wszystko przestało mieć znaczenie.

– Będiesz kiedykolwiek w stanie mnie pokochać?

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem, zdając sobie sprawę, że on nie wiedział. Nie miał najmniejszego pojęcia o moich uczuciach względem niego. Najwyraźniej spotkanie z Elą sprawiło, że stracił pewność siebie... Może nawet zaczął myśleć, że nie zasługuje na miłość.

Ja jednak wiedziałam, jak bardzo wart był miłości. Poznałam jego dobre i złe strony, odnalazłam przy nim bezpieczeństwo

i spokój, poznałam dobroć i empatię, które nie wynikały z chęci otrzymania czegoś w zamian.

Opuściłam wzrok, przygryzając lekko dolną wargę. Mróz szczypał mnie w policzki, ale nie był w stanie ochłodzić moich gorących uczuć i krwi szumiącej w żyłach. Musnęłam opuszką palca granicę pomiędzy włosami a szalikiem, który okrywał kark. Serce tłukło mi się w piersi jak szalone...

Nagle pomyślałam o dzienniku Zofii Skalskiej oraz tych wszystkich złotych myślach, które tam wpisała. Jej własna podróż po cierpieniu, tęsknocie i stracie stała się niezapomnianą lekcją dla mnie.

Lekcją akceptacji trudnej rzeczywistości. Nauką o kochaniu po raz drugi.

– Już to masz... – wyszeptałam tak cicho, że gdyby w tej chwili jakiś samochód przejechał obok nas, to mógłby tego nie usłyszeć. – Już masz moją miłość, Filip.

W jego oczach coś rozbłysło. Smutek i rozpacz ustąpiły miejsca niedowierzaniu, chociaż nie zniknęły całkowicie. Był zaskoczony, nie wierzył mi do końca, lecz starał się przyjąć do wiadomości te słowa. Patrzył na mnie w milczeniu, jak gdyby doszukiwał się kłamstwa, lecz nie miał szans go tam znaleźć.

– Kocham cię – powiedziałam głośno i wyraźnie, zdobywając się na odwagę, której zgromadzenie było nie lada wyzwaniem.

Moje emocje szalały. Serce drżało od nadmiaru doznań, a umysł wręcz dudnił od bodźców. Powiedziałam te dwa kluczowe słowa. Słowa, które przez całe życie wypowiadałam tylko do jednego mężczyzny. Artur był moją wielką miłością. Myślałam, że jest miłością mojego życia i gdyby ze mną pozostał, to pewnie tak by było. Los jednak miał dla nas inny plan... Na mojej drodze stanął człowiek, który rozbił mur. Dostrzegł tę najbardziej skrzywdzoną część mnie i otoczył ją czułością oraz opieką. Jak mogłabym pozostać wobec tego

obojętna? Jak mogłabym zapomnieć, że przywrócił mnie do życia?

Pokochałam go tak po prostu, z lekkością i zupełnie naturalnie. Obdarzenie Filipa uczuciami wydawało mi się czymś oczywistym, krokiem, który prędzej lub później musiał zostać wykonany.

Jego usta opadły na moje, wyduszając mi oddech z płuc. Całował mnie z niedowierzaniem, z euforią i pragnieniem. Wypalał we mnie znamię, które chciałam nosić dumnie, jak najpiękniejszy na świecie tatuaż. Pragnęłam wierzyć w oznaczenie, które mogłoby mi przypominać, że ja i Filip jesteśmy dla siebie, a pojawienie się Ady niczego nie zmienia...

To nie było mimo wszystko takie proste...

– A ona? – wyszeptałam bez tchu, przerywając pocałunek.

Filip spojrzał mi w oczy, gładząc po zaczerwienionych od mrozu policzkach.

– Ada wie, że otrzyma ode mnie pomoc, ale powiedziałem jej, że między nami koniec, bo teraz liczysz się dla mnie tylko ty. Nie zaakceptowała tego łatwo, ale dziś rano spakowała swoje rzeczy i przeniosła się do pokoju hotelowego, który dla niej opłaciłem. Wiem, że jej obecność w moim domu zatruwała twoje myśli. Przemyślałem sobie twoje słowa i doszedłem do wniosku, że spłacenie długów Ady byłoby grubą przesadą. Opłaciłem jej adwokata, ale o resztę musi się zatroszczyć sama – powiedział, patrząc mi głęboko w oczy.

Chociaż wcześniejsze wydarzenia tego dnia były dla nas koszmarem, po raz pierwszy dostrzegłam światełko w tunelu po słowach Filipa.

Ada się wyniosła. Już nie przebywała z nim pod jednym dachem. Powiedział jej, że między nimi koniec. Wybrał mnie.

Tak, to chyba oznaczało, że wybrał mnie.

– Filip... Wiesz, że ja oferuję ci trzy osoby za ciebie jednego?
– wyszeptałam niepewnie, myśląc od razu o tym, że związek

z Filipem przeniesie się na zupełnie inny poziom. Poziom, gdzie on pozna dokładnie blaski i cienie każdego mojego dnia. – Życie moje i dzieci nie jest łatwe. Problemy Emilki czynią niektóre dni jeszcze trudniejszymi. Każdy mój dzień mija pod znakiem potrzeb Jasia. Jest dzieckiem, które prawdopodobnie nigdy nie będzie samodzielne. Związek ze mną oznacza akceptację życia dalekiego od ideału.

Czułam, że muszę go uprzedzić. Znał moje dzieci i akceptował je takie, jakimi były. Nie miał jednak pojęcia o codziennych trudnościach, jakie były naturalną kolejną rzeczą przy wychowywaniu dziecka z zespołem Downa. Powinien wiedzieć, w co się pakuje...

– Chcę być z tobą. Chcę opiekować się Jasiem i Emilką. Dla siebie, dla ciebie, dla nas. Dla Artura. Niezależnie od tego, jak będzie trudno.

Przymknęłam powieki, wzięłam głęboki oddech i przywołałam w wyobraźni twarz mojego męża.

Tak musiało być.



Rozdział 11

Filip zamknął pewien etap w swoim życiu. Bardzo przeżywał słowa usłyszane od Elżbiety, ale jednocześnie powoli godził się z tym, że ona po prostu rozwiązała jego złudzenia. Przestał się nimi karmić i podsycać płoną nadzieję na szczęśliwe zakończenie ich historii.

W niedzielę spędziłam dużo czasu nad grobem Artura. Opowiadałam mu tylko o tym, co dobre, jak gdyby nie widział tego, co złe. Czytałam mu fragmenty z dziennika pani Zofii, a później zawzięcie wypatrywałam jej na cmentarzu, lecz nigdzie nie dostrzegłam postaci tej drobnej, lekko przygarbionej staruszki poruszającej się o lasce.

W poniedziałkowy poranek Jaś chętnie udał się do przedszkola, a mama nie potrafiła poskromić zachwytów nad jego delikatnie zauważalnymi postępami. Dziś miał mieć pierwsze grupowe zajęcia z logopedą, a jutro indywidualne. Kamila opowiedziała mi przez telefon, na czym polegają zajęcia grupowe... Chodzi o to, żeby pobudzić w dzieciach potrzebę wzajemnej konwersacji, uczyć ich odpowiedniej mimiki i gestykulacji do przekazania emocji. Mieli się również nauczyć nowych znaków wspomagających komunikację oraz prostych i codziennych uprzejmości w sytuacjach, które szczególnie tego wymagały.

Przez całe przedpołudnie nadrabiałam zaległości w domowych obowiązkach, bo przez ostatnie życiowe perturbacje zdążył narobić się niezły bałagan oraz cała góra prania. Dzięki temu, że miałam pełne ręce roboty, nie znajdowałam czasu na nadmierne roztrząsanie spotkania z Elą.

Bo to nadal ogromnie mnie bolało, pomimo tego, że minęło już kilka dni...

Chwilę po godzinie trzynastej w korytarzu rozdzwonił się telefon domowy, a ja rzuciłam wszystko i ruszyłam biegiem, mając nadzieję, że zdążę odebrać. Rodziców nie było w domu, bo oboje pojechali dziś na rozmowę z potencjalnym nowym kupcem naszych jabłek.

Poderwałam słuchawkę, lecz usłyszałam tylko sygnał. Odłożyłam ją na miejsce i od razu telefon ponownie zaczął dzwonić.

– Halo?

– Dzień dobry. Z tej strony Julia Dyk, wychowawczyni Emilii Bieleckiej. Czy rozmawiam z panią Elizą Bielecką? – Głos nauczycielki opanował moje ucho, sprawiając, że żołądek ścisnął mi się ze strachu.

Dzwonili ze szkoły. Coś musiało się stać.

– Tak, przy telefonie – odpowiedziałam od razu.

– Pani Bielecka, czy mogłaby pani przyjechać dziś na rozmowę do szkoły? Emilia wdała się dziś w bójkę z koleżanką i myślę, że dobrze byłoby się spotkać. – Nauczycielka oficjalnym tonem wypowiedziała słowa, które wprawiły mnie w olbrzymie zdumienie.

– Słucham?! – zapytałam z niedowierzaniem. – Moja córka wdała się w bójkę?!

– Dokładnie tak. Czy mogłaby pani dziś przyjechać?

– Tak. Będę w szkole za pół godziny – odpowiedziałam szybko, kompletnie nic z tego nie rozumiejąc.

Emilka była grzecznym i spokojnym dzieckiem, które tylko czasami się buntowało. Miała gorsze dni, gdy była marudna i nastawiona negatywnie do wszystkiego. Tyle że moja córka nigdy nie miała skłonności do bójek.

To musiało być jakieś nieporozumienie!

Zrobiłam szybki makijaż i zmieniłam ubrania, po czym wskoczyłam do samochodu i niespełna kwadrans później byłam pod budynkiem szkoły podstawowej, do której uczęszczała Emilka. Przewiesiłam torebkę przez ramię i weszłam do środka, wsłuchując się w dźwięk obcasów moich kozaków, który niósł się echem po szkolnych korytarzach.

Pokój nauczycielski znajdował się na pierwszym piętrze. Weszłam po schodach i przystanęłam raptownie, widząc moją córkę siedzącą na ławce przed drzwiami, zapłakaną, z rozwalonym kucykiem i spuszczoną głową.

Podeszłam do niej szybko, usiadłam obok i objęłam ją ramieniem. Spojrzała na mnie zrozpaczonym wzrokiem, a mnie od razu zakłuło serce.

– Co się stało, Emilko? – zapytałam wprost, chcąc w pierwszej kolejności usłyszeć wyjaśnienia z ust mojego dziecka. Wiedziałam, że nieważne, jak trudna byłaby prawda, to nie będzie kłamać.

– Bo... – zaczęła płaczkliwie, zaciskając powieki i wypuszczając kolejne łzy. – Bo Zosia dzisiaj zaczęła się śmiać z Jasia...

– Co takiego?! – zapytałam z niedowierzaniem, patrząc na moją córkę szeroko otwartymi oczami.

– Tak... Powiedziała na przerwie, że mam brata downa, który nigdy nie będzie umiał czytać i pisać. A później powiedziała, że ja pewnie też jestem downem, bo jestem taka brzydka jak mój brat... – Pełen rozpaczy szloch wydobył się z jej klatki piersiowej, a ja mocno przytuliłam Emilkę do siebie, całując ją w czubek głowy.

– To wtedy uderzyłaś Zosię?

Przytaknęła.

– Ciągnęłam ją za włosy i biłam, mamom... – przyznała się stłumionym głosem, a ja zacisnęłam powieki, czując smutek i złość na to, że moja córka musiała przejść przez coś takiego.

Zosia była dzieckiem i zdawałam sobie sprawę z tego, że nie miała pojęcia, jak wielka była waga jej słów. Nie rozumiała do końca pewnych spraw, ale przecież miała tylko osiem lat. Emilka poczuła się zraniona i stanęła w obronie brata.

Byłam z niej dumna, chociaż może nie powinnam, bo przecież uderzyła koleżankę na szkolnej przerwie.

Drzwi od pokoju nauczycielskiego otworzyły się, a ze środka wyszła Zosia, której warkoczyk był w całkowitym rozpadzie, oraz jej mama, która posłała mi zdeglustowane spojrzenie.

– Dzień dobry – powiedziała chłodno.

– Dzień dobry – odpowiedziałam w ten sam sposób, wstając z ławki i prowadząc Emilkę przy sobie.

Weszliśmy do przestronnego pokoju nauczycielskiego, gdzie na początku długiego stołu ciągnącego się przez środek siedziała Julia Dyk. Miała krótkie czarne włosy i okulary w grubych oprawkach na nosie. Była niskiego wzrostu, a jej biodra były nieproporcjonalnie szerokie.

– Dzień dobry, pani Bielecka – powiedziała, wstając od stołu i podając mi rękę.

– Dzień dobry.

Usiadliśmy z Emilką po drugiej stronie stołu. Moja córka nadal pochlipywała cicho, siedząc ze spuszczoną głową i wbijając wzrok w blat stołu.

– Po pani tonie w słuchawce wywnioskowałam, że jest pani tak samo zaskoczona jak ja. Emilka nigdy się tak nie zachowywała i szczerze powiedziawszy, bójki kompletnie do niej nie pasują. Żadna z dziewczynek nie chciała mi powiedzieć, dlaczego doszło do tej sytuacji. Obie milczą jak zakłète. – Głos Julii Dyk był spokojny i wyważony, jednak kobieta nie była w stanie ukryć rozczarowania całą tą sytuacją.

– Zosia podczas przerwy zaczęła wyśmiewać się z wady genetycznej mojego syna oraz jego wyglądu. Jak pani wie, mój

synek ma zespół Downa i Zosia doskonale o tym wie, bo ostatnio u nas nocowała. Moja córka stanęła w obronie brata – odpowiedziałam z takim samym spokojem, chociaż w środku drżałam z emocji. Nieświadomie kłótnia dzieci uderzyła w moje wrażliwe struny.

Dyk uniosła brwi, patrząc na moją córkę.

– To prawda, Emilko? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała cichutko, pociągając nosem.

Od razu wyszperałam z torebki chusteczki higieniczne i podałam jej jedną, żeby mogła wydmuchać nos i osuszyć twarz od ciągle płynących łez.

– Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to nie zmienia wagi przewinienia, jakiego dopuściła się Emilka, ale myślę, że powinna pani znać motyw całego zajścia – powiedziałam, obejmując ramieniem drżące ciało córki.

Nauczycielka wyglądała na poruszoną całym zajściem, i to do tego stopnia, że przez kilka długich chwil nie mówiła nic, tylko wpatrywała się w stronę, na której leżał otwarty dziennik.

W końcu uniosła wzrok i wzięła głęboki oddech.

– To oczywiście zmienia postać rzeczy, ale mimo wszystko muszę ukarać Emilkę uwagą, ponieważ takie sytuacje dziać się w szkole nie mogą. Dziewczynki powinny się przeprosić. Proszę poczekać, zawołam Zosię i jej mamę. – Nauczycielka wstała od stołu i wyjrzała na korytarz, zapraszając do środka czekające tam osoby.

Spojrzenia, które posłałyśmy sobie z mamą Zosi, dalekie były od sympatycznych czy chociażby przychylnych. Kobieta wraz z córką usiadła po tej samej stronie co nauczycielka.

– Muszę przyznać, że bardzo mi przykro spotykać się z panią w takich okolicznościach – odezwała się, patrząc na mnie chłodno.

– Mnie również.

– Proszę pamiętać, że to pani córka uderzyła moją – odpowiedziała, kręcąc głową z oburzeniem.

– Owszem. Tyle że Zosia sprowokowała Emilkę.

Kobieta prychnęła i posłała mi jadowne spojrzenie.

– Niby czym?

– Mój braciszek ma zespół Downa, a ona się z niego śmiała!

– krzyknęła piskliwie Emilka, zaskakując nas wszystkich. Płakała cicho przez cały czas, przysłuchując się milcząco naszej rozmowie, lecz wreszcie nie wytrzymała.

I zaskoczyła swoją odpowiedzią tę kobietę.

– Co takiego? – zdziwiła się, nieco zbita z pantafelku.

– To, co pani słyszy. Zosia zaczęła wyśmiewać na przerwie mojego syna – wyjaśniłam spokojnie, znów czując, jak ten wrażliwy temat wywołuje ukłucie w sercu.

Kobieta zerknęła na córkę ze złością, a ta zaczerwieniła się na twarzy i opuściła wzrok.

– To prawda, Zosiu? – zapytała srogo, zaciskając usta w wąską linię.

– Mamo, to były tylko żarty... – wyszeptała ze skrucą dziewczynka, bawiąc się swoimi palcami.

– Porozmawiamy sobie w domu – warknęła jej matka.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli dziewczynki podadzą sobie ręce i się wzajemnie przeproszą – zaproponowała nauczycielka, pragnąc najwyraźniej przerwać napiętą sytuację. Zarówno Zosia, jak i Emilka nie ruszyły się ze swoich miejsc. – Dalej, dziewczyny. Raz-dwa.

Obie wstały niechętnie i z ociąganiem, a podając sobie dłonie, chciały jak najszybciej odwrócić się i odejść.

– Powiedźcie sobie „przepraszam”. I niech to będzie szczere. Obie postąpiłyście źle. Nie możecie się tak zachowywać. Dziś zostajecie ukarane uwagą, lecz następnym razem będzie gorzej, więc oby tego następnego razu nie było – powiedziała Julia Dyk.

– Przepraszam, że śmiałam się z Jasia... – wyszeptała cicho Zosia.

– Przepraszam, że cię biłam... – odpowiedziała równie cicho Emilka.

Obie wróciły na swoje miejsca, a minutę później opuszczałyśmy już szkołę, nie patrząc na siebie i nie próbując nawiązać sztucznej konwersacji z Zosią i jej mamą. Rozejm nie wywołał radości na twarzy Emilki.

Przez całą drogę do domu słyszałam jej pochlipywanie dochodzące z tylnego siedzenia auta. Zerkałam w lusterko wsteczne i widziałam, że przez cały czas ocierała rączkami łzy. Serce krajało mi się na ten widok, ale musiałam zachować się tak, jak na rodzica przystało.

– Jesteś na mnie zła, mamusiu? – zapytała cicho, gdy wjechałyśmy do Lilecka.

– Troszkę tak. Wiesz, że przez kilka dni masz karę na bajki, prawda? – odpowiedziałam, napotykać jej spojrzenie w lusterku.

Zrobiła tę swoją smutną minkę, na widok której byłam gotowa od razu odwołać wypowiedziane przed chwilą zdanie.

Przytaknęła i wpatrzyła się w szybę, myśląc zapewne o tym, co miało dziś miejsce.



– Emilciu, płakałaś?! – Troskliwy i zmartwiony głos mamy zaatakował nas od wejścia, a po chwili moja córka znalazła się w objęciach babci i zaczęła głośno szlochać. – Co się stało, kochanie?

W drzwiach salonu pojawił się też tata, który z niepokojem popatrzył na Emilkę, a po chwili na mnie, szukając odpowiedzi.

– Zosia śmiała się dzisiaj z Jasia, a ja ją uderzyłam i dostałam uwagę... – wyszłochała w ramię babci, pozwalając się przytulać w tym trudnym dla niej momencie.

– Broniłaś braciszka, Emilko... – powiedział mój tata ze smutkiem i pogładził ją dłonią po zmierzwionych włosach.

– Mama na pewno nie jest na ciebie za to zła... – dodała moja mama, posyłając mi porozumiewawcze spojrzenie.

Emilka odsunęła się i otarła twarz, pociągając nosem.

– Mama dała mi karę na bajki, ale nie jestem na nią obrażona...

Serce ścisnęło mi się z bólu i miłości, gdy jasne oczy mojej córki popatrzyły na mnie w sposób niemożliwy do opisanie, bezcenny. Uśmiechnęłam się do niej i otarłam jej łzy z policzków, żeby wiedziała, jak bardzo ją kocham.

Weszła po schodach na górę, ciągnąc za sobą plecak. Nie zdjęła butów ani kurtki.

– Jak mogłaś dać jej karę, Eliza? – fuknęła mama z oburzeniem.

– Przecież broniła brata! – dodał ojciec, gromiąc mnie wzrokiem.

– Postąpiła źle, nawet jeśli w dobrej wierze – odpowiedziałam spokojnie.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się, a wraz z chłodem do wnętrza domu weszli Ola i Jaś. Oboje byli uśmiechnięci i zaczerwienieni od mrozu.

– Dzień dobry, synku! – wyszeptałam z czułością, przykucając i całując go w policzek.

– Nie chciał wyjść z przedszkola, bo tak świetnie bawił się klockami – powiedziała z rozbawieniem Ola, rozbierając się.

Ja w tym czasie już zdjęłam Jasiowi czapkę i kurtkę, a następnie posadziłam go sobie na kolanie i pozbyłam się jego bućków.

– Pójdziemy teraz do Emilki, bo ona bardzo chce cię zobaczyć. – Pogładziłam Jasia po lekko naelektryzowanych włoskach i wzięłam go na ręce, wstając.

– A gdzie Emilka? – zapytała Ola, rozglądając się.

– Przeżyła dziś swoją pierwszą bójkę w szkole – odparł mój tata, na co Ola zachłysnęła się ze zdziwieniem.

– Emilcia? Nasza grzeczna dziewczynka?!

– Chodź, napijemy się herbaty, opowiem ci – zawołała mama, wchodząc do kuchni.

– Pewnie będzie na mnie psioczyć, że dałam Emilce karę, więc się przygotuj – wtrąciłam, puszczając do niej oko.

Weszłam po schodach na górę, a po chwili zapukałam do pokoju mojej córki. Kiedy usłyszałam jej smutne „proszę”, postawiłam Jasia na podłodze, a on na własnych nogach przekroczył próg, uśmiechając się szeroko na widok siostry.

Emilka rozpromieniła się. Zeskoczyła szybko z łóżka i przytuliła brata z miłością.

– Kocham cię, Jasiu. Nie dam nigdy zrobić ci krzywdy.

Te słowa z ust mojej prawie dziewięcioletniej córki sprawiły, że w gardle natychmiastowo wyrosła mi gęła, a serce rozszalało się, gdy z oczu popłynęły łzy wzruszenia.

Zamknęłam na moment powieki i z nostalgicznym uśmiechem na ustach przywołałam w pamięci twarz Artura.

Byłeś z nami.



Sytuacja w szkole wciąż była niełatwa. Emilka nie rozmawiała z Zosią, a pozostałe koleżanki z klasy podzieliły się na dwa obozy. Z tego, co mówiła moja córka, w tym wszystkim był jeszcze Szymek... To on najskuteczniej pocieszał, rozbawiał i podnosił ją na duchu.

Gdzieś w myślach zrodziło mi się przypuszczenie, że moja Emilka właśnie po raz pierwszy przeżywała dziecięcą miłość, a utwierdziłam się w tym przekonaniu, gdy zapytała, czy mógłby przyjechać do niej w ferie, bo chciałyby pokazać mu nasze konie.

Nie widziałam niczego złego w przyjaźni dwójki dzieciaków, a i moja mama zdawała się tym faktem rozczulona.

Z Filipem widywałam się niemal każdego dnia; albo on zaglądał do mnie, albo ja odwiedzałam jego. Podobało mi się w nim to, że był niesamowicie cierpliwy, całował mnie tak, żebym nie poczuła się osaczona, dotykał czule, lecz nie naciskał na nic więcej od tamtego wieczoru w mojej sypialni.

W niedzielę udałam się na grób Artura, siedząc w milczeniu na ławeczce i rozkoszując się promieniami słońca w ten mroźny, zimowy dzień. Pozwoliłam moim myślom odpłynąć bardzo daleko, wspomnieniom dryfować gdzieś nad wspólnymi wakacjami, gorącymi pocałunkami i namiętymi chwilami, które dawniej miały w sobie niemąłą dozę szaleństwa.

Tego dnia po powrocie do domu wybrałam się na spacer po sadzie, czując przyjemność z mroźnego szczypania na policzkach. Obracałam obrączkę na palcu, myśląc, czy to dobry moment na przekroczenie kolejnej bariery, która oddzielała mnie od życia.

Wieczorem, leżąc już w łóżku, zrobiłam to.

Powoli zsunęłam obrączkę z palca, chcąc sprawdzić, jak się poczuje. Obawiałam się dławiących wyrzutów sumienia, bólu w klatce piersiowej i piekących pod powiekami łez.

Serce biło spokojnie, oddech był wyrównany, a pustka na palcu nie dławiała mnie od środka. Spojrzałam na obrączkę, przeczytałam wygrawerowany na wewnętrznej stronie napis i uśmiechnęłam się.

Następnie zdjęłam łańcuszek z szyi i powiesiłam na nim obrączkę, patrząc, jak opada na właściwe miejsce. Przy moim sercu, zawsze ze mną, przy skórze.

Zasypiałam z poczuciem, że wszystko jest dobrze. Artur mieszkał w moim sercu, Filip trwał przy mnie dzielnie, a dzieci pokonywały kolejne życiowe trudności tak, jak potrafiły najlepiej.

Poszczególne elementy układanki, do tej pory tak chaotycznie rozrzucone, teraz powoli zaczęły wskakiwać na odpowiednie miejsca, uzupełniając luki powstałe przez lata.

Nadszedł dobry czas. Dla mnie. Dla dzieci. Dla nas.



Zmywałam garnki, a mama stała obok mnie i wycierała je ręcznikiem do sucha. Od jakiegoś czasu czułam, że zerka na mnie kątem oka, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie była pewna, czy powinna. To generowało między nami pewien rodzaj stresującego napięcia, który wywoływał chaos w moich myślach.

– Wyduś to wreszcie z siebie – powiedziałam, podając mamie dużą patelnię do wytarcia.

Odchrząknęła, przeskoczyła spojrzeniem na widok za oknem i znów odchrząknęła.

– Zauważyłam, że zdjęłaś obrączkę.

A więc o to chodziło.

Przez kilka chwil stałam w bezruchu, przelżykając ślinę i myśląc o tym, co powinnam odpowiedzieć. Stwierdziła fakt, ale nie zapytała, dlaczego to zrobiłam. Zabrzmiała, jakby miała mi to za złe, co od razu przypomniało mi o podejściu Elżbiety do mojego potencjalnego związku z Filipem.

– Zdjęłam – potwierdziłam wreszcie, biorąc głęboki oddech.

– Czyli jesteście razem? – zapytała, chowając patelnię do szafki.

Przesunęłam dłonią po dnie wypełnionego wodą zlewu, a odszukawszy korek, wyciągnęłam go i wypuściłam wodę. Wytarłam mokre dłonie w ręcznik kuchenny, patrząc na mamę uważnie.

– Tak, mamó, jesteśmy.

Westchnęła przeciągle, zapatrując się w jeden punkt i popadając w zamyślenie.

– Wiesz, kochanie, że ja bardzo lubię Filipa. To wspaniały i dobry mężczyzna – powiedziała. – Po prostu tęsknię za Arturem i trochę mi przykro, że postanowiłaś zdjąć obrączkę. To tak, jakbyś zamknęła pewien etap w swoim życiu...

– Bo zamknęłam, mamó. Wreszcie nauczyłam się żyć po Arturze. To nie znaczy, że o nim zapomniałam... – wyszeptałam szczerze, wyciągając zza koszulki wisiołek i pokazując mamie zawieszoną na nim obrączkę. – Widzisz?

Popatrzyła na mnie, a po chwili uśmiechnęła się ze wzruszeniem. W jej oczach zalśniły łzy – pełne tęsknoty i bólu, ale gdzieś w głębi także szczęścia.

Podeszła bliżej i przytuliła tak, jak tylko mamy potrafią. Odwzajemniłam jej gest z całego serca, czując tę niewysłowioną radość, która była niezmienna: zawsze tak samo wszechogarniająca i przynosząca otuchę. Zawsze silna i najczystsza. Tak w dzieciństwie, jak i obecnie.

– Życzę ci jak najlepiej, córeczko. Przecież wiesz – wyszeptała wprost do mojego ucha, a jej ciepły ton otulił mnie niczym

puchowy koc.

– Wiem – przyznałam z miłością, uśmiechając się.

Mimowolnie pomyślałam o Filipie i poczułam ukłucie w sercu. Czuły dotyk matki był bezcenny, a dobre słowo miało magiczną moc. W życiu miałam wiele trudnych momentów: począwszy od prozaicznych dziecięcych problemów, poprzez nastoletnie zagwozдки, aż po dramaty dorosłego – jakkolwiek mój świat się nie walił, mama zawsze przy mnie była. Stała na straży mojego uśmiechu, pocieszała i dodawała otuchy. Potrafiła sprawić, że zaczynałam wierzyć w kolejny, lepszy dzień.

Filip nigdy tego nie miał. Wychowywał się pod opieką ojca, który musiał zastępować mu także matkę, chociaż pewnie nie za bardzo potrafił. Ten nienaturalny brak dorastał razem z nim, a po śmierci jedyne go rodzica stał się na tyle silny, że Filip postanowił wypełnić luki i poszukać odpowiedzi na mnożące się przez lata pytania.

Otrzymał ponowne odrzucenie i druzgocącą prawdę.

Odsunęłam się od mamy i w jednej chwili poczułam nieopisaną potrzebę podzielenia się z nią tą nieprawdopodobną historią. Wyobrażałam sobie jej szok, ale noszenie w sercu tej tajemnicy zaczynało mnie dusić.

– Muszę ci coś opowiedzieć... – zaczęłam niepewnie, patrząc w oczy mamy.

– Co się stało? – zapytała, marszcząc brwi ze zmartwienia.

– Ostrzegam, że to będzie coś mocnego i bardzo zaskakującego. Nieprawdopodobnego do granic możliwości – powiedziałam, biorąc głęboki oddech. – Filip jest przyrodnim bratem Artura.

Mama zamrugnęła szybko. Wpatrywała się we mnie z rozchylonymi ustami.

– Słucham?

– Filip jest przyrodnim bratem Artura – powtórzyłam. – Jego biologiczną matką jest Ela.

– O Boże... – wyszeptała z niedowierzaniem, przyciskając dłoń do klatki piersiowej. – Ale jak?

– Usiądźmy – powiedziałam. Zająłymi miejscami przy stole w kuchni.

Nalałam nam do filiżanek herbaty, która stała w dzbanku na podgrzewaczu. Złapałam dłoń mojej rodzicielki, która nosiła liczne ślady przepracowanych lat, i powoli zabrałam się do opowieści.

Zacząłam od początku, czyli tego, jak się poznaliśmy. Opowiedziałam, w jakich okolicznościach dowiedziałam się prawdy, i dzięki temu mama zrozumiała, dlaczego przez wiele miesięcy sytuacja pomiędzy mną a Filipem była tak napięta. Wyjaśniłam, jak zaczęliśmy się do siebie ponownie zbliżać. Na koniec w szczegółach powróciłam do okropnej rozmowy w domu Bieleckich, podczas której Elżbieta rozwiąła brutalnie wszystkie nadzieje i wyobrażenia Filipa co do swojej osoby.

Mama słuchała tego wszystkiego z oczami pełnymi łez, a na koniec ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Położyłam jej rękę na ramieniu, lecz ona szlochała rzewnie, drżąc na całym ciele.

– Spokojnie, mamo... – wyszeptałam ze smutkiem.

– Chryste... Jakim trzeba być człowiekiem, żeby porzucić własne dziecko?! Jak ona mogła coś takiego zrobić?! – zapłakała, patrząc na mnie z bólem. – Biedny Filip... Wyrósł na niesamowitego mężczyznę, ale to wyłączna zasługa jego dzielnego ojca, a nie tej... Och, brak mi słów! Po prostu brak mi słów!

Wzburzenie i ból mieszały się w oczach mojej mamy, która rozpaczała tak samo, jak od dawna ja, nad tym małym chłopcem, którego Elżbieta nie chciała. Minęło już sporo czasu od dnia, gdy ja się o tym dowiedziałam, lecz emocje nadal były

silne, a nienawiść paląca i dławiąca tak, jak przy tym pierwszym, szokującym uderzeniu.

– Też mi się to w głowie nie mieści... Nie potrafię przestać jej nienawidzić. Odnoszę wrażenie, że to zupełnie inna kobieta niż ta, którą znałam za życia Artura – powiedziałam, czując pustkę w okolicy serca.

Podzielenie się z kimś tymi ciężkimi emocjami sprawiało mi pewnego rodzaju ulgę. To była zupełnie inna rozmowa niż z Mileną czy Olą. Mama była mamą. Po prostu.

– Bądź dla niego dobra, kochanie. Zbyt wiele zła już w życiu zaznał – wyszeptała i ujęła moją dłoń w swoje ręce.

– Będę – odpowiedziałam, uśmiechając się.

Miałam nadzieję, że uda mi się dotrzymać słowa.

Chciałam przyszłości z Filipem. Chciałam żyć po Arturze, jednocześnie nigdy go nie zapominając i nie przestając kochać. Powoli odnajdywałam ten istotny złoty środek w moim pełnym smutku świecie. Pragnęłam kroczyć drogą, którą obrałam.



Kolejne dni były mroźne, spokojne i wypełnione codziennymi obowiązkami. Od chwili, gdy powiedziałam mamie o tajemnicy Filipa, stała się dla niego jeszcze bardziej serdeczna i czuła niż wcześniej. Ze strony taty nadal nie było wielkiego entuzjazmu, lecz subtelna zmiana w ich relacjach nastąpiła w momencie, gdy Filip wyciągnął dłoń na przywitanie, a mój ojciec ujął ją pewnie i nie odwrócił wzroku.

A zdjęcie Mileny i Amelki cały czas stało w sypialni. Z relacji mamy wiedziałam, że każdego wieczora tata długo się w nie

wpatrywał. Tęsknił. Byłam pewna, że tęsknił.

Emilka znów z ochotą zaczęła uczęszczać do szkoły, a podczas ferii zimowych rzeczywiście odwiedził nas Szymon. Był bardzo grzecznym i dobrze wychowanym chłopcem, który ukłonił się na powitanie, podziękował za obiad i za kilkugodzinne ugoszczenie. A przede wszystkim wywoływał niesłabnący uśmiech na ustach mojej córki. Patrząc na nich z boku, upewniałam się, że byli sobą tak dziecięco, niewinnie zauroczeni i nie mogłam przestać myśleć, że to było po prostu piękne.

Niemal każdego wieczoru rozmawiałam z Kamilą, słuchając z zainteresowaniem o dniu Jasia w przedszkolu. Bez ogródek opowiadała mi o jego gorszych momentach (zdając sobie doskonale sprawę, że to wywoływało mój ogromny stres), ale łagodziła to szczegółowymi opisami jego osiągnięć. Mój synek nadal był nieco wycofany, ale za to chętnie podejmował działania inicjowane przez opiekunki. Często uśmiechał się zarówno do Kamili, jak i Basi, a gdy obie namawiały go do przytulania, wykorzystywał to bez końca.

W piątkowe popołudnie podjechałam pod przedszkole pół godziny wcześniej, ale postanowiłam wejść do środka i poczekać na Jasia w holu. Zobaczyłam siedzącą tam kobietę w wieku mniej więcej czterdziestu pięciu lat, więc zajęłam miejsce dwa krzesła dalej i uśmiechnęłam się, mówiąc „dzień dobry”.

– Pani to pewnie mama tego nowego chłopca, tak? – zagadnęła uprzejmie, patrząc na mnie z zainteresowaniem.

– Tak, zgadza się – potwierdziłam, skinąwszy głową.

– Nasze dzieci chodzą do tej samej grupy. Mój synek ma na imię Adaś.

Uniosłam brwi, uśmiechając się.

– Och, to tym bardziej miło mi poznać.

– Od razu wiedziałam, że pani jest mamą Jasia, bo my się tu już wszystkie znamy, a panią widzę pierwszy raz – powiedziała otwarcie. – Mam na imię Renata – dodała, wyciągając do mnie rękę.

– A ja Eliza – przedstawiłam się, ściskając jej dłoń.

– Pewnie nie wiesz, ale często my, mamy, i nasze dzieciaki spotykamy się po zajęciach w przedszkolu w jakimś parku rozrywki dla dzieci lub na placach zabaw, gdy jest ciepło. Rozmawiamy ze sobą, wspieramy się. Gdybyś była zainteresowana, to w najbliższą sobotę planujemy wspólną kawę z pozostałymi mamami – powiedziała serdecznie i zachęcająco. – Pewnie sama wiesz, że nie jest łatwo wychowywać dziecko z zespołem Downa, bo otoczenie często nie akceptuje takich osób, jakby były gorsze. A przecież...

– Nie są gorsze – dodałam, wchodząc jej w słowo ze zrozumieniem.

– No właśnie. Pedagodzy specjaliści wykonują naprawdę trudny zawód, bo jak się tak patrzy na te wszystkie dzieci, które tu uczęszczają, to aż serce pęka. Nasze chodzą, uczą się, kontaktują, ale są i takie, które nie słyszą i nie widzą, bo Bóg tak z jakiegoś powodu chciał. Pamiętam, że gdy urodził się Adaś, a lekarze mi powiedzieli, że ma zespół Downa, to myślałam, że śni mi się jakiś okropny koszmar. To był koniec świata. – Słuchałam tej kobiety, czując, jak zaskakuje mnie jej otwartość w kontaktach międzyludzkich. Nie znałyśmy się, a ona rozmawiała ze mną tak, jakbyśmy widziały się już nie raz. Ja należałam do zdecydowanie bardziej skrytych osób, ale podobno potrafiłam dobrze słuchać. Może ona to wyczuła i potrzebowała się przed kimś wygadać. – Minęły już cztery lata, a ja czuję wstyd za każdym razem, gdy przypomnę sobie, co wtedy myślałam...

– A co myślałaś? – zapytałam ostrożnie, nie chcąc sprawiać wrażenia, że ją przepytuję.

Opuściła głowę i wzięła głęboki oddech. Z jej sylwetki emanował wstyd, a ja zaczęłam się domyślać, co mogę za moment usłyszeć.

– Był taki jeden moment, chwila dosłownie, kiedy czułam się zdruzgotana diagnozą i wtedy w mojej głowie pojawiła się myśl: „Dlaczego przeżyłeś?” – wyszeptała zbolalym głosem, patrząc na mnie tak, jakby wierzyła, że ją zrozumie.

Poczułam, jak coś nieprzyjemnie przewróciło mi się w żołądku. Nie chciałam jej oceniać. Nie miałam takiego prawa. Wiedziałam jednak, że u mnie nigdy taka straszna myśl nie wystąpiła.

– Byłaś po prostu w wielkim szoku... – odpowiedziałam, chcąc jakoś usprawiedliwić ją przed samą sobą.

– Tak, chyba tak... Mąż był dla mnie ogromnym wsparciem – przyznała, uśmiechając się lekko i okręcając obrączkę na palcu.

– Mój też bardzo mnie wspierał i właściwie to on wziął na siebie te pierwsze najtrudniejsze momenty – powiedziałam, dotykając automatycznie klatki piersiowej, gdzie pod bluzką schowana była moja obrączka.

Wzrok Renaty pomknął w tym kierunku, a jej ciemne brwi lekko się zmarszczyły.

Zapewne zastanawiała się, dlaczego noszę obrączkę na łańcuszku, a nie na palcu. Oczywiście, że to mogło wydać jej się dziwne i zagadkowe. A ja miałam wybór: odpowiedzieć na jej niezadane pytanie lub nie.

– Mój mąż zginął w wypadku motocyklowym prawie cztery lata temu – wyjaśniłam.

– Bardzo mi przykro – powiedziała szczerze, patrząc na mnie ze smutkiem.

Przytaknęłam i odwróciłam wzrok na ułamek sekundy, biorąc głęboki oddech. W tej samej chwili drzwi do sali

lekcyjnej otworzyły się, a ze środka wyszła Kamila, prowadząc Adasia i Jasia za rączki.

– Mama! – krzyknął mój synek, piszcząc uroczo.

Wyciągnęłam ręce i przywitałam się z nim, całując w czołko. Zobaczyłam, jak Renata tuli Adasia, pytając go, jak minął mu dzień w przedszkolu.

– Ale nam się dzisiaj chłopaki rozgadały na zajęciach! – oznajmiła Kamila, podpierając się pod boki i patrząc na nas radośnie. – Uczyli się dzisiaj zwrotów grzecznościowych, więc nie dziwcie się, jak teraz będą o wszystko ładnie prosić i za wszystko dziękować – dodała żartobliwie, puszczając oko do chłopców.

– Miło będzie to usłyszeć – wtrąciła Renata, przeczesując jasne włoski synka i zakładając mu czapkę na głowę.

Ja również zaczęłam ubierać Jasia, natomiast Kamila wróciła do sali, gdy zawołała ją Basia. Renata, zanim wyszła z przedszkola, uśmiechnęła się do mnie i zapytała:

– To jak, wpadniesz na spotkanie?

– Bardzo chętnie.

W duchu natomiast dodałam: „I już nie mogę się doczekać”.



Niedzielne popołudnie było mroźne, chociaż już bezśnieżne, gdy szliśmy z Filipem za rękę tą doskonale znaną, wybrukowaną ścieżką cmentarza. Wokół wiele osób zapalało znicze, modliło się, dumalo nad grobami bliskich.

Milczeliśmy, bo każde z nas najwyraźniej tego potrzebowało. Filip ciągle przeżywał rozmowę z Elżbietą, nie mogąc poradzić sobie z jej bezduszną szczerością. Moja mama niestrudzenie

okazywała mu mnóstwo miłości, jak gdyby chciała nadrobić to, czego Elżbieta mu nie dała. Nie mogła mieć pojęcia, jak bardzo byłam jej w duchu wdzięczna.

Dotarliśmy na grób Artura, gdzie przykucnęliśmy i odmówiliśmy w ciszy modlitwę. Filip zapalił duży znicz, który kupiliśmy w pobliskiej kwiaciarni, a następnie wymienił wypalone wkłady w pozostałych na nowe.

– Eliza? – wyszeptał nagle, marszcząc brwi i wpatrując się w bukiet sztucznych kwiatów, który stał po prawej stronie nagrobka.

– Tak?

– Jakaś kartka... – Podał mi złożony na pół arkusz.

Spojrzałam na niego, wzruszyłam ramionami z zaskoczeniem, po czym otworzyłam go i przeczytałam krótki liścik, który ktoś napisał w pośpiechu niedbałym, chociaż w miarę czytelnym pismem.

Elizo,

chciałbym Cię poinformować, że moja babcia, Zofia Skalska, trafiła na oddział kardiologiczny Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego we Wrocławiu, ponieważ przeszła zawał – na szczęście lekki. Dochodzi już do zdrowia i myślę, że chętnie by Cię zobaczyła.

Z pozdrowieniami, Paweł Skalski.

Moje serce w automatycznym odruchu ścisnęło się ze strachu, gdy przeczytałam, że Zofia Skalska miała problemy ze zdrowiem. Nie miałam tak do końca pojęcia, ile ta staruszka mogła mieć lat, ale wiedziałam, że jej wiek był już słuszny i problemy z sercem nie powinny być bagatelizowane.

Podaliśmy list Filipowi, a on przeczytał go szybko i spojrzał na mnie zatroskany.

– Chcesz ją odwiedzić?

Uśmiechnęłam się, przytakując.

Schowałam kartkę do torebki, a gdy znaleźliśmy się w samochodzie Filipa, wyszperałam ze środka długopis oraz dziennik, który otrzymałam od Zofii Skalskiej. Miałam dużo czasu, żeby przeczytać cały zawarty w nim tekst i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Wieczory sprzyjały tej trudnej, emocjonalnej lekturze, a przed zaśnięciem zawsze mogłam się zastanowić nad przeczytanym fragmentem historii, czy to dłuższym, czy zaledwie kilkudzaniowym.

Wiedziałam już, co chciała mi przekazać Zofia Skalska. Opis jej raczkującego uczucia do Staszka bardzo mnie poruszył, bo do złudzenia przypominał to, co działo się ze mną, gdy pojawił się Filip. Staruszka nie ukrywała swojej tęsknoty za zmarłym mężem, płakała przy nowym partnerze, gdy miała na to ochotę, i była wdzięczna za wyrozumiałość, jaką jej okazywał.

Puentą całej historii było nawoływanie do ponownego oddania serca innemu człowiekowi. Strach nie miał prawa definiować naszej przyszłości, tęsknota natomiast powinna umacniać, a nie osłabiać. Zofia Skalska pamiętała o mężczyźnie, który zdobył jej serce, lecz nie umniejszała przy tym uczucia, jakie połączyło ją z panem Staszkiem.

Ich historia miała wiele wspólnych elementów z naszą – moją i Filipa. A ta inteligentna, niezwykła staruszka musiała o tym wiedzieć.

Otworzyłam dziennik na ostatniej stronie i zapisałam tam słowa, które od dawna chodziły mi po głowie. Słowa, które miały dla mnie olbrzymią moc. Słowa, które były ze mną od początku i wiedziałam, że pozostaną do końca.

Słowa, które były obietnicą.

Uśmiechnęłam się, zamykając dziennik. Podróż dobiegła końca, a dziwna lekkość na sercu i trzepotanie skrzydełek w żołądku oznaczały wolność. Mojego serca, duszy i ciała.

– Co się tak uśmiechasz? – zapytał Filip, zerkając na mnie kątem oka z lekkim rozbawieniem.

Lubiłam go takiego zrelaksowanego, radosnego, spokojnego. W ostatnich dniach bardzo rzadko ta wersja jego osoby miała okazję ujrzeć światło dzienne.

– A, tak sobie... – odpowiedziałam z wymijającym uśmiechem, wzruszając ramionami.

Podjechaliśmy pod szpital, a następnie weszliśmy do środka, czując przyjemne ciepło wnętrza, które mocno kontrastowało z mroźnym chłodem na zewnątrz. Zapytałam pani przy kontuarze w holu o numer pokoju Zofii Skalskiej, a kobieta po chwili udzieliła mi odpowiedzi, pytając także, czy jestem kimś z rodziny.

Odpowiedziałam, że tak, mimo iż nie była to prawda.

Wjechaliśmy z Filipem na czwarte piętro szpitala, zakupiwszy wcześniej wymagane jednorazowe obuwie i płaszcze. Wszędzie panował ten specyficzny, szpitalny zapach, a wokół było bardzo czysto i ładnie. Odszukaliśmy odpowiednią salę w ciągu dwóch minut.

– Wejdz, ja tu na ciebie poczekam – powiedział Filip, uśmiechając się do mnie i siadając na krzeselku.

– W porządku.

Zapukałam do drzwi, a po chwili otworzyłam je i weszłam do dużej i dobrze oświetlonej sali szpitalnej z czterema łózkami. Rozejrzałam się, dostrzegając w pierwszej kolejności, że wszystkie łóżka były zajęte przez kobiety w różnym wieku. Najstarszą z nich, zajmującą miejsce przy oknie po prawej stronie, była Zofia Skalska.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem, lecz zaraz na jej ustach pojawił się szczery uśmiech radości. Ułożyła dłoń na klatce piersiowej, która oklejona była przewodami połączonymi z monitorem ukazującym stan pracy jej serca.

– Elizka! – powiedziała z zachwytem, a ja od razu dostrzegłam, że jej puls przyspieszył. – Skąd się tutaj wzięłaś?

Usiadłam na białym krzeselku przy jej łóżku i uśmiechnęłam się, dotykając delikatnie jej drobnej, pomarszczonej dłoni.

– Pani wnuk, Paweł, mnie poinformował – wyjaśniłam. – Jak się pani czuje?

– Och, teraz już dobrze. Zawał nie był silny, więc jeszcze się na drugi świat nie wybieram – odpowiedziała, machnąwszy lekko ręką. – Lekarz ciągle mówi Staszкови, że serce trochę mi osłabło, on się martwi, a nie ma czym, bo ja twarda sztuka jestem! – dodała dziarsko, śmiejąc się.

– Tyle to ja już wiem, pani Zosiu – powiedziałam, puszczając do niej oko.

– No, a co u ciebie, Elizka? Dawno się nie widziałyśmy!

Pewnie w innych okolicznościach podzieliłabym się z nią tą mało przyjemną opowieścią o rozmowie z Elżbietą Bielecką, lecz myśl, że mogłaby się z tego powodu niepotrzebnie zdenerwować, zlikwidowała jakikolwiek zapal do zwierzeń. Przynajmniej w tym momencie. Zamiast tego opowiedziałam jej o postępach Jasia w przedszkolu i bójce Emilki, która wyniknęła z jej potrzeby bronienia brata.

– Zuch dziewczyna! – pochwaliła staruszka.

– Jestem z niej dumna, ale musiałam zachować się jak odpowiedzialny rodzic i wymierzyć jej karę.

– Karę? – zapytała z oburzeniem.

– Zakaz oglądania bajek przez pięć dni – wyjaśniłam z uśmiechem, a pani Zosia odetchnęła.

Nie mogłam powstrzymać się od bezustannego zerkania na monitor przy łóżku staruszki. Chociaż nie znałyśmy się długo, to gdzieś pomiędzy jedną a drugą rozmową stała mi się bardzo bliska... Przede wszystkim jako kobieta, która nosiła w sobie nieskończoną mądrość nabytą przez lata życia. Chciałam mieć możliwość poznawania jej bliżej i czerpania od niej dobrych rad, które mogą uczynić moje życie lepszym.

– Nie miej takiej zafrasowanej miny, kochana. Wyjdę z tego szpitala i jeszcze ci się bez zapowiedzi wproszę na herbatę, żeby wreszcie poznać twoje dzieci – powiedziała pocieszająco, zaciskając palce na mojej dłoni.

Wzięłam głęboki oddech i uśmiechnęłam się, przechylając lekko głowę i zaciągając włosy za ucho.

– Serdecznie panią zapraszam już dziś – odpowiedziałam. Obserwowałam, jak twarz staruszki rozluźnia się pod wpływem czułego uśmiechu.

– A jak sytuacja z Filipem? – zagadnęła po chwili milczenia; ciszej i delikatniej, jakby obawiała się mnie spłoszyć.

Automatycznie poczułam, jak na moje policzki wstępuje lekki rumieniec.

– On... czeka na korytarzu – odpowiedziałam cicho.

– Och... – westchnęła z miłym zaskoczeniem. – Czy to znaczy, że...?

– Tak – wyszeptałam.

Ścisnęła mi dłoń, uśmiechając się ze szczerą, zachwycającą radością. Z jej oczu bił ocean dobra i nadziei, a nad moją głową wirowały te wszystkie życzenia szczęścia i powodzenia, które zapewne by wypowiedziała, gdyby do sali nie wpadła dziarska pielęgniarka w wieku około pięćdziesięciu lat, która stanęła przy łóżku pani Zosi i postawiła na szafce pojemniczki z tabletkami.

– Czas na leki, pani Skalska! – powiedziała swoim donośnym głosem.

– O nie... – westchnęła staruszka z niechęcią.

Przyjęła posłusznie wszystkie tabletki, chociaż minę miała przy tym nietęgą. Zerknęłam na zegarek, zdając sobie sprawę, że czas odwiedzin dobiegał końca. Wstałam z krzeselka, patrząc na drobną postać leżącą na szpitalnym łóżku, podłączoną do kabelków i kroplówki. Kruchą, a jednak

patrząc na mnie z siłą i wolą życia, których niejedna trzydziestolatka mogłaby jej pozazdrościć.

– Do zobaczenia, pani Zosiu – odpowiedziałam z nadzieją, patrząc kobiecie w oczy.

– Do zobaczenia – odpowiedziała pewnie, machając mi lekko na odchodne.

Zanim jednak na dobre opuściłam pokój, przypomniałam sobie o przedmiocie, który spoczywał na dnie mojej torebki i czekał na moment powrotu do prawowitej właścicielki.

– Zapomniałam! Proszę. Nadszedł czas, żeby to oddać – powiedziałam cicho, kładąc na łóżku, tuż przy dłoni pani Zosi, jej dziennik. – Dziękuję za tę ważną lekcję.

Przejechała palcami po okładce, a w jej oczach zalśniły łzy wzruszenia.

– Dopisałaś coś?

– Tak.

Patrzyła na mnie z dumą, która sprawiła, że miałam ochotę skakać do samego nieba. Wiedziała, że odrobiłam zadaną mi przez nią lekcję. Osiągnęła swój cel, który z początku był dla mnie tak niejasny.

Wychodząc ze szpitala, trzymałam Filipa za dłoń. Ciepło jego skóry odpędzało otaczający nas chłód, a blask w jasnych tęczęwkach wypełniał moje żyły płynnym szczęściem. Każdy krok w kierunku zaparkowanego samochodu był też krokiem w nową przyszłość.

Naszą. Wspólną. Dobrą.

Świat za samochodową szybą był taki sam, lecz ja byłam już inna. Zdrowsza emocjonalnie, pewniejsza kolejnego dnia, szczęśliwsza u boku cudownego mężczyzny.

Spoglądałam w niebo z pewnością, że Artur na mnie patrzy. Patrzy i cieszy się moim szczęściem. Zawsze był człowiekiem wyzbytym egoizmu. Kochałam go i byłam kochana. Każdego dnia inaczej, każdego dnia pięknie. Kiedy umarł, utraciłam

bezpowrotnie ogromną część mojego serca, zagubiłam się w świecie bez mojego męża, czułam, że nie ma życia po nim.

Pojawienie się Filipa dało mi nadzieję. To on przepędził gęstą mgłę, która mnie otaczała, i pokazał, że jest dla mnie coś dalej. Jakieś życie. Może dobre, może szczęśliwe. Chociaż się bałam, wykonałam pierwszy krok.

Dziękowałam mu w duchu za to, że to zrobiłam. Bo teraz życie zaczęło mnie zaskakiwać. Mile i cudownie. Rozrzucone elementy szczęśliwego obrazka zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. Bo oto mój synek z wadą genetyczną trafił do miejsca, gdzie był rozumiany. Moja córka miała w sobie odwagę, żeby zawalczyć o dobre imię brata. Rodzice odszukali drogę do siebie podczas sztormu... Było jeszcze wiele niedokończonych spraw, bo między Mileną i tatą nadal istniała ogromna przepaść, a Ola i Kuba walczyli bez powodzenia o naturalne poczęcie dziecka.

Nie wierzyłam, że czeka mnie teraz życie usłane różami, ale wierzyłam, że z Filipem będę na tyle silna, żeby pokonać wszelkie przeciwności losu.

Najpierw sprawił, że zaparło mi dech w piersi, później, że pokochałam go takiego, jakim był.

Miłość otuliła mnie swoim ciepłem po raz drugi, lecz o tej pierwszej nigdy nie zamierzałam zapomnieć.

Słowa zapisane w dzienniku Zofii Skalskiej były moją mantrą, moją obietnicą, mostem dla mnie i mojego męża.

Słowa o wielkiej mocy.

Zawsze i na zawsze, Arturze. Zawsze i na zawsze.



Dwa miesiące później

Mama siłą wygoniła mnie do ginekologa. Od kilku dni chodziłam jak struta, bo z moim organizmem zaczęło dziać się coś złego.

Pojawiły się niepokojące plamienia, których nigdy wcześniej nie miałam.

– Kiedy ostatni raz robiłaś cytologię? – zapytała Ola, której mama poskarżyła się na moje nieposłuszeństwo i poprosiła ją o pomoc, by przekonała mnie, że strach nie jest dobrym doradcą w kwestiach zdrowia.

– Kilka miesięcy po narodzinach Jasia – odparłam i szybko uciekłam wzrokiem, bo wiedziałam, jaka będzie reakcja.

– Czy ty oszalałaś?! Jaś ma cztery lata! Nie byłaś od tego czasu u ginekologa? – oburzyła się.

– Nie – przyznałam ze skrucą.

Umówiłam się na wizytę, gdy zagroziły, że powiedzą o wszystkim Filipowi. Kilka dni później na drżących nogach weszłam do gabinetu i przedstawiłam wszystkie swoje obawy.

Lekarz zmarszczył brwi i nie ukrywał, że potępia moją opieszałość względem regularnych badań. Zawaliłam, wiem. To było nieodpowiedzialne.

Będąc w żałobie, gdzie praktycznie ocierałam się o depresję, nie miałam głowy, by myśleć o swoim zdrowiu. W ogóle nie myślałam o niczym, co miało związek ze mną, bo przez długi czas jedynym sensem mojego życia były wyłącznie dzieci.

– Pani Bielecka, musimy zrobić wszystkie badania. Nie ma innej opcji – powiedział lekarz i popatrzył na mnie srogo znad okularów. – Proszę się rozebrać od pasa w dół, a gdy będzie pani gotowa, położyć się na kozetce.

Wykonałam posłusznie jego polecenie, chociaż momentami robiło mi się wręcz słabo ze strachu. Miałam złe przeczucia.

Żołądek ścisnął mi się do bólu, a ręce drżały niekontrolowanie.

Podczas badania skupiałam się na regularnym oddechu.

A lekarz ciągle coś mruzczał pod nosem, marszczył brwi i zerkał na mnie w sposób, którego nie potrafiłam rozszyfrować.

Z jednej strony chciałam, żeby coś powiedział, a z drugiej marzyłam, by po prostu stąd uciec.

Złe przeczucia. Złe przeczucia. Złe przeczucia.

Kobieca intuicja tak rzadko się myliła...

Po badaniach poszłam się ubrać, a gdy wróciłam do gabinetu, byłam blada jak ściana.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał zaniepokojony.

– Tak, nic mi nie jest – odpowiedziałam z udawanym spokojem.

– Mamy już pewne informacje, chociaż pełen obraz będzie dopiero po otrzymaniu wszystkich wyników badań – zaczął i popatrzył mi w oczy ze skupieniem.

Kolejne zdania, które wypowiedział, sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie trafiłam do pieprzonej ukrytej kamery.

To nie mogła być prawda.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ



Podziękowania

Historia Elizy z wielu powodów zajmuje szczególne miejsce w moim sercu. Spisywanie losów tej kobiety to często nieprzespane noce, łzy i chwile zwątpienia. Jak zawsze pragnę podziękować najważniejszym osobom, które towarzyszą mi w tej niesamowitej przygodzie:

– mojemu Mężowi – bez Ciebie to w ogóle nie miałoby sensu. Wiesz o tym, prawda? Podobno szczęście to jedyna rzecz, która się mnoży, gdy się ją dzieli, i zdecydowanie się z tym zgadzam. Sukcesy nie byłyby tak ważne i dodające wiatru w żagle, gdybym nie mogła przeżywać ich z Tobą. Idziesz ze mną przez życie. Byłeś, jesteś i będziesz. Wspierasz na każdym kroku i często stawiasz mnie do pionu, gdy za bardzo się nad sobą uzalam (kobiety tak mają, pamiętaj!). Jesteś moją siłą, a największą nagrodę stanowi dla mnie to, że jesteś ze mnie dumny. Bardzo Cię kocham!

– Aleksandrze Wolskiej – z taką cudowną, pełną energii i odważną redaktor prowadzącą można konie kraść! Jestem szczęściarą, że trafiłam pod Twoje skrzydła! Uzupełniamy się, a Twoja kreatywność nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać. Dziękuję Ci za opiekę i wsparcie na każdym etapie tworzenia tej serii!

– Marcie Houli – jesteś najwspanialszą graficzną czarodziejką, jaką znam. Masz ogromny talent, niebywałą wyobraźnię i cudowne serce, które wkładasz w swoje projekty. Okładki stworzone przez Ciebie to prawdziwe dzieła sztuki. Dziękuję Ci, że tak pięknie „ubierasz” tę serię!

– Małgorzacie Tinc – to dzięki Tobie nauczyłam się, że siła jest kobietą! Jesteś moją inspiracją i nigdy nie przestanę Cię podziwiać. Dziękuję Ci, że jesteś, a ja mogę na Ciebie liczyć!

– Anecie Robak – potrafisz tak pięknie opowiadać o moich książkach, że zawsze mnie to wzrusza. Cieszę się, że historie, które tworzę, ratują Ciebie, bo Twoja dobra energia, szczerość i niesamowite ciepło ratują mnie i sprawiają, że mogę więcej. Bardzo Ci dziękuję! #TeamBianek to Twoja zasługa!

– Czytelnikom – z książki na książkę przybywa Was coraz więcej, a wiem, jak bardzo czekaliście na kontynuację losów Elizy. Wasze wiadomości, komentarze, przemiłe słowa, podziękowania, łyzy... To dla mnie najlepsza nagroda. Cieszę się, że Was mam. Cieszę się, że mówicie o moich książkach, polecacie je, a co najważniejsze, że ciągle prosicie o więcej. Co zawsze odpowiadam? Będzie więcej! Dziękuję Wam wszystkim i każdemu z osobna!



Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 10

Rozdział 11

Podziękowania